

**JOHN GRISHAM**

# **MALOWANY DOM**

**(PRZEŁOŻYŁ JAN KRAŚKO)**

**SCAN-DAL**

*Moim rodzicom, Weez i Dużemu Johnowi,  
z miłością i podziwem*

## ROZDZIAŁ 1

Ludzie ze wzgórz i Meksykanie przyjechali tego samego dnia. Była środa, początek września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Kardynałowie przegrali pięć meczów z Dodgersami, za trzy tygodnie kończyła się liga i sezon był beznadziejny. Jednakże bawełna sięgała mi powyżej głowy, a tacie do pasa i bywało, że przed kolacją on i dziadek wymieniali szeptem słowa, które rzadko się wtedy słyszało. Zanosilo się na „dobre zbiory”.

Byli farmerami, tyrali w pocie czoła i popadali w pesymizm jedynie podczas rozmów o pogodzie i o plonach. Zawsze było za dużo słońca albo za dużo deszczu, na nizinach zawsze groziła powódź, ceny ziarna i nawozów sztucznych zawsze szły w górę, a rynek był zawsze rozchwiany. A jeśli któregoś dnia nie mieli powodów do narzekań, mama cicho mawiała:

- Nie przejmuj się, synku. Mężczyźni zawsze znajdą sobie jakieś zmartwienie.

Kiedy jechaliśmy szukać ludzi ze wzgórz, Dziadzio, czyli mój dziadek, martwił się o koszty robocizny. Pracownikom najemnym płacono za każde czterdzieści pięć kilo zebranej bawełny. Dziadek mówił, że przed rokiem dostawali półtora dolara, tymczasem doszły go plotki, że jakiś farmer z Lake City podbił stawkę i płaci im już dolara sześćdziesiąt.

W drodze do miasta sprawa kosztów robocizny bardzo go trapiła. Siedząc za kierownicą, nigdy z nikim nie rozmawiał, a to dlatego - przynajmniej zdaniem mojej mamy, która sama była kiepskim kierowcą - że słabo prowadził i bał się samochodów. Miał forda pikapa z trzydziestego dziewiątego roku i nie licząc starego traktora marki John Deere, był to nasz jedyny środek transportu. Ale brak wygodnego samochodu doskwierał nam tylko wtedy, kiedy jechaliśmy do kościoła, gdyż mama i babcia siedziały ściśnięte w szoferce, w swoich odświętnych ubraniach, a tata i ja na skrzyni, w tumanach pyłu. W rolniczej części Arkansas niewiele było nowoczesnych limuzyn.

Dziadek nigdy nie przekraczał sześćdziesiątki. Twierdził, że każdy samochód ma najefektywniejszą prędkość, i sobie tylko znanym sposobem wyliczył, że dla starego forda jest to sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Mama uważała - ale powiedziała to wyłącznie mnie - że teoria dziadka jest śmieszna. Mówiła też, że on i tata kiedyś się o to pokłócili. Ale tata prowadził bardzo rzadko, a kiedy już siadał za kółkiem i brał mnie do szoferki, z szacunku dla dziadka nigdy nie przekraczał sześćdziesiątki. Mama podejrzewała, że kiedy był sam, jeździł znacznie szybciej.

Skrećiliśmy na szosę numer sto trzydzieści pięć i dziadek zaczął ostrożnie zmieniać

biegi - powoli wciskał pedał sprzęgła, delikatnie przesuwając dźwignię na kolumnie kierownicy - by po pewnym czasie rozpedzić wóz do prędkości doskonałej. Nachyliłem się i zerknąłem na licznik: sześćdziesiąt na godzinę. Dziadek uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy obydwaj byli zgodni co do tego, że prędkość ta jest fordowi z góry przypisana.

Szosa numer sto trzydzieści pięć przecinała płaskie tereny uprawne Delty. Jak okiem sięgnąć, pola po jej obu stronach białą od bawełny. Nadeszła pora zbiorów, dla mnie najcudowniejsza pora roku, ponieważ na dwa miesiące zamykano szkołę. Ale dla dziadka był to czas nie kończących się trosk.

Po prawej stronie, u Jordanów, zobaczyliśmy grupę Meksykanów pracujących na polu przy drodze. Pochyleni, z workami na plecach, stali po pas w bieli i zwinnymi ruchami palców zrywali z szypulek bawełniane kulki. Dziadek mruknął coś pod nosem. Nie lubił Jordanów, bo byli metodystami i kibicowali Cubsom. A to, że na ich polu pracowali już Meksykanie, stanowiło dobry powód, żeby nie lubić ich jeszcze bardziej.

Nasza farma leżała niecałe dwanaście kilometrów od miasta, ale przy prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wyprawa do Black Oak trwała dwadzieścia minut. I to zawsze, nawet wtedy, kiedy ruch był bardzo mały. Dziadek nie uznawał manewru wyprzedzania. Oczywiście samochodem jadącym najwolniej był zwykle nasz ford. Niedaleko Black Oak dopędziliśmy traktor z przyczepą wypełnioną po brzegi świeżo zebraną bawełną. Przednia połowa przyczepy była przykryta brezentową plandeką, na której wesoło podskakiwały bliźniaki Montgomerych, moi rówieśnicy. Zobaczyli nas, znieruchomieli i pomachali nam ręką. Ja im odmachalem, dziadek nie. Prowadząc, nigdy nie pozdrawiał nikogo ruchem głowy ani nikomu nie machał, a to dlatego, że bał się oderwać ręce od kierownicy. Wiedziałem to od mamy, która mówiła, że ludzie gadają za jego plecami, uważają go za chama i aroganta. Osobiście nie sądzę, żeby się tym przejmował.

Jechaliśmy za Montgomerymi, dopóki nie skręcili do odziarniarni. Przyczepę ciągnął zdezelowany massey harris, prowadzony przez Franka, najstarszego syna Montgomerych. Frank wyleciał z piątej klasy podstawówki i wszyscy w kościele uważali, że marnie skończy.

Szosa numer sto trzydzieści pięć przeszła w Main Street, krótką ulicę przecinającą całe miasto. Minęliśmy kościół baptystów, co robiliśmy bardzo rzadko, gdyż zwykle wstępowaliśmy tam na modlitwę. Wszystkie sklepy, składy, urzędy, kościół, a nawet szkoła stały frontem do Main Street. W soboty samochody, traktory i przyczepy jechały ulicą zderzak w zderzak, gdyż farmerzy zjeżdżali tłumnie do Black Oak na cotygodniowe zakupy. Ale tego dnia była środa, więc bez kłopotów zaparkowaliśmy przed sklepem kolonialnym Popa i Pearl

Watsonów.

Czekałem na chodniku, dopóki dziadek nie kiwnął głową w stronę drzwi. Był to znak, że mogę kupić sobie ciagutkę na kredyt. Kosztowała tylko centa, co wcale nie oznaczało, że dziadek fundował mi ją, ilekroć przyjeżdżaliśmy do miasta. Bywało, że głową nie kiwał, ale nawet kiedy nie kiwał, wchodziłem do sklepu i snułem się przy kasie dopóty, dopóki Pearl nie wsunęła mi ciagutki do ręki, surowo zastrzegając, żebym pod żadnym pozorem nie mówił o tym dziadkowi. Bała się go. Eli Chandler był biedakiem, lecz biedakiem niezwykle dumnym. Prędzej umarłby z głodu, niż przyjąłby jałmużnę, a jałmużną była w jego mniemaniu nawet ciagutka. Gdyby dowiedział się, że przyjąłem od niej choćby cukierka, zbiłby mnie kijem, dlatego ilekroć Pearl kazała mi przysiąc, że dochowam tajemnicy, zawsze chętnie przysięgałem.

Ale tym razem dziadek głową kiwnął. Pearl jak zawsze odkurzała ladę. Wszedłem, sztywno uściśnałem ją na powitanie, sięgnąłem do słoja, wyjąłem ciagutkę, po czym złożyłem zamaszty podpis na rachunku. Pearl przyjrzała się mu uważnie i powiedziała:

- Coraz lepiej, Luke.

- Nieźle jak na siedmiolatka, co? - odrzekłem; pod okiem mamy już od dwóch lat wprawiałem się w ćwiczeniu podpisu. - Gdzie Pop? - Pearl i Pop byli jedynymi dorosłymi, którzy pozwalali mi mówić do siebie po imieniu, ale tylko w sklepie i tylko wtedy, kiedy byliśmy sami. Gdy wchodził jakiś klient, natychmiast stawali się panem i panią Watson. Nikomu o tym nie mówiłem, jedynie mojej mamie, a ona powiedziała, że żadne inne dziecko na pewno nie ma takiego przywileju.

- Na zapleczu, układa towar - odrzekła Pearl. - Gdzie dziadek?

Jej życiowym powołaniem było śledzenie poczynań wszystkich mieszkańców miasta, dlatego na pytanie zwykle odpowiadała pytaniem.

- W herbaciarni. Szuka Meksykanów. Mogę wejść na zaplecze? - Postanowiłem z nią wygrać.

- Lepiej nie. Ludzi ze wzgórz też najmujecie?

- Jeśli tylko ich znajdziemy. Eli mówi, że teraz przyjeżdża ich znacznie mniej niż kiedyś. I że są trochę szurnięci. Gdzie Champ? - Champ był starym psem, który nie odstępował Popa na krok.

Pearl uśmiechała się, ilekroć mówiłem o dziadku „Eli”. Już miała zadać mi jakieś pytanie, gdy zadzwonił dzwoneczek u drzwi i do sklepu wszedł prawdziwy Meksykanin, zalękniony i potulny jak wszyscy Meksykanie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Pearl grzecznie skinęła mu głową.

- *Buenos dias, señor!* - krzyknąłem.

- *Buenos dias.* - Meksykanin uśmiechnął się nieśmiało i zniknął za półkami.

- To dobrzy ludzie - rzuciła półgłosem Pearl, jakby tamten rozumiał po angielsku i mógł poczuć się urażony komplementem. Odgryzłem połowę ciagutki i zacząłem powoli żuć; drugą połowę zawinałem w papierek i schowałem do kieszeni na później.

- Eli martwi się, że będzie musiał dużo im płacić - powiedziałem.

Za półkami stał klient i Pearl nagle ożyła, odkurzając i wyrównując rząd pudełek przy jedynej kasie w sklepie.

- Eli martwi się o wszystko - odparła.

- Jest farmerem.

- Ty też będziesz farmerem?

- Nie. Baseballistą.

- U Kardynałów?

- No jasne.

Pearl zaczęła nucić pod nosem jakąś melodyjkę, tymczasem ja czekałem na Meksykanina. Znałem jeszcze kilka słów po hiszpańsku i chciałem sprawdzić, czy je zrozumie.

Stare drewniane półki uginały się pod ciężarem świeżych towarów. Uwielbiałem bywać w sklepie w porze zbiorów, ponieważ Pop wypełniał półki od podłogi po sam sufit. Bawełna schodziła z pól, pieniądze przechodziły z ręki do ręki.

Zza drzwi wychynęła głowa dziadka.

- Chodźmy - rzucił. - Jak się masz, Pearl.

- Jak się masz, Eli. - Pearl poklepała mnie po głowie i pchnęła w stronę wyjścia.

- Gdzie Meksykanie? - spytałem.

- Mają być pod wieczór.

Wsiedliśmy do pikapu i pojechaliśmy w kierunku Jonesboro, gdzie dziadek zawsze znajdował ludzi ze wzgórz.

Zaparkowaliśmy na poboczu, przed skrzyżowaniem asfaltówki ze żwirówką. Dziadek uważał, że w hrabstwie nie było miejsca, gdzie ludzie ze wzgórz pojawialiby się częściej. Ja nie byłem tego taki pewny. Próbowaliśmy ich złapać już od tygodnia i jak dotąd bez skutku. Usiedliśmy na otwartej klapie i w piekącym słońcu siedzieliśmy bez słowa przez dobre pół godziny, zanim zatrzymała się pierwsza ciężarówka. Była czysta i miała dobre opony. Gdyby dopisało nam szczęście i gdybyśmy znaleźli tych ze wzgórz, mieszkaliby z nami przez dwa miesiące. Dlatego szukaliśmy ludzi porządných i zadbanych, a to, że ciężarówka była ładniejsza od półciężarówki

dziadka, dobrze wróżyło.

- Dzień dobry - powiedział dziadek, kiedy ucichł warkot silnika.

- Dzień dobry - odrzekł kierowca.

- Skąd jesteście?

- Mieszkamy na północ od Hardy.

Ponieważ szosą nic nie jechało, dziadek stanął na jezdni i z przyjaznym wyrazem twarzy ogarnął wzrokiem ciężarówkę i jej zawartość. Kierowca i jego żona siedzieli w szoferce. Między nimi przycupnęła mała dziewczynka, a na skrzyni drzemało trzech rosnących nastolatków. Wszyscy sprawiali wrażenie zdrowych i byli dobrze ubrani. Czułem, że dziadek chciałby ich nająć.

- Szukacie pracy?

- Tak. Jedziemy do Lloyd'a Crenshawa. To gdzieś na zachód od Black Oak.

Dziadek wskazał im drogę i odjechali. Patrzyliśmy za nimi, dopóki nie zniknęli nam z oczu.

Mogliśmy dać im więcej niż pan Crenshaw. Ludzie ze wzgórz umieli się targować i zawsze stawiali na swoim: byli z tego znani. Przed rokiem, pewnej niedzieli w połowie pierwszego zbioru, Fulbrightowie z Calico Rock zniknęli nocą z naszej farmy i pojechali pracować na plantację leżącą szesnaście kilometrów dalej.

Ale Dziadzio był człowiekiem uczciwym i nie chciał nikogo podkupywać.

Rzucaliśmy do siebie piłką na skraju pola, przerywając zabawę, ilekroć nadjeżdżała jakaś ciężarówka.

Miałem prawdziwego Rawlingsa, rękawicę, którą przed rokiem przyniósł mi święty Mikołaj. Spałem z nią, co tydzień smarowałem ją oliwą i nie istniało nic, co byłoby droższe mojemu sercu.

Dziadek, który nauczył mnie narzucać, łapać i uderzać, nie potrzebował rękawicy. Chwytał każdą piłkę swymi wielkimi, stwardniałymi dłońmi, nie odczuwając przy tym najmniejszego bólu.

Eli Chandler, człowiek bardzo cichy i skromny, był niegdyś legendarnym baseballistą. W wieku siedemnastu lat podpisał kontrakt z Kardynałami. Ale zaraz potem poszedł na wojnę, tę pierwszą światową. Kiedy wrócił, umarł mu ojciec. Dziadzio nie miał wyboru i został farmerem.

Pop Watson uwielbiał opowiadać mi o dziadku, o tym, jak daleko potrafił posłać piłkę i jak mocno narzucał.

- Był najlepszym zawodnikiem w Arkansas - mawiał.

- Lepszym niż Dizzy Dean? - pytałem.

- O niebo lepszym - odpowiadał Pop, głęboko wzdychając.

Kiedy opowiadałem o tym mamie, zawsze się uśmiechała i mówiła:

- Uważaj, Pop lubi zmyślać.

Dziadek potarł piłkę swymi olbrzymimi dłońmi i przekrzywił głowę, słysząc warkot silnika. Z zachodu nadjeżdżała ciężarówka z przyczepą. Chociaż dzieliła nas odległość kilkuset metrów, od razu wiedzieliśmy, że to ludzie ze wzgórz. Weszliśmy na pobocze i przystanęliśmy, a kierowca zgrzytliwie zmieniał biegi, by w końcu z piskiem wyhamować.

Naliczyłem siedem głów: pięć w ciężarówce, dwie na przyczepie.

- Dzień dobry - powiedział powoli kierowca, obrzucając nas wzrokiem, my tymczasem obrzucaliśmy wzrokiem ich.

- Dzień dobry. - Dziadek zrobił krok do przodu, ale wciąż zachowywał bezpieczną odległość.

Na dolnej wardze kierowcy zakrzepł sok tytoniowy. Zły znak. Mama uważała, że większość ludzi ze wzgórz nie przestrzega higieny i ma złe nałogi. W naszym domu nie widywało się ani tytoniu, ani alkoholu. Byliśmy baptystami.

- Nazywam się Spruill - powiedział.

- Miło mi. Eli Chandler. Szukacie roboty?

- Tak.

- Skąd jesteście?

- Z Eureka Springs.

Ciężarówka była niemal tak stara jak półciężarówka dziadka: miała łyse opony, pękniętą przednią szybę, przerdzewiałe błotniki, a spod warstwy pyłu wyglądał wyblakły, niebieski lakier. Nad łóżkiem była półka zapchana kartonowymi pudłami i pękatymi jutowymi workami. Pod półką, w nogach łóżka, leżał materac. Stali na nim dwaj duzi chłopcy, którzy gapili się na mnie tępym wzrokiem. Na kłapie siedział młody, krępy mężczyzna o potężnych barach i grubej jak pniak szyi. Strzykał sokiem tytoniowym w szparę między przyczepą i ciężarówką i zdawało się, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Znieruchomiał, leniwie pomachał nogami i nie odrywając wzroku od asfaltu, ponownie strzyknął sokiem.

- Szukam ludzi do bawełny - powiedział dziadek.

- Ile płaciecie?

- Dolara sześćdziesiąt.

Spruill zmarszczył czoło i spojrzał na siedzącą obok kobietę. Zaczęli coś do siebie mamrotać.

W tej części rytuału należało podjąć szybką decyzję. My musieliśmy zdecydować, czy chcemy z nimi mieszkać, a oni, czy przyjmą nasze warunki.

- Jaka to bawełna? - spytał Spruill.

- Stoneville - odrzekł dziadek. - Dojrzała, łatwo się zbiera. - Spruill mógł się w każdej chwili rozejrzeć i na własne oczy zobaczyć pękające torebki. Słońce, ziemia i deszcz jak dotąd nam sprzyjały, ale dziadek martwił się oczywiście prognozą pogody z „Almanachu Farmera”, która zapowiadała gwałtowne ulewę.

- Dolar sześćdziesiąt dostawaliśmy w zeszłym roku - powiedział Spruill.

Rozmowa o pieniądzech mnie nie interesowała, dlatego poszedłem obejrzeć przyczepę. Opony miała jeszcze bardziej łysę niż ciężarówka. Jedna na wpół sflaczała od przygniatającego ją ciężaru. Dobrze, że ich podróż dobiegała końca.

Wspierając się łokciami o drewnianą obudowę skrzyni, w kącie przyczepy stała piękna dziewczyna. Miała duże, brązowe oczy i mocno ściągnięte do tyłu ciemne włosy. Była młodsza od mojej mamy, ale na pewno o wiele starsza ode mnie, dlatego gapiłem się na nią jak sroka w gnat.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Luke - odrzekłem, kopiąc jakiś kamień i czując, że pieką mnie policzki. - A tobie?

- Tally. Ile masz lat?

- Siedem. A ty?

- Siedemnaście.

- Długo tak jedziecie?

- Półtora dnia.

Była na bosaka i miała na sobie brudną, bardzo obcisłą sukienkę - obcisłą aż do samych kolan. Pierwszy raz w życiu tak uważnie przyglądałem się dziewczynie. Obserwowała mnie ze znaczącym uśmiechem na ustach. Na skrzyni obok niej siedział jakiś chłopak. Powoli odwrócił głowę i spojrzał na mnie, jakby mnie tam nie było. Miał zielone oczy i szerokie czoło przesłonięte czarnymi, tłustymi włosami. Jego lewa ręka była zupełnie bezwładna.

- To jest Trot - przedstawiła go dziewczyna. - Trochę z nim nie tak.

- Cześć, Trot - powiedziałem, lecz chłopak zdążył już odwrócić wzrok. Zachowywał się tak, jakby nie usłyszał.

- Ile ma lat? - spytałem.

- Dwanaście. Jest kaleką.

Trot odwrócił się gwałtownie, bezwładnie zamiatając suchą ręką. Mój kumpel Dewayne mówił, że ludzie ze wzgórz żenią się ze swoimi kuzynkami, dlatego w ich rodzinach

rodzi się tyle dzieci z wadami.

Za to Tally wad nie miała żadnych. Patrzyła w zadumie na bawelniane pola, a ja znowu podziwiałem jej brudną sukienkę.

Zawarczał silnik i już wiedziałem, że Spruill i Dziadzio dobili targu. Przeszedłem obok przyczepy, minąłem mężczyznę siedzącego na klapie - chyba już się ocknął, ale wciąż ślepił oczami w asfalt - i stanąłem obok dziadka.

- Czternaście i pół kilometra prosto, przy spalonej stodole w lewo i znowu prosto. Niecałe dziesięć kilometrów dalej jest Rzeka Świętego Franciszka. Mieszkamy w pierwszej farmie za rzeką, tej po lewej stronie.

- Na zalewiskach? - spytał Spruill, jakbyśmy wysyłali ich na bagna.

- Częściowo, ale to dobra ziemia.

Spruill ponownie zerknął na żonę i przeniósł wzrok na nas.

- Gdzie mamy się rozbić?

- Obok silosu jest trochę cienia. To najlepsze miejsce.

Zazgrzytały biegi, zadygotały opony, podskoczyły pudła i odjechali.

- Nie podobają ci się, prawda, dziadku?

- To dobrzy ludzie. Tylko inni.

- I tak mamy szczęście.

- Ano mamy.

Im więcej rąk do pracy, tym mniej bawełny do zbierania dla mnie. Wiedziałem, że przez cały następny miesiąc będę wstawał o wschodzie słońca, żeby pójść na pole, zarzucić sobie na plecy długi na dwa metry siedemdziesiąt centymetrów worek, pogapić się chwilę na nie kończące się rzędy wyższych ode mnie krzewów, a potem zanurzyć się w ich gąszczu i zniknąć z tego świata na dobre. Że będę zrywał puszyste kulki i wpychał je do ciężkiego worka, bojąc się spojrzeć na bezkresne pole, by nie wiedzieć, ile pracy mnie jeszcze czeka, bojąc się nawet zwolnić, bo ktoś mógłby to zauważyć. Że będą krwawiły mi palce, bolały plecy, że będzie paliła mnie szyja.

Tak, pragnąłem mieć jak najwięcej pomocników. Jak najwięcej ludzi ze wzgórz i jak najwięcej Meksykanów.

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy na polu czekała bawełna, dziadek zaczynał tracić cierpliwość. Nadal nie przekraczał sześćdziesiątki, lecz był bardzo niespokojny, ponieważ na innych polach trwał już zbiór, a na naszym nie. Meksykanie się spóźniali. Mieli przyjechać przed dwoma dniami, ale wciąż ich nie było. Ponownie zaparkowaliśmy przed sklepem Watsonów i weszliśmy do herbaciarni, gdzie dziadek wdał się w kłótnię z pośrednikiem odpowiedzialnym za sprowadzanie najemnych pracowników.

- Spokojnie, Eli - uspokajał go tamten. - Przyjadą lada chwila.

Dziadek nie mógł się uspokoić. Poszliśmy do odziarniarni na skraju miasta: to długi spacer, ale Dziadzio nie lubił marnować benzyny. Między szóstą rano a jedenastą przed południem zebrał dziewięćdziesiąt kilogramów bawełny, mimo to szedł tak szybko, że musiałem za nim biec.

Żwirowy parking przed odziarniarnią był zapchany przyczepami, pustymi i takimi, które wciąż czekały na wyładunek. Ponownie pomachałem bliźniakom Montgomerych, kiedy mijali nas w drodze do domu po kolejny ładunek bawełny.

W odziarniarni był chór ciężkich maszyn. Były niezwykle głośne i niebezpieczne. Nie było roku, żeby co najmniej jeden pracownik nie padł ich ofiarą i nie doznał ciężkich obrażeń ciała. Bałem się maszyn, więc kiedy dziadek kazał mi zaczekać na zewnątrz, chętnie go posłuchałem. A on minął pracowników czekających przy przyczepach, nawet ich nie pozdrowiwszy. Miał na głowie zbyt wiele spraw.

Znalazłem sobie bezpieczne miejsce w pobliżu rampy, z której spuszczano gotowe bele, żeby załadować je na ciężarówki jadące do Karoliny Północnej i Południowej. Z jednej strony budynku wystawała długa rura o obwodzie trzydziestu centymetrów, która wysysała świeżo zebraną bawełnę z przyczep i wciągała ją do odziarniarki. Z drugiej strony budynku wyjeżdżały zgrabne, kwadratowe bele owinięte materiałem konopnym i mocno ściśnięte szerokimi na dwa i pół centymetra stalowymi taśmami. Dobra odziarniarka wypluwała bele idealnie równe, takie, które można było układać jak cegły.

Jedna bela kosztowała sto siedemdziesiąt pięć dolarów; czasami parę dolarów mniej, czasami parę więcej, zależnie od popytu. Tyle można było zebrać z jednego akra w urodzajnym roku. My dzierzawiliśmy osiemdziesiąt akrów. Większość dzieciaków potrafiła to sobie przeliczyć.

Szczerze powiedziawszy, rachunek był tak prosty, że nie mogłem się nadziwić, dlaczego ludzie chcą uprawiać bawełnę. Mama już dawno zadbała o to, żebym dobrze te liczby rozumiał. Zawarliśmy między sobą tajny układ, że nigdy, przenigdy nie zostanę na farmie. Skończę dwanaście klas i będę grał u Kardynałów.

W marcu dziadek i tato pożyczili czternaście tysięcy dolarów od właściciela odziarniarni. Była to pożyczka a conto przyszłych zbiorów, dlatego pieniądze poszły na ziarno, nawozy sztuczne, na robociznę i na inne wydatki. Jak dotąd mieliśmy szczęście: pogoda była niemal doskonała i zanosilo się na dobre plony. Jeśli szczęście nas nie opuści i uda nam się zebrać belę bawełny z akra ziemi, wyjdziemy na swoje. I właśnie taki postawiliśmy sobie cel.

Jednakże, jak większość innych farmerów, dziadek i tata też mieli długi z poprzedniego roku. Właścicielowi odziarniarni byli winni dwa tysiące dolarów, które pożyczili od niego w pięćdziesiątym pierwszym, kiedy to plony były dość przeciętne. Mieli też dług u właściciela sklepu z częściami zapasowymi do traktorów w Jonesboro, u Braci Lance za paliwo, spółdzielni byli dłużni za ziarno, a Watsonom za żywność.

Oczywiście, nic o tych pożyczkach i długach nie powinienem wiedzieć, ale latem rodzice często siadywali na schodkach i długo rozmawiali, czekając, aż na dworze pochlodnieje i będą mogli spać, nie kąpiąc się we własnym pocie. Moje łóżko stało tuż przy oknie wychodzącym na werandę. Myśleli, że śpię, dlatego słyszałem więcej, niż chcieliby mi powiedzieć.

Nie byłem tego pewien, ale miałem mocne podejrzenia, że dziadek chce wziąć dodatkową pożyczkę na opłacenie Meksykanów i ludzi ze wzgórz. Nie wiedziałem, czy dostał ją, czy nie. Kiedy szliśmy do odziarniarni, miał nachmurzone czoło i wyszedł z niej z taką samą miną.

Od dziesiątków lat ci ze wzgórz przyjeżdżali z Ozarks, żeby zbierać bawełnę. Wielu z nich miało własne domy i ziemię, a ich ciężarówki były często ładniejsze niż ciężarówki farmerów, którzy ich najmowali. Ludzie ci ciężko pracowali, odkładali każdego centa i wyglądało na to, że są równie biedni jak my.

Ale od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego zaczęło ich przyjeżdżać coraz mniej. Do Arkansas, a przynajmniej do części stanu dotarł wreszcie powojenny boom i ludzie ze wzgórz nie potrzebowali już pieniędzy tak bardzo jak ich rodzice. Po prostu zostawali w domu. Zbieranie bawełny nie należało do czynności, które wykonuje się chętnie i dla przyjemności. Farmerom zaczynało brakować siły roboczej, z każdym rokiem coraz bardziej. Wtedy ktoś odkrył Meksykanów.

Pierwsi z nich przyjechali do Black Oak w pięćdziesiątym pierwszym. Wzięliśmy sześciu, łącznie z moim kumplem Juanem, od którego dostałem pierwszą w życiu tortillę. Juan jechał do nas trzy dni: przez całe trzy dni siedział w ścisiku wraz z czterdziestoma innymi Meksykanami na długiej, otwartej przyczepie, nic prawie nie jedząc i nie mając się gdzie schować przed palącym słońcem i deszczem. Kiedy dotarli na Main Street, byli bardzo znużeni i zagubieni. Dziadek mówił, że przyczepa cuchnęła gorzej niż te do transportu bydła. Ci, którzy to widzieli, opowiedzieli innym i wkrótce wszystkie baptystki i metodystki zaczęły otwarcie krytykować prymitywne warunki, w jakich ich przewożono.

Mama też krytykowała, przynajmniej w obecności taty. Kiedy zebrano całą bawełnę i odesłano ich do domu, często słyszałem, jak o tym rozmawiali. Mama chciała, żeby tato pogadał z innymi farmerami i z pośrednikiem od sprowadzania najemnych i uzyskał od nich zapewnienie, że w przyszłości Meksykanie będą traktowani lepiej. Uważała, że naszym obowiązkiem jest dbanie o pracowników, i w tym punkcie tata się z nią zgadzał, chociaż fakt, że to właśnie on miałby rozpocząć kampanię propagandową, nie napawał go zbyt wielkim entuzjazmem. Dziadek miał to gdzieś. Tak samo jak Meksykanie, którzy chcieli tylko pracować.

Przyjechali parę minut po czwartej. Krążyły plotki, że przyjadą autobusem, i miałem wielką nadzieję, że tak będzie. Nie chciałem, żeby rodzice gadali o tym przez kolejną zimę. Nie chciałem też, żeby Meksykanów traktowano jak bydło.

Ale nie, znowu przywieziono ich przyczepą, taką starą, z drewnianymi burtami i bez żadnego zadaszania. To prawda: krowom powodziło się lepiej.

Ostrożnie zeskakiwali na ziemię, rząd za rzędem, po trzech, czterech naraz. Rozsypali się przed spółdzielnią i zbili w małe, zalęknione grupki na chodniku. Rozprostowywali kości, przeciągali się i rozglądali wokoło, jakby wylądowali na obcej planecie. Naliczyłem ich sześćdziesięciu dwóch. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, Juana wśród nich nie zauważyłem.

Byli o wiele niżsi od dziadka, bardzo chudzi i wszyscy mieli czarne włosy i brązową skórę. Każdy z nich trzymał w ręku małą torbę z ubraniami i rzeczami osobistymi.

Pearl Watson stała na chodniku przed sklepem i wzięwszy się pod boki, łypała gniewnie na wszystkie strony. Meksykanie byli jej klientami i nie chciała, żeby traktowano ich w taki sposób. Wiedziałem, że przed niedzielnym nabożeństwem mieszkanki miasta znowu podniosą raban. Wiedziałem też, że mama wypyta mnie o wszystko, gdy tylko wrócimy do domu.

Między człowiekiem odpowiedzialnym za sprowadzanie najemnej siły roboczej i kierowcą ciężarówki wybuchła ostra sprzeczka. Ktoś w Teksasie rzeczywiście obiecał

przewieźć Meksykanów autobusem, tymczasem już po raz drugi przyjeżdżali brudną przyczepą. Dziadek nigdy nie stronił od bójek i widziałem, że ma ochotę wtrącić swoje trzy grosze i przyłożyć kierowcy. Ale był również zły na tego drugiego i pewnie doszedł do wniosku, że w takim razie musiałyby przyłożyć im obu. Siedzieliśmy na klapie półciężarówki i czekaliśmy, aż tamci ochłoną.

Kiedy już się wykrzyczeli, zaczęła się papierkowa robota. Meksykanie zbili się w gromadę przed spółdzielnią. Od czasu do czasu zerkali na nas i na innych farmerów, którzy wyszli na ulicę. Wieść już się rozniosła: przyjechała nowa grupa najemnych.

Dziadek dostał pierwszych dziesięciu. Przewodził nimi niejaki Miguel. Wydawał się najstarszy i od razu zauważyłem, że tylko on ma płócienną torbę. Pozostali mieli papierowe.

Mówił niezłą angielszczyzną, ale nie tak dobrą jak Juan. Pogawędziłem z nim trochę, czekając, aż dziadek skończy wypełniać papierki. Przedstawił mnie swojej grupie, Rico, Robertowi, Jose, Pablowi i paru innym, których imiona wymówił bardzo niewyraźnie. Poprzedniego roku potrzebowałem tygodnia, żeby nauczyć się ich rozróżniać.

Chociaż byli wyraźnie zmęczeni, wszyscy próbowali się uśmiechać - wszyscy z wyjątkiem jednego, który szyderczo wykrzywił usta, ilekroć na niego spojrzałem. Miguel wskazał jego kapelusz i powiedział:

- Myśli, że jest kowbojem, dlatego tak go nazywamy.

Kowboj był bardzo młody i, jak na Meksykanina, bardzo wysoki. Miał wąskie, złe oczy i cienki wąsik, który przydawał mu dzikości. Wystraszył mnie do tego stopnia, że przez chwilę się zastanawiałem, czy nie powiedzieć o tym dziadkowi. Nie chciałem, żeby taki człowiek mieszkał z nami przez dwa miesiące. Ale zamiast otworzyć usta, płochliwie się wycofałem.

Dziadek zaprowadził ich do sklepu Popa i Pearl. Ruszyłem za nimi, uważając, żeby nie zbliżyć się zbyt blisko do Kowboja. W sklepie zająłem pozycję przy kasie, gdzie już czekała Pearl, która najwyraźniej chciała z kimś pogadać.

- Traktują ich jak bydło - szepnęła.

- Eli mówi, że oni się cieszą, że tu są. - Dziadek stał przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzył, jak Meksykanie zdejmują z półek jakieś drobiazgi. Miguel wydawał polecenia pozostałym.

Pearl nie zamierzała krytykować Eli Chandlera, ale spiorunowała go wzrokiem, chociaż tego nie zauważył. Nie zwracał uwagi ani na mnie, ani na nią. Martwił się, że nikt nie zbiera naszej bawełny.

- To straszne. - Czułem, że Pearl nie może się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdziemy: chciała poplotkować z przyjaciółkami z parafii i znów rozdrapywać tę bolesną

kwestię. Była metodystką.

Meksykanie zaczęli podchodzić do kasy. Miguel podawał Pearl ich imiona, a ona otwierała każdemu rachunek. Podsumowywała ceny zakupionych towarów, wpisywała kwotę obok nazwiska, po czym pokazywała ją zarówno Miguelowi, jak i klientowi. Kredyt od ręki, w amerykańskim stylu.

Kupowali mąkę i tłuszcz do tortilli, mnóstwo fasoli w puszkach i workach oraz ryż. Nic więcej: ani cukru, ani słodczy, ani warzyw. Starali się jeść jak najmniej, ponieważ żywność sporo kosztowała. Chcieli zaoszczędzić, ile się da, i zawieźć pieniądze do domu.

Oczywiście nie mieli zielonego pojęcia, dokąd jada. Nie wiedzieli, że moja mama jest zamiłowaną ogrodniczką i że więcej czasu poświęca warzywom niż bawełnie. Mieli dużo szczęścia, ponieważ od zawsze hołdowała zasadzie, że ten, kto znajdzie się w pobliżu naszego domu, nigdy nie odejdzie głodny.

Kowboj był ostatni w kolejce i kiedy Pearl się do niego uśmiechnęła, myślałem, że plunie jej w twarz. Miguel podszedł jeszcze bliżej. Spędził z nim trzy dni na przyczepie i pewnie dobrze go znał.

Pożegnałem się z Pearl po raz drugi tego dnia, co było dziwne, ponieważ zwykle widuję ją raz na tydzień.

Dziadek zaprowadził Meksykanów do półciężarówki. Wdrapali się na skrzynię i usiedli ramię przy ramieniu, w gęstej plataninie łydek i stóp. Milczeli, gapiąc się tępo przed siebie, jakby zobojętnieli na to, dokąd rzuci ich los.

Stara półciężarówka rzeziła z wysiłku, ale w końcu licznik wskazał sześćdziesiątkę i dziadek prawie się uśmiechnął. Było gorąco i sucho: idealna pogoda na żniwa. Meksykanie dołączają do Spruillów i nareszcie będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi, żeby wyjść w pole. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem połówkę batonu.

Już z daleka zobaczyliśmy dym, a zaraz potem namiot. Mieszkaliśmy przy drodze, która przez większą część roku niemilosiernie kurzyła, dlatego dziadek zmniejszył prędkość, żeby Meksykanie się nie podusili.

- Co to jest? - spytałem.

- Chyba jakiś namiot albo co - odrzekł dziadek.

Stał przy drodze, na końcu podwórza, pod stuletnim dębem, tuż koło mojej bazy domowej. Dojechawszy do skrzynki pocztowej, zwolniliśmy jeszcze bardziej. Spruillowie zajęli połowę naszego podwórza. Wielki namiot, spiczasty i brudnobiały, stał, wspierając się na plataninie metalowych prętów i ręcznie struganych kijów. Boczne klapy były podniesione i zobaczyłem stertę pudeł oraz koców na podłodze. Zobaczyłem też drzemiacą Tally.

Ich ciężarówka parkowała tuż obok, pod czymś w rodzaju płóciennego zadaszenia, przywiązanego sznurami do wbitych w ziemię kołków, tak że ciężarówka mogła stamtąd wyjechać dopiero wtedy, kiedy się je wyciągnęło. Przyczepę już częściowo rozładowali i na trawie walały się pudła oraz jutowe worki.

Pani Spruill rozpałała ogień, stąd dym. Z jakiegoś powodu wybrała na ognisko łyśawe miejsce na skraju podwórza: miejsce, w którym niemal każdego popołudnia przykucał dziadek albo tata, żeby chwycić moje szybkie i podkręcone. Chciało mi się płakać. Wiedziałem, że nigdy jej tego nie zapomnę.

- Przecież kazałeś im rozbić się koło silosu.

- Ano kazałem. - Dziadek przyhamował i skręciliśmy. Silos stał z tyłu, obok stodoły, w sporej odległości od domu. Ludzie ze wzgórz już tam kiedyś obozowali: tam, ale nigdy na podwórzu od drogi.

Zaparkował pod innym dębem. Według babci ten miał tylko siedemdziesiąt lat i był najmniejszym z trzech dębów ocieniających nasz dom i podwórze. Koła półciężarówki znieruchomiały w tych samych koleinach, w których znieruchomiały od dziesiątków lat. Mama i babcia Ruth czekały na kuchennych schodach.

Babci nie podobało się to, że ludzie ze wzgórz rozbili obozowisko na podwórzu od drogi. Dziadek i ja domyśliliśmy się tego, zanim jeszcze wysiedliśmy z szoferki. Babcia trzymała się pod boki.

A mama się niecierpliwiła. Chciała obejrzeć Meksykanów i wypytać mnie o warunki, w jakich podróżowali. Patrząc, jak zeskakują na ziemię, podeszła bliżej i ścisnęła moje ramię.

- Dziesięciu - powiedziała.

- Tak, mamó.

Babcia też podeszła do dziadka.

- Dlaczego ci ludzie koczują na podwórzu?

- Kazałem im rozbić się koło silosu - odparł Dziadzio, który nie spuszczał z tonu nawet w konfrontacji z żoną. - Nie wiem, dlaczego wybrali akurat to miejsce.

- Możesz ich prosić, żeby się przenieśli?

- Nie mogę. Jeśli się spakują, natychmiast odjadą. Wiesz, jacy oni są.

Na tym przesłuchanie się skończyło. Nie zamierzali się kłócić w obecności dziesięciu obcych Meksykanów, nie wspominając już o mnie. Zdegustowana babcia pokręciła głową i odeszła w stronę domu. Dziadkowi było wszystko jedno, gdzie tamci obozują. Robili wrażenie silnych i chętnych do pracy, reszta nie miała dla niego znaczenia.

Podejrzywałem, że babcia też się tym nie za bardzo przejmuje. Bawełna była tak ważna,

że najęlibyśmy nawet więźniów, gdyby tylko każdy z nich zdołał zebrać sto trzydzieści sześć kilo dziennie.

Dziadzio zaprowadził Meksykanów do stodoły, która stała dokładnie sto pięć metrów i sześćdziesiąt centymetrów od kuchennych schodów, za kurnikiem, pompą, sznurami do suszenia bielizny, szopą na narzędzia i za klonem cukrowym, którego liście czerwieniały w październiku. Sto pięć metrów i sześćdziesiąt centymetrów: pewnego styczniowego dnia tata pomógł mi zmierzyć tę odległość. Wydawała mi się gigantyczna. Na stadionie Kardynałów w Sportsman's Park od bazy domowej do lewego skraju boiska jest równo sto pięć metrów, więc ilekroć Stan Musial zaliczył pełne kółko, siadałem na schodach i zachwycony podziwiałem tę odległość. W połowie lipca grali z Bravesami i Stan posłał piłkę na sto trzydziesty trzeci metr.

- Przestrzelił stodołę - powiedział wtedy dziadek.

Siedziałem na schodach przez dwa dni, marząc o przestrzeleniu stodoły.

- Są bardzo zmęczeni - rzekła mama, kiedy Meksykanie minęli szopę na narzędzia.

- Jechali przyczepą i było ich aż sześćdziesięciu dwóch. - Nie wiedzieć czemu, nagle zapragnąłem ją podpuścić.

- Tego się obawiałam.

- Starą przyczepą. Starą i brudną.

Pearl się wściekła.

- To się już nie powtórzy - odrzekła i już wiedziałem, że tacie się oberwie. - A teraz biegnij pomóc dziadkowi.

Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie wychodziłem z mamą ze stodoły, bo musieliśmy zamieść podłogę i posprzątać na wyżkach, żeby stworzyć Meksykanom coś na kształt prawdziwego domu. Większość farmerów lokowała ich w opuszczonych domach albo w stodołach. Krążyły plotki, że Ned Shackelford, ten, który miał farmę niecałe pięć kilometrów na południe od nas, kazał im mieszkać z kurami.

Ale na farmie Chandlerów tak nie było. Z braku innych pomieszczeń Meksykanie musieli rozlokować się na wyżkach, lecz nie było tam ani śladu brudu. I jak ładnie pachniało! Od roku mama gromadziła stare koce i kołdry, żeby mieli na czym spać.

Wślizgnąłem się do stodoły, ale zostałem na dole, przy boksie Izabeli. Izabela to nasza krowa. Dziadek mówił, że podczas pierwszej wojny światowej pewna młoda Francuzka uratowała mu życie, dlatego na jej cześć nazwał krowę tym imieniem. Ale babcia mu nie wierzyła.

Słyszałem, jak się tam kręcą, jak się rozlokowują. Dziadzio rozmawiał z Miguelem, na którym pachnące, odskrobane do czysta wyżki wywarły wielkie wrażenie. Dziadek odpowiadał

mu tak, jakby wysprzątał stodołę własnymi rękami.

Tymczasem on i babcia bardzo sceptycznie podchodzili do wysiłków mamy, która pragnęła, żeby Meksykanie mieli porządne miejsce do spania. Mama wychowała się na małej farmie na skraju Black Oak, tak więc była prawie miastową dziewczyną. Dorastała z dziećmi z dobrych domów, które nigdy w życiu nie zbierały bawełny. Do szkoły nie chodziła, tylko jeździła: odwoził ją ojciec. Zanim wyszła za mojego tatę, trzy razy była w Memphis. I mieszkała w malowanym domu.

## ROZDZIAŁ 3

My, Chandlerowie, dzierżawiliśmy ziemię od pana Vogla z Jonesboro, człowieka, którego nigdy nie widziałem. Jego nazwisko wspominano bardzo rzadko, a kiedy już padło w rozmowie, zawsze wymawiano je z wielkim szacunkiem i lękiem. Uważałem go za największego bogacza w świecie.

Dziadek i babcia dzierżawili tę ziemię od czasów wielkiego kryzysu, który w wiejskiej części Arkansas rozpoczął się wcześniej i zakończył późno. Po trzydziestu latach harówki zdołali odkupić od pana Vogla trzyakrową działkę wraz z domem. Kupili też traktor, dwie brony talerzowe, siewnik, przyczepę skrzyniową, przyczepę płaską, dwa muły, wóz i ciężarówkę. Tata wszedł z nimi w niejasny układ, który zapewniał mu udział w tym, czego się dorobili. Ale na tytule dzierżawy widniało nazwisko Eliego i Ruth Chandlerów.

Pieniądzy dorabiali się tylko farmerzy, którzy mieli ziemię na własność. Dzierżawcy tacy jak my próbowali jedynie wyjść na swoje. Połownicy, czyli ci, którzy dzierżawili ziemię za połowę plonów, byli skazani na wieczną nędzę.

Tata chciał zostać posiadaczem czterdziestu akrów ziemi całkowicie spłaconej i wolnej od długów - taki postawił sobie cel. Mama kryła się ze swoimi marzeniami, lecz w miarę upływu lat coraz częściej mi je zdradzała. Ale już teraz wiedziałem, że pragnie porzucić wiejskie życie i postanowiła, że nie zostanie farmerem. Wpajała mi to tak intensywnie, że zanim skończyłem siedem lat, sam w to uwierzyłem.

Upewniwszy się, że Meksykanie są już na wyżkach, wysłała mnie na poszukiwanie taty. Było późno. Słońce chowało się za drzewami nad rzeką i nadeszła pora, żeby zważył ostatni worek tego dnia i wrócił do domu.

Szedłem na bosaka miedzą rozdzielającą dwa sąsiadujące ze sobą pola, rozglądając się za tatą. Ziemia była czarna, żyzna i rodziła wystarczająco dużo, żeby móc się do niej przywiązać. W oddali zobaczyłem przyczepę i już wiedziałem, że tata zmierza w jej stronę.

Jesse Chandler był najstarszym synem dziadka i babci. Jego młodszy brat Ricky miał dziewiętnaście lat i walczył teraz w Korei. Ich dwie siostry uciekły z farmy, kiedy tylko ukończyły szkołę średnią.

Tata nie uciekł. Postanowił zostać farmerem tak samo jak jego ojciec i dziadek, z tym, że chciał być pierwszym Chandlerem, który będzie gospodarował na własnym. Nie wiedziałem, czy marzył o innym życiu. Podobnie jak dziadek, był kiedyś znakomitym

baseballistą i jestem pewien, że pragnął grać w pierwszej lidze. Ale w czterdziestym czwartym oberwał w nogę pod Anzio i jego baseballowa kariera dobiegła końca.

Lekko utykał, lecz z drugiej strony, utykała większość tych, którzy harowali przy bawelnie.

Zatrzymałem się przed niemal pustą przyczepą. Stała na wąskiej ścieżce i czekała, aż ktoś ją napełni. Wdrapałem się na skrzynię. Hen, aż po linię drzew wytyczających granicę naszego pola, ciągnęły się równiutkie rzędy zielono-brązowych łądyg. Na ich wierzchołkach pękały duże, puszyste kłębki. Bawełna ożywała i z każdą chwilą było jej więcej, tak że stojąc na przyczepie i patrząc przed siebie, widziałem morze bieli. Na polach panowała cisza: nie dobiegały mnie ani głosy ludzi, ani terkot traktorów, ani warkot samochodów na drodze. Stałem tam i stałem, i przez chwilę zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego tata został farmerem.

Był tak daleko, że ledwo widziałem jego stary, słomkowy kapelusz. Zeskoczyłem na ziemię i pobiegłem mu na spotkanie. Już zmierzchało i w przejściach między rzędami bawełnianych krzewów robiło się ciemniej. Ponieważ słońce i deszcz jak dotąd nam sprzyjały, liście były grube, soczyste i splątane, tak że gdy truchtałem przed siebie, mocno się o mnie ocierały.

- To ty, Luke? - zawołał tata, dobrze wiedząc, że nikt inny by go nie szukał.

- Tak! - odkrzyknąłem, idąc w stronę głosu. - Mama mówi, że pora kończyć!

- Naprawdę?

- Tak, tato. - Rozminęliśmy się o jeden rząd. Przedarłem się przez mur łądyg i wtedy go zobaczyłem: mocno pochylony, przebierał rękami między liśćmi, zręcznie zrywał kłębki i wypychał je do prawie pełnego worka na ramieniu. Pracował od wschodu słońca, robiąc sobie przerwę tylko na lunch.

- Znaleźliście kogoś do pomocy? - spytał, nie odrywając wzroku od bawełny.

- Tak, tato - odrzekłem z dumą. - Meksykanów i tych ze wzgórz.

- Ilu Meksykanów?

- Dziesięciu. - Powiedziałem to tak, jakbym osobiście ich wyszukał.

- To dobrze. A ci ze wzgórz to kto?

- Spruillowie. Zapomniałem, skąd są.

- Ilu ich? - Tata skończył odzierać łądygę i zrobił krok do przodu, wlokąc za sobą ciężki wór.

- Cała ciężarówka. Trudno powiedzieć. Babcia jest zła, bo rozbili obozowisko na podwórzu przed domem i rozpalili ognisko na mojej bazie. Dziadek kazał im iść pod silos, sam

słyszałem. Chyba nie są za bystrzy.

- Nie mów tak.
- Dobrze, tato. Ale babcia jest zła.
- Przejdzie jej. Potrzebujemy tych ludzi.
- Wiem. Dziadek też tak mówi. Szkoda tylko, że zniszczyli moją bazę.
- Bawełna jest teraz ważniejsza niż baseball.
- Chyba tak. - Może dla niego.
- A jak tam Meksykanie?
- Niedobrze. Znowu przywieźli ich przyczepą i mama się zdenerwowała.

Tata pomyślał o czekających go zimą sprzeczkach i jego ręce znieruchomiały. Ale tylko na sekundę.

- Cieszą się, że w ogóle tu są.

Zrobiłem kilka kroków w kierunku przyczepy i odwróciłem się.

- Niech tata powie to mamie.

Zerknął na mnie i spytał:

- Juan przyjechał?

- Nie.

- Przykro mi.

Gadałem o Juanie przez cały rok. Zeszłej jesieni obiecał wrócić.

- Nie szkodzi - odrzekłem. - Ten nowy ma na imię Miguel. Jest fajny.

Opowiedziałem mu o wyprawie do Black Oak, o tym, jak znaleźliśmy Spruillów, o Tally, o Trocie, o potężnie zbudowanym osiłku na klapie przyczepy, o powrocie do miasta, o kłótni dziadka z tym od najemnych, o spacerze do odziarniarni i o przyjeździe Meksykanów. Mówiłem i mówiłem, ponieważ mój dzień był na pewno bogatszy w wydarzenia niż jego.

Kiedy wróciliśmy do przyczepy, powiesił worek na haku wagi. Strzałka drgnęła i znieruchomiała, wskazując dwadzieścia sześć kilogramów. Tata zapisał to w starym notatniku przymocowanym drutem do przyczepy.

- Ile? - spytałem, kiedy zamknąłem notatnik.

- Dwieście trzysta.

- Trzy bazy.

Tata wzruszył ramionami.

- Nieźle.

Zebrać dwieście trzydzieści dziewięć kilogramów bawełny to tak, jak za jednym zamachem zaliczyć wszystkie bazy, a on robił to prawie codziennie. Przysiadł i rzucił:

- Wskakuj.

Wskoczyłem mu na plecy i ruszyliśmy do domu. Jego koszula i kombinezon były przesiąknięte potem, i to od samego rana, lecz ramiona miał jak ze stali. Pop Watson mówił, że pewnego razu uderzył piłkę tak mocno, że wylądowała w połowie Main Street. Pop i fryzjer Snake Wilcox zmierzili tę odległość nazajutrz rano i zaczęli rozpowiadać ludziom, że piłka przeleciała sto trzydzieści dwa metry. Ale Junior Barnhart, ten, co to wiecznie przesiadywał w herbaciarni, szybko ich zakrzyczał, gardłując, że najpierw się odbiła, i to co najmniej raz, i dopiero potem wylądowała na Main Street.

Pop i Junior nie odzywali się do siebie przez wiele tygodni. Mama potwierdziła, że tata piłkę uderzył, lecz nie była pewna, jak daleko ją posłał.

Czekała na nas przy pompie. Tata usiadł na ławce i zdjął buty i skarpetki. Potem rozpiął kombinezon i ściągnął koszulę.

Do moich obowiązków należało między innymi napełnianie wanny wodą, tak żeby, stojąc na słońcu, dobrze się nagrzała i żeby tata mógł się wieczorem wykapać. Mama zamoczyła ręcznik i delikatnie przetrła mu kark.

Dorastała w domu pełnym dziewcząt, przez pewien czas wychowywały ją dwie surowe, pedantyczne ciotki, dlatego kąpała się częściej niż wiejskie dziewczęta i jej zamiłowanie do czystości przeszło na tatę. Mnie też kąpała, i to co sobotę, bez względu na to, czy byłem czysty, czy brudny.

Kiedy tata już się wykapał i wytarł, podała mu świeżą koszulę. Nadeszła pora powitać naszych gości. W wielkim koszu czekały dorodne warzywa, które w ciągu ostatnich dwóch godzin własnoręcznie zebrała i wymyła. Indiańskie pomidory, cukrowe cebule, czerwone ziemniaki, zielona i czerwona papryka, łuskana kukurydza: zanieśliśmy to wszystko do stodoły, gdzie siedzieli Meksykanie, rozmawiając, odpoczywając i czekając, aż przygaśnie małe ognisko, żeby upiec tortillę. Przedstawiłem tatę Miguelowi, który z kolei przedstawił mu swoich podwładnych.

Kowboj siedział samotnie pod ścianą, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Widziałem, jak spod runda kapelusza obserwuje moją mamę. Trochę się przestraszyłem, ale natychmiast sobie uświadomiłem, że gdyby tylko zrobił coś nie tak, Jesse Chandler błyskawicznie skręciłby mu ten chudy, kościsty kark.

W poprzednim roku dowiedzieliśmy się dużo o Meksykanach. Nie jadali ani fasoli szparagowej, ani łuskanej, nie uznawali dyni, bakłazanów i rzepy, woleli pomidory, cebulę, ziemniaki, paprykę i kukurydzę. I nigdy, ale to nigdy nie prosili o warzywa z naszego ogródka. Trzeba ich było częstować.

Mama powiedziała Miguelowi i jego ludziom, że w tym roku warzywa obrodziły i że będzie je przynosiła co drugi dzień. Nie, nie musieli nic płacić. Dostawali je w ramach umowy o pracę.

Drugi kosz zanieśliśmy przed dom, gdzie z godziny na godzinę rozrastało się obozowisko Spruillów. Zaanektowali kolejną część podwórza, oznaczając swoje terytorium porzucanymi pudłami i jutowymi workami. Z beczki, skrzyni i trzech desek zrobili stół i kiedy tam przyszliśmy, właśnie jedli kolację. Spruill wstał i uściskał tacie rękę.

- Leon Spruill - powiedział z resztkami jedzenia na dolnej wardze. - Bardzo mi miło.

- Cieszę się, że przyjechaliście - odrzekł uprzejmie tata. - Witajcie.

- Dziękujemy. - Spruill podciągnął spodnie. - To jest moja żona Lucy. - Lucy uśmiechnęła się, niespiesznie żując.

- A to moja córka Tally. - Tally podniosła wzrok i poczułem, że znowu pieką mnie policzki.

- A to moi siostrzeńcy, Bo i Dale - mówił Spruill, ruchem głowy wskazując dwóch chłopców, tych, którzy stali na materacu, kiedy ich ciężarówka zatrzymała się na szosie. Byli nastolatkami, mieli najwyżej czternaście, piętnaście, lat. A obok nich siedział olbrzym, który przysypiał wtedy na kłapie.

- To mój syn Hank - powiedział Spruill. Hank miał co najmniej dwadzieścia lat i nie ulegało wątpliwości, że jest już na tyle dorosły, żeby wstać i uściskać tacie rękę. Mimo to nie przerwał jedzenia. Policzki miał rozdęte czymś, co wyglądało na chleb z mąki kukurydzianej. - Dużo je - dodał Spruill i roześmialiśmy się sztucznie.

- A to jest Trot. - Trot nawet nie podniósł wzroku. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie wzdłuż boku. Łyżkę trzymał prawą. Jego rodzinny status pozostał nie wyjaśniony.

Mama pokazała im kosz z warzywami i Hank przestał na chwilę żuć, zerkając na świeżą dostawę. Zerknął i wrócił do swojej fasoli.

- Kukurydza i pomidory są w tym roku wyjątkowo smaczne - powiedziała mama. - I obrodziły jak nigdy. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, dajcie mi znać.

Tally powoli jadła, świdrując mnie oczami. Wbiłem wzrok w ziemię.

- To bardzo miło z pani strony - odparł Spruill, a jego żona wtrąciła krótkie „dziękujemy”. Głód im nie groził; nie należeli do tych, co to zapominają o śniadaniu czy kolacji. Hank był krzepki i miał szeroką pierś, która zwązala się lekko ku grubej jak udo szyi. Jego rodzice byli krepki i silni, a Bo i Dale szczupli, lecz nie chudzi. Tally miała oczywiście idealne proporcje ciała. Tylko Trot był mizerny i kościsty.

- Jedzcie - powiedział tata i ruszyliśmy w stronę domu. - Nie chcemy wam

przeszkadzać.

- Jeszcze raz dziękujemy - odrzekł Spruill.

Z doświadczenia wiedziałem, że wkrótce poznamy ich lepiej, niżbyśmy chcieli. Będziemy dzielić z nimi naszą ziemię, wodę i wychodek, zanosić im warzywa z ogrodu, mleko od Izabeli i jajka z kurnika. W soboty będziemy zapraszać ich do miasta, a w niedziele do kościoła. Że od świtu do zmierzchu będziemy pracować z nimi na polu. I że kiedy zbierzemy całą bawełnę, wsiądą do ciężarówki i wrócą na swoje wzgórze. Potem drzewa zgubią liście i nadejdzie zima, a my spędzimy wiele wieczorów przy kominku, opowiadając sobie historie o Spruillach.

Na kolację były ziemniaki, cienko pokrojone i smażone, gotowany piżmian, kukurydza i gorący chleb z mąki kukurydzianej - mięsa nie było, ponieważ nadchodziła jesień i ponieważ poprzedniego dnia jedliśmy kurczaka. Babcia piekła kurczaka dwa razy w tygodniu, ale nigdy w środę. Warzywami z ogródka mamy można by wyżywić całe Black Oak, dlatego do każdego posiłku zjadaliśmy półmisek pomidorów z cebulą.

Kuchnia była mała i gorąca. Na lodówce szumiał wentylator, który obracając się to w lewo, to w prawo, wprawiał powietrze w ruch, dzięki czemu mama i babcia miały czym oddychać. Przygotowywały kolację. Poruszały się powoli, lecz zdecydowanie. Były zmęczone, poza tym w takim upale trudno jest szybko pracować.

Nie przepadały za sobą, ale starały się sobie nie wadzić. Nigdy nie słyszałem, żeby się kłóciły, nigdy nie słyszałem, żeby mama narzekała na teściową. Mieszkały w tym samym domu, razem gotowały, razem prały, razem wychodziły na pole. Przy takim nawale pracy kto miał czas na sprzeczki?

Ale babcia urodziła się i wychowała na wsi, w krainie bawełny. Wiedziała, że pogrzebią ją w ziemi, na której całe życie tyrała. Natomiast mama pragnęła z tej krainy uciec.

Dzięki codziennemu rytuałowi ukradkiem wypracowały sposób na kuchenną koegzystencję. Babcia kręciła się przy płycie, piekąc chleb, smażąc ziemniaki, gotując kukurydzę i piżmian. Mama krzątała się przy zlewie, obierając pomidory i układając brudne naczynia. Przyglądałem się im zza stołu, gdzie co wieczór obierałem ogórki nożem do warzyw. Uwielbiały muzykę, dlatego czasami jedna nuciła jakąś melodię, a druga cicho podśpiewywała. Muzyka łagodziła napięcie.

Ale nie tego wieczoru. Były zbyt zajęte myślami, żeby nucić i śpiewać. Mama kipiała gniewem, że Meksykanów potraktowano jak bydło. Babcia się odeła, ponieważ Spruillowie zajęli połowę podwórza.

Punktualnie o szóstej babcia zdjęła fartuch i usiadła naprzeciwko mnie. Koniec stołu dotykał ściany i służył za dużą półkę, na której leżało mnóstwo różnych rzeczy. Pośrodku stało radio w obudowie z orzechowego drewna. Babcia włączyła je i posłała mi uśmiech.

Wiadomości CBS, Edward R. Murrow na żywo z Nowego Jorku. W Pyonggang na wybrzeżu Morza Japońskiego od tygodnia toczyły się ciężkie walki i ze starej mapy na stoliku nocnym babci wiedzieliśmy, że stacjonuje tam dywizja piechoty, w której służy Ricky. Ostatni list dostaliśmy od niego przed dwoma tygodniami. List był krótki i pospiesznie napisany, lecz czytając go, wyraźnie czuliśmy, że Ricky jest w samym środku zawieruchy.

Skończywszy omawiać kwestię zatargu z Rosjanami, Murrow przeszedł do sytuacji w Korei i babcia zamknęła oczy. Złożyła ręce jak do modlitwy, przytknęła dwa palce do ust i znieruchomiała.

Nie byłem pewien, na co czeka. Przecież Murrow i tak nie powiadomiłby narodu o losach Ricky'ego Chandlera.

Mama też słuchała. Stała, opierając się plecami o zlew, wycierając ręcznikiem ręce i patrząc tępo na stół. Latem i jesienią pięćdziesiątego drugiego scena ta powtarzała się niemal co wieczór.

Podjęto i zarzucono wysiłki zmierzające do zawarcia pokoju. Chińczycy się wycofali, lecz wkrótce zaatakowali ponownie. Przeżywaliśmy wojnę, słuchając doniesień Murrowa i czytając listy Ricky'ego.

Dziadzio i tata wiadomości nie słuchali. Byli w szopie na narzędzia albo przy pompie, naprawiając coś, co spokojnie mogło poczekać do jutra, rozmawiając o zbiorach, szukając nowych zmartwień. Obaj walczyli na wojnie. Nie musieli słuchać, jak pan Murrow z Nowego Jorku odczytuje korespondencję z Korei i opowiada ludziom, jak wygląda taka czy inna bitwa. Oni to po prostu wiedzieli.

W każdym razie tego wieczoru doniesień z Korei było mało i w naszym małym wiejskim domku uznano, że to dobry znak. Kiedy Murrow przeszedł do kolejnego tematu, babcia się w końcu uśmiechnęła.

- Ricky żyje - powiedziała, głaszcząc mnie po ręce. - Zanim się spostrzeżemy, będzie już w domu.

Miała prawo w to wierzyć. Czekwała na Dziadzia podczas pierwszej wojny światowej, a podczas drugiej modliła się na odległość za mego tatę. Jej chłopcy zawsze wracali do domu i była pewna, że Ricky nas nie zawiedzie.

Wyłączyła radio. Musiała zajrzeć do garnków. Zająwszy się na powrót gotowaniem, czekały z mamą, aż kuchennymi drzwiami wejdzie Dziadzio.

Myślę, że dziadek spodziewał się po wojnie wszystkiego najgorszego. Chandlerowie mieli jak dotąd szczęście. Dziadzio nie słuchał dziennika, ale zawsze chciał wiedzieć, jak stoją sprawy i kiedy tylko wyłączaliśmy radio, zwykle wchodził do kuchni. Tego wieczoru przystanął przy stole i potargał mi włosy. Babcia spojrzała na niego znad płyty, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie ma złych nowin.

Mama mówiła, że oni często nie śpią po nocach, martwiąc się o swego młodszego syna. Babcia była przekonana, że Ricky wróci. Dziadzio przekonany nie był.

O wpół do siódmej zasiedliśmy do stołu, wzięliśmy się za ręce i podziękowaliśmy Bogu za jedzenie i wszystkie inne dary. Modlitwę zawsze odmawiał Dziadzio, przynajmniej przy kolacji. Podziękował Najwyższemu za Meksykanów, za Spruillów i za obfitość bawełny na polu. Ja modliłem się po cichu i tylko za Ricky'ego. Cieszyłem się, że mamy co jeść, ale jedzenie było dla mnie mniej ważne niż on.

Dorośli jedli powoli i rozmawiali wyłącznie o bawełnie. Bynajmniej nie oczekiwano, żebym wtrącał się do rozmowy. Najsurowsza pod tym względem była babcia, która uważała, że dzieci powinny siedzieć, milczeć i słuchać starszych.

Chciałem pójść do stodoły i popatrzeć na Meksykanów. I wyslizgnąć się na podwórze, by choć raz zerknąć na Tally. Ale mama musiała coś wyczuć, ponieważ kiedy skończyłem jeść, kazała mi pomóc przy sprzątananiu naczyń. Wolałbym już lanie, lecz nie miałem wyboru.

Potem jak co dzień wyszliśmy z domu, żeby posiedzieć na werandzie. Można by pomyśleć, że odprawialiśmy zwykły wieczorny rytuał, tymczasem sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Najpierw musieliśmy odczekać, aż jedzenie ułoży się w brzuchu, potem zaczęliśmy rozmawiać o baseballu. Włączaliśmy radio, żeby posłuchać Harry'ego Caraya z KMOX w St. Louis, który szczegółowo opisywał wszystko to, co działo się podczas meczu naszych ukochanych Kardynałów. Mama i babcia łuskały groch i fasolę. Powracano do kolacyjnych plotek, zamykano wieczorne wątki. Oczywiście zamartwiano się o bawełnę.

Ale tego wieczoru w oddalonym o trzysta dwadzieścia kilometrów St. Louis padał deszcz i mecz odwołano. Siedziałem na schodach, ścisnąłem rękawicą piłkę i obserwując niewyraźne cienie Spruillów, zastanawiałem się, jak ktoś mógł być na tyle bezmyślny, żeby rozpałić ognisko na bazie domowej boiska.

Na dworze słuchaliśmy radia firmy General Electric, które tata kupił podczas wojny, zaraz po tym, jak wyszedł ze szpitala w Bostonie. Jedynym zadaniem tego małego radioodbiornika było przekazywanie informacji o poczynaniach Kardynałów, dzięki czemu

mogliśmy na bieżąco uczestniczyć w ich życiu. Rzadko kiedy opuszczaliśmy mecz. Radio stało na drewnianej skrzynce koło skrzypiącej ławki na łańcuchach, na której zwykle odpoczywali tata i Dziadzio. Mama i babcia siedziały na miękkich krzesłach po drugiej stronie werandy i łuskały groch. Ja siedziałem pośrodku, na schodach.

Przed przyjazdem Meksykanów stawialiśmy przy drzwiach przenośny wentylator. Co wieczór cicho szumiał, mieszając ciężkie powietrze i choć trochę nas chłodząc. Ale dzięki mamie stał teraz na wyżkach w stodole. Jej decyzja wywołała w rodzinie sporo niesnasek, lecz skrzętnie je przede mną ukrywano.

Tak więc wieczór był cichy i spokojny. Ani meczu, ani wentylatora, nic, tylko leniwe rozmowy zmęczonych ludzi, czekających na spadek temperatury.

W St. Louis lało, więc tata i dziadek znowu zaczęli martwić się o pogodę. Rzeki i strumienie w Delcie Arkansas wylewały z denerwującą regularnością. Co cztery, pięć lat porzucały swoje koryta i odbierały farmerom plony. Nie pamiętałem ani jednej powodzi, ale nasłuchiwałem się o nich tyle, że czułem się jak weteran. Tygodniami modliliśmy się o porządny deszcz. Wreszcie deszcz przychodził, lecz gdy tylko ziemia namokła, Dziadzio i tata zaczęli obserwować chmury i opowiadać o powodzi.

Spruillowie szli już spać. Ich głosy powoli milkły. Widziałem jedynie cienie snujące się wokół namiotów. Płomień w ognisku zamigotał i zgasł.

Na farmie Chandlerów panował spokój. Mieliśmy ludzi ze wzgórz. Mieliśmy Meksykanów. Na polu czekała bawełna.

## ROZDZIAŁ 4

W bezbrzeżnym mroku nocy jako pierwszy obudził się dziadek, nasz domowy budzik, który włożywszy buty, zaczął buszować po kuchni, parząc kawę. Dom był niewielki - trzy pokoje, kuchnia i salon - i tak stary, że podłogowe deski tu i ówdzie się zapadały. Jeżeli któreś z nas chciało obudzić pozostałych, mogło to zrobić bez żadnego trudu.

Pozwalano mi poleżeć, dopóki nie przyszedł po mnie tata. Ale jak tu spać, skoro na farmie było tylu nowych ludzi, a na polu czekała bawełna. Dlatego otworzyłem oczy na długo przed tym, nim tata potrząsnął mnie za ramię i powiedział, że pora iść. Szybko wciągnąłem na siebie ubranie i wybiegłem na werandę.

Gdy szliśmy przez podwórze, nic nie zapowiadało jeszcze świtu i rosa wsiąkała w buty. Przystanęliśmy przy kurniku: tata nachylił się i zniknął w środku. Przed miesiącem, kiedy zbierałem po ciemku jajka, nadepnałem na wielkiego szczurołapa i płakałem przez dwa dni, dlatego od tamtej pory zawsze kazał mi czekać na zewnątrz. Tata wcale mi wtedy nie współczuł, przynajmniej początkowo, gdyż szczurołapy, węże zupełnie niegroźne dla ludzi, są nieodłączną częścią życia na farmie. Jednakże mama wpadła w furię i zabroniła mi zbierać jajka samemu.

Kiedy tata podał mi kapelusz wypełniony tuzinem jajek, ruszyliśmy do stodoły, gdzie czekała Izabela. Ponieważ obudziliśmy kury, zaczęły pisać koguty.

Jedynym źródłem światła była słaba żarówka zwisająca z wyżek z sianem. Meksykanie już nie spali. Za stodołą płonęło ognisko i siedzieli wokół niego, jakby było im zimno. Mnie zdążyło rozgrzać wilgotne powietrze.

Umiałem doić krowy i doilem Izabelę prawie codziennie. Ale wciąż bałem się szczurołapów, poza tym bardzo się spieszyliśmy, ponieważ o wschodzie słońca musieliśmy być już na polu. Tata szybko udoił dziewięć litrów, co zajęłoby mi prawie cały ranek. Jajka i mleko zanieśliśmy do kuchni, gdzie rządziły kobiety. Na patelni skwierczała już szynka i w powietrzu unosił się aromatyczny zapach.

Na śniadanie były świeże jajka, mleko, peklowana szynka i gorące grzanki z sorgiem lub bez sorga, jak kto wolał. Podczas gdy mama i babcia gotowały, ja siedziałem na krześle i sunąc palcami po wilgotnej kratkowanej ceracie, czekałem na swoją kawę. Picie kawy było jedynym nałogiem, na który mama mi pozwalała.

Babcia postawiła przede mną szklanekę, spodeczek, cukiernicę i świeżą śmietankę.

Dolewałem śmietanki dopóty, dopóki kawa nie zgęstniała jak melasa, po czym zacząłem ją powoli pić.

Podczas śniadania prawie nie rozmawiano. Myśl, że mamy na farmie tylu nowych pomocników, bardzo wszystkich ekscytowała, lecz świadomość, że najbliższe dwanaście godzin spędzimy zgięci w pół na palącym słońcu, a od zbierania bawełny będą krwawić nam palce, trochę ten entuzjazm przytłumiała.

Jedliśmy szybko, przy wtórze szalejących kogutów na bocznym podwórku. Babcine grzanki były ciężkie, idealnie okrągłe i tak gorące, że kiedy na środku jednej z nich ostrożnie położyłem kawałek masła, natychmiast się roztopiło. Mama mówiła, że Ruth Chandler robi najlepsze grzanki, jakie kiedykolwiek jadła. Bardzo chciałem zjeść dwie albo nawet trzy, tak jak tata, ale po prostu nie mogłem utrzymać ich w ręku. Mama zjadła jedną, babcia też. Dziadek zjadł dwie, tata trzy. Wiedziałem, że za kilka godzin przysiadziemy na chwilę w cieniu drzewa albo za przyczepą i zjemy resztę.

Zimą jadało się powoli, ponieważ pracy było niewiele. Wiosną, kiedy sialiśmy i sadziliśmy, tempo jedzenia wzrastało, podobnie latem, kiedy siekaliśmy jarzyny. Natomiast jesienią, podczas bawełnianych żniw, wszyscy jedli szybko i zdecydowanie.

Mówiono o pogodzie. Dziadek rozmyślał o deszczu, który poprzedniego dnia spadł w St. Louis, uniemożliwiając Kardynałom rozegranie meczu. Od St. Louis dzieliła nas tak duża odległość, że nikt z obecnych przy stole nigdy tam nie był - z wyjątkiem dziadka, rzecz jasna - mimo to panująca tam pogoda miała decydujący wpływ na nasze zbiory. Mama cierpliwie słuchała. Ja milczałem.

Tata, który regularnie czytał „Almanac”, wyraził opinię, że we wrześniu pogoda będzie nam sprzyjać. Ale październik zapowiadał się złowieszco. Nadchodziła fala deszczów i burz. Dlatego nakazem chwili jest, byśmy przez następne półtora miesiąca harowali do upadłego. Im ciężiej będziemy pracować, tym ciężiej będą pracować Meksykanie i Spruillowie. Tata chciał w ten sposób dodać nam animuszu.

Podniesiono również temat pracowników dorywczych, to znaczy miejscowych, którzy krążyli po farmach w poszukiwaniu najwyższych stawek. Przeważali wśród nich znajomi z miasta. Poprzedniej jesieni zatrudniliśmy panią Sophie Turner, nauczycielkę klas piątych i szóstych, która uczyniła tacie i dziadkowi wielki zaszczyt, wybierając ich pole.

Potrzebowaliśmy dorywczych jak powietrza, lecz oni zwykle chadzali własnymi drogami.

Przelknawszy ostatni kęs, Dziadzio podziękował żonie i mamie za dobre jedzenie, po czym szybko wyszedł, żeby kobiety mogły posprzątać. Dumnym krokiem podążyłem za

mężczyznami na werandę.

Okna naszego salonu wychodziły na południe, stodoła stała na północ od domu, za stodołą leżało pole, a na wschodzie, zza skraju olbrzymiej, płaskiej równiny, sączyła się niska pomarańczowa poświata. Na bezchmurnym niebie wstawało słońce. Już teraz koszula lepiała mi się do pleców.

Na podwórzu stał traktor z płaską przyczepą, na której siedzieli Meksykanie. Tata przywitał się z Miguelem.

- Dzień dobry. Dobrze spaliście? Gotowi do pracy? - Dziadek poszedł po Spruillów.

Miałem swoje miejsce, ciasny kącik między błotnikiem i fotelem kierowcy, i kiedy pyrkaliśmy przez pole, orząc, siejąc czy nawożąc, spędzałem tam wiele godzin z rękami kurczowo zaciśniętymi na metalowej rurce podtrzymującej parasol osłaniający tatę czy dziadka. Wcisnąłem się tam i teraz, po czym spojrzałem na zatłoczoną przyczepę. Po jednej stronie Meksykanie, po drugiej Spruillowie. Czuję się bardzo uprzywilejowany, ponieważ jechałem traktorem, a traktor należał do nas. Jednakże wiedziałem, że cała wyniosłość wkrótce mnie opuści, ponieważ między bawełnianymi łodygami wszyscy byli sobie równi.

Ciekawiło mnie, czy biedny Trot też pojedzie na pole. Do zbierania bawełny potrzebne były dwie zdrowe ręce, a jeśli dobrze widziałem, on miał tylko jedną. Ale nie, był tam: siedział z boku tyłem do wszystkich i samotny we własnym świetle, dyndał nogami. Siedziała tam również Tally, która nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, patrzyła w dal.

Dziadzio bez słowa zwołał pedał sprzęgła i traktor mocno szarpnął. Spojrzałem przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nie spadł. W kuchennym oknie zobaczyłem twarz mamy, która obserwowała nas, zmywając naczynia. Wiedziałem, że ogarnąwszy kuchnię, spędzi godzinę w ogrodzie, a potem przyjdzie tyrać na polu. Tak samo babcia. Kiedy bawełna dojrzała, nikt nie śmiał odpoczywać.

Zadudnił silnik, zaskrzypiała przyczepa: minęliśmy stodołę i skręciliśmy na południe, w kierunku dolnej czterdziestki i drogi wiodącej brzegiem Siler's Creek. Zawsze zaczynaliśmy od dolnej, ponieważ tam wylewało najwcześniej.

Mieliśmy dolną czterdziestkę i górną czterdziestkę. Obrobić osiemdziesiąt akrów to nie było co.

Kilka minut później dojechaliśmy do przyczepy na bawełnę i Dziadzio zatrzymał traktor. Zanim zeskoczyłem na ziemię, popatrzyłem za siebie i zobaczyłem światła naszego domu niecałe dwa kilometry na wschód. Niebo za domem ożywało, pokrywając się pomarańczowymi i żółtymi pasemkami. Nie było na nim ani jednej chmurki, co oznaczało, że w najbliższej przyszłości powódź nam raczej nie grozi. Oznaczało to również, że nie

znajdziemy schronienia przed palącym słońcem.

- Dzień dobry, Luke - powiedziała Tally, przechodząc obok przyczepy.

Odpowiedziałem jej dzień dobry, choć z niejakim trudem. Uśmiechnęła się do mnie, jakby знаła jakąś tajemnicę, którą nie chciała się z nikim podzielić.

Dziadek nic nikomu nie tłumaczył, zresztą nie było takiej potrzeby. Wybierzcie obojętnie który rząd i zacznijcie zbierać. Żadnych pogaduszek, żadnego przeciągania się, żadnego gładzenia o pogodzie. Meksykanie bez słowa zarzucili na plecy długie bawełniane wory, ustawili się i ruszyli na południe. My, rodowici mieszkańcy stanu Arkansas, poszliśmy na północ.

Przez sekundę stałem nieruchomo w szarówce gorącego wrześnieego poranka, patrząc na długi, prosty rząd bawełnianych krzewów, który mi jakimś sposobem przypisano. Doszedłem do wniosku, że nigdy się przezeń nie przedrę, i nagle ogarnęło mnie zmęczenie.

Miałem kuzynów w Memphis, synów i córki sióstr taty, którzy nigdy nie zbierali bawełny. Mieszkali na przedmieściach, w małych, ładnych domkach z kanalizacją. Przyjeżdżali do Arkansas tylko na pogrzeby, czasami na Dzień Dziękczynienia. Stojąc na początku nieskończonego rzędu, myślałem właśnie o nich.

Do pracy motywowały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze i najważniejsze, po mojej lewej stronie pracował tata, a po prawej dziadek. Ani jeden, ani drugi nie tolerował lenistwa. Harowali przy bawełnie jako mali chłopcy i tego samego oczekiwali ode mnie. Po drugie, płacono mi tak samo jak każdemu innemu pracownikowi, dolara sześćdziesiąt za czterdzieści pięć kilo zebranej bawełny. Miałem co do tych pieniędzy wielkie plany.

- Chodźmy - rzucił stanowczo ojciec w moją stronę. Dziadzio był już trzy metry przed nami. W gąszczu łądyg widziałem jego sylwetkę i słomkowy kapelus. Kilka rzędów dalej rozmawiali Spruillowie. Ludzie ze wzgórz lubili śpiewać i często słyszałem, jak pracując, nucą jakąś cichą, smutną melodię. Dobiegł mnie śmiech Tally, jej głos rozbrzmiewający echem po polu.

Była tylko dziesięć lat starsza ode mnie.

Ojciec dziadka walczył w wojnie domowej. Nazywał się Jeremiasz Chandler i według rodzinnej legendy, niemal w pojedynkę wygrał bitwę pod Shiloh. Kiedy umarła mu druga żona, wziął sobie trzecią, miejscową pannę, która była trzydzieści lat młodsza od niego, i która kilka lat później urodziła mojego dziadka.

Trzydzieści lat różnicy między Jeremiaszem i jego żoną. Dziesięć lat różnicy między mną i Tally. To mogło wypalić.

Doszedłszy do tego wniosku, stanowczym ruchem zarzuciłem worek na plecy,

poprawiłem pasek na ramieniu i zaatakowałem pierwsze kłębki bawełny. Były wilgotne od rosy, między innymi właśnie dlatego tak wcześnie rozpoczynaliśmy pracę. Przez godzinę lub dwie, zanim zaczynało przypiekać słońce, bawełna była bardzo miękka i delikatna. Później, kiedy wrzuciło się ją na przyczepę, szybko schła i dawała się łatwo odzierać. Bawełna namoknięta deszczem była do niczego, co na własnej skórze odczuł każdy farmer.

Zbierałem obiema rękami, najszybciej, jak mogłem, i wpychałem kłębki do worka. Jednakże musiałem być ostrożny. Dziadek, tata, a bywało, że jeden i drugi, mogli niespodziewanie sprawdzić mój rząd. Gdybym zostawił na krzewach za dużo bawełny, dostałbym ochrzan. Surowość ochrzanu zależała od tego, gdzie w danej chwili była mama.

Tak zręcznie, jak tylko potrafiłem, manewrowałem rękami w gąszczu łodyg, unikając szpiczastych krawędzi torebek, które mogły pokaleczyć do krwi. Podrygiwałem, wiłem się i powolutku, centymetr po centymetrze, sunałem naprzód. Dziadek i tata coraz bardziej mnie wyprzedzali.

Krzewy były tak gęste, że łodygi jednego rzędu splatały się z łodygami rzędów sąsiednich. Drapały mi twarz. Po przygodzie ze szczurołapem uważnie patrzyłem pod nogi, zwłaszcza na polu, ponieważ na brzegu rzeki żyło mnóstwo jadowitych węzów wodnych. Kiedy oraliśmy i sialiśmy, widywałem je z traktora.

Wkrótce zostałem sam, biedne dziecko, które dorośli o zwinniejszych rękach i mocniejszych karkach porzucili na pastwę losu. Jaskrawe jak krwista pomarańcza słońce szybko wędrowało do góry, żeby zająć najlepszą pozycję do całodziennego przypiekania. Kiedy tata i dziadek zniknęli mi z oczu, postanowiłem zrobić sobie pierwszą przerwę. Najbliżej mnie była Tally. Pracowała pięć rzędów w lewo, piętnaście metrów dalej. Zza krzewów niewyraźnie prześwitywał jej wypłowiały kapelusz.

Wyciągnąłem się na worku, który po godzinie zbierania był przygnębiająco płaski i zawierał tylko kilka miękkich gul, nic więcej. Moja zeszłoroczna dzienna norma wynosiła dwadzieścia trzy kilo i bałem się, że w tym roku tata mi ją podwyższy.

Leżąc w cieniu, obserwowałem przez gąszcz łodyg idealnie czyste niebo, modliłem się o choćby kilka chmur i marzyłem o pieniądzach. Co roku w sierpniu dostawaliśmy pocztą najnowszy katalog Searsa i Roebucka: niewiele chwil było w życiu ważniejszych niż ta, przynajmniej dla mnie. Przychodził w brązowym papierze aż z Chicago i babcia zawsze kładła go na końcu stołu, koło radia i domowej Biblii. Kobiety oglądały ubrania i meble. Mężczyźni przeglądali dział z narzędziami i wyposażeniem samochodowym. Tymczasem ja skupiałem się na najważniejszym: na dziale z zabawkami i artykułami sportowymi. W myśli sporządzałem tajną listę prezentów, które chciałbym dostać na gwiazdkę. Bałem się sporządzać ją na piśmie,

bo gdyby ktoś to wszystko zobaczył, uznalby mnie za beznadziejnie zachłannego albo za umyślowo chorego.

Na stronie trzysta ósmej najnowszego katalogu było niesamowite ogłoszenie. Reklamowali kurtki baseballowe. Mieli na składzie kurtki niemal wszystkich zawodowych drużyn. A ogłoszenie było niesamowite dlatego, że widniejący na zdjęciu chłopak miał na sobie kurtkę Kardynałów. Mało tego, zdjęcie było kolorowe! Błyszcząca, jaskrawoczerwona kurtka z białymi guzikami. Ktoś od Searsa i Roebucka - nie ulegało wątpliwości, że ktoś niesamowicie mądry - ze wszystkich możliwych drużyn wybrał do katalogu akurat drużynę Kardynałów.

Kurtka kosztowała siedem i pół dolara plus koszty przesyłki. Sęk w tym, że mieli tylko dziecięce rozmiary, co stawiało mnie przed nie lada dylematem, ponieważ ciągle rosłem, a chciałem ją nosić do końca życia.

Dziesięć dni ciężkiej pracy i będę miał wystarczająco dużo pieniędzy. Byłem pewien, że niczego takiego w Black Oak jeszcze nie widziano. Mama mówiła, że kurtka jest zbyt krzykliwa, cokolwiek to znaczyło. Tata wolałby, żebym kupił sobie buty. Dziadzio uważał, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, lecz widziałem, że w duchu ją podziwiał.

Podczas pierwszych chłodów nosiłbym ją codziennie do szkoły, a w niedzielę do kościoła. No i w soboty do miasta, gdzie jej jaskrawa czerwień rzucałaby się w oczy pośród szarego tłumu na chodnikach. Nosiłbym ją wszędzie i zazdrościłyby mi wszystkie dzieci z Black Oak (wielu dorosłych też).

Oni nie mieli szansy zagrać u Kardynałów. Natomiast ja tak, mnie czekała w St. Louis wielka sława. Dlatego już teraz musiałem odpowiednio się ubierać.

- Lukas! - Surowy głos zburzył panującą na polu ciszę i bezruch. Doszedł mnie trzask pękających łądyg.

- Tak, ojcze! - Zerwałem się na równe nogi, przykucnąłem i błyskawicznie sięgnąłem po najbliższy kłębek bawełny.

Tata wyrósł nade mną jak góra.

- Co robisz? - spytał.

- Musiałem się wysiusiać - odrzekłem, nie przerywając pracy.

- Długo to trwało - rzucił podejrzliwie ojciec.

- Tak, wiem. Wszystko przez tę kawę. - Podniosłem wzrok. Wiedział, że kłamię.

- Spróbuj dotrzymać nam kroku. - Odwrócił się i odszedł.

- Dobrze, ojcze - odrzekłem do jego pleców, doskonale wiedząc, że to niemożliwe.

Trzyipółmetrowy worek, jakiego używali dorośli, mieścił około dwudziestu siedmiu

kilogramów bawełny, dlatego już o wpół do dziewiątej, a najpóźniej o dziewiątej, mężczyźni byli gotowi do pierwszego ważenia. Zwisającej z przyczepy wagi pilnowali Dziadzio i tata. Worki podnoszono jeden po drugim. Paski zaczepiano na hakach w dolnej części wagi. Na dużej tarczy, niczym wielkie ramię, sprężysto podskakiwała strzałka. Wszyscy widzieli, ile kto zebrał.

Dziadek zapisywał to w małym notatniku. Następnie worek dźwigano jeszcze wyżej i opróżniano do przyczepy. Nie było czasu na odpoczynek. Należało chwycić pusty wór, wybrać nowy rząd i zniknąć w gąszczu na kolejne dwie godziny.

Wciąż byłem w połowie pierwszego, spocony i gotując się na słońcu, nisko pochylając ramiona, usiłowałem jak najszybciej przebierać rękami i od czasu do czasu przystawałem, żeby zerknąć, co robią tato i dziadek, z nadzieją, że uda mi się uciąć sobie krótką drzemkę. Ale nie, nic z tego. Nie miałem okazji zrzucić z pleców ciężkiego wora. Dlatego parłem naprzód, tyrając jak wół, czekając, aż worek przybierze na wadze i zastanawiając się - pierwszy raz, odkąd ją zobaczyłem - czy naprawdę muszę kupować sobie kurtkę Kardynałów.

Zdawało się, że spędziłem samotnie całą wieczność, gdy wtem usłyszałem warkot odpalanego silnika: nadeszła pora lunchu. Chociaż nie skończyłem swego pierwszego rzędu, mało mnie to obchodziło. Kiedy spotkaliśmy się przy traktorze, zobaczyłem, że na płaskiej przyczepie leży zwinięty w kłębek Trot. Jego mama i Tally poklepywały go po twarzy. Początkowo myślałem, że umarł, ale w tej samej chwili lekko drgnął.

- Zemdlął z upału - szepnął tata, biorąc mój worek i zarzucając go sobie na plecy, jakby był pusty.

Podeszliśmy do przyczepy i Dziadzio szybko go zważył. Od harówki pękał mi kark, a w worku było tylko czternaście kilogramów bawełny.

Kiedy dołączyli do nas wszyscy Meksykanie i Spruillowie, ruszyliśmy do domu. Lunch był punktualnie o dwunastej. Mama i babcia zeszły z pola godzinę wcześniej, żeby go przygotować.

Przycupnąłem za fotelem, zacisnąłem poharatane i obolałe palce na metalowej rurce podtrzymującej parasol i spojrzałem na naszych pracowników. Spruillowie podtrzymywali Trota, który wciąż był blady i nie dawał znaku życia. Tuż obok nich siedziała Tally, z długimi nogami wyciągniętymi na podłodze przyczepy. Bo, Dale i Hank mieli biednego Trota gdzieś, na to przynajmniej wyglądało. Tak samo jak wszyscy pozostali, byli zmęczeni, złani potem i marzyli o odpoczynku.

Po drugiej stronie przyczepy ramię w ramię siedzieli Meksykanie. Nogi zwiślały im tak nisko, że prawie orali stopami ziemię. Dwóch z nich nie miało nawet butów.

Kiedy dojechaliśmy do stodoły, zauważyłem coś, w co początkowo nie mogłem uwierzyć. Kowboj, który siedział na samym końcu przyczepy, szybko odwrócił głowę i zerknął na Tally. Zdawało się, że Tally bardzo na to zerknięcie czekała, ponieważ posłała mu piękny uśmiech, podobny do tych, którymi obdarzała mnie. Chociaż Kowboj nie odpowiedział uśmiechem, było oczywiste, że jest mu miło.

Wszystko to zdarzyło się błyskawicznie i nie widział tego nikt oprócz mnie.

## ROZDZIAŁ 5

Babcia i mama uknuły spisek, którego celem było propagowanie opinii, że najważniejszy wpływ na prawidłowy rozwój dziecka ma popołudniowa drzemka. Wierzyłem w to tylko w porze zbiorów. Przez resztę roku zwalczałem koncepcję drzemki z taką samą zjadłością, z jaką planowałem moją karierę baseballową.

Ale podczas zbiorów wszyscy odpoczywali po lunchu. Meksykanie zjedli szybko, po czym wyciągnęli się pod klonem przy stodole. Spruillowie pochłonęli resztkę peklowanej szynki z grzankami i też zalegli w cieniu.

Nie pozwalano mi kłaść się na łóżku, ponieważ po pracy lepiłem się od brudu, dlatego spałem na podłodze w sypialni. Byłem zmęczony i zeszywniały. Popołudniowa harówka przy bawelnie napawała mnie przerażeniem, ponieważ zawsze trwała dłużej - tak mi się przynajmniej wydawało - a już na pewno było wtedy goręcej niż z rana czy przed południem. Zasnąłem momentalnie, a pół godziny później obudziłem się jeszcze bardziej zeszywniały.

Na podwórzu wszyscy zamartwiali się o Trota. Babcia, która uważała się za kogoś w rodzaju miejscowej znachorki, poszła go zbadać, bez wątpienia tylko po to, żeby na siłę wlać mu do gardła jedną ze swoich straszliwych mieszanek. Położyli go na starym materacu pod drzewem, z mokrą myjką na czole. Było oczywiste, że chłopak nie może wrócić do pracy, a Spruillowie nie chcieli zostawiać go samego.

Oni musieli zbierać bawelnę, żeby zarobić na życie. Ja nie musiałem. Dlatego gdy spałem, opracowano plan, który przewidywał, że wszyscy pójda harować w popołudniowym upale, a ja posiedzę z Trotem. Gdyby mu się pogorszyło, miałem pobiec na dolną czterdziestkę i sprowadzić najbliższego Spraiilla. Kiedy mama przekazała mi szczegóły planu, udałem, że jestem bardzo niezadowolony.

- A moja kurtka? - spytałem, przybierając najbardziej strapioną minę, na jaką tylko było mnie stać.

- Bawelny starczy i dla ciebie - odrzekła. - Po prostu posiedź z nim, i już. Do jutra powinien wydobrzeć.

Mieliśmy osiemdziesiąt akrów bawelny, olbrzymie pole, które w ciągu dwóch najbliższych miesięcy trzeba było obrobić aż dwa razy. Gdyby kurtka miała przepaść, na pewno nie przepadłaby przez Trota.

Traktor ruszył i tym razem babcia i mama siedziały na przyczepie wraz z pozostałymi

pracownikami. Dudniąc i skrzypiąc, minął dom, stodołę, wjechał na polną drogę i w końcu zniknął między rzędami bawełnianych krzewów. Zastanawiałem się, czy Tally i Kowboj znowu robią do siebie słodkie oczy. Gdybym zdobył się na odwagę, mógłbym wypytać o to mamę.

Trot leżał na materacu zupełnie nieruchomo i miał mocno zaciśnięte powieki. Zdawało się, że nie oddycha.

- Trot - powiedziałem głośno, przerażony, że umarł podczas mojego dyżuru.

Ale nie. Otworzył oczy i powoli usiadł. Popatrzył na mnie, a potem rozejrzał się szybko, jakby chciał sprawdzić, czy jesteśmy sami. Jego sucha ręka była niewiele grubsza od kija od szczotki i zwisała prawie zupełnie nieruchomo. Włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- Dobrze się czujesz? - Jeszcze nie słyszałem jego głosu i ciekawiło mnie, czy w ogóle umie mówić.

- Chyba tak - wystękał chrapliwie i niewyraźnie. Nie wiedziałem, czy ma wadę wymowy, czy jest po prostu zmęczony i zamroczony. Ciągle się rozglądał, sprawdzając, czy nikogo w pobliżu nie ma, i przyszło mi do głowy, że trochę symuluje. Zacząłem go podziwiał.

- Czy Tally lubi baseball? - Było to jedno ze stu pytań, które chciałem mu zadać. Myślałem, że jest dość proste, lecz dla niego okazało się chyba za trudne, ponieważ natychmiast zamknął oczy, zwinął się w kłębek i zasnął.

Powiał lekki wiatr, zaszeleściły liście dębu. Znalazłem sobie cieniste miejsce obok materaca i położyłem się na gęstej, soczystej trawie. Hen, wysoko nade mną lekko falowały gałęzie, a ja delectowałem się moim szczęściem. Czas płynął, a tamci tyrali, smażąc się na słońcu. Przez chwilę szukałem w sobie czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia, ale ich nie znalazłem. Wiedziałem, że jest to szczęście ulotne, dlatego postanowiłem się nim nacieszyć.

Tak samo jak Trot. On spał jak dziecko, ja obserwowałem niebo. Jednakże wkrótce dopadła mnie nuda. Poszedłem do domu po piłkę i rękawicę, stanąłem przy werandzie i zacząłem grać w skuczę. Mogłem to robić godzinami. Raz udało mi się złapać siedemnaście kolejnych piłek.

Przez całe popołudnie Trot nie zszedł z materaca. Spał, siadał, rozglądał się, czasami mnie obserwował. Ilekroć próbowałem nawiązać z nim rozmowę, zwinął się w kłębek i ponownie zasypiał. Przynajmniej nie umierał, to już coś.

Kolejną ofiarą dolnej czterdziestki był Hank. Przykuśtykał samotnie pod wieczór, skarżąc się na upał. No i chciał sprawdzić, co z Trotem.

- Zebrałem sto trzydzieści sześć kilo - oznajmił, jakby chciał mi zaimponować. - A potem dopadł mnie upał. - Miał spieczoną twarz. Nie nosił kapelusza, co wymownie

świadczyło o jego inteligencji. Na polu wszyscy nosili nakrycie głowy.

Popatrzył przez chwilę na Trota, a potem poszedł do ciężarówki i zaczął buszować wśród pudeł niczym wygłodniały niedźwiedź. Zapchał sobie usta starą grzanką i wyciągnął się pod drzewem. Nagle spojrzał w moją stronę i mruknął:

- Przynieś mi wody, chłopcze.

Byłem tak zaskoczony, że ani drgnąłem. Ludzie ze wzgórz nigdy nie wydawali nam rozkazów. Nie wiedziałem, co robić. Z drugiej strony on był dorosły, a ja nie.

- Słucham? - wykrztusiłem.

- Przynieś mi wody! - powtórzył podniesionym głosem.

Byłem pewien, że mają tam gdzieś swój własny baniak. Niezdarnie zrobiłem krok naprzód. To go rozsierdziło.

- Zimnej wody, chłopcze! Z domu. I pospiesz się! Pracowałem cały dzień, a ty nie.

Wbiegłem do kuchni. Babcia trzymała w lodówce czteroipółlitrowy słój wody. Trzęsącymi się rękami nalałem pełny kubek. Wiedziałem, że gdybym doniósł o tym któremuś z dorosłych, byłyby kłopoty, bo tata poszedłby do Spruilla i zmył mu głowę.

Podąłem kubek Hankowi. Szybko wypił, cmoknął ustami i rozkazał:

- Jeszcze jeden.

Trot obserwował nas z materaca. Pobiegłem do domu i ponownie napełniłem kubek. Hank wypił i splunął mi pod nogi.

- Dobry z ciebie chłopak - powiedział, rzucając kubek.

- Dziękuję - odrzekłem, chwytając naczynie w locie.

- A teraz zostaw nas samych - mruknął Hank i zaległ na trawie. Wróciłem do domu, żeby poczekać na mamę.

Pracę można było przerwać już o piątej. Właśnie wtedy Dziadzio zwoził bawełnę do domu. Można też było zostać na polu aż do zmroku, jak robili to Meksykanie. Cechowała ich niesamowita wytrzymałość. Zbierali i zbierali, a kiedy nie widzieli już, co zbierają, zarzucali ciężkie wory na plecy i dźwigali je aż do stodoły, gdzie rozpalali małe ognisko, zjadali kilka tortilli i twardo zasypiali.

Spruillowie zgromadzili się wokół Trota, któremu na tę chwilę udało się przybrać jeszcze bardziej zboląły wyraz twarzy. Ustaliwszy, że chłopak żyje i jest w miarę przytomny, spiesznie zajęli się kolacją. Pani Spruill rozpałała ognisko.

Wtedy do Trota podeszła babcia. Była wyraźnie zatroskana i Spruillów bardzo to chyba ujęło. Ale ja wiedziałem swoje: babcia chciała po prostu przetestować jedną ze swoich wstrętnych mikstur. Ponieważ w najbliższej okolicy nie było mniejszej i bardziej bezbronnej ofiary,

zwykle eksperymentowała na mnie. Z doświadczenia wiedziałem, że potrafi sprokurować lekarstwo tak skuteczne, że Trot zerwałby się z materaca i zaczął biegać po podwórzu jak poparzony pies. Trot też musiał nabrać jakichś podejrzeń, bo zaczął jej się uważnie przyglądać. Był coraz przytomniejszy i babcia uznała, że lekarstwo mu niepotrzebne, przynajmniej nie w tej chwili. Jednakże wzięła go na obserwację i obiecała, że nazajutrz do niego zajrzy.

Moim najgorszym popołudniowym obowiązkiem było chodzenie do ogrodu. Zmuszać mnie, drobnego siedmiolatka, do wstawania przed świtem, do całodziennej harówki przy bawelnie i do pracy w ogródku przed kolacją: uważałem, że to okrutne. Ale też zdawałem sobie sprawę, że nasz piękny ogródek to wielkie szczęście.

Kiedyś, zanim się urodziłem, mama i babcia zaanektowały część przydomowej działki, twierdząc, że mają do niej prawo. Nie wiem, jak mama przejęła całość, ale nie ulegało wątpliwości, że od jakiegoś czasu jest jedyną właścicielką ogrodu.

Leżał po wschodniej stronie domu, z dala od kuchennych drzwi, stodoły i kurnika. Z dala od półciężarówki dziadka i od małego podjazdu, gdzie parkowały samochody rzadko odwiedzających nas gości. Był otoczony wysokim na metr dwadzieścia ogrodzeniem z drutu, które zbudował tata pod ścisłym nadzorem mamy, żeby nie weszły tam jelenie czy lisy.

Wzdłuż płotu rosła kukurydza, tak że ten, kto zamknął za sobą rozklekotaną furtkę i założył zaszczepkę ze skórzanego paska, wkraczał w tajemny świat osłonięty gąszczem wysokich łodyg.

Moim zadaniem było wziąć pleciony koszyk, chodzić za mamą i wkładać do niego to, co uznała za dojrzałe. Ona też miała koszyk i powoli wypełniała go pomidorami, ogórkami, papryką, cebulą i bakłazanami. Cały czas cicho przemawiała, ale chyba nie do mnie, tylko do swego ogrodu.

- Spójrz no na tę kukurydzę - mówiła. - Zjemy ją w przyszłym tygodniu.

- Tak, mamo.

- A dynie dojrzeją w sam raz na Halloween.

- Tak, mamo.

Nieustannie wypatrywała chwastów, tych małych, wrednych szkodników, które bezprawnie, acz tylko na chwilę wkraczały na cudzą ziemię. Przystawała, wyciągała rękę i mówiła:

- Wyrwij to, Luke. Tam, przy arbuzach.

Wtedy odstawiałem koszyk i z furią wyrывałem wskazane przez nią zielsko.

Późnym latem pracy w ogrodzie było znacznie mniej niż wiosną, kiedy to musieliśmy spulchniać ziemię, i kiedy chwasty rosły szybciej niż warzywa.

Znieruchomieliśmy na chwilę, widząc długiego, zielonego węża, który zniknął w pnącach fasoli. W ogrodzie roilo się od węży. Były niegroźne, ale wąż to zawsze wąż. Mama bała się ich tylko trochę i pozwalała im żyć. Natomiast ja umierałem ze strachu, że któregoś dnia sięgnę po ogórka i poczuję, jak w wierzch dłoni wbijają mi się zęby.

Mama kochała ten skrawek ziemi, ponieważ należał wyłącznie do niej - nikt inny go nie chciał. Był jej azylem. Kiedy w domu robiło się tłoczno, zawsze mogłem znaleźć ją w ogrodzie, gdzie przemawiała do warzyw. Ostre słowa padały w naszej rodzinie bardzo rzadko, a kiedy już padały, mama uciekała w swój zielony świat.

Zanim skończyła wybierać i zrywać, koszyk był tak ciężki, że z trudem go dźwigałem.

W St. Louis przestało padać. Punktualnie o ósmej Dziadzio włączył radio, pokręcił gałkami, poruszał anteną i ponownie usłyszeliśmy chrapliwy głos Harry'ego Caraya, apostoła Kardynałów. Do końca sezonu pozostało im dwadzieścia meczów. Prowadzili Dodgersi, a na drugim miejscu byli Giganci. My zajmowaliśmy trzecią pozycję i nie mogliśmy tego znieść. Jako zagorzali kibice Kardynałów, nie znosiliśmy Jankesów, dlatego to, że wlekleśmy się w ogonie ligi za dwiema nowojorskimi drużynami, doprowadzało nas do szału.

Dziadzio uważał, że Kardynałowie już dawno powinni byli wywalić swego menedżera, Eddiego Stanky'ego. Kiedy wygrywali, wygrywali tylko dzięki Stanowi Musialowi. Kiedy przegrywali, w tym samym składzie, winą za porażkę zawsze obarczano menedżera.

Dziadek i tata siedzieli obok siebie na huśtanej ławce, która kołysała się lekko i poskrzypywała zardzewiałymi łańcuchami. Po drugiej stronie werandy babcia i mama łuskały fasolę i groch. Ja pólleżałem na schodkach, tuż przy radiu, patrząc, jak Spruillowie powoli zbierają się do snu, i czekając z dorosłymi, aż w końcu pochlodnieje. Brakowało mi monotonnego szumu naszego starego wentylatora, lecz wiedziałem, że tego tematu lepiej nie poruszać.

Babcia i mama cichutko rozmawiały o kościele, o jesiennej odnowie i o zbliżającym się przyjęciu parafialnym. Dziewczyna z Black Oak brała ślub w wielkim kościele w Jonesboro: ponoć wychodziła za bogatego chłopca i co wieczór musiały o tym pogadać. Nie mogłem zrozumieć, co je tak fascynuje.

Tata i dziadek nie mieli nic do powiedzenia, a przynajmniej nic na temat nie związany z baseballlem. Dziadzio potrafił milczeć przez wiele minut, tata też. Na pewno zamartwiali się pogodą i cenami bawełny, ale byli zbyt zmęczeni, żeby mówić o tym na głos.

A ja po prostu słuchałem. Zamknawszy oczy, próbowałem wyobrazić sobie Sportsman's Park w St. Louis, wspaniały stadion, na którym trzydzieści tysięcy ludzi mogło

podziwiać grę Stana Musiala i Kardynałów. Dziadzio kiedyś tam był, i to w sezonie, dlatego co najmniej raz w tygodniu prosiłem go, żeby mi to miejsce opisał. Mówił, że kiedy wszedł na stadion, odniósł wrażenie, że boisko ciągnie się aż po horyzont. Była tam trawa tak zielona i gładka, że można by na niej grać w kulki. Ziemię pośrodku pola wewnętrznego grabiono dopóty, dopóki idealnie jej nie wyrównano. Tablica wyników była większa niż nasz dom. No i ci wszyscy ludzie, ci niewiarogodni szczęśliwcy, mieszkańcy St. Louis, którzy mogli oglądać Kardynałów i nie musieli zbierać bawełny.

Grał tam i Dizzy Dean, i Enos „Country” Slaughter, i Red Schoendienst. Grali tam najslawniejsi Kardynałowie, członkowie legendarnego Gashouse Gangu. A ponieważ mój tata, mój dziadek i mój wujek też umieli grać, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że pewnego dnia zostanę królem Sportsman’s Park i pędząc po idealnie utrzymanej trawie zapoła, na oczach trzydziestu tysięcy widzów osobiście zetnę Jankesów w proch.

Najslawniejszym Kardynałem wszech czasów był Stan Musial i kiedy w drugiej zmianie stanął na bazie pałkarza, mając na jedyńce kumpla z drużyny, zobaczyłem Hanka Spruilla, który wychynął z ciemności i usiadł w cieniu, żeby posłuchać transmisji.

- Stan gra? - spytała mama.

- Tak - odrzekłem. Mama tylko udawała, że interesuje się baseballlem, ale tak naprawdę zupełnie się na tym nie znała. Jednakże wystarczyło, żeby spytała o Stana Musiala i mogła wyjść cało z każdej rozmowy na temat baseballu, przynajmniej tu, w Black Oak.

Ustał suchy trzask łuskanego grochu i fasoli. Huśtana ławka znieruchomiała. Kurczowo zacisnąłem palce na rękawicy. Tata uważał, że ilekroć Musial brał pałkę do ręki, Harry Caray zaczynał mówić spiętym głosem, ale Dziadzio nie był o tym przekonany.

Pierwszy narzut miotacza Piratów: piłka szybka i niska. Niewielu ryzykowało takie piłki, zwłaszcza ze Stanem i przy pierwszym narzucie. W pięćdziesiątym pierwszym Musial zajmował pierwsze miejsce w lidze krajowej jako zawodnik o najwyższej średniej celnych uderzeń, a w pięćdziesiątym drugim szedł łeb w łeb z Frankiem Baumholtzem z Cubsów. Był silny, zwinny, świetnie łapał i nigdy się nie oszczędzał.

W pudełku po cygarach w mojej szufladzie miałem kartę baseballową z jego zdjęciem i gdyby kiedykolwiek wybuchł u nas pożar, byłby to pierwszy przedmiot, który wyniosłbym z domu.

Drugi narzut: piłka wysoka i podkręcona. Niemal słyszałem, jak kibice wstają z miejsc. Już zaraz piłka miała poszybować hen, wysoko, nad odległymi sektorami stadionu. Ale nie, nic z tego: Stan spudłował. Spokojnie, tylko spokojnie. Wiedziałem, że nie zwiedzie go żaden miotacz. Trzecia piłka była bardzo szybka i Harry Caray milczał wystarczająco długo, byśmy

usłyszeli donośny trzask pałki. Tłum oszalał. Wstrzymałem oddech, czekając, aż Harry powie nam, dokąd poleciała piłka. Odbiła się od bocznej ściany prawego zapola i tłum ryknął jeszcze głośniejsze. Kibice z werandy też nie wytrzymali. Zerwałem się na równe nogi, jakbym stojąc mógł dostrzec w oddali stadion w St. Louis. Dziadzio i tata pochyłili się do przodu. Harry Caray wrzeszczał jak najęty. Nawet mama wyartykułowała coś w rodzaju zduszonego okrzyku.

Musiał rywalizował z Schoendienstem o pierwsze miejsce w lidze krajowej pod względem ilości dwójek. W pięćdziesiątym pierwszym zaliczył dwanaście trójek i był nie do pobicia. Kiedy dobiegał do drugiej bazy, tłum wył tak głośno, że zagłuszał Harry'ego Caraya. Biegacz z jedyńki bez trudu zdobył punkt, tymczasem Stan dopadł ślizgiem trójki, zanim pechowy obrońca z trzeciej bazy zdążył odrzucić piłkę miotaczowi. Kibice oszaleli z radości. Niemal widziałem, jak Musial wstaje i jak obiema rękami strzepuje pył z białej, wykańczanej na czerwono koszulki.

Gra toczyła się dalej, ale dla nas, Chandlerów, a przynajmniej dla mężczyzn, dzień mógł się już skończyć. Stan dał Piratom do wiwatu, a ponieważ nie mieliśmy nadziei, że Kardynałowie zdobędą proporzec, cieszyliśmy się z każdego, nawet najmniejszego zwycięstwa. Tłum ucichł, Harry zniżył głos, a ja opadłem na schody, wciąż obserwując stojącego na trzeciej bazie Musiala.

Gdyby nie ci przekłeci Spruillowie, wymknąłbym się na ciemne podwórze i zajął pozycję na bazie domowej. Zaczekałbym na szybką, uderzyłbym jak mój bohater, obiegłbym pół boiska i majestatycznym ślizgiem wylądowałbym na trójce, tam, w mroku, gdzie siedział ten potwór Hank.

- Kto wygrywa? - spytał z ciemności pan Spruill.

- Kardynałowie - odrzekł Hank. - Jeden do zera. Końcówka drugiej zmiany. Musial zaliczył trójkę. - Skoro tak bardzo interesowali się baseballem, to dlaczego rozpalili ognisko na mojej bazie i rozbili swoje parszywe namioty na polu wewnętrznym? Każdy głupiec by zauważył, że nasze podwórze to wymarzone boisko, bez względu na rosnące na nim drzewa.

Gdyby nie Tally, splunąłbym na całą tę bandę. No i gdyby nie Trot. Szczerze mu współczuję.

Postanowiłem nie poruszać tematu Hanka i zimnej wody. Wiedziałem, że gdybym naskarżył tacie albo dziadkowi, odbyłoby się ze Spruillum poważną rozmowę. Meksykanie znali swoje miejsce, ludzie ze wzgórz powinni znać swoje. Nie mieli prawa domagać się niczego z naszego domu ani wydawać nikomu rozkazów.

Hank miał najgrubszą szyję ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Miał też potężne ręce i kark, ale najbardziej przerażały mnie jego oczy. Przez większość czasu były

puste i tępe, lecz kiedy ryknął, żebym przyniósł mu kubek zimnej wody, zwięzły się i złowieszczo zalsniły.

Nie chciałem, żeby się na mnie wściekł, nie chciałem też, żeby tata dał mu wycisk. Tata poradziłby sobie z każdym, może z wyjątkiem Dziadzia, który był starszy, ale - jeśli zaszła taka konieczność - o wiele bardziej złośliwy. Postanowiłem o tej sprawie zapomnieć, przynajmniej na razie. Jeśli jednak sytuacja się powtórzy, nie będę miał wyboru i powiem mamie.

W drugiej zmianie Piraci zdobyli dwa punkty, według dziadka głównie dlatego, że Eddie Stanky nie zmienił w porę miotacza. W piątej zdobyli trzy, a wtedy Dziadzio się wściekł i poszedł spać.

Podczas siódmej zmiany pochłodziło na tyle, że i na nas przyszła pora. Babcia i mama skończyły łuskać fasolę i groch. Spruillowie wrócili do namiotu. Byliśmy zmęczeni, a Kardynałowie i tak nie mieli szans. Bez żalu wyłączyliśmy radio.

Kiedy mama okryła mnie i kiedy zmówiliśmy pacierz, skopałem prześcieradło, żeby móc oddychać. Nasłuchiwałem piskliwego chóru świerszczy, nawołujących się przez pola. Latem grały tak co wieczór, chyba że padał deszcz. Z oddali dobiegł mnie czyjś głos. Buszował któryś ze Spruillów: to pewnie Hank szukał kawałka starej grzanki.

W salonie mieliśmy wentylator skrzynkowy, taki wielki, wbudowany w okno, który teoretycznie miał wysysać gorące powietrze z domu i wypluwać je na podwórze od strony stodoły. Rzecz w tym, że raz wypluwał, raz nie. Któres z drzwi zawsze się zamykały albo zatrzaśkiwały, co zakłócało obieg powietrza i aż do zaśnięcia sływałam potem. Bywało i tak, że wentylator głuśniał od podmuchu wiatru: gorące powietrze zbierało się w salonie, rozchodziło po całym domu i dosłownie nas dusiło. Często się psuł, ale należał do najcenniejszych rzeczy dziadka, poza tym znaliśmy tylko dwie inne rodziny, które stać było na taki luksus.

Tej nocy pracował normalnie.

Leżąc w łóżku Ricky'ego, wsłuchany w chór świerszczy, rozkoszując się lekkim podmuchiem lepkiego powietrza zasysanego przez wentylator, powędrowałam myślami do Korei, kraju, którego nigdy nie miałem ochoty oglądać. Tata nie chciał opowiadać o wojnie. Nie mówił na ten temat nic, ani słowa. Owszem, znałem opowieści o wspaniałych przygodach mojego pradziadka, o jego wielkich zwycięstwach w wojnie domowej, ale kiedy zaczynałem wypytywać go o wojny bieżącego stulecia, zamykał buzię na kłódkę. Tak bardzo pragnąłem wiedzieć, ilu ludzi zastrzelił. Ile bitew wygrał. Tak bardzo chciałem zobaczyć jego blizny i zadać mu tysiąc pytań.

- Nie rozmawiajcie o wojnie - często upominała mnie mama. - To zbyt straszne.

A teraz Ricky był w Korei. Wyjechał w lutym, trzy dni po swoich dziewiętnastych urodzinach. Pamiętam, że padał wtedy śnieg. W Korei też było zimno. Wiedziałem to z radia. Ja leżałem w ciepłym, bezpiecznym łóżku, a on w okopie, strzelając i kryjąc się przed kulami.

Co by było, gdyby nie wrócił?

Zadreślałem się tym co noc. Wyobrażałem sobie, jak umiera, i płakałem. Nie chciałem jego łóżka. Nie chciałem jego pokoju. Chciałem, żeby wrócił do domu, żebyśmy mogli zagrać w baseball na podwórzu, porzucać piłką w ścianę stodoły i pójść razem na ryby. Nie był dla mnie wujkiem, tylko starszym bratem.

Wielu naszych tam ginęło. Modliliśmy się za nich w kościele. Rozmawialiśmy o wojnie w szkole. Ricky był jedynym chłopakiem z Black Oak, którego wysłano do Korei, co nas w dziwny sposób wyróżniało. Takie wyróżnienie miałem gdzieś.

- Mielicie wiadomości od Ricky'ego? - Słyszeliśmy to pytanie, ilekroć przyjeżdżaliśmy do miasta.

Mieliśmy wiadomości czy nie, nie o to im chodziło. Sąsiedzi starali się po prostu okazać nam zainteresowanie i troskę. Dziadzio milczał. Tata grzecznie odpowiadał. Babcia i mama pokrótce streszczały ostatni list Ricky'ego.

Natomiast ja zawsze odpowiadałem tak:

- Tak. Niedługo wraca do domu.

## ROZDZIAŁ 6

Zaraz po śniadaniu wyszedłem z babcią na podwórze. Babcia zachowywała się jak nawiedzona: była teraz lekarką na porannym obchodzie, podekscytowaną tym, że w zasięgu jej jurysdykcji znalazła się poważnie chora osoba.

Spruillowie siedzieli pochyleni nad prowizorycznym stołem i szybko jedli. Kiedy babcia powiedziała „Dzień dobry” i ruszyła prosto do Trota, leniwe oczy chłopca wyraźnie się ożywiły.

- Jak się miewa syn?

- Dużo lepiej - odrzekła pani Spruill.

- Tak, całkiem nieźle - dodał pan Spruill.

Babcia położyła Trotowi rękę na czole.

- Masz gorączkę? - spytała.

Trot energicznie pokręcił głową. Nie miał gorączki poprzedniego dnia, dlaczego miałby gorączkować teraz?

- Czujesz się lekko odurzony?

Trot nie był pewien, co to znaczy, tak samo jak pozostali Spruillowie. Moim zdaniem był odurzony od urodzenia.

Spruill miał kroplę sorga w kąciку ust. Otarł ją przedramieniem i oznajmił:

- Zabierzemy go na pole i posadzimy w cieniu pod przyczepą.

- Jeśli się zachmurzy, będzie mógł zbierać - dodała jego żona. Było oczywiste, że mieli już co do Trota konkretne plany.

Niech to szlag, pomyślałem.

Ricky nauczył mnie kilku przekleństw. Zwykle ćwiczyłem je w lesie nad rzeką, a kiedy tylko skończyłem, modliłem się o przebaczenie.

A już myślałem, że spędzę kolejny leniwy dzień na podwórku, pilnując Trota i beztrosko rzucając piłką.

- Chyba tak - odrzekła babcia, rozwierając Trotowi powieki. Chłopak posłał jej przerażone spojrzenie drugim okiem.

- Będę w pobliżu - powiedziała wyraźnie zawiedziona babcia. Przy śniadaniu oświadczyła mamie, że najodpowiedniejszym lekarstwem dla Trota będzie silna dawka oleju rycynowego, soku cytrynowego i wywaru z pewnego czarnego ziele, które hodowała w

skrzynce na kwiaty. Kiedy to usłyszałem, od razu przestałem jeść. Chodziło o jej starą, podręczną mieszanekę, którą wielokrotnie na mnie wypróbowała. O miksturę skuteczniejszą w działaniu niż jakakolwiek operacja. Kiedy rozchodziła się po ciele, parząc wnętrzności od języka po palce stóp, momentalnie odzyskiwałem zdrowie.

Kiedyś przyrządziła mieszkanekę dla dziadka, który miał zatwardzenie. Wypił ją i spędził dwa dni w wychodku, nie mogąc pracować i błagając o wodę, którą donosiłem mu w słoju na mleko. Myślałem, że babcia go otruła. W końcu wyszedł - blady, wycieńczony i trochę chudszy - zły jak nigdy dotąd i stanowczym krokiem ruszył do domu. Rodzice wsadzili mnie do samochodu i pojechaliśmy na długą przejażdżkę.

Babcia ponownie obiecała, że będzie miała oko na Trota. Trot milczał. Przestał jeść i gapił się tępo na Tally, która udawała, że mnie nie widzi.

Wróciliśmy do domu. Usiadłem na schodkach z nadzieją, że chociaż mignie mi przed oczami, i siedząc, przeklinałem w duchu głupiego Trota. Może znowu zemdleje. Tak, w pełnym słońcu na pewno zasłabnie, a wtedy położą go na materacu i każą mi go pilnować.

Podszedłem do przyczepy i pozdrowiłem Miguela, który wraz ze swoją grupą wyszedł ze stodoły, żeby zająć miejsce na lewej burcie przyczepy. Spruillowie usiedli na prawej. Tata wcisnął się między jednych i drugich. Dziadzio prowadził, tymczasem ja obserwowałem ich ze swego komfortowego miejsca obok fotela kierowcy. Tego poranka godnym zainteresowania faktem był całkowity brak interakcji między znieawidzonym Kowbojem i moją ukochaną Tally. Nie zauważyłem nic, dosłownie nic. Wszyscy byli zamroczeni, wszyscy mieli na wpół zamknięte oczy i wbijali wzrok w podłogę, wzdrygając się przed kolejnym dniem harówki w palącym słońcu.

Kiwając się i chwiejąc, przyczepa powoli dojeżdżała na miejsce. Popatrzyłem na morze bieli i uświadomiłem sobie, że nie mogę myśleć nawet o czerwonej kurtce Kardynałów. Ze wszystkich sił próbowałem wyobrazić sobie wielkiego Stana Musiala i jego muskularnych kolegów biegających po wypielegnowanym zapole Sportsman's Park. Próbowałem wyobrazić sobie, że są w pięknych, czerwono-białych strojach, a niektórzy w kurtkach identycznych jak ta z katalogu babci. Próbowałem wyobrazić sobie te wszystkie sceny, ponieważ zawsze mnie inspirowały i podnosiły na duchu, lecz w tej samej chwili traktor zahamował i zamiast stadionu, zobaczyłem tylko ścianę bawełnianych krzewów, które, rząd za rządem, za rządem rząd, stały tam i czekały.

Poprzedniego roku Juan zapoznał mnie z rozkoszami meksykańskiego jedzenia, zwłaszcza z rozkoszami jedzenia tortilli. Oni jadali je trzy razy dziennie, dlatego pomyślałem,

że muszą być smaczne. Pewnego dnia, po lunchu w domu, zjadłem lunch z Juanem i jego podwładnymi. Przyrządzili mi dwie tortille, a ja je dosłownie pożarłem. Trzy godziny później zwijałem się na czworakach pod przyczepą, wymiotując jak kot. Dostałem burę od wszystkich Chandlerów, którzy byli wtedy w domu, a największą od mamy.

- Nie wolno jeść ich jedzenia!

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo nie jest czyste.

Tak więc kategorycznie zabroniono mi jedzenia czegokolwiek, co przyrządzili Meksykanie. Było oczywiste, że po takim zakazie tortille smakowały jeszcze bardziej. Przyłapano mnie ponownie, kiedy Dziadzio niespodziewanie wpadł do stodoły, żeby zajrzeć do Izabeli. Tata wziął mnie za szopę i sprzął pasem. Odpuszczałem sobie tortille dopóty, dopóki mogłem.

Ale teraz Meksykanie mieli nowego kucharza i bardzo chciałem porównać umiejętności kulinarne Miguela z umiejętnościami Juana. Po lunchu, zyskawszy pewność, że wszyscy już śpią, wymknąłem się kuchennymi drzwiami i nonszalanckim krokiem ruszyłem w stronę stodoły. Wyprawa była niebezpieczna, bo Dziadzio sypiał kiepsko nawet wtedy, kiedy leciał z nóg po harówce na polu.

Meksykanie leżeli za cienistym węglem stodoły i większość z nich spała na trawie. Miguel wiedział, że przyjdę, ponieważ rozmawialiśmy chwilę przy porannym ważeniu bawełny. On zebrał prawie trzydzieści dwa kilo, ja niecałe siedem.

Ukląkł przy rozżarzonych węglach małego ogniska i odgrzał tortille na patelni. Odwrócił ją na drugą stronę i kiedy zbrązowiała, polał gorącym sosem z pomidorów, cebuli i papryki z naszego ogrodu. Sos zawierał również jalapeno i siekaną czerwoną papryczkę, której w Arkansas nie mieliśmy. Meksykanie przywozili ją z kraju w małych papierowych torbach.

Paru z nich zainteresowało się tym, że chcę spróbować ich przysmaku. Pozostali pilnie oddawali się sjeście. Kowboja wśród nich nie było. Stojąc w kącie stodoły i uważnie obserwując dom na wypadek, gdyby wyszedł z niego któryś z Chandlerów, zjadłem tortillę. Była gorąca, ostra i strasznie się przy niej upačkałem. Nie potrafiłem wychwycić różnicy między tymi, które przyrządzał Juan, i tą, którą zrobił mi Miguel.

I tamte, i ta były przepyszne. Miguel spytał, czy mam ochotę na jeszcze jedną, i chętnie bym ją wciął. Ale nie, nie chciałem odbierać im jedzenia. Byli drobni, chudzi i biedni jak myszy kościelne, poza tym poprzedniego roku, kiedy mnie przyłapano i kiedy dorośli jeden po drugim łajali mnie i do cna upokarzali, jak zawsze twórcza babcia wymyśliła grzech odbierania jedzenia tym, którym w życiu się nie poszczęściło. Byliśmy baptystami i nigdy nie brakowało

nam nowych grzechów.

Podziękowałem mu, nie budząc ani jednego Spruilla, wróciłem do domu i jakby nigdy nic zwinąłem się w kłębek na ławce. Wszyscy spali, ale ja spać nie mogłem. Nie wiadomo skąd powiał lekki wiatr i rozmarzyłem się o beztroskim, leniwym popołudniu. Weranda, ławka. Ani bawełny, ani żadnej innej roboty. Nic tylko ryby albo zabawa z piłką na podwórzu.

Tego popołudnia bawełna omal mnie nie zabiła. Pod wieczór z trudem doczłapałem do przyczepy, wlokąc za sobą worek. Było mi gorąco, spływałem potem, chciało mi się pić, a palce miałem spuchnięte i pocętkowane płytkimi rankami od ostrych krawędzi bawełnianych torebek. Do lunchu zebrałem dziewiętnaście kilogramów. Moja norma wciąż wynosiła dwadzieścia trzy, ale byłem pewien, że w worku jest co najmniej cztery i pół. Miałem nadzieję, że przy wadze będzie mama, bo gdyby była, na pewno kazałaby mi wracać do domu. Dziadzio i tata wysłaliby mnie z powrotem na pole, bez względu na to, czy wyrobiłem normę, czy nie.

Tylko im wolno było ważyć bawełnę, dlatego jeśli tkwili jeszcze w gąszczu krzewów, mogliśmy chwilę odpocząć, czekając, aż dotrą do przyczepy. Nie dostrzegłem ani jednego, ani drugiego i błysnęła mi myśl o krótkiej drzemce.

W cieniu za przyczepą zgromadzili się Spruillowie. Siedzieli na pękatych worach, odpoczywając i spoglądając na Trota, który w ciągu całego dnia przesunął się ze swojego miejsca najwyżej o trzy metry.

Rzuciłem z pleców worek i podszedłem bliżej.

- Się masz - powitał mnie któryś z nich.

- Jak tam Trot? - spytałem.

- Chyba dobrze - odrzekł pan Spruill. Pogryzali suchary i cienkie wieprzowe kielbaski, które były tu popularną przekąską. Siedząca obok Trota Tally nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi.

- Masz coś do zjedzenia? - spytał nagle Hank, błyskając wyblakłymi oczami. Przez chwilę byłem zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Pani Spruill pokręciła głową i wbiła wzrok w ziemię.

- Masz? - powtórzył Hank, przesuwając się lekko na worku i siadając dokładnie naprzeciwko mnie.

- Nie - wykrztusiłem.

- Chciałeś powiedzieć: „Nie, proszę pana”, tak? - warknął gniewnie.

- Przestań - powiedziała Tally. Pozostali Spruillowie pospuszczali głowy. Milczeli.

- Nie, proszę pana - odrzekłem.

- Co znaczy „Nie, proszę pana”? - Hank mówił coraz ostrzejszym głosem. Było oczywiste, że szuka zwady. Pewnie przerabiał to ze sto razy.

- Nie, proszę pana - powtórzyłem.

- Wy, farmerzy, jesteście cholernie zarozumiali, wiesz? Myślicie, że jesteście od nas lepsi, bo macie ziemię i wynajmujecie nas do roboty. Dobrze mówię?

- Dość tego, Hank - powiedział bez przekonania pan Spruill. Nagle zapragnąłem, żeby nadszedł dziadek albo tata. Miałem tych ludzi dość i chciałem, żeby stąd wyjechali.

Ścisnęło mnie w gardle, zaczęła mi drżeć dolna warga. Byłem urażony, zmieszany i nie wiedziałem, jak zareagować.

Ale Hank nie zamierzał słuchać ojca. Podparł się łokciem i z paskudnym uśmieszkiem dodał:

- Myślicie, że jesteśmy tylko odrobinę lepsi od nielegalniaków, co? Oł, banda wyrobników, prostaków z zadupia, którzy chleją krzakową i żenią się ze swymi siostrami. Mam rację?

Zamilkł, jakby czekał na moją odpowiedź. Kusiło mnie, żeby uciec, ale tylko wbiłem wzrok w ziemię. Niewykluczone, że pozostali Spruillowie mi współczuli, lecz żaden z nich nie pospieszył na ratunek.

- Nasz dom jest ładniejszy od waszego - ciągnął dalej Hank. - Dasz wiarę? I to o wiele.

- Uspokój się, Hank - wtrąciła pani Spruill.

- Jest większy, ma dłuższą werandę, blaszany dach bez łąt z papy, i wiesz co? Nie uwierzysz, ale jest pomalowany. Na biało. Widziałeś kiedyś malowany dom, chłopcze?

Bo i Dale, którzy rzadko kiedy się odzywali, cicho zachichotali, jakby chcieli przymilić się bratu, nie denerwując matki.

- Uspokój go, mamó - powiedziała Tally i na sekundę zapomniałem o upokorzeniu.

Zerknąłem na Trota i z zaskoczeniem spostrzegłem, że podpira się łokciem, ma szeroko otwarte oczy i z zapartym tchem przysłuchuje się naszej milej pogawędce. Wyglądało na to, że świetnie się bawi.

Hank uśmiechnął się głupawo do braci, a oni zarechotali jeszcze głośniejsze. Nawet pan Spruill szyderczo wykrzywił usta. Być może zbyt często nazywano go prostakiem z zadupia.

- Dlaczego nie pomalujecie domu, kmiotki? - zadudnił w moją stronę Hank.

„Kmiotki” - to ich zupełnie rozłożyło. Bo i Dale zatrzęśli się ze śmiechu. Hank zarechotał jak stara ropucha. Niewiele brakowało i zaczęliby klepać się po kolanach, gdy wtem dobiegł mnie głos Trota.

- Przestań, Hank!

Powiedział to najgłośniej, jak umiał. Mówił niewyraźnie, przeciągał sylaby, tak że słowo „Hank” zabrzmiało jak „Hane”, mimo to Spruillowie go zrozumieli. Przestraszeni umilkli i rodzinne wygłupy nagle się skończyły. Wszyscy patrzyli teraz na Trota, który spoglądał z pogardą na brata.

W oczach miałem łzy, dlatego odwróciłem się i popędziłem przed siebie drogą wzdłuż miedzy. Kiedy zniknęli mi z oczu, zanurkowałem w bawełniane krzewy i zacząłem nasłuchiwać głosów przyjaznych mi ludzi. Siedziałem na gorącej ziemi w gąszczu wysokich na metr dwadzieścia łądyg i płakałem, choć nie znoszę tego robić.

Przyczepy bogatszych farmerów były przykryte plandeką, żeby wiatr nie zwał na drogę bawełny, kiedy jechali do odziarniarni. My też mieliśmy plandekę, chociaż była już trochę stara. Przywiązaliśmy ją mocno, żeby dobrze zabezpieczyć owoc dwudniowej pracy, w tym prawie czterdzieści jeden kilogramów, które zebrałem własnymi rękami. Żaden Chandler nie jechał do odziarniarni w tumanie białych kłębków, które wirowały nad przyczepą jak płatki śniegu i zaśmiecały drogę. Jednakże jechało tak wielu innych, dlatego jedną z naszych ulubionych rozrywek było obserwowanie, jak chwasty i rowy wzdłuż szosy numer sto trzydzieści pięć powoli pokrywają się białym, puszystym nalotem.

Z załadowaną do pełna przyczepą, przy której nasz pikap wyglądał jak karzełek, Dziadzio prowadził z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. I cały czas milczał. Trawiliśmy kolację, on i ja. Ja myślałem o Hanku i zastanawiałem się, co robić. On na pewno myślał o pogodzie.

Dobrze wiedziałem, co się stanie, jeśli powiem mu o Hanku. Wypchnie mnie na podwórze i podejmiemy do namiotu Spruillów, gdzie dojdzie do nieprzyjemnego starcia. Ponieważ Hank jest młodszy i lepiej zbudowany, Dziadzio weźmie kij i na pewno chętnie go użyje. Zażąda, żeby Hank mnie przeprosił, a jeśli tamten odmówi, obrzuci go wyzwiskami i pogrózkami. Hank na pewno nie doceni przeciwnika, dlatego kij pójdzie w ruch. Młody Spruill nie będzie miał szans, nie zdąży się nawet pomodlić. Tata będzie ubezpieczał nas ze strzelbą. Mama i babcia staną bezpiecznie na werandzie, a mama będzie znowu zawstydzona tym, że dziadek wykazuje przesadną skłonność do przemocy.

Spruillowie wyliżą rany i spakują swój nędzny dobytek. Pojadą na inną farmę, gdzie chętnie ich przyjmą, a nam zabraknie rąk do pracy.

Tata podwyższy mi normę.

Dlatego nie powiedziałem ani słowa.

Jechaliśmy powoli szosą, potrącając bawełniane krzewy na poboczu i spoglądając na

poła, gdzie tu i ówdzie pracowały jeszcze grupy Meksykanów ścigających się z zapadającym zmierzchem.

Postanowiłem unikać Spruillów do końca zbiorów, to znaczy do chwili, kiedy wrócą na wzgórze, do swoich pięknie pomalowanych domów, do krzakówki i do sióstr, z którymi się ponoć żenili. A później, już zimą, kiedy usiądziemy przy kominku, żeby powspominać żniwa, opowiem rodzinie o niecnym postępkach Hanka. Miałem mnóstwo czasu, żeby opracować wszystkie szczegóły i odpowiednio je ubarwić. Ubarwianie należało do rodzinnej tradycji Chandlerów.

Wiedziałem, że największą trudność sprawi mi opowieść o malowanym domu. Tu musiałem zachować dużą ostrożność.

Zbliżając się do Black Oak, minęliśmy farmę Clenchów, dom Foy i Laverla Clencha oraz ich ośmiorga dzieci, które - byłem tego pewien - wciąż zbierały bawełnę. Nikt nie pracował ciężiej od nich, nawet Meksykanie. Ich rodzice mieli opinię poganiaczy niewolników, lecz wyglądało na to, że dzieci lubią harować na polu i wypełniać najbardziej przyziemne domowe obowiązki. Żywopłot wokół podwórka był równiutko przycięty, a płot prosty i nie wymagający naprawy. Mieli olbrzymi ogród, który rodził tony warzyw. Ogród i zawsze czystą ciężarówkę. Co niedzielę myło ją któreś z dzieci.

Mieli też pomalowany dom, pierwszy z tych przy szosie. Biały, z pociągniętymi szarą farbą kantami. Weranda i schodki były ciemnozielone.

Drugi dom, trzeci - wkrótce wszystkie były malowane.

Nasz wybudowano przed pierwszą wojną światową, w czasach, kiedy o kanalizacji i elektryczności nikt nie słyszał. Był oszalowany dębina, pewnie z dębu ściętego na polu, które teraz uprawialiśmy. Czas i pogoda zrobiły swoje: szalunek zbrązowiał i wyblakł, tak samo jak szalunek innych domów pod Black Oak. Nie trzeba było go malować. Regularnie czyściliśmy i wymienialiśmy nadgniłe deski, poza tym farba dużo kosztowała.

Ale wkrótce po ślubie mama doszła do wniosku, że dom trzeba unowocześnić i zaczęła urabiać tatę, który chętnie spełniłby każde życzenie młodej żony. On pewnie tak, ale nie dziadkowie. Dziadzio i babcia, z uporem zasiedziały na roli farmerów, stanowczo odmówili. Nie chcieli słyszeć nawet o pomalowaniu ścian. Oficjalnym powodem były koszty. Przekazali tę wiadomość tacie, a tata powtórzył mamie. Nie doszło do żadnej kłótni, nie padło na ten temat ani jedno słowo. Jedynym rezultatem maminych podchodów było napięcie, które panowało między nimi przez całą zimę, kiedy to mieszkali we czworo w małym, nie pomalowanym domu, próbując zachować pozory serdeczności i udając, że nic się nie stało.

Mama poprzysięgła sobie, że nie wychowa dzieci na farmie. Że pewnego dnia będzie

miała dom w mieście, taki z kanalizacją i z krzewami przy werandzie, drewniany albo nawet ceglany, i koniecznie pomalowany.

„Farba” było wśród Chandlerów słowem bardzo drażliwym.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, spostrzegłem, że na parkingu czeka jednaście przyczep. Dwadzieścia innych, już pustych, stało z boku. Należały do farmerów, których stać było na dwie. Jedną zostawiali na noc tutaj, drugą ciągnęli na pole. Tata bardzo chciał kupić drugą.

Dziadek zaparkował i podszedł do grupy farmerów zbitych w gromadkę przy pustej przyczepie. Po sposobie, w jaki stali, odgadłem, że czymś się martwią.

Przez dziewięć miesięcy w roku odziarniarnia stała odłogiem. Wysoka, długa i pudełkowata, była największym budynkiem w hrabstwie. Ożywała na początku września, kiedy rozpoczynały się zbiory. W szczycie sezonu huczała cały dzień i całą noc, przestając pracować jedynie w sobotę wieczorem i w niedzielę rano. Jej prasy i młyny ryczały z hałaśliwą precyzją tak głośno, że słyszeć je było w całym mieście.

Bliźniaki Montgomerych rzucały kamieniami w chwasty, więc się do nich przyłączyłem. Poopowiadaliśmy sobie o Meksykanach i wymieniliśmy łgarstwa o bawełnie, to znaczy o tym, ile jej własnoręcznie zebraliśmy. Było już ciemno, a przyczepy przesuwaly się bardzo wolno.

- Mój tata mówi, że ceny spadają - powiedział Dan, ciskając kamieniem w mrok. - Mówi, że zbijają je handlarze z Memphis, bo jest urodzaj.

- Bo jest - odrzekłem. Bliźniaki chciały zostać farmerami. Bardzo im współczułem.

Kiedy deszcze zalewały ziemię i niszczyły plony, ceny szły w górę, ponieważ ci z Memphis mieli za mało bawełny. Sęk w tym, że farmerzy też jej nie mieli, więc nie mogli im nic sprzedać. Kiedy zaś pogoda dopisywała i zanosilo się na dobre zbiory, ceny spadały, ponieważ handlarze z Memphis mieli bawełny pod dostatkiem. A tyrający na polu biedacy zarabiali tak mało, że pieniędzy nie starczało na spłacenie długów.

Dobre zbiory czy złe, biednemu zawsze wiatr w oczy.

Przez chwilę rozmawialiśmy o baseballu. Montgomery'owie nie mieli radia, dlatego ich wiedza o Kardynałach była dość ograniczona. Z tego powodu też im współczułem.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu, dziadek nie powiedział ani słowa. Miał jeszcze bardziej zmarszczone czoło i wysunięty podbródek, dlatego domyśliłem się, że jest źle. Przypuszczałem, że chodzi o cenę bawełny.

Minęliśmy granice Black Oak. Ja też milczałem. Gdy światła miasta zostały daleko w

tyle, wystawiłem głowę przez okno, żeby wiatr owiał mi twarz. Powietrze było gorące i nieruchome i chciałem, żeby dziadek przyspieszył, bo wtedy zrobiłoby się chłodniej.

Postanowiłem, że przez kilka najbliższych dni będę uważnie nasłuchiwał. Że pozwolę dorosłym trochę poszeptać, a potem spytam mamę, o co chodzi.

Wiedziałem, że jeśli złe nowiny dotyczą rolnictwa, na pewno mi w końcu powie.

## ROZDZIAŁ 7

Sobota rano. O wschodzie słońca pojechaliśmy na pole. Meksykanie jak zwykle siedzieli po jednej stronie przyczepy, Spruillowie po drugiej. Ja siedziałem blisko taty, bojąc się, że ten potwór Hank znowu zacznie mi dogryzać. Tego ranka nienawidziłem wszystkich Spruillów, może z wyjątkiem Tally, mojej jedynej obrończyni. Ja ich nienawidziłem, oni mnie ignorowali. Miałem nadzieję, że im wstyd.

Nie odzywałem się do nich przez całą drogę. Była sobota. Magiczny dzień dla wszystkich biedaków żyjących z ziemi. W sobotę pracowaliśmy tylko pół dnia, a potem jechaliśmy do miasta, żeby dołączyć do innych farmerów i ich rodzin, którzy robili w Black Oak zakupy, krążyli po Main Street i plotkowali, żeby chociaż na kilka godzin uciec od żmudnej harówki na bawełnianym polu. Meksykanie i ludzie ze wzgórz też jechali. Mężczyźni gromadzili się przed herbaciarnią albo przed spółdzielnią, żeby pogadać o zbiorach i o powodziach. Kobiety tłoczyły się w sklepie Popa i Pearl i godzinami robiły skromne zakupy. Dzieciom pozwalano biegać po Main Street i po okolicznych uliczkach aż do czwartej, do tej cudownej godziny, kiedy otwierano kino.

Gdy traktor się zatrzymał, zeskoczyliśmy z przyczepy i podnieśliśmy worki. Na wpół spałem i nie zwracałem na nic uwagi, gdy wtem dobiegł mnie najpiękniejszy ze wszystkich pięknych głosów:

- Dzień dobry, Luke. - To była Tally. Stała i uśmiechała się słodko. W ten sposób przeproszała mnie za wczorajsze.

Jako Chandler potrafiłem być bardzo uparty. Odwróciłem się do niej plecami i odszedłem. Wmawiając sobie, że nienawidzę wszystkich Spruillów, zaatakowałem pierwszy rząd bawełnianych krzewów tak energicznie, jakbym do lunchu zamierzał obrobić czterdzieści arów. Zmęczyłem się już po kilku minutach. Zagubiony w mrocznym gąszczu łodyg, wciąż słyszałem jej głos i widziałem jej uśmiech.

Była tylko dziesięć lat starsza ode mnie.

Najbardziej ze wszystkiego nie znosiłem sobotniego rytuału kąpieli. Odbывał się po lunchu, pod ścisłym nadzorem mamy. W wannie, w której ledwo się mieściłem, kąpali się po mnie dorośli. Osłonięta starym prześcieradłem, stała w najdalszym kącie ganku, tego od ogrodu.

Najpierw musiałem napełnić ją w jednej trzeciej wodą, czyli wziąć wiadro i zaliczyć osiem kursów do pompy i z powrotem, dlatego leciałem z nóg, zanim jeszcze rozpoczęła się właściwa kąpiel. Potem rozwieszałem na ganku prześcieradło i błyskawicznie rozbierałem się do golasa. Woda była bardzo zimna.

Siadałem, chwytałem mydło i myjkę i wściekle pocierałem nogi, żeby usunąć z nich piach, narobić jak najwięcej bąbelków i zmącić wodę, tak żeby mama nie zobaczyła moich genitaliów, kiedy przyjdzie się nade mną pastwić. Przychodziła, zabierała brudne ubranie i przynosiła czyste. Potem przypuszczała frontalny atak na moje uszy i szyję. Myjka stawała się w jej rękach bronią. Tarła wrażliwą skórę z taką zaciekłością, jakby obrażał ją widok ziemi, która zebrała się tam podczas pracy przy bawelnie. I nie przestawała się przy tym dziwować, że tak szybko się brudzę.

Poharatawszy mi szyję, z furią atakowała włosy, jakby zagnieździły się w nich wszy czy gnidy, po czym splukiwała je zimną wodą. Kres poniżenia nadchodził dopiero wtedy, kiedy kończyła skrobać ręce i stopy, litościwie nie tykając środkowej części ciała.

Woda była brudna: zebrał się w niej tygodniowy zapas arkansaskiego czarnoziemiu. Wyskoczyłem z wanny, wyciągnąłem korek i patrząc, jak woda spływa szparami w podłodze, wytarłem się ręcznikiem i ubrałem w czysty kombinezon. Czulem się rześko i świeżo, ważyłem dwa kilo mniej i byłem gotowy do wyjazdu do miasta.

Dziadek zdecydował, że zrobi tylko jeden kurs. Oznaczało to, że babcia i mama będą musiały jechać w szoferce, a tata i ja na skrzyni, z dziesięcioma Meksykanami. Ścisk Meksykanom nie przeszkadzał, za to mnie bardzo irytował.

Odjeżdżając, obserwowałem Spruillów, którzy w pośpiechu wyrwali kołki z ziemi i luzowali sznury, żeby uwolnić ciężarówkę spod zadaszienia. Pracowali wszyscy oprócz Hanka, który jadł coś w cieniu.

Żeby nie zadusił nas buchający spod błotników pył, Dziadzio jechał z prędkością niecałych ośmiu kilometrów na godzinę. Chciał dobrze, lecz na niewiele się to zdało. Było nam gorąco i duszno. Sobotnie kąpiele należały w Arkansas do tradycji. W Meksyku najwyraźniej nie.

Niektóre rodziny przyjeżdżały do miasta już w południe. Dziadek uważał, że sobotnia rozpusta to grzech, dlatego nasza rodzina nie spieszyła się z wyjazdem. Zimą Dziadzio groził nawet, że będziemy jeździć do Black Oak tylko w niedzielę, na nabożeństwo. Mama mówiła, że kiedyś nie jeździł tam przez cały miesiąc, że zbojkotował nawet kościół, ponieważ kaznodzieja czymś go obraził. Dziadka łatwo było obrazić. Ale i tak mieliśmy szczęście. Wielu

połowników w ogóle nie opuszczało farmy. Nie mieli pieniędzy na jedzenie ze sklepu i nie mieli samochodu, żeby dojechać do miasta. Byli też dzierżawcy tacy jak my i właściciele ziemscy, którzy jeździli do Black Oak bardzo rzadko. Babcia mówiła, że pan Clovis z Caraway nie był w mieście od czternastu lat, a w kościele od pierwszej wojny światowej. Słyszałem, jak ludzie modlili się za niego podczas nabożeństwa.

Uwielbiałem zatłoczone jezdnie, tłumy ludzi na chodnikach i niepewność, kogo się zaraz spotka. Podobały mi się grupki Meksykanów, którzy, jedząc lody w cieniu drzew, głośną i pełną temperamentu hiszpańszczyzną witali się ze swoimi ziomkami z innych farm. Podobały mi się tłumy obcych, ludzi ze wzgórz, którzy załatwiwszy swoje sprawy, szybko wyjeżdżali. Dziadek mówił, że kiedy przed pierwszą wojną był w St. Louis, widział tam pół miliona ludzi, i że zabłądził, idąc ulicą.

Wiedziałem, że mnie nigdy się to nie przydarzy. Kiedy będę szedł ulicą w St. Louis, wszyscy będą mi się kłaniać.

Mama i babcia zabrały mnie do sklepu Popa i Pearl. Dziadzio i tata poszli do spółdzielni, ponieważ w soboty chodzili tam wszyscy farmerzy. Nie mogłem ustalić, co tam właściwie robią, poza narzekaniem na ceny i martwieniem się o pogodę.

Pearl stała przy kasie.

- Dzień dobry - powiedziałem, przebiwszy się przez tłum; w sklepie było pełno kobiet i Meksykanów.

- Witaj, Luke - odrzekła, puszczając do mnie oko. - Jak tam bawelna? - To pytanie słyszało się teraz co krok.

- Nieźle - odparłem, jakbym zebrał co najmniej tonę.

Kupienie dwóch kilogramów mąki, kilograma cukru, kilograma kawy, butelki octu, pół kilograma soli i dwóch kawałków mydła zajęło babci i mamie równo godzinę. Przejścia między półkami były zatłoczone kobietami, którym bardziej zależało na wymianie pozdrowień niż na kupnie jedzenia. Rozmawiały o swoich ogródkach, o pogodzie, o niedzielnym kazaniu, o tym, kto na pewno będzie miał dziecko, a kto je mieć może. Paplały o pogrzebach i ślubach.

O wszystkim, tylko nie o Kardynałach.

Moim jedynym zadaniem w mieście było odnoszenie zakupów do samochodu. Kiedy się z tym uporałem, mogłem chodzić bez opieki po Main Street i po okolicznych uliczkach. W tłumie leniwie idących ludzi zawędrowałem na północny kraniec Black Oak, mijając po drodze spółdzielnię, aptekę, sklep żelazny i herbaciarnię. Na chodnikach stały grupki plotkujących ludzi. Telefonów było u nas mało, telewizorów ledwie kilka w hrabstwie, dlatego sobotę przeznaczano na wymianę i uzupełnienie najświeższych wiadomości.

Spotkałem mojego kumpla, Dewayne'a Pintera, który próbował namówić matkę, żeby puściła go bez opieki. Dewayne był rok starszy ode mnie, ale nie zdał do trzeciej klasy. Ojciec pozwalał mu jeździć traktorem po farmie, dlatego Dewayne miał najwyższy status wśród wszystkich drugoklasistów w naszej szkole. Pinterowie byli baptystami i kibicowali Kardynałom, mimo to dziadek ich nie lubił. Nie wiem dlaczego.

- Dzień dobry, Luke - powiedziała pani Pinter.

- Dzień dobry.

- A gdzie mama? - spytała, spoglądając mi przez ramię.

- Chyba w aptece. Ale nie jestem pewien.

To przeważyło szalę i Dewayne zdołał się wreszcie wyrwać. Skoro ja mogłem chodzić po ulicy sam, mógł i on. Byliśmy już daleko, lecz pani Pinter wciąż go przestrzegała i pouczała. Poszliśmy do kina, gdzie starsze dzieci czekały na film. W kieszeni miałem kilka monet: pięć centów na bilet, pięć centów na coca-colę i trzy centy na prażoną kukurydzę. Mama dała mi zaliczkę a conto moich przyszłych zarobków. Miałem ją zwrócić, lecz oboje dobrze wiedzieliśmy, że nie zwrócę. A gdyby próbował mi ją odebrać dziadek, musiałby najpierw stawić czoło mamie.

Dewayne zebrał chyba więcej bawełny niż ja, bo kieszeń miał wypchaną dziesięciocentówkami i wychodził z siebie, żeby się nimi pochwalić. Jego rodzina też dzierżawiła ziemię, ale mieli też ziemię na własność, w dodatku aż dwadzieścia akrów, czyli znacznie więcej niż my.

Kręciła się koło nas piegowata dziewczyna imieniem Brenda, próbując wszcząć rozmowę z Dewaynem. Rozpowiedziała wszystkim przyjaciółkom, że chce wyjść za niego za mąż. Uprzykrzała mu życie, łażąc za nim do kościoła, po Main Street i prosząc, żeby usiadł z nią w kinie.

Dewayne jej nie znosił. Wmieszaliśmy się w przechodzącą obok grupę Meksykanów i szybko ją zgubiliśmy.

Za spółdzielnią, w miejscu, gdzie zwykle spotykali się starsi chłopcy, żeby się trochę pookładać, i tym razem wybuchła bójka. Było tak w każdą sobotę i nic nie elektryzowało Black Oak tak bardzo jak ostra walka. Szeroką aleją przepychał się tłum ludzi i przepychając się wraz z nimi, usłyszałem czyjś głos:

- Daję głowę, że to znowu któryś z Sisców.

Mama przestrzegała mnie przed oglądaniem bójek za spółdzielnią, lecz wyraźnie mi tego nie zakazała, poza tym wiedziałem, że jej tam nie będzie. Oglądać bójkę? Nie zaryzykowałaby tego żadna porządna kobieta, bo mógłby ją ktoś przyłapać. Żądni przemocy,

prześlizgnęliśmy się z Dewaynem przez tłum.

Siscowie byli biednymi połownikami. Mieszkali trzy kilometry od nas i co sobotę przyjeżdżali do Black Oak. Nikt dokładnie nie wiedział, ilu ich jest, ale wieść głosiła, że wszyscy umieją się bić. Mieli ojca pijaka, który ich ciągle lał, i matkę, która pewnego razu dała wycisk uzbrojonemu po zęby zastępcy szeryfa, kiedy próbował aresztować jej męża. Złamała mu rękę i nos. Poniżony nieszczęśnik wyjechał z miasta. Najstarszy z braci zabił kogoś w Jonesboro i siedział teraz w więzieniu.

Siscowie nie chodzili ani do szkoły, ani do kościoła, dlatego jak dotąd udawało mi się ich unikać. Kiedy podeszliśmy bliżej i wyjrzelśmy zza rzędu widzów, zobaczyliśmy Jerry'ego, który okładał kogoś po twarzy.

- Kto to? - spytałem Dewayne'a. Tłum wrzeszczał, zachęcając walczących, żeby się prędzej poharatali i znokautowali.

- Nie wiem - odrzekł Dewayne. - Ktoś obcy.

No jasne. W mieście roilo się od ludzi ze wzgórz i było logiczne, że Siscowie zaczepią kogoś, kto ich nie zna. Miejscowi mieli się na baczności. Obcy miał napuchniętą twarz, a z nosa leciała mu krew. Jerry grzmotnął go prawym prostym w zęby i powalił na ziemię.

Banda Sisców stała ze swymi zwolennikami w rogu podwórza, śmiejąc się i pijąc. Byli obdarci, rozczochrani i brudni i tylko kilku z nich miało na nogach buty. Słynęli z zadziorności i twardości. Szczupli i wygłodniali, stosowali w walce wszystkie niedozwolone chwytty. Przed rokiem Billy Sisco omal nie zabił jakiegoś Meksykanina w bójce za odziarniarnią.

Po drugiej stronie prowizorycznego ringu stała grupa ludzi ze wzgórz. Krzyczeli, żeby ich zawodnik - okazało się, że ma na imię Doyle - wstał i coś zrobił. Doyle potarł policzek, zerwał się na równe nogi i zaprawił Jerry'ego bykiem tak mocno, że obaj runęli na piach. Ludzie ze wzgórz wzniesli radosny okrzyk. My też chcieliśmy krzyknąć, ale baliśmy się zdenerwować Sisców. To była ich sprawa i przyłożyliby każdemu, kto by się wtrącił.

Ludzie wrzeszczeli coraz głośniejsze, a tamci tarzali się po ziemi jak dzikie zwierzęta, drapiąc się i kopiąc. Nagle Doyle podniósł prawą rękę i zdzielił Jerry'ego prosto w twarz. Buchnęła krew. Jerry znieruchomiał i mieliśmy cichą nadzieję, że nareszcie trafiła kosa na kamień. Doyle już podnosił rękę, żeby zadać drugi cios, gdy wtem z tłumu wypadł Billy Sisco i kopnął go w plecy. Doyle zaskowyczał jak ranny pies, potoczył się po ziemi, a wówczas obydwaj Siscowie zaczęli kopać go i okładać pięściami.

Wyglądało na to, że chcą go zmasakrować. Walka była z gruntu nieuczciwa, ale narażał się na to każdy, kto wszedł im w drogę. Ludzie ze wzgórz zamilkli, a miejscowi przypatrywali się jatce, nie podchodząc bliżej.

Siscowie dźwignęli Doyle'a z ziemi, a wówczas do akcji wkroczył Jerry, który z cierpliwością zawodowego kata kopnął go w krocze. Doyle przeraźliwie krzyknął i osunął się na kolana. Stojąca w rogu podwórza banda konała ze śmiechu.

Billy i Jerry właśnie podnosili Doyle'a, żeby ponownie mu przyłożyć, gdy wtem z tłumu wystąpił Hank Spruill, który grzmotnął Jerry'ego w twarz i powalił go na piach. W tej samej chwili zwinny jak kot Billy zaprawił Hanka lewym sierpowym w szczękę i w tym momencie zdarzyła się bardzo dziwna rzecz. Otóż cios nie wywarł na Spruillu żadnego wrażenia. Hank się odwrócił, chwycił Billy'ego za włosy i bez najmniejszego wysiłku pchnął go w grupę Sisców. Ci rozpierzchli się na wszystkie strony, a wówczas na ring wkroczył kolejny zawodnik: Bobby. Miał najwyżej szesnaście lat, lecz był równie groźny jak jego starsi bracia.

Trzech Sisców przeciwko jednemu Spruillowi.

Kiedy Jerry usiłował wstać, Hank z niebywałą szybkością kopnął go w żebra tak mocno, że głośno trzasnęły. Potem odwrócił się, wierzchem dłoni uderzył Bobby'ego w twarz, powalił go na ziemię i kopnął w zęby. Billy próbował się na niego rzucić, lecz Hank - niczym cyrkowy siłacz - dźwignął chudzinę do góry i cisnął nim w ścianę budynku spółdzielni. Zatrzeszczały deski, zabrzęczały szyby w oknach i Billy grzmotnął głową w chodnik; nie wiem, czy z równą łatwością rzuciłbym w ścianę piłką baseballową.

Kiedy znieruchomiał, Hank chwycił go za gardło i zawlókł na środek placu, gdzie Bobby próbował dźwignąć się na czworaki. Tuż obok leżał zwinięty w kłębek Jerry, który trzymał się za bok i głośno skowyczał.

Hank kopnął Bobby'ego między nogi. Kiedy chłopak wrzasnął, Spruill parsknął odrażającym śmiechem.

Potem chwycił Billy'ego za szyję i wierzchem dłoni zaczął okładać go po twarzy. Na wszystkie strony tryskała krew; zalała Billy'emu oczy, spływała mu po piersi.

Po chwili Hank puścił go i spojrzał na bandę Sisców w rogu podwórza.

- Jeszcze któryś? - krzyknął. - Chodźcie! Warn też przyłożę!

Siscowie pochowali się jeden za drugiego, lękliwie spoglądając na swoich pokonanych bohaterów.

Walka powinna była dobiec końca, lecz Hank miał inne plany. Z wyraźną rozkoszą i rozmysłem kopał każdego z leżących Sisców w głowę i w twarz, dopóki nie przestali się ruszać i jęczeć. Tłum zaczął się rozchodzić.

- Chodźcie - powiedział stojący za mną mężczyzna. - Dzieci nie powinny tego oglądać.  
- Ale ja nie mogłem zrobić ani kroku.

Hank znalazł kawał starej kantówki. Przyciągnęci chorobliwą ciekawością ludzie znieruchomieli, żeby popatrzeć.

Hank podszedł do Jerry'ego i uderzył go kantówką w nos.

- O mój Boże... - szepnął ktoś stojący za mną. Ktoś inny powiedział, że trzeba sprowadzić szeryfa.

- Chodźmy stąd - rzucił stary farmer i tłum ponownie ruszył w stronę ulicy, tym razem trochę szybciej.

Ale Hank jeszcze nie skończył. Twarz poczerwieniała mu z gniewu, oczy błyszczały jak ślepie demona. Tłukł Jerry'ego, dopóki kantówka nie pękła na kawałki.

W tłumie nie dostrzegłem nikogo z jego rodziny. Kiedy bójka przekształciła się w krwawą jatkę, wszyscy uciekli. Żaden z mieszkańców Black Oak nie chciał mieć nic wspólnego ani z Siscami, ani z szaleńcem ze wzgórz.

Szliśmy chodnikiem. Ci z nas, którzy widzieli walkę, cały czas milczeli. Wciąż ją przeżywaliśmy. Ciekawiło mnie, czy Hank zatłucze ich na śmierć.

Przebijając się przez tłum na ulicy i biegnąc w kierunku kina, nie zamieniliśmy z Dewaynem ani słowa.

Sobotnie seanse filmowe były dla nas czymś wyjątkowym. Nie mieliśmy telewizorów, poza tym rozrywkę uważano za grzech. Ale w sobotę zapominaliśmy o harówce na bawełnianych polach i na dwie godziny przenosiliśmy się do świata fantazji, gdzie dobro zawsze zwyciężało. Z filmów dowiadaliśmy się, co robią przestępcy, jak policjanci ich łapią, jak żołnierze walczą na wojnach, jak je wygrywają i jak zdobyto Dziki Zachód. To właśnie w kinie dowiedziałem się, że wbrew temu, co mówiono mi w domu i w szkole, Południe wcale nie pokonało tych z północy.

Ale w tę sobotę western z Gene'em Autry nas znudził. Ilekroć pokazywali jakąś bijatykę, myślałem o Hanku Spruillu i niemal widziałem, jak stoi za spółdzielnią i tłucze wszystkich Sisców. Bójki Gene'a były niczym w porównaniu z krwawą jatką, jaką przed chwilą oglądaliśmy. Seans dobiegał już końca, gdy wreszcie zebrałem się na odwagę, żeby powiedzieć Dewayne'owi prawdę.

- Ten wielki byk- szepnąłem. - Ten z grubą szyją, ten, co pobił Sisców. On pracuje na naszej farmie.

- Znasz go? - odszepnął podejrzliwie Dewayne.

- Jasne, i to całkiem dobrze.

Bardzo mu zaimponowałem i chciał mnie o wszystko wypytać, ale sala była pełna, poza

tym pan Starnes, kierownik kina, lubił przechadzać się między rzędami z latarką i wypatrywać tych, którzy rozrabiali. Każdego dzieciaka przyłapanego na gadaniu chwycił za ucho i wyrzucił za drzwi. Poza tym tuż za Dewaynem siedziała piegowata Brenda i czuliśmy się przy niej trochę nieswojo.

W sali siedziało ledwie kilkoro dorosłych, głównie miastowych. Pan Starnes posadził Meksykanów na balkonie, ale chyba im to nie przeszkadzało. Zresztą tylko nieliczni byli na tyle rozrzutni, żeby wydawać pieniądze na kino.

Zaraz po seansie wybiegliśmy na ulicę i pognaliśmy za spółdzielnię, spodziewając się, że zobaczymy zakrwawione zwłoki braci Sisców. Ale nie, nikogo tam nie było. Nikogo i niczego, żadnych dowodów zbrodni: ani krwi, ani ludzkich członków, ani roztrzaskanej kantówki.

Dziadzio uważał, że szanujący się ludzie powinni wyjeżdżać z miasta przed zapadnięciem zmroku. W sobotę wieczorem w mieście działy się ponoć okropne rzeczy. Gorsze niż bójki, chociaż jak dotąd nigdy nie widziałem prawdziwego zła. Słyszałem, że za odziarniarnią dochodziło do pijatyk, że grano tam w kości i bito się zacieklej niż za dnia, ale wszystko to robiono ukradkiem, poza tym brało w tym udział bardzo niewielu ludzi. Mimo to dziadek bał się, że możemy się zgorszyć.

Największym huncwotem w rodzinie Chandlerów był Ricky i mama mówiła, że w sobotę wieczorem często zostawał w mieście do późnej nocy. Krążyły nawet słuchy, że go aresztowano, i to dość niedawno, ale nigdy nie mogłem wyciągnąć od niej żadnych szczegółów. Mówiła też, że Dziadzio i Ricky przez wiele lat kłócili się o godzinę powrotu do domu. Pamiętam, że kilka razy wyjechaliśmy bez niego. Bardzo płakałem, bo byłem pewien, że już nigdy go nie zobaczę, ale w niedzielę rano siedział w kuchni i jakby nigdy nic pił kawę. Ricky zawsze wracał do domu.

Spotkaliśmy się przy pikapie, który stał teraz wśród dziesiątków innych samochodów parkujących przed kościołem baptystów, ponieważ do miasta ciągle zjeżdżali nowi goście. Tłum na Main Street wyraźnie zgęstniał, zwłaszcza przed szkołą, gdzie kilku mężczyzn grało country na skrzypcach i bandzo. Nie chciałem wyjeżdżać, bo uważałem, że zawsze zdążymy wrócić.

Babcia i mama poszły załatwić coś do kościoła, gdzie przed niedzielnym nabożeństwem gromadziła się większość kobiet. Tata i dziadek stali po drugiej stronie samochodu i rozmawiali o jakiejś bójce. Wtem usłyszałem słowo „Sisco” i znieruchomiałem. Jednakże w tej samej chwili nadszedł Miguel z Meksykanami, którzy trajkotali po hiszpańsku tak głośno, że zagłuszyli i dziadka, i tatę.

Kilka minut później podszedł do nich Stick Powers, jeden z dwóch zastępców szeryfa z Black Oak. W czasie drugiej wojny światowej był ponoć w niewoli i lekko kulał, ponieważ - jak twierdził - Niemcy bili go w obozie jenieckim. Dziadzio mówił, że Stick nigdy w życiu nie opuścił granic hrabstwa Craighead i nigdy nie słyszał ani jednego wystrzału.

- Zatrąkł go prawie na śmierć - usłyszałem. Podeszedłem bliżej. Było już ciemno i nikt mnie nie widział.

- I dobrze - odparł dziadek.

- Powiadają, że on u was pracuje.

- Stick, ja tej bójki nie widziałem. - Dziadka zaczynała zalewać krew. - Znasz jego nazwisko?

- Hank coś tam.

- Dużo u nas takich.

- Mogę do was wpaść i trochę się rozejrzeć?

- Ja cię nie powstrzymam.

- Ano nie powstrzymasz. - Stick odwrócił się na zdrowej nodze i łypnął spode łba na Meksykanów, jakby mieli na sumieniu jakiś grzech.

Obszedłem samochód i spytałem:

- Co się stało?

Jak zwykle uznali, że jestem za mały, i kompletnie mnie zignorowali.

Jechaliśmy po ciemku. Światła miasta rozmywały się w oddali, włosy targał nam chłodny wiatr. Początkowo chciałem opowiedzieć tacie o bójce, ale nie mogłem zrobić tego w obecności Meksykanów. Potem doszedłem do wniosku, że nie chcę być świadkiem. Nikomu o tym nie powiem, ponieważ tak czy inaczej, sprawa była z góry przegrana. Gdybym zadarł z Siscami, groziłoby mi śmiertelne niebezpieczeństwo, a gdybym naskarżył na Hanka, Spruillowie wściekliby się i wyjechali. Żniwa dopiero się rozpoczęły, a ja już konałem ze zmęczenia. I najważniejsze: nie chciałem, żeby Hank rozgniewał się na mnie, na tatę czy na dziadka.

Kiedy dotarliśmy do domu, ich starej ciężarówce jeszcze tam nie było. Pewnie zostali w mieście, żeby pogadać ze swymi ziomkami.

Po kolacji jak zwykle wyszliśmy na werandę i Dziadzio zaczął majstrować przy radiu. Tego wieczoru Kardynałowie grali w Filadelfii, przy sztucznym świetle. W końcówce drugiej zmiany pałkę ujął Musial i oddałem się marzeniom.

## ROZDZIAŁ 8

O świcie obudził nas suchy trzask błyskawicy i głuchy łoskot przetaczającego się po niebie grzmotu. Opóźniając wschód słońca, z południowego zachodu nadciągała burza i kiedy leżałem tak w ciemnym pokoju Ricky'ego, ponownie zadałem sobie pytanie, dlaczego pada tylko w niedzielę. Dlaczego nie w powszedni dzień, żebym nie musiał zbierać bawełny? Niedziela i tak była dniem odpoczynku.

Babcia zaprosiła mnie na werandę, żebyśmy mogli posiedzieć i popatrzeć razem na deszcz. Zrobiła mi kawę, dodała do niej dużo mleka i cukru, usiedliśmy na ławce i zaczęliśmy się łagodnie huścić w wyjąłym wietrze. Na podwórzu uwijali się Spruillowie, wrzucając rzeczy do pudeł i uciekając z przeciekających namiotów.

Deszcz lał falami, jakby chciał odbić sobie dwa tygodnie suszy. Wokół werandy kłębiła się wilgotna para, gęsta niczym mgła, a blaszany dach śpiewał pod uderzeniami kropel wody.

Babcia zawsze odzywała się z wyczuciem, w starannie wybranym momencie. Raz w tygodniu zabierała mnie zwykle na spacer albo siadywaliśmy razem na werandzie, tylko ona i ja. Była żoną dziadka od trzydziestu lat i do mistrzostwa opanowała sztukę milczenia. Bywało, że spacerowaliśmy albo huściliśmy się na ławce bardzo długo, prawie nic nie mówiąc.

- Jak twoja kawa? - Odgłosy burzy prawie ją zagłuszały.

- Bardzo dobra.

- Co byś chciał na śniadanie?

- Grzanki.

- W takim razie zrobię grzanki.

W niedzielę mieliśmy trochę więcej luzu. Zwykle spaliśmy dłużej, chociaż tego dnia obudził nas deszcz. Na śniadanie odpuszczaliśmy sobie jajka na szynce i wytrzymywaliśmy do lunchu na grzankach i melasie. W kuchni było mniej pracy. Ostatecznie niedziela to dzień odpoczynku.

Ławka bujała się leniwie w tę i z powrotem, cicho poskrzypując zardzewiałymi łańcuchami, idąc i nigdzie nie dochodząc. Niebo nad drogą i pole Jeterów przecięła błyskawica.

- Miałam sen - powiedziała babcia. - O Rickym.

- Dobry sen?

- Tak, bardzo dobry. Śniło mi się, że wojna nagle się skończyła, tylko zapomnieli nam o tym powiedzieć. Pewnego wieczoru słuchaliśmy na werandzie radia i zobaczyliśmy, że drogą biegnie do nas jakiś mężczyzna. To był Ricky. Był w mundurze i krzyczał, że wojna się

skończyła.

- Chciałbym mieć taki sen.

- Myślę, że Bóg próbuje nam coś powiedzieć.

- Że Ricky wraca do domu?

- Tak. Może nie w tej chwili, ale czuję, że wojna wkrótce się skończy. Że pewnego dnia zobaczymy, jak idzie przez podwórze.

Popatrzyłem na podwórko. Na ziemi potworzyły się wielkie kałuże, strumienie wody podmywały namiot Spruillów. Trawa prawie zniknęła, a wiatr zrywał z dębów pierwsze żółte liście.

- Modłę się za niego co wieczór - powiedziałem z dumą.

- A ja co godzinę - odrzekła babcia i zwilgotniały jej oczy.

Bujaliśmy się i patrzyliśmy na deszcz. Rzadko kiedy myślałem o Rickym jako o żołnierzu, który przeskakuje pod ostrzałem z jednego bezpiecznego miejsca na drugie. Najczęściej wspominałem go jak przyjaciela, jak wujka i brata, jak kumpla z wędką albo rękawicą baseballową. Miał tylko dziewiętnaście lat i był dla mnie jednocześnie stary i młody.

Wkrótce w drzwiach stanęła mama. Po sobotniej kąpieli obowiązywało niedzielne szorowanie, szybki, brutalny rytuał, w trakcie którego ta nawiedzona kobieta próbowała oberwać mi uszy i rozszarpać szyję.

- Trzeba się przygotować - powiedziała. Od razu zaczęło mnie boleć.

Weszliśmy z babcią do kuchni, żeby dolać sobie kawy. Dziadzio czytał przy stole Biblię i przygotowywał lekcję do szkółki niedzielnej. Tata obserwował z ganku burzę i spoglądał w kierunku rzeki, bez wątplenia martwiąc się, że będzie powódź.

Deszcz ustał na długo przed naszym wyjazdem do kościoła. Ziemia zmieniła się w błoto, dlatego dziadek prowadził jeszcze wolniej niż zwykle. Pyrkaliśmy niespiesznie, a czasami ślizgaliśmy się po koleinach i po kałużach na polnej drodze. Tata i ja siedzieliśmy z tyłu, trzymając się mocno ławki, a świątecznie ubrane mama i babcia tłoczyły się w szoferce. Chmury zniknęły i wyszło słońce, które przypiekało mokrą ziemię tak mocno, że nad wierzchołkami bawelnianych krzewów leniwie snuła się mgła.

- Będzie skwar. - Tata powtarzał tę prognozę codziennie, od maja do września.

Kiedy dojechaliśmy do szosy, wstaliśmy i oparliśmy się o dach szoferki, żeby wystawić twarz do wiatru. Tak było dużo chłodniej. Pola ziały pustką; nawet Meksykanom nie pozwalano pracować w niedzielę. Co roku krążyły plotki o zaprzańcach, którzy w ten święty dzień zrywali bawełnę, ale ja nigdy tych grzeszników nie widziałem.

W Arkansas grzechów było co niemiara, zwłaszcza gdy ktoś się rodził w rodzinie baptystów. Największą frajdą podczas niedzielnego nabożeństwa było kazanie wielebnego Akersa, głośnego, gniewnego człowieka, który poświęcał zbyt dużo czasu na wymyślanie nowych grzechów. Oczywiście kazanie mnie nie interesowało - moich kumpli też nie - lecz nabożeństwo było dla nas czymś więcej niż tylko nabożeństwem. Była okazją do spotkania, do powtarzania nowin i plotek, wesołym wiecem, podczas którego wszyscy mieli dobry humor, a przynajmniej udawali, że go mają. Powódź, wojna w Korei, wahające się ceny bawełny - wszystkie te doczesne troski ludzie odkładali na bok, wchodząc do kościoła.

Babcia zawsze powtarzała, że Bóg nie chce, by się martwili, zwłaszcza w Jego domu. Uważałem, że to bardzo dziwne, ponieważ zamartwiała się niemal tak samo jak dziadek.

Nie licząc domu i gospodarstwa, nic nie było dla nas ważniejsze od kościoła. Znałem tam dosłownie wszystkich i wszyscy znali mnie. Byliśmy jak rodzina, związani ze sobą na dobre i na złe. Bardzo się kochaliśmy, a przynajmniej tak utrzymywaliśmy, i nawet lekka choroba któregoś z nas stanowiła okazję do żarliwych modlitw i zademonstrowania prawdziwie chrześcijańskiej troski o bliźniego. Pogrzeby trwały cały tydzień i były niemal świętym wydarzeniem. Wiosenne i jesienne nabożeństwa planowano miesiącami i niecierpliwie ich wyglądano. Co najmniej raz w miesiącu urządzano parafialne przyjęcie - coś w rodzaju pikniku pod drzewem na tyłach kościoła - które często trwało do późnego wieczora. Ważne były też śluby, zwłaszcza dla pań, ale ślubom brakowało dramatyzmu pogrzebów i pochówków.

Kiedy przyjechaliśmy, parking był już prawie pełen. Przeważały stare, pokryte świeżym błotem półciężarówki, takie same jak nasza. Stało tam też kilka limuzyn należących do miastowych albo do farmerów, którzy mieli ziemię na własność. Przed kościołem metodystów kilkadziesiąt metrów dalej parkowało mniej pikapów, za to więcej zwyczajnych samochodów. Chodzili tam z reguły kupcy i nauczyciele. Metodyści uważali się za trochę lepszych od nas, ale wiedzieliśmy, że to nam, baptystom, Bóg wskazał wewnętrzną drogę do nieba.

Zeskoczyłem na ziemię i pobiegłem poszukać kumpli. Za kościołem, przy cmentarzu, trzech starszych chłopców rzucało piłką baseballową, więc ruszyłem w ich stronę.

- Luke. - Głośny szept. W cieniu pobliskiego wiązu krył się wystraszony Dewayne. -  
Tutaj.

Podszedłem bliżej.

- Słyszałeś? Jerry Sisco zmarł. Dziś rano.

Poczułem się tak, jakbym zrobił coś złego, i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dewayne milczał i gapił się na mnie. W końcu odzyskałem głos.

- No i?

- No i szukają ludzi, którzy widzieli, co się stało.

- Dużo ludzi to widziało.

- Tak, ale nikt nie chce mówić. Wszyscy boją się Siscoów i tego twojego, tego z grubą szyją.

- On nie jest mój.

- I tak się go boję. A ty?

- Też.

- Co zrobimy?

- Nic. Nie powiemy nikomu ani słowa, przynajmniej nie teraz.

Uzgodniliśmy, że tak będzie najlepiej. Że skłamiemy, gdyby nas o coś pytano. I że skłamawszy, odmówimy dodatkowy pacierz.

Tego niedzielnego ranka modlitwy były długie. Tak samo jak plotki i pogłoski na temat tego, co przydarzyło się Jerry'emu Sisco. Wiadomość o jego śmierci rozeszła się jeszcze przed lekcją. Do naszych uszu docierały szczegóły tak niesamowite, że aż niewiarygodne. Hank z każdą chwilą rósł i potężniał. „Łapy miał jak wiejska szynka”, mówił któryś ze znajomych. „A kark grubszy niż nasz byk”, dorzucił ktoś inny. „Ważył ze sto czterdzieści kilo”.

Mężczyźni i starsi chłopcy stali grupkami przed kościołem, a ja i Dwayne krążyliśmy między nimi, strzygąc uszami. Jedni mówili, że to morderstwo, inni, że zabójstwo, ale różnicę między tymi określeniami zrozumiałem dopiero wtedy, kiedy podsłuchałem pana Snake'a Wilcoxsa.

- To nie morderstwo - powiedział. - Morderstwo jest wtedy, kiedy ginie dobry człowiek. Kiedy ginie śmieć taki jak Sisco, to się nazywa zabójstwo.

Było to pierwsze zabójstwo w Black Oak od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego, kiedy to kilku ubogich dzierżawców mieszkających na wschód od miasta upiło się i rozpoczęło rodzinną wojnę. Pewien nastolatek wszedł komuś pod lufę, ale nikogo nie oskarżono. Wszyscy uciekli nocą i więcej o nich nie słyszano. Nikt nie pamiętał „prawdziwego” morderstwa.

Te plotki mnie zahipnotyzowały. Siedzieliśmy na schodach kościoła, patrzyliśmy na Main Street i słuchaliśmy, jak dorośli kłócą się i perorują na temat tego, co powinno, a czego nie powinno się zrobić.

W oddali widziałem budynek spółdzielni i przez chwilę wydawało mi się, że ponownie widzę zakrwawioną twarz Jerry'ego Sisco, którego masakruje kijem Hank Spruill.

Widziałem, jak zabito człowieka. Nagle zapragnąłem wślizgnąć się ukradkiem do

świętyni, żeby się pomodlić. Czułem, że popełniłem jakiś grzech.

Powoli weszliśmy do kościoła, gdzie dziewczęta i kobiety siedziały grupkami, przekazując szeptem własną wersję tragicznych wydarzeń. W ich oczach Jerry nieustannie rósł. Piegowata Brenda, ta, która podkochiwała się w Dewaynie, mieszkała ledwie kilkaset metrów od Sisców i ponieważ byli tak bliskimi sąsiadami, skupiała na sobie największą uwagę. Kobiety współczuły rodzinie Jerry'ego zdecydowanie bardziej niż mężczyźni.

W holu znaleźliśmy z Dewaynem kruche ciasteczka, a potem ruszyliśmy do naszej małej klasy, cały czas pilnie nasłuchując.

Nauczycielka, panna Beverly Dill Cooley, która uczyła w ogólniaku w Monette, rozpoczęła lekcję od długiej i bardzo pochlebnej przemowy dla uczczenia pamięci Jerry'ego Sisco, biednego chłopca z biednej wiejskiej rodziny, młodzieńca, któremu życie poskąpiło szans. Potem kazała nam wziąć się za ręce, zamknąć oczy i wznosząc głos do nieba, długo prosiła Boga, żeby zechciał przyjąć Jerry'ego w swe ciepłe, wieczne objęcia. Brzmiało to tak, jakby Sisco był chrześcijaninem i niewinną ofiarą.

Zerknąłem na Dewayne'a, który jednym okiem zerkał na mnie.

Było w tym wszystkim coś dziwnego. Od kołyski uczono nas, że jedynym sposobem na dostanie się do nieba jest wiara w Jezusa i czerpanie z niego przykładu. Życie czystym, moralnym i chrześcijańskim życiem. Przesłanie było proste: co niedzielę, rano i wieczorem, powtarzał je nam brat Akers, głośno i wyraźnie powtarzał je nam każdy wędrowny kaznodzieja przejeżdżający przez Black Oak. Słyszeliśmy je w szkółce niedzielnej, na wieczornym nabożeństwie we wszystkie środy, na lekcjach Wakacyjnej Szkoły Biblijnej. Tkwiło w naszej muzyce, w naszych modlitwach i w naszej literaturze. Jasne, przystępne i kategorycznie sformułowane, nie pozostawiało miejsca na jakiegokolwiek kręactwo czy kompromisy.

Ten, kto nie wierzył w Jezusa i nie żył chrześcijańskim życiem, szedł prosto do piekła. Właśnie tam był teraz Jerry Sisco, i wszyscy o tym dobrze wiedzieliśmy.

Mimo to panna Cooley modliła się i modliła. Za wszystkich pograżonych w smutku Sisców, za mieszkańców naszego małego miasta, którzy wyciągali ku nim pomocną dłoń.

Nie przychodził mi do głowy ani jeden mieszkaniec Black Oak, który chciałby wyciągnąć dłoń do Sisców.

Dziwna to była modlitwa i kiedy panna Cooley nareszcie powiedziała „Amen”, ogarnęła mnie konsternacja. Jerry nigdy nie chodził do kościoła, mimo to nauczycielka modliła się za niego, jakby przebywał już z Bogiem. Skoro do nieba mogli trafić przestępcy tacy jak Siscowie, my, zwyczajne chłopaki, mieliśmy zupełny luz.

Potem panna Cooley zaczęła opowiadać o Jonaszu i wielorybie i na chwilę

zapomnieliśmy o morderstwie.

Godzinę później, na nabożeństwie, siedziałem między mamą i babcią w ławce, w której zawsze siadywali Chandlerowie; stała po lewej stronie, mniej więcej w połowie głównego przejścia. Ławki nie były ani oznakowane, ani zarezerwowane, ale i bez tego wszyscy wiedzieli, gdzie kto ma usiąść. Rodzice obiecali, że za trzy lata, to znaczy kiedy skończę dziesięć lat, pozwolą mi siedzieć z kolegami, oczywiście pod warunkiem, że będę grzeczny. Wydębłem tę obietnicę i od taty, i od mamy. Równie dobrze mogliby dać mi słowo, że puszcza mnie do kolegów za dwadzieścia lat.

Okna były otwarte, mimo to w powietrzu wisiał ciężki zaduch. Panie się wachlowały, mężczyźni siedzieli nieruchomo, spływając potem. Zanim głos zabrał brat Akers, koszula przykleiła mi się do pleców.

Brat Akers był jak zwykle zły i jak zwykle niemal natychmiast zaczął krzyczeć. Z miejsca zaatakował grzech; grzech spowodował u nas tragedię. Grzech przyniósł śmierć i zniszczenie: było tak w przeszłości, będzie tak w przyszłości. Grzesznicy pili alkohol, uprawiali hazard, kłamali, bili się, zabijali i cudzołożyli, ponieważ odeszliśmy od Boga, i to właśnie dlatego młody człowiek z naszego miasta stracił życie. Bóg nie chciał, żebyśmy się wzajemnie mordowali.

I znowu ogarnęła mnie konsternacja. Myślałem, że Jerry Sisco zginął, ponieważ nareszcie spotkał godnego siebie przeciwnika. Nie miało to nic wspólnego z hazardem, cudzołóstwem czy z innymi grzechami, którymi tak bardzo ekscytował się brat Akers. Poza tym dlaczego tak na nas wrzeszczał? Byliśmy porządnymi ludźmi. No i byliśmy w kościele!

Rzadko kiedy rozumiałem, o czym właściwie mówi, i czasami słyszałem, jak babcia mamrocze przy niedzielnej kolacji, że ją też kazanie zbiło z tropu. Ricky powiedział mi kiedyś, że stary Akers to wariat.

Grzechy się pieniły, nakładały na siebie i przygniatały mnie do tego stopnia, że w końcu ugiąłem się pod ich ciężarem. Musiałem jeszcze skłamać, że nie widziałem bójki, i już teraz czułem, że będzie gorąco.

Potem brat Akers prześledził historię zbrodni, poczynając od Kaina i Abla i prowadząc nas krwawą ścieżką przez biblijne rzezie. Babcia zamknęła oczy i wiedziałem, że się modli - zawsze się modliła. Dziadzio patrzył w ścianę i pewnie zastanawiał się, w jaki sposób śmierć Jerry'ego Sisco wpłynie na zbiór bawełny. Mama uważnie słuchała, a ja na szczęście zacząłem przysypiać.

Oknąłem się z głową na kolanach babci, lecz jej to nie przeszkadzało. Ilekroć martwiła

się o Ricky'ego, zawsze chciała mieć mnie przy sobie. Grało pianino, stał chór. Nabożeństwo dobiegało końca. Odśpiewaliśmy pięć zwrotek hymnu i wielebny puścił nas do domu.

Mężczyźni zgromadzili się pod cienistym drzewem i rozpoczęli długą dyskusję. Rej wodził dziadek, który perorował przyciszonym głosem, energicznie wymachując rękami. Wiedziałem, że lepiej do nich nie podchodzić.

Kobiety pozbijały się w małe grupki i plotkowały przy trawniku, gdzie bawiły się dzieci i żegnali dorośli. W niedzielę nikt nie spieszył się z powrotem do domu. W domu nie było prawie nic do roboty: jadło się lunch, spało i przygotowywało do kolejnego tygodnia pracy.

Powoli ruszyliśmy w stronę parkingu. Ponownie pożegnaliśmy się z przyjaciółmi i odjeżdżając, pomachaliśmy im z samochodu. Zostawszy sam na sam z tatą, próbowałem zebrać się na odwagę i powiedzieć mu, że widziałem bójkę za spółdzielnią. Przed i po kościele mężczyźni nie rozmawiali o niczym innym. Nie byłem pewien, jaką w tym wszystkim odgrywam rolę, lecz instynkt kazał mi wyznać całą prawdę i schować się za tatę. Ale przyrzekliśmy sobie z Dewaynem trzymać język za zębami do chwili, kiedy ktoś nas o to zapyta, i dopiero potem zacząć się wić. Dlatego nic tacie nie powiedziałem.

Jakieś dwa kilometry od naszej farmy, w miejscu, gdzie żwirówka przechodziła w polny trakt, drogę przecinała rzeka, której brzegi spinał jednopasmowy, drewniany most. W latach trzydziestych zaprojektował go i zbudował Zarząd Postępu Pracy, dlatego mógł udźwignąć ciężar traktorów i wyładowanych bawełną przyczep. Jednakże ilekroć tamtędy przejeżdżaliśmy, grube deski dygotały i głośno skrzypiały, a kiedy spojrzano się na prześwitującą między nimi brązową wodę, można było przysiąc, że most się chwieje.

Jechaliśmy powoli, gdy wtem na drugim brzegu zobaczyliśmy Spruillów. Bo i Dale stali w rzece bez koszul i z podwiniętymi do kolan spodniami puszczali kaczki. Trot siedział na grubej gałęzi i moczył stopy. Pan i pani Spruill pólleżeli pod drzewem, na zastawionym jedzeniem kocu.

Tally - nagie uda, opadające na ramiona włosy - też była w rzece. Serce zabiło mi mocniej, gdy patrzyłem, jak zagubiona w swoim własnym świecie, młóci nogami wodę.

Nieco dalej, w miejscu, gdzie ryby prawie nigdy nie brały, siedział Hank z krótką trzcinową wędką. Był bez koszuli i plecy miał już różowe od słońca. Zastanawiałem się, czy wie, że Jerry Sisco nie żyje. Pewnie jeszcze nie wiedział. Nic to. Wkrótce się dowie.

Pomachaliśmy im. Zastygli bez ruchu, jakbyśmy przyłapali ich na cudzym terenie, a potem uśmiechnęli się i odmachali. Ale Tally nawet nie podniosła głowy. Ani ona, ani Hank.

## ROZDZIAŁ 9

Na niedzielny lunch zawsze był pieczony kurczak i grzanki z sosem i chociaż kobiety zwijały się jak w ukropie, gotowanie trwało co najmniej godzinę. Zanim usiedliśmy do stołu, umieraliśmy z głodu. Często myślałem - tylko myślałem, oczywiście - że gdyby brat Akers tak długo nie wrzeszczał i nie przynudzał, głód doskwierałby nam znacznie mniej.

Dziadek podziękował Bogu za dary na stole. Ponakładaliśmy sobie na talerze i właśnie zaczynaliśmy jeść, gdy wtem dobiegł nas trzask samochodowych drzwiczek. Przestaliśmy żuć i wymieniliśmy spojrzenia. Dziadzio wstał i podszedł do okna.

- To Stick Powers - powiedział i od razu straciłem apetyt. Przyjechał stróż prawa i nie mogło wyniknąć z tego nic dobrego.

Dziadek wyszedł na werandę. Słyszeliśmy każde słowo.

- Dzień dobry, Eli.

- Witaj, Stick. Co cię tu sprowadza?

- Pewnie już słyszałeś, że Jerry Sisco nie żyje.

- Ano słyszałem - odrzekł dziadek bez cienia smutku w głosie.

- Muszę pogadać z jednym z twoich ludzi.

- To była zwykła bójka, Stick. Głupia sobotnia bijatyka, Siscowie prowokują je od lat. Nigdy im nie przeszkadzałeś. Trafiła kosa na kamień, i tyle.

- Śledztwo to śledztwo, Eli.

- Będziesz musiał zaczekać, aż zjemy lunch. Dopiero co siedliśmy. Niektórzy z nas chodzą do kościoła.

Kiedy dziadzio to powiedział, mama aż się skrzywiła. Babcia powoli pokręciła głową.

- Miałem służbę - wyjaśnił Stick.

Krażyły plotki, że raz na cztery lata, kiedy nadchodziły wybory, Stick godził się z Duchem Świętym. Później, a więc przez trzy i pół roku, nie odczuwał najmniejszej potrzeby chodzenia do kościoła. A jeśli nie chodziło się do kościoła, ludzie o tym wiedzieli. Przecież musieliśmy mieć się za kogo modlić.

- Możesz zaczekać na werandzie - powiedział Dziadzio i wrócił do stołu. Kiedy usiadł, ponownie zaczęliśmy jeść. W gardle wyrosła mu gęła wielkości piłki baseballowej i pieczony kurczak nie był w stanie zepchnąć jej do żołądka.

- Czy on już jadł? - spytała szeptem babcia.

Dziadek wzruszył ramionami, jakby zupełnie go to nie obchodziło. Było w pół do trzeciej. Skoro do tej pory Stick nie znalazł niczego do zjedzenia, niby dlaczego mieliśmy się tym przejmować?

Ale babcia się przejęła. Wstała i wyjęła z kredensu talerz. Nałożyła ziemniaków z sosem, krojonych pomidorów i ogórków, dodała dwie grubo posmarowane masłem grzanki oraz udko i pierś kurczaka. Potem napełniła wysoką szklanę mrożoną herbatą i zaniósła to wszystko na werandę. Teraz też słyszeliśmy każde słowo.

- Masz, Stick. W tym domu nikt nie chodzi głodny.

- Dzięki, ale już jadłem.

- To zjesz jeszcze raz.

- Naprawdę nie powinienem...

Wiedzieliśmy, że do jego mięsistych nozdrzy doszedł już zapach kurczaka i grzanek.

- Dziękuję, Ruth. Jest pani bardzo uprzejma.

Nie zdziwiliśmy się, kiedy babcia wróciła do kuchni z pustymi rękami. Dziadek był zły, ale trzymał język za zębami. Stick przyszedł narobić nam kłopotów i odebrać pracowników, co oznaczało, że zagraża naszej bawelnie. Dlaczego mieliśmy go karmić?

Jedliśmy w milczeniu, dzięki czemu mogłem pozbierać myśli. Ponieważ nie chciałem zachowywać się podejrzanie, wpychałem kurczaka do ust i żułem najwolniej, jak umiałem.

Nie byłem pewien, gdzie leży prawda, nie potrafiłem też odróżnić dobra od zła. Siscowie tłukli jakiegoś biedaka i Hank pospieszył mu na ratunek. Ich było trzech, a on jeden. Szybko ich powstrzymał i na tym bójka powinna się była skończyć. Dlaczego chwycił tę kantówkę? Łatwo było zakładać, że wina jak zwykle leżała po stronie Sisców, ale Hank wygrał walkę na długo przed tym, nim zaczął ich maltretować.

Znowu pomyślałem o Dewaynie i o naszym tajnym pakcie. Uznałem, że najlepszą strategią będzie całkowita ignorancja i milczenie.

Stick mógł nas podsłuchać, dlatego nie odzywaliśmy się do końca lunchu. Dziadzio jadł wolniej niż zwykle, ponieważ chciał, żeby Stick siedział tam, czekał i kipiał gniewem, w końcu się wściekł i pojechał do domu. Osobiście wątpiłem, czy szeryf się tym przejmuje. Niemal słyszałem, jak wylizuje talerz.

Tata jadł, patrząc w stół i błądząc myślami daleko stąd, pewnie po Korei. Mama i babcia sprawiały wrażenie bardzo zasmuconych, co po słownej chłości brata Akersa nie należało do rzeczy niezwykłych. Między innymi właśnie dlatego zawsze próbowałem usnąć podczas jego kazania.

Kobiety miały dla Jerry'ego znacznie więcej współczucia niż mężczyźni. W miarę

upływu czasu jego śmierć coraz bardziej je przygnębiała. Jego złośliwość oraz inne złe cechy powoli szły w zapomnienie. Ostatecznie był miejscowym chłopakiem, kimś, kogo znaliśmy - nie szkodzi, że tylko przelotnie - i spotkał go taki straszny koniec.

Tymczasem jego zabójca mieszkał na naszym podwórzu.

Dobiegł nas jakiś hałas. Znad rzeki wrócili Spruillowie.

Przesłuchanie odbyło się pod najwyższym dębem, w połowie drogi między werandą i ich obozowiskiem. Jako pierwsi poszli tam mężczyźni, dziadek i tata przeciągając się i głaszcząc po brzuchu, Stick robiąc wrażenie człowieka dobrze utuczonoego. Gdyby nie mocno przyszyte guziki, jego brzuszysko wyskoczyłoby spod napiętej brązowej koszuli, dlatego było oczywiste, że Stick nie tyra przy bawelnie. Dziadek mówił, że jest piekielnie leniwy i większość czasu przesypia w radiowozie pod drzewem przy budce z hot dogami na skraju miasta.

Z przeciwnej strony podwórza nadciągali wszyscy Spruillowie. Na ich czele szedł pan Spruill, a pochód zamykał Trot, który jak zwykle powłóczył nogami, pochylając się i chwiejąc. Ja szedłem za babcią i mamą. Cały czas ostrożnie zza nich wyglądałem i trzymałem się na uboczu. Brakowało tylko Meksykanów.

Wokół Sticka utworzył się luźny krąg; Spruillowie przystanęli po jednej stronie, Chandlerowie po drugiej, chociaż logicznie rzecz biorąc, wszyscy stali po tej samej. Nie miałem ochoty sprzymierzać się z Hankiem, ale najważniejsza była bawelna.

Dziadzio przedstawił Sticka panu Spruillowi, który niezdarnie uściśnął mu rękę i od razu się cofnął. Wyglądało na to, że Spruillowie spodziewają się wszystkiego najgorszego, i próbowałem sobie przypomnieć, czy którykolwiek z nich widział bójkę. Za spółdzielnią zebrał się tłum ludzi, poza tym wszystko działo się bardzo szybko. Dewayne i ja byliśmy zahipnotyzowani widokiem krwi, dlatego nie zwracaliśmy uwagi na innych widzów.

Stick żuł źdźbło trawy, które sterczało mu z kącika ust, i wetknawszy kciuki do kieszeni spodni, obserwował twarze ludzi ze wzgórz. Hank opierał się o pień dębu, szyderczo szczerząc zęby do każdego, kto śmiał na niego spojrzeć.

- Wczoraj za spółdzielnią była tęga rozróżba - rzucił Stick, patrząc na Spruillów. Pan Spruill tylko kiwnął głową. - Kilku miejscowych chłopaków zadarło z przyjezdnymi. Jeden z nich, to znaczy z miejscowych, niejaki Jerry Sisco, zmarł dziś rano w szpitalu w Jonesboro. Miał pękniętą czaszkę.

Spruillowie poruszyli się niespokojnie: wszyscy z wyjątkiem Hanka, który ani drgnął. Było oczywiste, że nie wiedzieli o śmierci Jerry'ego.

Stick splunął i przestąpił z nogi na nogę; zdawało się, że lubi być w centrum uwagi i przemawiać głosem stróża prawa, takiego z odznaką i rewolwerem.

- Dlatego rozglądam się po okolicy, rozpytuję i próbuję ustalić, kto brał w tym udział.

- Na pewno nie my - odrzekł pan Spruill. - Jesteśmy spokojnymi ludźmi.

- Tak?

- Tak.

- Byliście wczoraj w mieście?

- Byliśmy.

Zaczęli łąać, więc ostrożnie wyjrzałem spomiędzy mamy i babci, żeby lepiej widzieć. Byli wyraźnie przestraszeni. Bo i Dale stali blisko siebie, nerwowo strzelając oczami. Tally nie chciała na nas patrzeć i wbiła wzrok w ziemię. Pan i pani Spruill nerwowo szukali przyjaznych twarzy. Trot jak zwykle uciekł do swojego świata.

- Macie syna imieniem Hank? - spytał Stick.

- Może - odparł pan Spruill.

- Tylko bez takich gierek - warknął rozeźlony Stick. - Ja zadaję pytania, a wy odpowiadacie, jasno i wyraźnie. W areszcie w Jonesboro jest bardzo dużo miejsca. Mogę tam zabrać całą rodzinę. Jasne?

- To ja jestem Hank Spruill! - zadudnił potężny głos. Hank wyszedł zza rodziców i braci i stanął na wyciągnięcie ręki przed Stickiem, który, choć o wiele od niego niższy, bynajmniej nie stracił rezonu.

Przyglądał mu się chwilę i spytał:

- Byłeś wczoraj w mieście?

- Byłem.

- Wdałeś się w bójkę za spółdzielnię?

- Nie. Ja ją udaremniłem.

- To ty pobiłeś Sisców?

- Nie wiem, jak się nazywali. Było ich dwóch. Katowali jednego z naszych, więc ich powstrzymałem.

Zadowolony z siebie, uśmiechał się beczelnie. Nie okazywał ani cienia strachu i, choć niechętnie, podziwiałem go, że tak odważnie stawił czoło przedstawicielowi prawa.

Stick rozejrzał się i zatrzymał wzrok na twarzy dziadka. Zwęszył trop i był z siebie bardzo dumny. Przesunął źdźbło trawy do drugiego kącika ust i ponownie spojrział na Hanka.

- Biłeś ich kijem?

- Nie musiałem.

- Odpowiedz na pytanie. Czy biłeś ich kijem?

- Nie - odparł bez wahania Hank. - To oni mieli kantówkę.

Naturalnie odpowiedź ta stała w jawnej sprzeczności z zeznaniami innych świadków.

- Chyba będę musiał cię aresztować - powiedział Stick, jednak nie sięgnął po wiszące u pasa kajdanki.

Pan Spruill zrobił krok w stronę dziadka.

- Jeśli on go zabierze, wyjeżdżamy stąd - oświadczył. - Natychmiast.

Dziadzio był na to przygotowany. Ludzie ze wzgórz słynęli z tego, że potrafili błyskawicznie zwinąć namioty i zniknąć, dlatego żaden z nas nie wątpił, że pan Spruill mówi serio. Nie minęłyby godzina i wyjechałoby do Eureka Springs; wróciliby do swojej krzakówki, w góry. Z pomocą samych Meksykanów obrobienie osiemdziesięciu akrów bawełny było po prostu niemożliwe. Liczył się każdy kilogram. Każda para rąk.

- Powoli, Stick, spokojnie - powiedział dziadek. - Pogadajmy. Obaj dobrze wiemy, że Siscowie to opryszki. Często się biją i biją się nieuczciwie. Wygląda na to, że trafiła kosa na kamień.

- Mam tam trupa, Eli. Rozumiesz?

- Po mojemu, dwóch na jednego to samoobrona. W takiej walce nie ma nic uczciwego.

- Ale spójrz tylko, jaki z niego bysior.

- Tak jak mówiłem, trafiła kosa na kamień. Dobrze wiemy, że Siscowie oberwaliby prędzej czy później. Wypytaj chłopaka, niech ci wszystko opowie.

- Nie jestem żadnym chłopakiem! - warknął Hank.

- Opowiedz, co się stało - odrzekł dziadzio, chcąc zyskać na czasie. Rozwlec, przedłużyć rozmowę i może Stick znajdzie jakąś wymówkę, żeby odjechać i wrócić dopiero za kilka dni?

- Mów - powiedział Stick. - Posłuchajmy. Nikt inny nie chce gadać.

Hank wzruszył ramionami.

- Poszedłem za spółdzielnię, zobaczyłem, jak tych dwóch kmiotków tłucze Doyle'a, więc się wtrąciłem.

- Kto to jest Doyle?

- Facet z Hardy.

- Znasz go?

- Nie.

- To skąd wiesz, skąd pochodzi?

- Po prostu wiem.

- Szlag by to! - Stick splunął Hankowi pod nogi. - Nikt nic nie wie. Nikt nic nie widział. Za spółdzielnię było pół miasta, ale nie, wszyscy, cholera, nagle oślepli.

- Wygląda na to, że było dwóch na jednego - powtórzył dziadek. - I nie przeklinaj. Jesteś na moim podwórzu i są tu kobiety.

- Przepraszam - mruknął Stick, dotykając kapelusza i skłaniając się lekko w stronę babci i mamy.

- Hank chciał ich tylko rozdzielić. - To był tata. Odezwał się dopiero teraz.

- To jeszcze nie wszystko, Jesse. Słyszałem, że po walce Hank chwycił kij i zaczął ich maltretować. Pewnie dlatego Jerry miał pękniętą czaszkę. Wiem, że dwóch na jednego to nie fair, wiem, że to Siscowie, ale nie jestem pewien, czy trzeba było go zabijać.

- Nikogo nie zabiłem - wtrącił Hank. - Rozdzieliłem ich. Poza tym było trzech na jednego, nie dwóch.

- Trzech? - powtórzył z niedowierzaniem Stick. Wszyscy znieruchomieli.

Dziadzio natychmiast wykorzystał okazję.

- Trzech na jednego - powiedział. - Nie możesz oskarżyć go o morderstwo. Jeśli było trzech na jednego, nie skaże go żadna ława przysięgłych w tym hrabstwie.

Przez chwilę wydawało się, że Stick się z tą opinią zgadza, ale nie, nie zamierzał tak szybko ustępować. Spojrzał na Hanka i spytał:

- Kim był ten trzeci?

- Nie pytałem ich o nazwisko, panie władzo - odparł sarkastycznie Hank. - Nie mieliśmy okazji powiedzieć sobie „Sie masz”. Walka trzech na jednego trochę trwa, zwłaszcza dla tego jednego.

Gdybyśmy wybuchnęli śmiechem, Stick by się zdenerwował, dlatego nikt nie chciał ryzykować. Pospuszczaliśmy tylko głowy i wykrzywiliśmy usta w uśmiechu.

- Nie bądź taki pyskаты, chłopcze! - warknął Stick, próbując dodać sobie rezonu. - Masz jakichś świadków? Chyba nie.

Dobry humor momentalnie pierzchł i zapadła długa cisza. Miałem nadzieję, że świadkami będą Bo albo Dale, że wystąpią z szeregu i oświadczą, że wszystko widzieli. Skoro okazało się już, że przyciśnięci do muru Spruillowie potrafią kłamać, logicznie założyłem, że któryś z nich szybko potwierdzi wersję brata. Ale nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Powolutku przesunąłem nogę w prawo i schowałem się za mamą.

I wtedy usłyszałem słowa, które miały odmienić moje życie. W stężonym powietrzu Hank rzucił:

- Mały Chandler to widział.

Mały Chandler omal nie zsiusiał się w majtki.

Kiedy otworzyłem oczy, wszyscy patrzyli tylko na mnie. Szczególnie przerażone były babcia i mama. Czuję się winny, wyglądałem jak winowajca i już wiedziałem, że wszyscy obecni na podwórzu bez zastrzeżeń wierzą Hankowi. Przecież byłem jego świadkiem! Widziałem tę bójkę.

- Chodź tu, Luke - powiedział dziadek.

Najwolniej jak to tylko było możliwe wyszedłem na środek kręgu. Zerknąłem na Hanka. Jego oczy błyszczały jak rozżarzone węgle. Uśmiechał się szyderczo, jak to on, i po wyrazie twarzy odgadłem, że już mnie ma, i że dobrze o tym wie. Spruillowie i Chandlerowie przesunęli się do przodu, jakby chcieli mnie otoczyć.

- Widziałeś tę bójkę? - spytał dziadek.

Od chwili, gdy zacząłem stawiać pierwsze samodzielne kroki, uczono mnie w szkółce niedzielnej, że kłamstwo prowadzi prosto do piekła. Że jeśli skłamię, nie będzie żadnych okrężnych dróg. Że nikt nie da mi drugiej szansy. Że wpadnę w ognistą otchłań, gdzie czeka szatan z Hitlerem, Judaszem Iskariotą, generałem Graniem i temu podobnymi. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu: oczywiście nie brzmiało to jak bezwzględny zakaz kłamania, ale baptyści tak to interpretowali. Poza tym kilka razy dostałem lanie za małe kłamstewka. Jedno z ulubionych powiedzonek babci brzmiało: „Powiedz prawdę i miej to z głowy”.

- Tak, dziadku.

- Co tam robiłeś?

- Ludzie mówili, że ktoś się bije, więc poszedłem popatrzeć. - Nie zamierzałem wciągać w to Dwayne'a, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Stick przyklęknął na jedno kolano, tak że jego puciołowata twarz znalazła się na wysokości mojej twarzy.

- Opowiedz, co widziałeś - powiedział. - I mów prawdę.

Spojrzałem na tatę, który stał tuż za mną. I na Dziadzia, który - co dziwne - wcale nie był na mnie zły.

Wciągałem do płuc powietrze, dopóki się całkowicie nie wypełniły, i zerknąłem na Tally, która uważnie mi się przyglądała. Potem popatrzyłem na płaski nos Sticka, na jego czarne, podpuchnięte oczy i powiedziałem:

- Jerry Sisco bił się z jakimś panem. Potem przyłączył się do nich brat Jerry'ego Billy i zaczęli tego pana strasznie bić. Wtedy wtrącił się pan Hank i mu pomógł.

- Więc było dwóch na jednego czy jeden na jednego? - spytał Stick.

- Nie, dwóch na jednego.
- A co się stało z tym mężczyzną?
- Nie wiem. Poszedł sobie. Myślę, że bardzo go bolało.
- Dobrze, mów dalej. Tylko pamiętaj: samą prawdę.
- Przecież on nie kłamie! - warknął dziadek.
- Mów.

Zerknąłem w lewo, żeby sprawdzić, czy Tally wciąż na mnie patrzy. Nie tylko patrzyła, ale się uśmiechała.

- I wtedy z tłumu wypadł Bobby Sisco i zaatakował pana Hanka. Było trzech na jednego, tak jak mówił pan Hank.

Tymczasem Hank wcale się nie odprężył. Wprost przeciwnie, patrzył na mnie jeszcze groźniejszym wzrokiem. Wybiegał myślą naprzód, jeszcze ze mną nie skończył.

- To chyba przesądza sprawę - powiedział dziadek. - Nie jestem prawnikiem, ale jeśli było trzech na jednego, wygrałbym proces przed każdą ławą przysięgłych.

Stick zignorował go i przysunął się do mnie jeszcze bliżej.

- A który z nich miał tę kantówkę? - spytał ze zwężonymi oczami, jakby było to najważniejsze z pytań.

- Mów prawdę, chłopcze! - wybuchnął nagle Hank. - Jeden z Sisców, tak?

Czułem na sobie wzrok mamy i babci. Wiedziałem też, że dziadek ma ochotę chwycić mnie za szyję, mocno potrząsnąć i wydusić ze mnie właściwą odpowiedź.

Stojąca dwa kroki dalej Tally błagała mnie wzrokiem. Patrzyli na mnie Bo i Dale, a nawet Trot.

- Mów, chłopcze! - warknął Hank.

Spojrzałem Stickowi w oczy i powoli, powolutku skinąłem głową. Było to nieśmiałe kłamstewko bez słów i kiedy już skinąłem głową raz, skinąłem nią po raz drugi i trzeci: kiwałem nią tak i kiwałem, kłamałem i kłamałem, a kłamiąc, zrobiłem więcej dla naszej bawełny niż pół roku dobrej pogody.

Balansowałem na skraju ognistej otchłani. Czekał na mnie szatan i czułem na twarzy jego gorący oddech. Postanowiłem, że kiedy tylko będę mógł, pobiegnę do lasu, żeby prosić Boga o przebaczenie. Że będę błagał go o łaskę. Podarował nam bawełnę, a my mieliśmy ją zbierać i chronić.

Stick powoli się wyprostował, ale wciąż patrzyliśmy sobie w oczy, ponieważ obaj wiedzieliśmy, że kłamię. Nie chciał aresztować Hanka Spruilla, przynajmniej nie w tej chwili. Po pierwsze, musiałby zakuć go w kajdanki, co mogłoby być dość paskudnym zadaniem. Po

drugie, rozsierzdziłby wszystkich farmerów.

Tata chwycił mnie za ramię i pchnął w stronę mamy i babci.

- Przestraszyłeś go na śmierć - powiedział ze sztucznym śmiechem, chcąc rozładować napięcie i ewakuować mnie stamtąd, zanim powiem coś nie tak.

- To dobry chłopiec? - spytał Stick.

- Mówi prawdę - odrzekł tata.

- Oczywiście, że mówi prawdę - dodał Dziadzio z odpowiednią dozą gniewu w głosie.

Prawda została właśnie gruntownie przenicowana.

- Popytam w mieście - powiedział Stick, idąc do samochodu. - Pewnie jeszcze tu wrócę.

Zatrzasnął drzwiczki starego radiowozu i odjechał. Patrzyliśmy za nim, dopóki nie zniknął nam z oczu.

## ROZDZIAŁ 10

Ponieważ w niedzielę nie pracowaliśmy, dom stawał się jakby mniejszy, bo rodzice i dziadkowie wykonywali nieliczne i lekkie zajęcia, które wolno nam było wykonywać. Próbowali spać, lecz z powodu upału szybko wstawali. Bywało, że kiedy atmosfera w domu gęstniała, wrzucali mnie na tył półciężarówki i jechaliśmy na długą przejażdżkę. W okolicy można było oglądać jedynie płaską ziemię, porośniętą bawełnianymi krzewami, nic więcej. Widok był dokładnie taki sam jak z naszej werandy. Niemniej, liczyło się to, że wyjeżdżaliśmy.

Wkrótce po rozmowie ze Stickiem zaprowadzono mnie do ogrodu i kazano zbierać warzywa. Szykowała się kolejna wyprawa. Napełniliśmy jarzynami dwa kartonowe pudła. Były tak ciężkie, że dźwigał je i ustawiał na skrzyni tata. Kiedy odjeżdżaliśmy, Spruillowie leżeli wyciągnięci na podwórzu, w różnych stadiach odpoczynku. Nie chciałem na nich patrzeć.

Siedziałem między pudłami i obserwowałem buchający spod kół pył: tworzył szare chmury, które szybko się wznosiły, zawisały nad drogą w ciężkim powietrzu i, ponieważ nie wiało, leniwie się rozpraszały. Znowu wszystko było gorące: drewniana podłoga ciężarówki, jej zardzewiała i nie pomalowana rama, a nawet kukurydza, ziemniaki i pomidory, które mama niedawno umyła. W naszej części Arkansas śnieg padał dwa razy do roku i tęskniłem za widokiem grubego, białego pledu, który pokrywał wtedy zimowe pola, nagie i nie porośnięte bawełną.

Pył przestał buchać dopiero nad rzeką, kiedy powolutku wjechaliśmy na most. Wstałem, żeby popatrzeć na wodę, na gęsty, brązowawy strumień, ledwo pełną wzdłuż brzegów. Na podłodze leżały dwie trzcinowe wędkę, bo tata obiecał, że trochę połowimy, kiedy już zawieziemy jedzenie Latcherom.

Latcherowie mieszkali niecałe dwa kilometry od nas, ale równie dobrze mogliby mieszkać w innym hrabstwie. Ich rozlatująca się chata stała na zakręcie rzeki, niemal na samym skraju bawełnianego pola pod wiązami i wierzbami, których gałęzie dotykały dachu. Wokół chaty nie było trawy, tylko okrągły placek wydeptanej ziemi, gdzie bawiło się stadko małych Latcherów. W duchu cieszyłem się, że mieszkają po drugiej stronie rzeki. W przeciwnym razie musiałbym bawić się z nimi.

Ich rodzice mieli trzydzieści akrów i połowę zbiorów oddawali właścicielowi ziemi. Zostawało im tyle co nic, dlatego klepali biedę. Nie mieli ani elektryczności, ani samochodu,

ani półciężarówki. Od czasu do czasu pan Latcher przychodził do nas i pytał dziadka, czy przy najbliższej okazji nie mógłby podrzucić ich do Black Oak.

Prowadząca do chaty droga była tak wąska, że nasz pikap ledwo się na niej mieścił i kiedy tylko stanęliśmy, na ganku zaroilo się od małych, umorusanych twarzy. Kiedyś naliczyłem ich siedmioro, ale dokładne policzenie wszystkich Latcherów graniczyło z niemożliwością. Trudno było odróżnić dziewczynki od chłopców; wszyscy mieli zmierzwione włosy, wąskie twarze i bladoniebieskie oczy i wszyscy chodzili w obszarpanych ubraniach.

Wycierając ręce w fartuch, z rozchwiezanego ganku zeszła pani Latcher. Z trudem wykrzesła z siebie słaby uśmiech.

- Dzień dobry, pani Chandler - powiedziała cicho. Była na bosaka i nogi miała cienkie jak patyczki.

- Jak się masz, Darło - odrzekła mama. Tata zabijał czas, przestawiając pudła na skrzyni, gdy panie wymieniały najnowsze ploteczki. Zgodnie z przewidywaniami, pan Latcher do nas nie wyszedł. Duma nie pozwoliłaby mu przyjąć od nas żywności. Wolał, żeby zajęły się tym kobiety.

Gdy mama i pani Latcher rozmawiały o bawelnie i o upale, ja, pod czujnym okiem zgromadzonej na ganku dzieciarni, odszedłem od ciężarówki i ruszyłem w stronę chaty, gdzie leniuchował w cieniu ich najwyższy brat. Miał na imię Percy i utrzymywał, że skończył dwanaście lat, lecz miałem co do tego pewne wątpliwości. Nie wyglądał na dwunastolatka, ale ponieważ Latcherowie nie chodzili do szkoły, nie mogłem porównać go z chłopakami w jego wieku. Był na bosaka i bez koszuli, skórę miał ciemnobrązową od długiego przebywania na słońcu.

- Cześć, Percy - powiedziałem, lecz on się nie odezwał. Połownicy byli zabawni. Czasami coś mówili, a czasami tylko gapili się na nas pustym wzrokiem, jakby chcieli zostać sami.

Popatrzyłem na ich dom, mały i pudełkowaty, i po raz kolejny pomyślałem, jak też można mieszkać w takiej ciasnocie. Był niewiele większy od naszej szopki na narzędzia. W pootwieranych na oścież oknach nieruchomo wisały wystrzępione firanki. Nie było siatek na muchy i komary, a w domu na pewno nie mieli wentylatora, który mógłby rozbełtać stężałe powietrze.

Bardzo im współczułem. Babcia lubiła cytować Pismo Święte: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebios”. I drugi cytat: „Albowiem ubogich zawsze u siebie mieć będziecie”. To wszystko prawda, ale życie w takich warunkach wydawało mi się okrutne. Nie mieli butów, chodzili w starych, zniszczonych ubraniach, wstydziło się jeździć do

miasta. A ponieważ brakowało elektryczności, nie mogli też słuchać transmisji radiowych z meczów Stana Musiala.

Percy nigdy nie miał ani rękawicy baseballowej, ani kija. Nigdy nie grał w baseball z tatą i nigdy nie marzył o pokonaniu Jankesów. Pewnie nie marzył nawet o życiu z dala od bawełnianych pól. Myśl ta niemal mnie dobiła.

Tata zdjął ze skrzyni pierwsze pudło i mama zaczęła pokazywać, co w nim jest. Dzieci Latcherów zeszyły stopień niżej, lecz wciąż stały na schodach ganku. Percy ani drgnął; patrzył na pole, wypatrując czegoś, czego ani on, ani ja nie mogliśmy dostrzec.

W domu była dziewczyna. Miała na imię Libby. Skończyła piętnaście lat, była najstarsza z rodzeństwa i po mieście krążyły plotki, że jest w ciąży. Nazwiska ojca jak dotąd nie ustalono; ponoć nie chciała go nikomu ujawnić i nawet rodzicom nie powiedziała, kto zrobił jej dziecko.

Mieszkańcy Black Oak wychodzili z siebie. Wiadomości wojenne, bójka na pięści, rak krwi, wypadek samochodowy, ciąża z legalnego związku: mężczyźni, a zwłaszcza kobiety rozmawiały o tym aż furczało. Ktoś umarł, miał ładny pogrzeb - gadano o tym całymi dniami. Aresztowanie najniegodziwszego z niegodziwców roztrząsano tygodniami. Ale to, że piętnastoletnia dziewczyna - nie szkodzi, że córka najuboższych dzierżawców - miała urodzić bękarta, było czymś tak niezwykłym, że miasto dosłownie oniemiało. Sęk w tym, że faktu zajścia w ciążę jeszcze nie potwierdzono. Tylko o tym mówiono, ale pogłoski to nie to samo co fakt. Ponieważ Latcherowie nigdy nie opuszczali farmy, trudno było znaleźć rozstrzygający dowód. My mieszkaliśmy najbliżej, dlatego mamie przypadła rola detektywa.

Wciągnęła mnie do spisku. Opowiedziała mi o krążących po mieście plotkach, a ponieważ od urodzenia widywałem parzące się i rodzące zwierzęta, mniej więcej wiedziałem, o co chodzi. Mimo to jakoś mnie do tego nie ciągnęło. Nie byłem też pewien, po co właściwie trzeba tę ciążę potwierdzać. Mówiono o tym tyle, że całe miasto od dawna wierzyło, iż biedna dziewczyna spodziewa się dziecka. Tajemnicą pozostawała jedynie tożsamość ojca.

- Mnie w to nie wrobią - powiedział kiedyś Dziadzio i wszyscy starcy gawędzący przed spółdzielnią ryknęli śmiechem.

- Jak tam bawełna? - spytałem jak prawdziwy farmer prawdziwego farmera.

- Rośnie - odparł Percy, ruchem głowy wskazując zaczynające się krok dalej pole. Popatrzyłem na krzewy, które wyglądały dokładnie tak samo jak nasze. Mnie płacono dolara i sześćdziesiąt centów za czterdzieści pięć kilogramów. Dzieciom takim jak on nie płacono nic.

Ponownie spojrzałem na dom, na okna, na firanki, na wykoślawione deski, a potem na podwórze, na suszące się na sznurach pranie. Zerknąłem nawet na wąską ścieżkę prowadzącą

do rzeki, ale tam też nie było ani śladu Libby. Pewnie trzymali ją pod kluczem, w pokoju, którego strzegł pan Latcher ze strzelbą. Pewnego dnia jego córka urodzi i nikt się o tym nie dowie. A po podwórzu będzie biegało jeszcze jedno gołe dziecko.

- Mojej siostry tu nie ma - rzucił Percy, wciąż spoglądając w dal. - To jej szukasz.

Rozdziawiłem usta, zapiekły mnie policzki.

- Co? - Niczego więcej nie zdołałem wykrztusić.

- Nie ma jej tu. A teraz uciekaj do samochodu.

Odszedłem. Tata wniósł na ganek drugie pudło warzyw.

- Widziałeś ją? - szepnęła mama, wsiadając do samochodu. Pokręciłem głową.

Kiedy odjeżdżaliśmy, dzieciaki tłoczyły się wokół pudeł, jakby od tygodnia nie miały nic w ustach.

Wiedziałem, że za kilka dni wrócimy tam z kolejnymi pudłami, żeby podjąć drugą próbę zweryfikowania plotek. Dopóki Latcherowie trzymali Libby w ukryciu, głód im raczej nie groził.

Tata mówił, że rzeka Świętego Franciszka ma piętnaście metrów głębokości i że przy podtrzymujących most palach żyją prawie trzydziestokilogramowe zębaczki, które pożerają wszystko, co pływa. Były wielkimi, paskudnymi rybami, padlinożercami, które ruszały się z miejsca dopiero wtedy, kiedy jedzenie przepływało tuż przed ich pyskiem. Niektóre żyły dwadzieścia lat. Rodzinna legenda głosiła, że jednego z takich potworów złapał trzynastoletni Ricky. Zębacz ważył prawie dwadzieścia kilogramów i kiedy Ricky rozpruł mu nożem brzuch, na klapę półciąężarówki dziadka wypadły różne przedmioty: świeca zapłonowa, szklana kulka, mnóstwo na wpół strawionych cierników, dwie jednocentówki oraz podejrzana substancja, która po bliższych oględzinach okazała się ludzką kupą.

Babcia już nigdy więcej nie usmażyła zębacza. Dziadek w ogóle przestał jeść ryby.

Założyłem na haczyk czerwonego robaka, stanąłem na piaszczystej łasze i zarzuciłem wędkę. Polowałem na leszcze i samogłowy, których było tam pełno i które dobrze brały. Brodząc na bosaka w ciepłej, skłębionej wodzie, od czasu do czasu słyszałem krzyk mamy:

- Za daleko, Luke!

Słońce przesłaniały rosnące na brzegu dęby i wierzby. Rodzice siedzieli w cieniu, na jednej z łaciatych narzut, które szyły zimą kobiety w kościele, i jedli melona z naszego ogrodu.

Rozmawiali bardzo cicho, niemal szeptem. Nie próbowałem ich podsłuchiwać, ponieważ była to jedna z nielicznych chwil - przynajmniej podczas zbiorów - kiedy mogli być sami. W nocy, po całym dniu pracy, szybko zapadali w twardy sen, dlatego rzadko kiedy

rozmawiali w łóżku. Czasami siadywali po ciemku na werandzie, czekając, aż upał zelżeje, ale tak naprawdę nie byli wtedy sami.

Bałem się rzeki na tyle, że nigdy nie ryzykowałem. Jeszcze nie umiałem pływać, bo ciągle czekałem na Ricky'ego. Obiecał, że mnie nauczy, kiedy skończę osiem lat. Trzymałem się blisko brzegu, gdzie woda sięgała mi kostek.

Ludzie często się tu topili i przez całe życie słyszałem barwne opowieści o dorosłych, którzy na oczach przerażonej rodziny zapadali się w ruchomych piaskach, porywała ich woda. Spokojna rzeka mogła się w każdej chwili wzburzyć, ale nigdy nie widziałem tego na własne oczy. To właśnie nad brzegami rzeki Świętego Franciszka rozegrała się ta słynna tragedia, chociaż nigdy nie ustalono jej dokładnego miejsca, gdyż każdy z opowiadających podawał inne. Na piaszczystej mieliźnie siedziało małe dziecko, gdy wtem piach się zapadł, dziecko pograżyło się w odmętach i szybko poszło na dno. Widząc to, jego starszy brat wskoczył do wzburzonej rzeki tylko po to, żeby ulec i dać się porwać silnemu prądowi. Ich krzyki usłyszała najstarsza siostra: ona też wbiegła do rzeki i zanim przypomniała sobie, że nie umie pływać, stała już po pas w wodzie. Mimo to dzielnie parła naprzód, krzycząc, żeby bracia się trzymali, zaraz ich wyciągnie. Ale w tej samej chwili piach się zapadł, jak podczas trzęsienia ziemi, i woda popłynęła w kilku kierunkach naraz.

Prąd unosił dzieci coraz dalej od brzegu. Ich matka, która była albo nie była w ciąży, i która umiała albo nie umiała pływać, robiła pod drzewem lunch, gdy raptem usłyszała krzyk synów i córki. Rzuciła się do rzeki i wkrótce też poszła na dno.

Ojciec, który łowił ryby z mostu, usłyszał głośny plusk i krzyki i żeby nie tracić czasu, zamiast pobiec na brzeg, skoczył z mostu do wody i skręcił sobie kark.

Zginęła cała rodzina. Kilka ciał znaleziono, pozostałych nie. Pewnie pożarły je zębacze albo spłynęły do morza, bez względu na to, gdzie to morze jest. Było mnóstwo teorii, które próbowały wyjaśnić, co się stało ze zwłokami tych nieszczęśników, chociaż, co dziwne, nikt nie znał ich nazwiska.

Historię tę powtarzano od dziesięcioleci, żeby dzieciaki takie jak ja nigdy nie lekcewały niebezpieczeństw czyhających w rzece. Ricky też ją opowiadał, próbując mnie nastraszyć, ale często myliły mu się szczegóły. Mama mówiła, że to bajka.

Nawet brat Akers wplótł tę opowieść w kazania, by pokazać, w jaki sposób szatan sieje na ziemi nieszczęście i strapienie. Akurat wtedy nie spałem i uważnie słuchałem, więc kiedy opuścił kawałek o skręconym karku, doszedłem do wniosku, że on też przesadza.

Mimo to nie chciałem się utopić. Ryby brały, głównie małe samogłowy, które zdejmowałem z haczyka i wrzucałem z powrotem do wody. Siedziałem na pniu drzewa nad

brzegiem małej zatoczki i wyciągałem rybę za rybą. Bawiłem się niemal tak dobrze jak podczas gry w baseball. Popołudnie powoli mijało i cieszyłem się tą chwilą samotności. Na farmie było pełno obcych. Pola obiecywały harówkę. Widziałem, jak zabijają człowieka, i wbrew woli wpadłem w to wszystko niczym śliwka w kompot.

Cichy szum płytkiej wody koił nerwy. Dlaczego nie mogłem łowić przez cały dzień? Albo siedzieć w cieniu nad rzeką. Robić wszystko inne, byle tylko nie zbierać bawełny. Nie zamierzałem zostać farmerem. Nie potrzebowałem wprawy.

- Luke - zawołał z brzegu tata. Odłożyłem wędkę i podszedłem do drzewa.

- Tak, tatusiu.

- Usiądź. Porozmawiajmy.

Usiadłem na brzegu narzuty, jak najdalej od nich. Nie robili wrażenia rozgniewanych; wprost przeciwnie, mama miała łagodną twarz.

Ale zaniepokoił mnie surowy głos taty.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam o tej bójce?

Znowu ta bójka: bójka, o której nikt nie chciał zapomnieć.

Byłem przygotowany na to pytanie.

- Chyba się bałem.

- Czego?

- Że ktoś przyłapie mnie za spółdzielnię na oglądaniu bijatyki.

- Dlatego że ci zabroniłam? - spytała mama.

- Tak, mamó. Bardzo przepraszam.

Oglądanie bójki nie było aktem największego nieposłuszeństwa i wszyscy troje dobrze o tym wiedzieliśmy. Niby co mieli robić chłopcy w sobotę po południu, kiedy w mieście roilo się od podekscytowanych ludzi? Gdy powiedziałem, że bardzo przepraszam, mama posłała mi lekki uśmiech. Usiłowałem wyglądać najżałośniej, jak tylko umiałem.

- Nie martwi mnie za bardzo, że poszedłeś popatrzeć, jak się biją - powiedział tata. - Ale tajemnice mogą wpędzić cię w kłopoty. Powinieneś był mi powiedzieć, co widziałeś.

- Widziałem bójkę. Nie wiedziałem, że Jerry Sisco umrze.

Logika mojego rozumowania trochę go zaskoczyła.

- Powiedziałeś Stickowi prawdę? - spytał po chwili.

- Tak, tato.

- Czy to jeden z Sisców chwycił kij czy Hank Spruill?

Gdybym powiedział prawdę, przyznałbym, że poprzednio skłamałem. Kłamać czy nie: oto odwieczne pytanie. Postanowiłem zamazać obraz wydarzeń.

- Szczerze mówiąc, wszystko działo się bardzo szybko. Oni padali, fruwali na wszystkie strony. Hank rzucał nimi jak zabawkami. A ludzie podskakiwali i wrzeszczeli. No i wtedy zobaczyłem ten kij.

Ku memu zaskoczeniu ta odpowiedź go zadowoliła. Ostatecznie miałem tylko siedem lat i utknąłem w tłumie widzów oglądających potworną jatkę za spółdzielnią. Czy to dziwne, że nie byłem pewien, co się tam działo?

- Z nikim o tym nie rozmawiaj, dobrze? Absolutnie z nikim.

- Dobrze, tato.

- Mali chłopcy, którzy ukrywają coś przed rodzicami, mają duże kłopoty - dodała mama. - Zawsze możesz nam powiedzieć.

- Tak, mamó.

- A teraz idź, połów jeszcze - rzucił tata i biegiem wróciłem nad zatoczkę.

## ROZDZIAŁ 11

Nowy tydzień zaczął się w półmroku. Spotkaliśmy się przy traktorze, żeby odbyć kolejną przejażdżkę na pole, przejażdżkę z każdym dniem krótszą, ponieważ zbierając bawełnę, powoli przesuwaliliśmy się w kierunku domu.

Nie padło ani jedno słowo. Czekало nas pięć dni harówki w palącym słońcu i dopiero potem miała nadejść sobota, która w poniedziałek zdawała się równie odległa jak Boże Narodzenie.

Spod fotela kierowcy zerknąłem w dół, modląc się, żeby Spruillowie jak najszybciej wyjechali. Siedzieli zbici w gromadkę, śpiący i półprzytomni, tak samo jak ja. Trot został w domu. W niedzielę wieczorem pan Spruill spytał dziadka, czy Trot mógłby spędzić dzień na naszym podwórzu. „Nie wytrzymał upału” - wyjaśnił. Dziadzio miał Trota gdzieś. Na polu chłopak nie był wart złamanego centa.

Kiedy traktor się zatrzymał, wzięliśmy worki i zniknęliśmy między rzędami krzewów. Tu też nikt się do nikogo nie odezwał. Godzinę później zaczęło przypiekać i pomyślałem o Trocie, który bumelował w cieniu drzew, śpiąc, kiedy tylko miał ochotę i ciesząc się, że nie musi pracować. Może i brakowało mu piątej klepki, ale moim zdaniem był najbystrzejszym ze wszystkich Spruillów.

Kiedy zbieraliśmy bawełnę, czas stawał w miejscu. Dni wlokły się w nieskończoność, a każdy kolejny wór wypełniał się wolniej od poprzedniego.

W czwartek przy kolacji dziadek oznajmił:

- W sobotę zostaniemy w domu.

Omal się nie rozpląkałem. Nie dość, że przez cały tydzień tyrałem w polu, to jeszcze w okrutny sposób odebrano mi nagrodę w postaci filmu i prażonej kukurydzy. No i co z moją cotygodniową coca-colą?

Zapadła długa chwila ciszy. Mama uważnie mnie obserwowała. Nie była zaskoczona i odniosłem wrażenie, że dorośli już tę sprawę omówili. Urządzali to przedstawienie tylko ze względu na mnie.

Co mam do stracenia? - pomyślałem. Zacisnąłem zęby i spytałem:

- Dlaczego?

- Bo tak mówię - odparował dziadek i już wiedziałem, że wkraczam na bardzo cienki lód.

Spojrzałem na mamę. Miała na twarzy dziwny uśmiech.

- Boi się dziadek Sisców? - spytałem przekonany, że któryś z dorosłych chwyci mnie zaraz za kark.

Ponownie zapadła martwa cisza. Tata odchrząknął.

- Przez jakiś czas - powiedział - Spruillowie nie powinni pokazywać się w mieście. Tak będzie dla nich lepiej. Rozmawialiśmy już z panem Spruillem i uzgodniliśmy, że w sobotę wszyscy zostaniemy w domu. Meksykanie też.

- Ja się nikogo nie boję, synu - warknął Dziadzio. Nie chciałem na niego patrzeć. - I nie odszczekuj - dorzucił, żeby postawić kropkę nad „i”.

Mama wciąż się uśmiechała i skrzyły jej się oczy. Była ze mnie dumna.

- Potrzebuję paru rzeczy ze sklepu - powiedziała babcia. - Mąki i cukru.

- Pojadę - odrzekł dziadek. - Meksykanie też będą czegoś chcieli.

Potem wyszli, by jak co wieczór posiedzieć na werandzie, ale ja byłem zbyt urażony, żeby do nich dołączyć. Leżałem na podłodze w pokoju Ricky'ego, słuchając przez okno transmisji radiowej z meczu Kardynałów i nie zwracając uwagi na ciche, leniwe głosy dorosłych. Próbowałem wymyślić nowy sposób nienawidzenia Spruillów, lecz wkrótce przytłoczył mnie ciężar ich karygodnych czynów. Nie wiedząc kiedy znieruchomiałem i usnąłem. Tam, na podłodze.

Sobotni lunch był zwykle radosnym wydarzeniem. Koniec całotygodniowej harówki. Jechaliśmy do miasta. A jeśli udało mi się przeżyć kąpiel, życie było naprawdę cudowne, nie szkodzi, że tylko przez kilka godzin.

Ale w tę sobotę żadnej radości nie było.

- Kończymy o czwartej - oznajmił dziadek, jakby robił nam wielką przysługę. Też mi coś. Ledwie godzinę krócej niż zwykle. Miałem ochotę spytać go, czy będziemy tyrać i w niedzielę, ale wystarczyło już, że podpadłem mu w czwartek. On nie zwracał uwagi na mnie, ja nie zwracałem uwagi na niego. Mogliśmy tak cały tydzień.

Tak więc zamiast jechać do Black Oak, pojechaliśmy do roboty. Nawet Meksykanie byli tym poirytowani. Dojechawszy na miejsce, wzięliśmy worki i powoli rozeszliśmy się po polu. Trochę pozbierałem, długo się objąłem i kiedy tamci odeszli nieco dalej, uciąłem sobie drzemkę. Mogli zabronić mi wyjazdu do miasta, zapędzić mnie na pole, ale nie mogli zmusić mnie do harówki. Myślę, że tego popołudnia wielu z nas ukradkiem drzemało.

Znalazła mnie i odprowadziła do domu mama. Szliśmy tylko we dwoje, ona i ja. Mama nie czuła się najlepiej, rozumiała też niesprawiedliwość, jaka mnie spotkała. W ogrodzie

zebraliśmy warzywa, ale tylko trochę. Przecierpiałem i przeżyłem zniechęcającą kąpiel. Czysty i odświeżony wyszedłem na podwórze, gdzie czuwał Trot, pilnując rodzinnego obozowiska. Nie mieliśmy pojęcia, co robi cały dzień; tak naprawdę nikogo to nie obchodziło. Byliśmy zbyt zajęci, żeby się nim przejmować. Siedział za kierownicą ich ciężarówki. Udawał, że prowadzi, warcząc przy tym i prychnając. Zamilkł, zerknął na mnie, po czym wrócił do swego prychnania.

Kiedy usłyszałem dudnienie traktora, wszedłem do domu. Mama leżała na łóżku, co za dnia nigdy się jej nie zdarzało. Zewsząd dobiegały mnie głosy: zmęczone głosy z podwórza, gdzie odpoczywali Spruillowie, i głosy Meksykanów wlokących się do stodoły. Z rękawicą na dłoni i z piłką w drugiej ręce przez jakiś czas ukrywałem się w pokoju Ricky'ego, myśląc o Dewaynie, o bliźniakach Montgomerych i o pozostałych kumplach, którzy siedzieli teraz w kinie, oglądali film i jedli prażoną kukurydzę.

Zaskrzypiały drzwi i w progu stanął Dziadzio.

- Jadę do Popa i Pearl - powiedział. - Chcesz jechać ze mną?

Nie podnosząc wzroku, pokręciłem głową.

- Kupię ci coca-cole.

- Nie, dziękuję - odrzekłem, wciąż gapiąc się w podłogę.

Eli Chandler nie błagałby o litość, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, dlatego nie zamierzał prosić o nic siedmiolatka. Drzwi się zamknęły i chwilę później zawarczał silnik pikapu.

Mając dość podwórza od strony drogi, wyszedłem na podwórze za domem. Koło silosu, gdzie mieli obozować Spruillowie, był porośnięty trawą placyk, gdzie od biedy mogłem pograć w baseball. Był krótszy i węższy od tego przed domem, ale sięgał skraj pola. Podrzucałem piłkę najwyżej, jak umiałem, łapałem ją i zrobiłem sobie przerwę dopiero wtedy, gdy udało mi się złapać dziesięć kolejnych piłek.

Jak spod ziemi na placyku wyrósł Miguel. Obserwował mnie przez chwilę, dlatego stremowany trzy razy skusiłem. Potem rzuciłem mu piłkę, ale lekko, ostrożnie, bo nie miał rękawicy. Złapał ją bez wysiłku i odrzucił. Chwyciłem ją, upuściłem, kopnąłem, wreszcie odrzuciłem, tym razem trochę mocniej.

Przed rokiem dowiedziałem się, że wielu Meksykanów gra w baseball, i było oczywiste, że Miguel się na tym zna. Ręce miał szybkie i zwinne, rzuty silniejsze od moich. Rzucaliśmy do siebie przez kilka minut, a potem przyłączyli się do nas Rico, Pepe i Luis.

- Masz kij? - spytał Miguel.

- Jasne - odrzekłem i popędziłem do domu. Kiedy wróciłem, okazało się, że na

podwórzu są też Roberto i Pablo, i że moja piłka fruwa na wszystkie strony.

- Odbijasz - powiedział Miguel, przejmując dowodzenie. Trzy metry przed silosem położył na ziemi kawałek starej deski i dodał: - Baza domowa.

Pozostali rozbiegli się po polu wewnętrznym. Pablo, środkowo zapolowy, stał przy pierwszych krzewach bawełny, Rico, łapacz, przykucnął za mną, a ja, pałkarz, stanąłem po prawej stronie bazy domowej. Miguel zakręcił ramieniem, wziął potężny zamach i śmiertelnie mnie przeraził, lecz rzucił lekko i miękko. Odciągnąłem pałkę, uderzyłem ze wszystkich sił i chybiłem.

Chybiłem jeszcze trzy razy, a potem dwa razy trafiłem. Ilekroć trafiałem, Meksykanie śmiali się i wesoło pokrzykiwali, lecz milkli, kiedy pudłowałem. Po kilku minutach rozgrzewki przekazałem kij Miguelowi i zamieniliśmy się miejscami. Zacząłem od paru szybkich, co bynajmniej nie zbiło go z tropu. Uderzał ostro, puszczając silne, płaskie szczury i wysokie świece, które Meksykanie albo wylapywali, albo po prostu przepuszczali. Większość z nich znała się na baseballu, ale dwóch rzucało pierwszy raz w życiu.

Pozostali czterej usłyszeli krzyki i wyszli ze stodoły. Kowboj był bez koszuli i miał podwinięte do kolan spodnie. Zdawało się, że jest o trzydzieści centymetrów wyższy od swoich kolegów.

Potem uderzał Luis. Nie był tak doświadczonym graczem jak Miguel i bez trudu wyrolowałem go paroma zmyłkami. Ku mojej radości zauważyłem, że spod drzewa obserwują nas Tally i Trot.

Nadszedł też tata.

Im dłużej graliśmy, tym bardziej byliśmy ożywieni, zwłaszcza Meksykanie. Wesoło krzyczeli i naśmiewali się ze swoich błędów. Jeden Bóg wie, co mówili o moich.

- Zagrajmy mecz - zaproponował tata.

Nadeszli Bo i Dale; oni też byli bez koszul i na bosaka. Tata wdał się w rozmowę z Miguelem i po krótkiej naradzie ustalili, że Meksykanie zagrają przeciwko reprezentacji stanu Arkansas i że Rico będzie wylapywał i dla nich, i dla nas. Pobiegnę do domu, tym razem po starą rękawicę taty i zapasową piłkę.

Kiedy wróciłem, okazało się, że dołączył do nas Hank, który też chciał zagrać. Mieliśmy być w tej samej drużynie, co nieszczególnie mnie ucieszyło, ale oczywiście nie mogłem się temu sprzeciwić. Nie wiedziałem też, co zrobimy z Trotem. No, a Tally była dziewczyną. Co za hańba: dziewczyna w drużynie. Ale Meksykanie i tak mieli przewagę liczebną.

Kolejna narada i postanowiono, że będziemy atakować jako pierwsi.

- Macie u siebie mikrusów - wyjaśnił z uśmiechem Miguel.

Starymi deskami oznaczono kilka baz i tata ustalił z przeciwnikami zasady gry, które, jak na tak marne boisko, musiały być bardzo twórcze. Gotowi do obrony Meksykanie rozbiegli się po polu wewnętrznym.

Ku memu zdziwieniu do gry przygotowywał się również Kowboj. Był szczupły, lecz dobrze zbudowany i kiedy rzucał, grały mu wszystkie mięśnie piersi i ramion, a skóra lśniła od potu.

- Dobry jest - powiedział cicho tata.

Zamach miał silny i płynny, wyrzut niemal nonszalancki, mimo to piłka śmigła jak pocisk i raz po raz lądowała w rękawicy Rica. Narzucał coraz mocniej i mocniej.

Tata pokręcił głową.

- Bardzo dobry - szepnął. - Musiał dużo grać.

Ktoś powiedział:

- Dziewczeta mają pierwszeństwo.

Tally podniosła pałkę. Była na bosaka, w obcisłych, podwiniętych do kolan spodniach i w związanej na brzuchu luźnej koszuli; widziałem jej brzuch. Początkowo nie patrzyła na Kowboja, za to on nie odrywał od niej oczu. Zrobił krok w stronę bazy domowej i rzucił wolną od dołu. Tally chybiła, lecz uderzenie było całkiem niezłe, przynajmniej jak na dziewczynę.

Na sekundę spotkali się wzrokiem. On pocierał piłkę, ona wymachiwała kijem, a Meksykanie gadali, brzęcząc jak szarańcza.

Drugi narzut był jeszcze wolniejszy i Tally trafiła. Piłka potoczyła się do Pepe, który czuwał przy trzeciej bazie, i mieliśmy już pierwszego biegacza.

- Twoja kolej, Luke - powiedział tata.

Wyszedłem na boisko z miną Stana Musiala, w nadziei, że Kowboj mnie nie zabije. Skoro potraktował ulgowo Tally, myślałem, na pewno potraktuje tak i mnie. Zająłem miejsce i wsłuchałem się w ryk tysięcy kibiców skandujących moje imię. Nabity stadion, głos Harry'ego Caraya wrzeszczącego do mikrofonu - spojrzałem na stojącego dziewięć metrów dalej Kowboja i serce mi zamarło. Bo Kowboj się nie uśmiechał, wprost przeciwnie. Trzymał piłkę obiema rękami i wyglądał tak, jakby miał ochotę odstrzelić mi głowę.

Co zrobiliby teraz Stan Musial? Wziąłby zamach, idioto!

Pierwszy narzut: wolna od dołu. Odetchnąłem. Piłka była za wysoka, więc nawet nie uderzyłem; chór Meksykanów odpowiednio to skomentował. Drugi narzut: piłka na tors. Wziąłem potężny zamach, chcąc posłać ją za mur stadionu, na sto piąty metr. Zamknąłem oczy i uderzyłem ze wszystkich sił: dla trzydziestu tysięcy szczęśliwców na trybunach Sportsman's

Park. I dla Tally.

- Strajk! - krzyknął tata; zrobił to chyba odrobinę za głośno. - Luke, chcesz ją rozwalić czy co?

No jasne, że chciałem. Spróbowałem to zrobić w drugim narzucie i kiedy Rico podał mi piłkę, z przerażeniem spostrzegłem, że grozi mi wyautowanie. Wyautowanie: rzecz nie do pomyślenia. Tally trafiła. Stała na pierwszej bazie, czekając, aż też trafię i będzie mogła przeskoczyć na drugą. Graliśmy na moim podwórku, moją piłką i moim kijem. Wszyscy patrzyli tylko na mnie.

Odwrociłem się i coraz bardziej przerażony zrobiłem kilka kroków przed siebie. Pałka stała się nagle dużo cięższa. Serce waliło mi jak młotem, zaschło mi w ustach. Spojrzałem na tatę, szukając u niego ratunku.

- Dalej, Luke - powiedział. - Uderz ją.

Popatrzyłem na Kowboja, który wykrzywił się w paskudnym uśmiechu. Nie wiedziałem, czy jestem przygotowany na to, co mi szykował.

Wróciłem na miejsce, zacisnąłem zęby i spróbowałem pomyśleć o Stanie Musiale, lecz Musiał nie przyszedł mi z pomocą i spudłowałem po raz trzeci. Na boisku zapadła martwa cisza. Upuściłem pałkę, podniosłem ją i poszedłem na skraj boiska, gdzie czekała moja drużyna. Nic nie słyszałem, drżała mi dolna warga i z trudem powstrzymałem się od płaczu. Nie śmiałem spojrzeć ani na Tally, ani na tatę.

Miałem ochotę uciec do domu i pozamykać na klucz wszystkie drzwi.

Po mnie uderzał Trot. Chwycił pałkę prawą ręką, tuż pod naklejką. Lewa zwisała bezwładnie wzdłuż boku i widok biednego dzieciaka, który próbuje wziąć zamach, trochę nas zażenował. Lecz Trot uśmiechał się od ucha do ucha, ciesząc się, że może zagrać, i w tej chwili to było najważniejsze. Dwa razy spudłował i pomyślałem, że Meksykanie dadzą nam popalić aż miło. Ale za trzecim razem - Kowboj rzucił mu łagodnego loba - jakimś cudem trafił i piłka wylądowała za drugą bazą, gdzie czterech Meksykanów zrobiło wszystko, żeby jej od razu nie złapać. Tally zaliczyła dwójkę i śmignęła na trójkę, a Trot poczłapał na jedynekę.

Moje poniżenie, już i tak olbrzymie, wzrosło jeszcze bardziej. Trot na pierwszej bazie, Tally na trzeciej, a ja poza linią boiska.

Po Trocie uderzał Bo, a ponieważ był najroślejszy z nastolatków i nie miał widocznych ułomności fizycznych, Kowboj go nie oszczędzał. Pierwsza piłka nie była zbyt szybka, ale zanim minęła linię bazy domowej, biedny Bo zadygotał ze strachu. Uderzył dopiero wtedy, kiedy wylądowała w rękawicy Rica i Hank ryknął śmiechem. Bo kazał mu się zamknąć, Hank mu odszczeknął i pomyślałem, że zaraz wezmą się za łby.

Druga piłka była trochę szybsza i pałka śmignęła za nisko.

- Niech rzuci mi spod ręki! - krzyknął do nas Bo, próbując zbyć ten fakt śmiechem.

- Co za mięczak - mruknął Hank. Do widzów dołączyli jego rodzice i Bo posłał im nerwowe spojrzenie.

Myślałem, że trzecia piłka będzie jeszcze szybsza - podobnie myślał Bo - tymczasem Kowboj rzucił wolną i Bo machnął kijem, zanim do niego doleciała.

- Ten Meksykanin jest świetny - powiedział tata.

- Teraz ja- oznajmił Hank, odsuwając na bok Dale'a, który nawet nie zaprotestował. - Pokażę wam, jak się gra.

Pałka wyglądała w jego rękach jak wykałaczką, a on wymachiwał nią na wszystkie strony tak potężnie, jakby zamierzał posłać piłkę na drugi brzeg rzeki. Pierwszy narzut był tak szybki, że Hank nie zdążył nawet drgnąć. Piłka plasnęła w rękawicę Rica i z tłumy Meksykanów buchnęły szydercze okrzyki, na szczęście po hiszpańsku.

- Rzuć wyżej! - wrzasnął Hank i spojrzał w lewo, szukając u nas aprobaty. Miałem nadzieję, że Kowboj wpakuje mu piłkę w ucho.

Drugi narzut był o wiele silniejszy. Hank uderzył i spudłował. Rico odrzucił piłkę do Kowboja, a ten chwycił ją i zerknął na trzecią bazę, gdzie czekała Tally.

Potem wziął zamach, rzucił szybką podkręconą i gdyby Hank nie upuścił kija i się nie pochylił, oberwałby prosto w głowę. Piłka zawisła w powietrzu i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spadła tuż za linią bazy domowej. Meksykanie ryknęli śmiechem.

- Strajk! - wrzasnął z dwójki Miguel.

- Akurat! - odkrzyknął z zaczerwienioną twarzą Hank.

- Tylko bez sędziowania, panowie - wtrącił się tata. - Strajk byłby wtedy, gdyby Hank uderzył i spudłował.

Kowbojowi było wszystko jedno. Miał w zapasie jeszcze jedną sztuczkę. Początkowo zdawało się, że piłka jest szybka, lecz dość lekka i że spadnie dokładnie na środek bazy domowej. Hank wziął potężny zamach. Jednakże w tej samej chwili piłka gwałtownie skręciła w dół, błyskawicznie spadła, odbiła się od ziemi i wylądowała w rękawicy Rica. Kij przeciął powietrze. Hank stracił równowagę, upadł i kiedy Meksykanie ponownie ryknęli śmiechem, myślałem, że ich wszystkich pozabija. Ale nie, wstał, łypnął spode łba na Kowboja, wymamrotał coś i zajął pozycję.

Dwa strajki, dwóch zawodników w polu. Kowboj wykończył go kolejną szybką. Hank bezradnie machnął pałką i cisnął nią w ziemię.

- Nie rzucaj! - powiedział głośno tata. - Nie umiesz zachować się po sportowemu, to nie

graj. - My wchodziliśmy na pole wewnętrzne, a Meksykanie szybko z niego zbiegali.

Hank spojrział z odrazą na tatę, ale mu nie odszczeknął. Nie wiedzieć czemu ustalono, że będę narzucał.

- Jesteś w pierwszej zmianie, Luke - powiedział tata.

Nie chciałem narzucać. Nie miałem startu do Kowboja. Groziła nam kompromitacja.

Na jedynce stał Hank, na dwójce Bo, na trójce Dale. Tally stała na lewym zapole z rękami na biodrach, a na zapole prawym kuczał Trot, szukając w trawie czterolistnej koniczyny. Co za obrona. Przy moich narzutach musieliśmy odciągnąć ich jak najdalej od bazy domowej.

Miguel ustawił na jedynce Roberta i wiedziałem, że zrobił to celowo, ponieważ biedny Roberto nigdy w życiu nie trzymał w ręku kija i posyłał w niebo leniwe świece, które tata bez trudu wyłapywał. Wyłapał też piłkę Pepe, tuż za drugą bazą. Dwóch wyautowanych, dwóch w polu: byłem na fali, ale szczęście miało mnie wkrótce opuścić. Pałkę przejęli lepsi gracze i jeden po drugim grzmocili piłką po całej farmie. Próbowałem szybkich, podkreconych, kantowanych: na próżno. Zdobywali punkt za punktem i świetnie się przy tym bawili. Byłem nieszczęśliwy, mimo to z rozbawieniem patrzyłem na Meksykanów, którzy tańczyli z radości, ciesząc się naszą klęską.

Mama i babcia obserwowały grę spod drzewa, gdzie siedziały z panią i panem Spruillem. Byli wszyscy z wyjątkiem dziadka, który jeszcze nie wrócił z miasta.

Kiedy tamci zdobyli dziesiąty punkt, tata poprosił o czas.

- Masz dość? - spytał.

Głupie pytanie.

- Chyba tak - odrzekłem.

- Dobra, odpocznij.

- Ja mogę narzucać! - krzyknął Hank z pierwszej bazy. Tata się zawahał, ale rzucił mu pałkę. Chciałem pójść na prawe zapole, gdzie stał Trot i gdzie prawie nic się nie działo, ale mój trener powiedział:

- Idź na jedynkę.

Z doświadczenia wiedziałem, że Hank jest piekielnie szybki. W kilka sekund załatwił trzech Sisców. Dlatego bez wielkiego zdziwienia zobaczyłem, że narzuca, jakby robił to od lat. Z pewną siebie miną brał zamach, z pewną siebie miną chwytając piłki, które podawał mu Rico. Posłał dwie szybkie Luisowi i masakra dobiegła końca. Miguel poinformował tatę, że zdobyli jedenaście punktów. Myślałem, że było ich co najmniej pięćdziesiąt.

Piłkę ponownie dostał Kowboj, by skutecznie kontynuować to, co zaczął. Szybko wyautował Dale'a i jego miejsce zajął tata. Założył, że pójdzie szybka, taką też dostał i uderzył

bardzo mocno: piłka poszybowała wysokim łukiem, gwałtownie skręciła i wylądowała między krzakami bawełny - niestety, za boczną linią boiska. Pablo poszedł jej poszukać, tymczasem my zagraliśmy zapasową; pod żadnym pozorem nie zamierzaliśmy kończyć gry, dopóki nie odzyskamy tej z krzaków.

Drugi narzut, szybka podkrecona: tata uderzył i ugięły się pod nim nogi.

- Strajk - skonstatował zadziwiony, kręcąc głową. - I piłka godna zawodnika pierwszej ligi - dodał na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli, choć nie zwracał się do nikogo w szczególności.

Trzecia piłka poszybowała na środkowe zapole. Miguel chwycił ją obiema rękami i wyglądało na to, że reprezentanci stanu Arkansas znowu zbiorą cięgi. Pałkę przejęła Tally. Kowboj rozchmurzył się, podszedł krok bliżej i rzucił jej dwie od spodu, próbując trafić prosto w kij. Tally w końcu uderzyła i piłka potoczyła się w stronę drugiej bazy, gdzie dwóch Meksykanów biło się o nią dopóty, dopóki Tally nie dobiegła do jedyńki.

Nadeszła moja kolej.

- Przygaś ją trochę - powiedział tata, no to ją przygasilem; zrobiłbym wszystko. Kowboj rzucił mi wolną, płaskiego loba, tak że kiedy przygrzałem, piłka wylądowała daleko na środkowym zapole. Meksykanie oszaleli z radości, zewsząd buchnęły wesole okrzyki. Wrzawa trochę mnie zażenowała, mimo to czułem się znacznie lepiej niż wtedy, kiedy mnie wyautowano. Z ramion spadł mi wielki ciężar. Moja przyszłość w drużynie Kardynałów ponownie nabrała rumieńców.

Trot trzy razy spudłował, za każdym razem co najmniej o trzydzieści centymetrów.

- Gramy na cztery strajki - powiedział Miguel i tym sposobem ponownie zmieniono reguły gry. Kiedy prowadzi się jedenastoma punktami w drugiej zmianie, można pozwolić sobie na szczodropliwość. Trot machnął kijem, trafił i piłka potoczyła się prosto do Kowboja, który, ot tak, dla zabawy, odrzucił ją na trójkę, próbując - oczywiście na próżno - wyautować Tally. Ale Tally nic nie groziło; wszystkie bazy były obstawione. Meksykanie dawali nam fory. Miejsce pałkarza zajął Bo. Kowboj rzucił mu krótką spod ręki, chłopak uderzył i posłał tęgiego szczura prosto w Pabla, który musiał błyskawicznie odskoczyć w bok. Tally zdobyła punkt, a ja przebiegłem na trójkę.

Hank wziął pałkę i dla wprawy machnął nią kilka razy. Ponieważ wszystkie bazy były obstawione, myślał tylko o jednym: o zaliczeniu pełnego kółka. Ale Kowboj miał inne plany. Zrobił krok do tyłu i przestał się uśmiechać. Hank wziął zamach, pochylił się lekko i wbił w niego wzrok, czekając na piłkę, którą mógłby wreszcie odbić.

Wrzawa na chwilę ucichła: Meksykanie podeszli na palcach nieco bliżej, żeby lepiej

widzieć pojedynek. Pierwsza piłka była potwornie szybka i przecięła linię bazy domowej ułamek sekundy po tym, jak Kowboj wypuścił ją z ręki. Hank ani drgnął; wiedział, że nie miałby szans uderzyć. Odszedł krok dalej, jakby uznał się za pokonanego. Zerknąłem na tatę, który tylko pokręcił głową. Ależ ten facet miał rękę.

Drugi narzut, płaska podkręcona: wyglądała kusząco, lecz w ostatniej chwili zoczyła poza zasięg kija. Hank uderzył, ale chybił. Potem była też podkręcona, z tym że okrutnie silna: poszybowała prosto w jego głowę, lecz w ostatniej chwili śmignęła w dół. Hank poczerwieniał jak burak.

Kolejna szybka i Hank po raz kolejny spudłował. Dwa strajki, obstawione bazy, dwóch wyautowanych. Bez cienia uśmiechu na ustach Kowboj postanowił się trochę pobawić. Najpierw rzucił klasyczną wolną - Hank posłał piłkę za boczną linię boiska - potem silną podkręconą, która omal nie urwała Hankowi głowy, a jeszcze potem kolejną wolną i tę Hank nieomal trafił. Miałem wrażenie, że gdyby tylko zechciał, Kowboj mógłby wcisnąć mu piłkę w ucho. Meksykanie znowu zaczęli gadać.

Trzeci strajk: piłka podkręcona ruchem nadgarstka, pozornie łatwa do odbicia. Sęk w tym, że w ostatniej chwili zoczyła w lewo i gwałtownie opadła. Hank wziął potężny zamach, chybił o dobre trzydzieści centymetrów i ponownie wylądował na ziemi. Wrzaskliwie zaklął i cisnął pałkę pod nogi taty.

- Uważaj na słowa - powiedział tata.

Hank wymamrotał coś pod nosem i otrzepał się z kurzu. Połowa zmiany dobiegła końca.

Pałkę przejął Miguel, narzucił Hank. Pierwsza piłka poszybowała prosto w głowę Meksykanina i nieomal sięgnąwszy celu, odbiła się od ściany silosu i potoczyła w stronę trzeciej bazy. Meksykanie zamilkli. Druga piłka była jeszcze silniejsza. Miguel spudłował i upadł. Jego koledzy zaczęli cicho szemrać.

- Przestań się wygłupiać! - powiedział głośno tata. - Rzucaj celnie.

Hank, jak to Hank, odpowiedział mu szyderczym uśmiechem i tym razem narzucił w miarę normalnie. Miguel posłał piłkę na prawe zapole, gdzie tyłem do bazy domowej stał nasz obrońca Trot, gapiąc się na rosnące nad rzeką drzewa, tak że popędzić za niego musiała Tally. Niestety, nie zdążyła: piłka wpadła między krzewy bawełny i Miguel został wyautowany.

Kolejna seria narzutów miała być ostatnią w meczu. Miejsce pałkarza zajął Kowboj. Hank zebrał wszystkie siły i posłał szybką prosto w niego. Kowboj próbował odskoczyć, lecz zrobił to za wolno i piłka ugodziła go w bok, wydając przy tym paskudny odgłos, jaki wydaje dojrzały melon spadający na cegły. Meksykanin przeraźliwie krzyknął i ułamek sekundy

później cisnął w Hankę pałką, która obracając się niczym wielki tomahawk, ze świstem przecięła powietrze. Celował między oczy, lecz spudłował, gdyż kij odbił się od ziemi i ugodził Hankę w gołeń. Spruill wrzasnął, zaklął i rzucił się na Kowboja jak rozszalały byk.

Pozostali też się rzucili. Tata z pola wewnętrznego. Pan Spruill spod drzewa przy silosie. Ja nie drgnąłem. Stałem na jedynce, zbyt przerażony, żeby zrobić choćby jeden krok. Wszyscy głośno krzyczeli i pędzili w stronę bazy domowej.

Ale Kowboj się nie cofnął. Lśniący od potu, przez sekundę stał zupełnie nieruchomo, prężąc mięśnie i odsłaniając zęby. Kiedy szarżujący byk znalazł się krok przed nim, błyskawicznie sięgnął do kieszeni i wyjął nóż. Machnął nim i z drzewca wyskoczyło stalowe ostrze, lśniące, długie i bez wątpienia bardzo ostre. Rozległ się metaliczny trzask, który pobrzmiwał mi w uszach przez wiele lat.

Kowboj podniósł nóż, tak żeby wszyscy go zobaczyli, i Hank gwałtownie wyhamował.

- Rzuć to! - wrzasnął, stojąc półtora metra przed nim.

Kowboj kiwnął na niego palcem lewej ręki. Podejdź bliżej, chojraku. Chodź, na co czekasz?

Widok noża wszystkich zamurował i przez kilka sekund na podwórzu panowała cisza. Nikt się nie poruszył. Słysząc było tylko nasze głośne oddechy. Hank patrzył na nóż, na ostrze, które zdawało się wydłużać. Nie ulegało wątpliwości, że Kowboj go przedtem używał, że wie, jak to robić, i że gdyby Spruill podszedł krok bliżej, z przyjemnością obciąłby mu głowę.

Między nimi stanął tata z pałką, a u boku Kowboja wyrósł Miguel.

- Rzuć to - powtórzył Hank. - Walcz jak mężczyzna.

- Zamknijcie się! - warknął tata, grożąc im kijem. - Nikt nie będzie z nikim walczył.

Pan Spruill chwycił Hankę za ramię.

- Chodź - powiedział. - Idziemy.

Tata spojrzał na Miguela.

- Zaprowadźcie go do stodoły - rozkazał.

Meksykanie powoli otoczyli kolegę, odciągając go od Spruillów. W końcu Kowboj odwrócił się i odszedł, jednak noża nie schował. Oczywiście Hank nie drgnął z miejsca. Stał tak i patrzył za nimi, jakby chciał tym dowieść, że wygrał pojedynek.

- Zabiję go - warknął.

- Dość już zabijania - odparł tata. - Idź stąd. I trzymaj się z dala od stodoły.

- Chodź, Hank - powtórzył pan Spruill, i Trot, Tally, Bo oraz Dale powoli ruszyli w stronę podwórza od drogi.

Hank odszedł dopiero wtedy, kiedy Meksykanie zniknęli nam z oczu.

- Zabiję - wymamrotał na tyle głośno, żeby usłyszał go tata.

Zebrałem piłki i rękawice, wziąłem pałkę i potruchtałem za babcią i rodzicami.

## ROZDZIAŁ 12

Tego samego dnia przed wieczorem zagadnęła mnie Tally. Przyszła aż za dom i wyglądało na to, że w miarę upływu czasu Spruillowie wykazują coraz większe zainteresowanie zwiedzaniem okolicy.

W rękę trzymała małą torbę. Była na bosaka, w tej samej obcisłej sukience, którą miała na sobie, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz.

- Luke, zrobisz coś dla mnie? - spytała słodkim głosem. Zaczerwieniłem się. Nie miałem pojęcia, czego może ode mnie chcieć, lecz wiedziałem, że spełnię każde jej życzenie.

- Ale co?

- Twoja babcia powiedziała mojej mamie, że jest tu gdzieś strumień, w którym można się wykapać. Wiesz, jak tam dojść?

- Pewnie. To Siler's Creek. Niecały kilometr w tę stronę. - Wyciągnąłem rękę. - Na północ.

- Są tam węże?

Roześmiałem się, jakby ktoś przejmował się zwykłymi wężami.

- Najwyżej wodne. Mokasynów nie ma.

- A woda jest czysta czy mulista?

- Powinna być czysta. Od niedzieli nie padało.

Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje i spytała:

- Poszedłbyś ze mną?

Serce mi zamarło, zaschło mi w ustach.

- Ale po co? - wykrztusiłem.

Uśmiechnęła się i wywróciła oczami.

- Nie wiem - zagruchała. - Popilnowałbyś, żeby nikt mnie nie podglądał.

Mogła powiedzieć: „Bo nie wiem, gdzie to jest” albo: „Bo się boję węży”. Mogła powiedzieć cokolwiek, co nie miało nic wspólnego z kąpielą i podglądaniem.

Mogła, ale nie powiedziała.

- Boisz się? - spytałem.

- Trochę.

Weszliśmy na polną drogę, a kiedy dom i stodoła zniknęły nam z oczu, skręciliśmy w wąską ścieżkę, którą na wiosnę dowoziliśmy nasiona na pole. Gdy zostaliśmy sami, Tally

zaczęła mówić. Nie miałem zielonego pojęcia, jak ją zabawić, dlatego z ulgą spostrzegłem, że wie, jak się w takiej sytuacji znaleźć.

- Przykro mi z powodu Hanka. Przez niego zawsze są kłopoty.

- Widziałaś tę bójkę?

- Którą?

- Tę w mieście.

- Nie. Strasznie było?

- No. Bardzo ich pobił. Tłukł ich nawet wtedy, kiedy już leżeli.

Tally przystanąła, przystanąłem i ja. Podeszła bliżej. Oboje ciężko oddychaliśmy.

- Powiedz prawdę, Luke. Czy to on chwycił ten kij?

Patrząc w jej piękne oczy, omal nie powiedziałem: „Tak”. Ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło i pomyślałem, że lepiej przywarować. Ostatecznie Hank był jej bratem i w ferworze rodzinnej kłótni mogłaby mu wszystko powtórzyć. Ricky zawsze mówił, że bliższa ciału koszula. Nie chciałem, żeby Hank na mnie wszedł.

- Za szybko się bili - mruknąłem i poszedłem dalej. Błyskawicznie mnie dopędziła i przez chwilę milczeliśmy.

- Myślisz, że go aresztują? - spytała.

- Nie wiem.

- A co myśli dziadek?

- Diabli wiedzą. - Uznałem, że dobrze by było zaimponować jej paroma słowami, których nauczył mnie Ricky.

- Luke, jak ty się wyrażasz! - Chyba jednak jej nie zaimponowałem.

- Przepraszam. - Szliśmy dalej. - Zabił kogoś przedtem?

- Nie wiem. - Dochodziliśmy do strumienia. - Kiedyś pojechał na północ. I miał kłopoty. Ale nie powiedział, co się tam stało.

Byłem pewien, że ma kłopoty, ilekroć dokądś wyjeżdża.

Siler's Creek płynął wzdłuż północnej granicy farmy, a potem wpadał do rzeki Świętego Franciszka, w miejscu, które widać było z mostu. Na jego brzegach rosły wielkie, cieniste drzewa, dlatego latem świetnie się tam pływało i pluskało. Niestety, szybko wysychał i częściej niż rzadziej woda sięgała nam ledwie do kostek. Zaprowadziłem ją na zwirowy cypel, gdzie było najgłębiej.

- To najlepsze miejsce - powiedziałem.

- Głęboko tu? - spytała, rozglądając się wokoło.

Woda była czyściutka.

- Mniej więcej dotąd - odrzekłem, dotykając podbródka.
- I nikogo tu nie ma? - Tally robiła wrażenie lekko zdenerwowanej.
- Nie. Wszyscy są na farmie.
- Wróc na ścieżkę i popilnuj, dobrze?
- Dobrze - odrzekłem, nie ruszając się z miejsca.
- No to idź. - Położyła torbę.
- Idę. - Ruszyłem w stronę ścieżki.
- Luke, tylko bez podglądania.

Poczułem się tak, jakby przyłapano mnie na gorącym uczynku. Machnąłem ręką, udając, że nawet do głowy mi to nie przyszło.

- No coś ty.

Wyszedłem na brzeg i wdrapałem się na najniższą gałąź wiązu. Gdybym wyciągnął szyję, mógłbym zobaczyć stamtąd dach naszej stodoły.

- Luke! - zawołała Tally.
- Tak?
- Nikogo nie ma?
- Nikogo!

Usłyszałem plusk wody, mimo to dzielnie patrzyłem w przeciwną stronę. Parę minut później powoli się odwróciłem i spojrzałem na strumień. Nie zobaczyłem jej i w pewnym sensie mi ulżyło. Cypel był za lekkim zakrętem, za rzędem grubych drzew.

Minęła kolejna minuta i uznałem, że chyba nic tu po mnie. Nikt nie wiedział, że jesteśmy nad strumieniem, więc niby kto mógłby ją podejrzeć? Jak często będę miał okazję zobaczyć piękną dziewczynę w kąpieli? Nie przypominałem sobie, żeby Kościół czy Pismo Święte wyraźnie zakazywały podglądania, jednak wiedziałem, że to grzech. Ale może nie aż tak straszny.

Ponieważ chodziło o grzech, od razu pomyślałem o Rickym. Co zrobiłby na moim miejscu?

Zszedłem z drzewa, prześlizgnąłem się przez chaszczę i zarośla, na wysokości zwirowego cypla ległem na ziemi i powoli przeczołgałem się między krzakami.

Jej sukienka i bielizna wisały na gałęzi. Tally stała głęboko w wodzie i delikatnymi ruchami rąk zmywała białą pianę z głowy. Pociłem się jak mysz, prawie nie oddychałem. Leżąc, wyglądałem spomiędzy dwóch grubych pniaków, tak że mnie nie widziała.

Nuciła coś: ot, po prostu piękna dziewczyna zażywająca kąpieli w chłodnej wodzie. Nie rozglądała się strachliwie na wszystkie strony; ufała mi.

Zanurzyła głowę, splukała szampon i leniwym strumieniem popłynęła piana. Potem wyprostowała się i sięgnęła po mydło. Stała tyłem do mnie i widziałem jej pupę, i to całą. Tak jak się spodziewałem, Tally była zupełnie goła, niczym ja podczas cosobotnich kąpieli, ale spodziewać się a zobaczyć to zupełnie co innego. Zadrzałem. Odruchowo podniosłem głowę - pewnie po to, żeby lepiej widzieć - i odzyskawszy zmysły, błyskawicznie przypadłem do ziemi.

Gdyby mnie przyłapała, powiedziałaaby swemu tacie, on powiedziałaby mojemu i tata zbiłby mnie tak mocno, że nie mógłbym chodzić. Mama wrzeszczałaby na mnie przez tydzień. Babcia byłaby tak urażona, że przestałaby się do mnie odzywać. Dziadek też by mnie zrugał, ale tylko tak, na pokaz. Byłbym skończony.

Stojąc po pas w wodzie, bokiem do mnie, Tally myła ramiona i piersi. Nigdy dotąd nie widziałem kobiecych piersi i wątpiłem, czy widział je jakikolwiek siedmiolatek z naszego hrabstwa. Tak, może któryś zobaczył przypadkiem piersi matki, ale żaden chłopak w moim wieku na pewno nie oglądał tego, co ja.

Nie wiedzieć czemu, znowu pomyślałem o Rickym i nagle przyszła mi do głowy psotna myśl. Widziałem już prawie wszystko to, co zwykle zasłaniało ubranie, i chciałem teraz zobaczyć więcej. Jeśli wrzasnę: „Waż!””, ale tak głośno, że wszystkich się, Tally krzyknie z przerażenia. Zapomni o mydle, o myjce, o tym, że jest goła, i wybiegnie na brzeg. Złapie sukienkę, ale przez kilka cudownych sekund będę widział absolutnie wszystko.

Przełknąłem ślinę i spróbowałem odchrząknąć, ale nie mogłem, bo zaschło mi w ustach. Z mocno bijącym sercem, zawahałem się i dzięki temu odebrałem bezcenną lekcję cierpliwości.

Żeby umyć nogi, Tally musiała podejść bliżej brzegu. Szła i szła, tak że w końcu woda sięgała jej ledwo do kostek. Stała i pochylając się, wyginając i odchylając, niespiesznie namydlała uda, pupę i brzuch. Serce waliło mi tak mocno, że ziemia drżała.

Potem ochlapała się wodą, a jeszcze potem, wciąż cudownie naga i wciąż stojąc tuż przy brzegu, odwróciła się i popatrzyła dokładnie tam, gdzie się ukrywałem.

Opuściłem głowę i całym ciałem przylgnąłem do ziemi. Myślałem, że Tally krzyknie, ale nie krzyknęła. Popełniłem śmiertelny grzech, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Cichutko, centymetr po centymetrze, wycofałem się rakiem aż na skraj pola. Potem popęzłem spiesznie wzdłuż drzew i jakby nigdy nic, zająłem pozycję przy ścieżce. Kiedy nadeszła Tally, zrobiłem znudzoną minę.

Miała mokre włosy; przebrała się też w inną sukienkę.

- Dzięki - powiedziała.

- Nie ma sprawy.
- Czuję się teraz o niebo lepiej.

Ja też, pomyślałem.

Powoli ruszyliśmy w stronę domu. Początkowo milczeliśmy, ale mniej więcej w połowie drogi Tally spytała:

- Podglądałeś mnie, prawda? - Powiedziała to lekko i żartobliwie, a ja nie chciałem kłamać.

- Tak.

- Nie szkodzi. Nie gniewam się.

- Nie?

- Nie. To chyba naturalne, że chłopcy lubią patrzeć na dziewczynki.

Miała całkowitą rację, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Jeśli znowu ze mną pójdziesz i postoisz na straży, będziesz mógł to zrobić jeszcze raz.

- Ale co?

- Popatrzeć.

- Jasne. - Powiedziałem to chyba trochę za szybko.

- Ale nie wolno ci o tym nikomu mówić.

- No coś ty.

Podczas kolacji dziobałem widelcem jedzenie i próbowałem zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Trudno mi było jeść, bo wciąż łaskotało mnie w brzuchu. Wciąż widziałem przed sobą Tally i to tak wyraźnie, jakbyśmy ciągle byli nad strumieniem.

Zrobiłem coś strasznego. I nie mogłem się już doczekać, kiedy zrobię to jeszcze raz.

- O czym tak myślisz, Luke? - spytała babcia.

- O niczym - odrzekłem, gwałtownie wracając do rzeczywistości.

- E tam - wtrącił dziadek. - Przecież widzę.

Wtedy mnie natchnęło.

- O tym sprężynowcu.

Dorośli z dezaprobatą pokręcili głowami.

- Pomyśl o czymś przyjemniejszym - doradziła babcia.

Nie martwcie się, pomyślałem. Już wy się nie martwcie.

## ROZDZIAŁ 13

Drugą niedzielę z rzędu nabożeństwo zdominowała śmierć. Pani Letha Haley Dockery, gruba, hałaśliwa kobieta, miała męża, który przed laty zostawił ją i uciekł do Kalifornii. Łatwo się było domyślić, że krążyło mnóstwo plotek na temat tego, co tam robił, a najsmakowitsza z nich - słyszałem ją kilka razy - mówiła, że zadał się z młodą kobietą innej rasy, najprawdopodobniej z Chinką, chociaż, podobnie jak wielu innych plotek krążących po Black Oak, tej także nie udało się potwierdzić. Bo kto z nas był kiedykolwiek w Kalifornii?

Pani Dockery wychowała dwóch synów: żaden z ich niczym się nie wyróżnił, za to obydwaj mieli na tyle rozumu, żeby porzucić bawełniane pola. Jeden mieszkał w Memphis, drugi na zachodzie kraju, ale dokładnie gdzie, tego nie wiedziano.

Miała rodzinę rozrzuconą po północno-wschodnim Arkansas, w tym dalekiego kuzyna w Paragould, trzydzieści dwa kilometry od Black Oak; według Dziadzia, który nie lubił pani Dockery, kuzyna bardzo dalekiego. I właśnie ten kuzyn miał syna, który walczył w Korei, tak samo jak Ricky.

Ilekoć modlono się za Ricky'ego, w kościele dochodziło do nieprzyjemnej sytuacji, ponieważ pani Dockery chwacko występowała naprzód, żeby przypomnieć zgromadzeniu, że członkowie jej rodziny też walczą na wojnie. Często przypierała do muru babcię i posępnym szeptem mówiła, jak ciężko jej czekać na wiadomości z frontu. Dziadek z nikim o wojnie nie rozmawiał i kiedyś ofuknął ją za to, że próbowała okazać mu współczucie. Nasza rodzina po prostu nie rozmawiała o tym, co działo się w Korei, przynajmniej publicznie.

Przed wieloma miesiącami, kiedy pani Dockery po raz kolejny napraszała się o współczucie, ktoś spytał ją, czy ma zdjęcie siostrzeńca. Ponieważ tyle się za niego modliliśmy, ten ktoś chciał go wreszcie zobaczyć. Pani Dockery zdjęcia nie miała i bardzo się zawstydziała.

Wyjeżdżając do Korei, nazywał się Jimmy Nance i był jakimś tam krewnym, dziesiątą wodą po kisielu - jej „bardzo bliskim kuzynem”. Z czasem został Timmym Nance, przestając być jakimś tam krewnym i stając się prawdziwym kuzynem. Nie mogliśmy się w tym połapać. Chociaż pani Dockery wołała imię „Timmy”, w rozmowach uparcie wracało imię „Jimmy”.

Tak czy inaczej, Jimmy albo Timmy zginął. Usłyszeliśmy tę wiadomość w niedzielę, zanim zdążyliśmy wysiąść z samochodu.

Pani Dockery siedziała w holu, w otoczeniu pań ze szkółki niedzielnej, które głośno płakały i zawodziły. Ja obserwowałem to wszystko z daleka, natomiast mama i babcia stanęły

w kolejce, żeby ją pocieszyć. Bardzo jej współczułem. Bez względu na to, kim Timmy dla niej był, bardzo jego śmierć przeżywała.

Szczegóły omawiano szeptem: jechał dżipem po dowódcę i wpadł na minę. Ciało zwrócić rodzinie dopiero za dwa miesiące, może nawet za trzy. Miał dwadzieścia lat i młodą żonę w Kennett w Missouri.

Kiedy tak szeptano, do holu wszedł wielebny Akers. Usiadł obok pani Dockery, wziął ją za rękę i modlili się po cichu, długo i żarliwie. Byli obecni wszyscy członkowie naszego kościoła. Wszyscy ją obserwowali i cierpliwie czekali, chcąc złożyć kondolencje.

Kilka minut później zobaczyłem, że dziadek wymyka się za drzwi.

A więc tak to będzie wyglądało, pomyślałem, jeśli sprawdzą się nasze najgorsze obawy: z drugiego końca świata przyślą wiadomość, że on nie żyje. Potem zbiorą się wokół nas przyjaciele i wszyscy będą płakać.

Nagle rozboleło mnie gardło i zwilgotniały oczy. Powiedziałem sobie: „Nam się to nie przydarzy. Ricky nie jeździ dżipem, a jeśli nawet jeździ, nie jest głupi na tyle, żeby wpadać na minę. Na pewno wróci”.

Nie chciałem, żeby ktoś przyłapał mnie ze łzami w oczach, dlatego wyslizgnąłem się na dwór w chwili, gdy dziadek wsiadał do pikapu. Wsiadłem i ja. Siedzieliśmy długo, patrząc w okno i milcząc, a potem dziadek bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce.

Minęliśmy odziarniarnię. W niedzielne poranki głucho milczała, ale każdy farmer potajemnie pragnął, żeby dudniła i ryczała pełną parą. Pracowała jedynie trzy miesiące w roku.

Jechaliśmy przed siebie bez konkretnego celu, a przynajmniej nie potrafiłem tego celu określić. Trzymaliśmy się bocznych dróg, wysypanych żwirem, buchających pyłem i ukrytych między polami bawełny rosnącej krok za poboczem.

- Tam mieszkają Siscowie. - To były jego pierwsze słowa. Nie chcąc odrywać rąk od kierownicy, ruchem głowy wskazał w lewo. W oddali stał dom podobny do domów wszystkich połowników, ledwo widoczny zza morza białych krzewów. Zardzewiały dach się zapadał, weranda była mocno pochylona, podwórze brudne, a bawełna rosła niemal pod sznurami do suszenia bielizny. Z ulgą spostrzegłem, że nikt się tam nie kręci. Znając dziadka, obawiałem się, że mógłby nagle wjechać na podwórze i wszcząć awanturę.

Jechaliśmy powoli przez nie kończące się płaskie pola. Właśnie trwała lekcja w szkółce niedzielnej, a ja byłem na wagarach: ale frajda! Wiedziałem, że mamie to się nie spodoba, lecz wiedziałem też, że na pewno nie zdrze z Dziadziem. To właśnie ona powiedziała mi, że ilekroć dziadkowie martwią się o Ricky'ego, zawsze przelewają uczucia na mnie.

Dziadek musiał coś zauważyć, ponieważ zwolnił tak bardzo, że pikap niemal się

zatrzymał.

- Farma Embry'ego - powiedział. - Widzisz ich?

Wyginałem i wyciągałem szyję dopóty, dopóki nie zobaczyłem czterech czy pięciu słomkowych kapeluszy. Meksykanie. Byli nisko pochyleni, jakby usłyszawszy nas, próbowali ukryć się w morzu bieli.

- Zbierają w niedzielę?

- Jak widzisz.

Przyspieszyliśmy i w końcu zniknęli nam z oczu.

- Co dziadek teraz zrobi? - spytałem, jakby tamci złamali prawo.

- Nic. To sprawa Embry'ego.

Pan Embry należał do naszego Kościoła. Nie wyobrażałem sobie, żeby pozwolił Meksykanom pracować w święto.

- Ale on chyba o tym wie, prawda?

- Może nie wie. Kiedy pojechał do kościoła, Meksykanie mogli wyjść w pole bez jego wiedzy.

- Ale przecież nie mogą sami ważyć bawełny - zauważyłem i Dziadzio prawie się uśmiechnął.

- Chyba nie. - Tak więc ustaliliśmy na sto procent, że pan Embry pozwala Meksykanom zbierać w niedzielę. Plotkowano o tym każdej jesieni, ale do głowy by mi nie przyszło, że tak dobry sługa boży jak on mógłby popełnić tak ciężki grzech. Byłem wstrząśnięty; w przeciwieństwie do dziadka.

Biedni Meksykanie. Przewożono ich jak bydło i odbierano jedyny dzień odpoczynku, podczas gdy najmujący ich człowiek ukrywał się w kościele.

- Nie mówmy o tym nikomu - powiedział Dziadzio, zadowolony, że udało mu się potwierdzić plotkę.

Sekrety. Coraz więcej sekretów.

Idąc w stronę kościoła, słyszeliśmy śpiew wiernych. O tej porze zawsze byłem tam, w środku, nigdy na zewnątrz.

- Spóźniliśmy się - wymamrotał Dziadek, otwierając drzwi. - Dziesięć minut.

Ludzie stali i śpiewali, dlatego udało nam się wślizgnąć do ławki bez zbytniego zamieszania. Zerknąłem na rodziców, lecz nie zwracali na mnie uwagi. Kiedy pieśń dobiegła końca, usiedliśmy i zobaczyłem, że siedzę wciśnięty między dziadka i babcię. Ricky'emu mogło grozić niebezpieczeństwo, ale mnie na pewno nie groziło.

Wielebny Akers wiedział, że tematu wojny i śmierci lepiej nie poruszać. Zaczął od przekazania smutnej nowiny o Timmym Nance, którą wszyscy już słyszeli. Pani Dockery dochodziła do siebie w domu. Uczniowie szkoły niedzielnej przygotowywali dla niej posiłki. Nadeszła pora, powiedział wielebny, żeby zewrzeć szyki i pocieszyć członkinię naszej wspólnoty.

Pani Dockery miała przeżyć godzinę chwały, i wszyscy o tym wiedzieliśmy.

Gdyby zaczął mówić o wojnie, po nabożeństwie miałby do czynienia z dziadkiem, dlatego wołał wygłosić zwyczajne kazanie. My, baptyści, mówił, jesteśmy dumni, że wysyłamy misjonarzy do wszystkich krajów świata i właśnie prowadzimy wielką zbiórkę pieniędzy na ten szczytny cel. I właśnie o to mu chodziło: o pieniądze. Dajcie pieniądze, żebyśmy mogli wysłać więcej ludzi do miejsc takich jak Indie, Korea, Afryka i Chiny. Jezus nauczał, że bliźnich trzeba kochać, chociaż się od nas różnią. Dlatego zadaniem baptystów jest nawrócić resztę świata.

Postanowiłem, że nie dam ani centa.

Nauczono mnie dawać na tacę jedną dziesiątą tego, co zarobiłem, więc niechętnie dawałem. Tak nakazywało Pismo Święte i trudno było z tym polemizować. Ale brat Akers żądał czegoś, co wykraczało poza Pismo, i jeśli chodzi o mnie, grubo się przeliczył. Nie zamierzałem dawać pieniędzy na Koreę. Byłem pewien, że pozostali Chandlerowie myślą tak samo. Chandlerowie i wszyscy członkowie naszego Kościoła.

Tego ranka brat Akers był trochę przygaszony. Zamiast o śmierci i grzechu, mówił o miłości i dobroczynności, ale nie wkładał w to serca. A ponieważ nie krzyczał, uciąłem sobie drzemkę.

Po nabożeństwie nikt nie miał nastroju na plotkowanie. Dorośli poszli prosto do samochodu i pośpiesznie odjechaliśmy. Na granicy miasta tata spytał:

- Gdzie byliście z dziadkiem?

- Nigdzie. Pojechaliśmy się przejechać.

- Ale gdzie?

Wyciągnąłem rękę na wschód.

- Gdzieś tam. Myślę, że dziadek chciał po prostu pojeździć.

Tata kiwnął głową, jakby żałował, że nie zabrał się z nami.

Kiedy kończyliśmy jeść niedzielną kolację, ktoś cicho zapukał do drzwi. Tata siedział najbliżej, więc wyszedł na ganek. Stali tam Miguel i Kowboj.

- Mamo, jesteś potrzebna - powiedział tata i babcia spiesznie wyszła z kuchni. My za nią.

Kowboj był bez koszuli; lewy bok miał straszliwie spuchnięty. Nie mógł podnieść lewej ręki, a kiedy babcia kazała mu to zrobić, skrzywił się z bólu. Było mi go żal. Miał rozciętą skórę w miejscu, gdzie ugodziła go piłka.

- Można policzyć szwy piłki - powiedziała babcia.

Mama przyniosła garnek wody i myjkę. Po kilku minutach tata i Dziadzio znudzili się i wyszli. Przez rannego Meksykanina mogła spaść wydajność pracy i jestem pewien, że się tym martwili.

Pełniąc rolę lekarza, babcia była w swoim żywiole, dlatego opatrzyła Kowboja najstaranniej, jak umiała. Obandażowała mu bok, kazała położyć się na plecach i podłożyła mu poduszkę pod głowę, tę z naszej sofy.

- Nie może się ruszać - powiedziała do Miguela. - Boli?

Kowboj pokręcił głową.

- Trochę. - Zaskoczyła nas jego angielszczyzna.

- Może dać mu coś na ból - myślała głośno babcia, spoglądając na mamę.

Środki uśmierzające babci były gorsze niż ból złamanej nogi, dlatego posłałem Kowbojowi przerażone spojrzenie. Momentalnie mnie zrozumiał i odrzekł:

- Nie, żadnych lekarstw.

Babcia włożyła do woreczka trochę lodu z kuchni i ostrożnie przytknęła do spuchniętego boku.

- Przytrzymaj - poleciła, układając mu rękę na woreczku. Pod dotykiem lodu Kowboj zeszywniał, lecz chłód musiał przynieść mu ulgę, ponieważ szybko się odprężył. Miał mokry bok. Woda skapywała na werandę. Zamknął oczy i głęboko odetchnął.

- Dziękuję - powiedział Miguel.

- *Gracias* - odpowiedziałem i Meksykanin uśmiechnął się do mnie.

Zostawiliśmy ich na ganku i przeszliśmy na werandę, żeby napić się mrożonej herbaty.

- Ma złamane żebra - powiedziała babcia do dziadka, który siedział na huśtanej ławce, trawiąc kolację. Chyba nie miał ochoty rozmawiać, lecz po kilku sekundach milczenia mruknął:

- To fatalnie.

- Musi pójść do lekarza.

- Co poradzi na to lekarz?

- Może mieć krwotok w brzuchu.

- Ale nie musi.

- To niebezpieczne.

- Gdyby miał krwotok, już by nie żył.

- Na pewno - dodał tato.

Chodziło o dwie rzeczy. Po pierwsze, dziadek i tata byli przerażeni perspektywą płacenia lekarzowi. Po drugie, obaj walczyli na wojnie, co też wpływało na ich postawę. Obaj widzieli porzucane ludzkie szczątki, pokiereszowane trupy, ludzi bez rąk i nóg, dlatego nie przejmowali się drobnymi urazami. Skaleczenia i złamania stanowiły nieodłączną część życia. Trzeba było zacisnąć zęby i jakoś to przeżyć.

Babcia wiedziała, że ich nie przekona.

- Jeśli umrze, umrze z naszej winy.

- Nie umrze, Ruth - odparł dziadzio. - A nawet jeśli, nie umrze z naszej winy. To Hank złamał mu zębra.

Mama zniknęła w domu. Znowu źle się poczuła i zaczynałem się o nią martwić. Rozmowa zesłała na bawełnę, więc ich zostawiłem.

Ukradkiem obszedłem dom i przystanąłem przed gankiem. Miguel siedział przy Kowboju. Chyba spali. Wślizgnąłem się do domu, żeby sprawdzić, co z mamą. Leżała na łóżku i miała otwarte oczy.

- Dobrze się mama czuje? - spytałem.

- Tak, Luke. Nie martw się o mnie.

Nie powiedziałyby mi prawdy bez względu na to, jak bardzo byłoby z nią źle. Posiedziałem chwilę na brzegu łóżka i spytałem jeszcze raz:

- Na pewno dobrze?

Poklepała mnie po ramieniu.

- Dobrze, synku.

Wpadłem do pokoju Ricky'ego po piłkę i rękawicę i cicho przeszedłem przez kuchnię. Miguela już nie było. Kowboj siedział na ganku i ze spuszczone nogami przyciskał do boku woreczek z lodem. Wciąż się go bałem, ale w tym stanie nie mógł zrobić mi chyba krzywdy.

Z trudem przełknąłem ślinę i wyciągnąłem do niego rękę z piłką, tą samą, która złamała mu zębra.

- Jak ty ją podkręcasz? - spytałem.

Ponura twarz złagodniała, i wskazując rosnącą przy ganku trawę, Kowboj się prawie uśmiechnął.

- Stań tam.

Zeskoczyłem na ziemię i stanąłem przy jego kolanach.

Palce Kowboja spoczęły na szwach piłki.

- Chwyć ją tak - powiedział; tego samego chwytu nauczył mnie dziadek. - A potem podkręć - dodał, wykręcając nadgarstek w taki sposób, że palce znalazły się pod piłką.

Nic nowego. Powtórzyłem jego ruchy. Obserwował mnie bez słowa i odniosłem wrażenie, że bardzo go boli.

- Dzięki - powiedziałem. Tylko skinał głową.

Wtedy mój wzrok padł na koniuszek sprężynowca, który sterczał mu z dziury w prawej kieszeni roboczych spodni. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Potem spojrzałem na Kowboja i obydwaj popatrzyliśmy na nóż. Powoli go wyjął. Rękojeść była ciemnozielona i rzeźbiona. Trzymał go przez chwilę, raptem nacisnął coś i z rękojeści wyskoczyło ostrze. Trzasnęło tak głośno, że aż drgnąłem.

- Skąd go masz? - spytałem. Pytanie było głupie, więc nie odpowiedział. - Zrób tak jeszcze raz.

Błyskawicznie przytknął ostrze do uda, a kiedy się złożyło i schowało, podniósł nóż na wysokość mojej twarzy i ponownie go otworzył.

- Mogę spróbować? - spytałem.

Stanowczo pokręcił głową.

- Dźgnąłeś nim kogoś?

Zabrał rękę i łypnął na mnie spode łba.

- Wielu ludzi - odrzekł.

Napatrzywszy się, odszedłem i potruchtałem za silos, gdzie mogłem pobyc sam. Przez godzinę podrzucałem piłkę z rozpaczliwą nadzieją, że spotkam Tally idącą nad strumień.

## ROZDZIAŁ 14

W poniedziałek wczesnym rankiem staliśmy bez słowa przy traktorze. Miałem wielką ochotę uciec chyłkiem do domu, paść na łóżko Ricky'ego, zasnąć i spać przez cały tydzień. I żeby nie było ani bawełny, ani Hanka i w ogóle niczego, co uprzykrzało mi życie. „Odpoczywać będziemy zimą” - mawiała babcia i miała rację. Kiedy bawełna była już zebrana, a pole zaorane, nasza mała farma zapadała w zimowy sen.

Ale w połowie września chłód był jedynie marzeniem. Dziadek i pan Spruill stali przy ciągniku i z przejęciem o czymś rozmawiali, podczas gdy my wyteżaliśmy słuch. Meksykanie czekali nieco dalej. Ustalono, że oni zaczną zbierać od stodoły, żeby nie musieli jeździć na pole traktorem, natomiast my będziemy pracować nieco dalej. Rozdzielać nas miała przyczepa. Hank i Kowboj nie powinni wchodzić sobie w drogę, ponieważ mogliby się pozabijać.

- Nie chcę tu więcej żadnych awantur - powiedział dziadek.

Wiedzieliśmy, że Kowboj ani na chwilę nie rozstanie się ze swoim sprężynowcem, dlatego wątpiliśmy, czy Hank, choć beznadziejnie głupi, będzie aż takim idiotą, żeby ponownie go zaczepić. Tego ranka przy śniadaniu Dziadzio suponował, że nie tylko Kowboj jest uzbrojony. Że wystarczy jeden nieopatrzny ruch Hanka i wśród Meksykanów zaroi się od sprężynowców. Powiedział to panu Spruillovi, który zapewnił go, że nie będzie już żadnych kłopotów. Sęk w tym, że nikt nie wierzył, by on lub ktokolwiek inny zdołał zapanować nad Hankiem.

W nocy padało, lecz po deszczu nie było już ani śladu; bawełna zdążyła wyschnąć, a z ziemi się prawie kurzyło. Mimo to dziadek i tata uważali, że to zły znak, ostrzeżenie przed nieuchronną powodzią, a ich niepokój udzielił się nam.

Bawełna obrodziła jak nigdy: jeszcze kilka tygodni pracy, a potem niech sobie leje. Kiedy traktor zatrzymał się za przyczepą, chwyciliśmy worki i zniknęliśmy między rzędami krzewów. Spruillovi nie śpiewali, pracujący w oddali Meksykanie też milczeli. Nawet nie myślałem o drzemce. Zbierałem jak szalony.

Słońce szybko wędrowało do góry, wypalając rosę z bawełnianych kulek. Ciężkie powietrze parzyło skórę i wciskało się pod kombinezon, z podbródka ściekał mi pot. Jediną korzyścią, jaką czerpałem z niskiego wzrostu, było to, że mogłem się schować pod krzewami; dawały choć trochę cienia.

Dwa dni intensywnego zbierania i przyczepa była pełna. Do miasta woził ją dziadek; zawsze dziadek, nigdy tata. Musieli to ustalić bardzo dawno temu, zanim się urodziłem, tak samo jak ustalili, że ogród należy wyłącznie do mamy. I zawsze to ja mu towarzyszyłem, z czego bardzo się cieszyłem, ponieważ oznaczało to wyprawę do miasta, choćby tylko do odziarniarni.

Szybko zjedliśmy kolację, pojechaliśmy na pole i podhaczyliśmy przyczepę do pikapu. Potem weszliśmy na nią i przykryliśmy bawełną plandeką, żeby wiatr jej nie zwiął. Strata choćby jednego grama czegoś, co z takim trudem zbieraliśmy, wydawała nam się zbrodnią.

Po powrocie do domu zobaczyłem, jak Meksykanie, siedząc za stodołą, powoli jedli tortille. Tata był w szopie i łątał dętkę przedniego koła naszego traktora. Babcia i mama zmywały naczynia. Dziadek gwałtownie zahamował.

- Zostań - powiedział. - Zaraz wracam. - Pewnie czegoś zapomniał.

Wrócił ze strzelbą - miał dwunastkę - którą bez słowa wsunął pod fotel.

- Jedziemy na polowanie? - spytałem, dobrze wiedząc, że nie odpowie.

O bójce z Siscami nie rozmawiano ani przy kolacji, ani na werandzie. Dorośli postanowili chyba nie poruszać tego tematu, przynajmniej w mojej obecności. Jednakże strzelba otwierała szereg nowych możliwości.

Natychmiast pomyślałem o pojedynku przed odziarniarnią, takim w stylu Gene'a Autry. Po jednej stronie ci dobrzy - to oczywiście my, farmerzy ostrzeliwujący się z przyczep - po drugiej ci źli, czyli banda Sisców z kumplami. Wszędzie świszczą kule i fruwa bawełna. Sypią się szyby z okien. Wybuchają ciężarówki. Zanim dojechaliśmy do rzeki, plac przed odziarniarnią był zasłany trupami.

- Chce dziadek kogoś zastrzelić? - spytałem, chcąc zmusić go do mówienia.

- Pilnuj swego nosa - burknął, zmieniając biegi.

Może chciał się z kimś porachować. I wtedy przypomniała mi się jedna z moich ulubionych opowieści o Chandlerach. Kiedy Dziadzio był dużo młodszy, podobnie jak inni farmerzy orał ziemię mułami. Było to w czasach, kiedy jeszcze nikt nie miał traktora i kiedy wraz z ludźmi na roli pracowały zwierzęta. Kiedyś zobaczył go na polu pewien niezbyt życzliwy sąsiad nazwiskiem Woolbright. Tego dnia muły musiały być wyjątkowo odporne, ponieważ Woolbright twierdził, że dziadek tłukł je po łbie wielkim kijem. Opisując to wydarzenie w herbaciarni, powiedział tak: „Gdybym miał wtedy mokry worek, dałbym mu nauczkę”.

Rzecz się rozniosła i dowiedział się o tym dziadek. Kilka dni później, po długim, gorącym dniu w polu, wziął worek, namoczył go w wiadrze z wodą i rezygnując z kolacji,

poszedł piechotą do Woolbrighta, który mieszkał prawie pięć kilometrów dalej; odległość ta była bardzo płynna, bywało, że wynosiła osiem, a nawet szesnaście kilometrów, zależy od tego, kto tę historię opowiadał.

Dotarłszy na miejsce, krzyknął, żeby Woolbright wyszedł z domu, by wyrównać z nim rachunki. Woolbright właśnie jadł kolację, sam albo z gromadką dzieci, zależnie od wersji. Tak czy inaczej, wyrzwał na podwórze i doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie zostać w domu.

Dziadzio krzyczał do niego i krzyczał.

- Masz tu swój worek, Woolbright! Wyjdź i zrób to, co chciałeś zrobić!

Woolbright uciekł w głąb domu i kiedy stało się oczywiste, że nie zamierza wyjść, dziadek cisnął workiem w siatkowe drzwi. Potem wrócił do domu - ponownie pokonując osiem czy też szesnaście kilometrów - i poszedł spać bez kolacji.

Słyszałem tę opowieść tyle razy, że w nią uwierzyłem. Nawet mama w nią wierzyła. Eli Chandler był za młodu w gorącej wodzie kąpany i nawet teraz, w wieku sześćdziesięciu lat, łatwo wybuchał.

Ale na pewno nikogo by nie zabił, chyba że w samoobronie. Poza tym w walce wołał używać pięści albo mniej groźnej broni, choćby czegoś w rodzaju mokrego worka na bawełnę. Strzelbę zabrał tylko na wszelki wypadek. Siscowie byli obłąkani.

Odziarniarnia wyła i ryczała. Przed nami czekał długi rząd przyczep i wiedziałem, że utkniemy na długie godziny. Kiedy dziadek wyłączył silnik i zabębnił palcami w kierownicę, zapadał już mrok. Kardynałowie grali kolejny mecz i chciałem wrócić do domu.

Dziadzio powiódł wzrokiem po przyczepach, ciężarówkach i traktorach, popatrzył na farmerów i pracowników odziarniarni. Sprawdzał, czy nie dzieje się nic groźnego, i nie zauważywszy niczego podejrzanego, powiedział:

- Pójdę się rozejrzeć. Ty siedź i czekaj.

Przeszedł przez wysypany żwirem plac, dołączył do grupki mężczyzn przed biurem i stał tam jakiś czas, słuchając i rozmawiając. W połowie kolejki zebrała się grupa młodych farmerów. Palili, rozmawiali, czekali. Chociaż w odziarniarni zawsze coś się działo, tego dnia czas płynął bardzo leniwie.

Kątem oka zauważyłem, że zza pikapu ktoś wychodzi.

- Cześć, Luke.

Drgnąłem, gwałtownie się odwróciłem i zobaczyłem przyjazną twarz Jackiego Moona, starszego chłopaka, który mieszkał na północ od Black Oak.

- Cześć - odrzekłem z ulgą. Przez ułamek sekundy myślałem, że to któryś z Sisców zastawił na mnie pułapkę.

Jackie oparł się o przedni błotnik i wyjął skręta.

- Macie jakieś wiadomości od Ricky'ego?

Patrzyłem na papierosa.

- Ostatnio nie. Dwa tygodnie temu dostaliśmy list.

- Jak sobie radzi?

- Chyba nieźle.

Jackie potarł zapalką o karoserię i przypalił papierosa. Wysoki i chudy, grał w reprezentacji ogólniaka w Monette i odkąd pamiętam, był ich najlepszym zawodnikiem. Ricky też tam grał do czasu, kiedy przyłapano go za szkołę na paleniu. Trener, stary kombatant, który stracił na wojnie nogę, wyrzucił go z drużyny. Rozwścieczony Dziadzio miotał się po farmie przez cały tydzień, grożąc, że zabije swego młodszego syna. Ricky wyznał mi wtedy, że i tak miał dość baseballu. Chciał grać w futbol, ale ze względu na bawełniane żniwa ci z ogólniaka nie mogli zorganizować drużyny.

- Chyba też tam pojedę - powiedział Jackie.

- Do Korei?

- Tak.

Chciałem go spytać, czy naprawdę uważa, że się tam na coś przyda. Chociaż nie znośm harować przy bawelnie, wolałem już to, niż dać się zastrzelić.

- A co będzie z baseballlem? - Krążyły plotki, że chce go zwerbować nasz stanowy uniwersytet.

- Rzucam szkołę - odrzekł i wypuścił kłęb dymu.

- Dlaczego?

- Znudziło mi się. Chodzę z przerwami od dwunastu lat, dłużej niż ktokolwiek z rodziny. Dość już się nauczyłem.

Dzieci z naszego hrabstwa rzucały szkołę raz po raz. Ricky też próbował kilka razy i dziadka przestało to obchodzić. Ale babcia się zawzięła i w końcu zdał maturę.

- Wielu naszych tam ginie - powiedział Jackie, patrząc w dal.

Nie chciałem tego słuchać, więc nie odpowiedziałem. Jackie dopalił papierosa i schował ręce do kieszeni.

- Powiadają, że widziałeś tę bójkę.

Przewidywałem, że ktoś mnie o to spyta, i pamiętałem surowe ostrzeżenie taty, żebym z nikim na ten temat nie rozmawiał.

Ale Jackiemu mogłem chyba zaufać. On i Ricky razem dorastali.

- Dużo ludzi ją widziało.

- Tak, ale wszyscy ponabierali wody w usta. Ci ze wzgórz milczą, bo poszło o jednego z nich, a miejscowi, bo Eli kazał im trzymać język za zębami. Przynajmniej tak mówią.

Uwierzyłem mu. Ani przez sekundę nie wątpiłem, że Eli Chandler skrzyknął braci baptystów i kazał im zewrzeć szyki, przynajmniej do końca zbiorów.

- A Siscowie? - spytałem.

- Nikt ich nie widział. Przywarowali. W piątek był pogrzeb. Sami wykopali grób. Pochowali go za kościołem. Stick ma na nich oko.

Zamilkliśmy. Przed nami ryczała odziarniarnia. Jackie skręcił i przypalił kolejnego papierosa.

- Widziałem cię tam.

Poczułem się tak, jakby przyłapał mnie na jakimś przestępstwie.

- No i? - Powiedziałem tylko to, nic więcej nie przyszło mi do głowy.

- Ciebie i małego Pintera. Kiedy ten facet chwycił kantówkę, spojrzałem na was i pomyślałem: ci chłopcy nie powinni tego oglądać. I miałem rację.

- Wolałbym tego nie widzieć.

- Ja też - odparł Jackie i puścił zgrabne kółko.

Zerknąłem w stronę odziarniarni, żeby sprawdzić, czy dziadek nie nadchodzi. Był gdzieś w środku, pewnie wypełniał papierki w biurze. Za nami ustawilo się kilka przyczep.

- Rozmawiałeś ze Stickiem? - spytałem.

- Nie. I nie zamierzam. A ty?

- Tak, był u nas.

- Gadał z tym facetem?

- Tak.

- A więc wie, jak się nazywa?

- Chyba tak.

- To dlaczego go nie aresztuje?

- Nie wiem. Powiedziałem mu, że było trzech na jednego.

Jackie mruknął i splunął w chwasty.

- Jasne, trzech na jednego, ale nikt nie musiał nikogo zabijać. Nie lubię Sisców, nikt ich nie lubi, ale po co ich tak skatował?

Milczałem. Jackie zaciągnął się i mówił dalej, wypuszczając dym ustami i nosem.

- Twarz miał czerwoną jak krew, oczy mu płonęły. Nagle znieruchomiał i spojrzał na nich tak, jakby chwycił go za gardło jakiś duch. Cofnął się, wyprostował i znowu popatrzył, ale tak, jakby nikogo nie widział. Potem wyszedł na ulicę, a wtedy Siscowie i ich kumple rzucili się

do tych, co leżeli. Pożyczyli furgonetkę od Roe Duncana i zawieźli ich do domu. Jerry nie odzyskał przytomności. Roe zawiózł go w nocy do szpitala, ale Sisco już nie żył. Miał pękniętą czaszkę. Na szczęście tamci dwaj żyją, chociaż facet ich nie oszczędzał. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Ja też nie.

- Na twoim miejscu darowałbym sobie oglądanie bójek. Za młody jesteś.

- Spokojna głowa. - Spojrzałem na drzwi biura i zobaczyłem dziadka. - Dziadek idzie. Jackie rzucił papierosa i rozdeptał go butem.

- Nie powtarzaj tego nikomu.

- Jasne.

- Nie chcę mieć z nim do czynienia.

- Nikomu nie powiem.

- I pozdrów ode mnie Ricky'ego. Napisz, żeby się trzymał, że niedługo przyjadę.

- Dobra. - Jackie zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Znowu te sekrety. Coraz więcej sekretów.

Dziadzio odhaczył przyczepę i usiadł za kierownicą.

- Nie będziemy tu czekać przez trzy godziny - wymamrotał i odpalił silnik.

Wyjechaliśmy na ulicę i wkrótce byliśmy już poza granicami miasta. W nocy któryś z pracowników odziarniarni podczepi przyczepę do małego traktora i podciągnie ją bliżej budynku. Bawełna zostanie wessana do środka i godzinę później odziarniarka wypluje dwie idealnie równe bele. Po zważeniu z każdej z nich zostanie pobrana próbka, żeby nabywca mógł ją ocenić. Dziadek przyjedzie do miasta zaraz po śniadaniu. Obejrzy bele i próbki i na pewno znajdzie sobie kolejne zmartwienie.

Nazajutrz przyszedł list od Ricky'ego. Babcia położyła go na stole, zanim, powłócząc nogami, weszliśmy z bolącymi plecami do kuchni. Tego dnia zebrałem ponad trzydzieści pięć kilo: jak na siedmiolatka to rekord wszech czasów, chociaż i tak nie można było tego sprawdzić, ponieważ wszyscy zazwyczaj przechwalali się i zmyślali. Zwłaszcza dzieci. Dziadek i tata zbierali codziennie po dwieście dwadzieścia siedem kilo.

Babcia uśmiechała się i coś cicho nuciła, dlatego domyśliliśmy się, że w liście są dobre wiadomości. Szybko go podniosła i odczytała na głos. Pewnie znała go już na pamięć.

*Kochana mamo, tato, Jesse, Kathleen i Luke!*

*Mam nadzieję, że wszystko u was dobrze. Nigdy nie myślałem, że będę tęsknił za polem i bawełną, ale bardzo chciałbym być teraz w domu. Brakuje mi wszystkiego: farmy,*

*pieczonych kurczaków i Kardynałów. Jak to możliwe, że Dodgersi wygrają ligę? Niedobrze mi się robi, jak o tym pomyślę.*

*Ale poza tym, jest mi tu całkiem dobrze. Uspokoilo się. Nie siedzimy już w okopach. Nasza jednostka stacjonuje teraz osiem kilometrów za linią frontu i wszyscy próbujemy się wyspać. Jest nam ciepło, odpoczywamy, dobrze jemy, nareszcie nikt do nas nie strzela i my też do nikogo nie strzelamy.*

*Myślę, że niedługo wrócę do domu. Wygląda na to, że idzie ku lepszemu. Krążą pogłoski o rozmowach pokojowych, dlatego wszyscy trzymamy kciuki.*

*Dostałem wasze listy i dużo dla mnie znaczą. Dlatego piszcie jak najczęściej. Luke, Twój ostatni list był trochę przykrótki, napisz dłuższy.*

*Muszę kończyć. Całuję wszystkich.*

*Ricky*

Podawaliśmy sobie list z rąk do rąk i czytaliśmy, wreszcie babcia schowała go do pudełka po cygarach koło radia. Leżały tam wszystkie listy Ricky'ego i przechodząc wieczorem przez kuchnię, często widywałem, jak ona albo dziadek czytają je chyba po raz setny.

Dzięki nowemu listowi zapomnieliśmy o zeszywniałych mięśniach i spieczonej skórze, i szybko pochłonawszy kolację, usiedliśmy przy stole, żeby napisać do Ricky'ego.

Wziąłem swój brulion i ołówek i opowiedziałem mu o Jerrym Sisco i o Hanku Spruillu. Nie szczędziłem szczegółów. Piałem o krwi, o roztrzaskanej kantówce, o Sticku Powersie, o wszystkim. Nie wiedziałem, jak się pisze niektóre słowa, więc pisałem na czuja. Wiedziałem, że kto jak kto, ale Ricky na pewno daruje mi ortografię. Ponieważ nie chciałem, żeby rodzice i dziadkowie dowiedzieli się, że rozsiewam plotki aż po Koreę, zasłaniałem brulion rękami najlepiej, jak się dało.

Pisaliśmy jednocześnie pięć listów i jestem pewien, że zawierały pięć różnych wersji tych samych wydarzeń. W trakcie pisania dorośli opowiadali zabawne dykteryjki. Była to szczęśliwa chwila, tym cenniejsza, że przeżywaliśmy ją w znojmym czasie zbiorów. Dziadzio włączył radio. Słuchaliśmy transmisji z meczu Kardynałów, a nasze listy wydłużały się i wydłużały.

Siedząc przy kuchennym stole, śmiejąc się, pisząc i słuchając sprawozdania, żadne z nas nie miało najmniejszej wątpliwości, że Ricky wkrótce wróci do domu.

Napisał, że wróci.

## ROZDZIAŁ 15

W czwartek po południu mama przysłała po mnie na pole i oznajmiła, że jestem jej potrzebny w ogrodzie. Z radością zdjąłem z pleców worek. Zostawiwszy pozostałych pracowników w bawełnianym gąszczu, ruszyliśmy do domu, ciesząc się, że to już koniec dnia pracy.

- Musimy pojechać do Latcherów - powiedziała mama. - Martwię się o nich. Mogą być głodni.

Latcherowie też mieli ogród, choć nieduży. Wątpiłem, czy którekolwiek z nich chodziło głodne. Dużych zapasów na pewno nie mieli, ale głód w naszym hrabstwie był czymś nie do pomyślenia. Nawet najbiedniejsi połownicy uprawiali pomidory i ogórki, gdyż było ich na to stać. Każda farmerska rodzina miała kilka niosek.

Ale mama uparła się, żeby wreszcie zobaczyć Libby i sprawdzić, czy plotka o jej ciąży jest prawdziwa.

Kiedy wchodziliśmy do ogrodu, nareszcie zrozumiałem, co chce zrobić. Jeśli się pośpieszymy i zdążymy do Latcherów przed końcem dnia pracy, rodzice i dzieci będą jeszcze na polu. Skoro Libby spodziewa się dziecka, to została w domu, najpewniej sama. Będzie musiała do nas wyjść i odebrać warzywa, nie ma wyboru. Weźmiemy ją podstępem, przygwoździmy ją chrześcijańską dobrocią. To był genialny plan.

Pod ścisłym nadzorem mamy zacząłem zbierać pomidory, ogórki, groszek, fasolę, kukurydzę - niemal wszystko, co rosło w ogrodzie.

- Weź tego czerwonego, Luke - mówiła. - Nie, nie, ten groszek może jeszcze poczekać... Nie, ten ogórek nie jest jeszcze całkiem dojrzały.

Chociaż często zbierała sama, wołała nadzorować innych. Równowaga w ogrodzie była zachowana tylko wtedy, kiedy okiem artystki spoglądała nań z pewnego dystansu i kiedy mogła dyrygować mną lub tatą, każąc nam zrywać te czy inne warzywa.

Nie znosiłem naszego ogrodu, ale jeszcze bardziej nienawidziłem pola. Wszystko było lepsze od zbierania bawełny.

Sięgając po kolbę kukurydzy, między łodygami zobaczyłem coś, co mnie zmroziło. Za ogrodem był mały, ocieniony trawnik, za wąski, żeby grać na nim w baseball, więc do niczego nieprzydatny. Graniczył ze wschodnią ścianą domu, tą najdalszą od drogi. Po stronie zachodniej były kuchenne drzwi, parking, gdzie stał pikap, oraz dróżka do stodoły, wychodka i

na pole. Tak więc wszystko działo się po stronie zachodniej, natomiast po wschodniej prawie nic.

I właśnie z tej strony, od ogrodu, z dala od ludzkich oczu, ktoś pomalował fragment narożnej deski. Na biało. Reszta domu miała ten sam kolor co zawsze, jasnobrązowy kolor starych, mocnych dębowych desek.

- Co się stało? - spytała mama. W ogrodzie nigdy się nie spieszyła, gdyż było to jej sanktuarium, lecz tego dnia szykowała zasadzkę, i najważniejszy był czas.

- Nie wiem - odrzekłem, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.

Mama podeszła bliżej, spojrzała w gąszcz kukurydzy porastającej granice jej królestwa i kiedy dostrzegła pomalowaną deskę, też zamarła.

Im dalej od rogu domu, tym warstwa farby była cieńsza. Było oczywiste, że praca jest w toku. Ktoś malował nasz dom.

- To Trot - szepnęła mama i w kącikach jej ust zagościł lekki uśmiech.

Nawet o nim nie pomyślałem, nie miałem czasu, żeby wytypować winowajcę, lecz kiedy tylko to powiedziała, i dla mnie stało się oczywiste, że to musi być on. Któż inny włóczył się cały dzień po podwórku, gdy my tyraliśmy w polu? Któż inny pracowałby w tak żalonym tempie? I kto byłby na tyle głupi, żeby bez pozwolenia malować czyjś dom?

Przecież to właśnie on krzyknął na Hanka, żeby przestał mnie dręczyć, nabijać się z naszego małego, niepomalowanego domu i wyzywać nas od kmiotów. Trot przyszedł mi wtedy na ratunek.

Tylko skąd wziął pieniądze na farbę? I w ogóle po co to robił? W głowie kłębiły mi się dziesiątki pytań.

Mama cofnęła się i wyszła z ogrodu. Podeszliśmy do narożnika domu i przyjrzelśmy się farbie. Jeszcze pachniała i była chyba lepka. Mama potoczyła wzrokiem po podwórzu. Trot gdzieś przepadł.

- Co zrobimy? - spytałem.

- Nic, przynajmniej na razie.

- Czy mama komuś o tym powie?

- Porozmawiam z tatą. Tymczasem zachowajmy to dla siebie.

- Mówiliście, że to niedobrze, kiedy chłopcy mają tajemnice.

- Tylko wtedy, kiedy mają je przed rodzicami.

Napełniliśmy warzywami dwa kosze i załadowaliśmy je do pikapu. Mama prowadziła mniej więcej raz w miesiącu. Oczywiście dawała sobie radę, ale za kierownicą czuła się dość nieswojo. Teraz też ścisnęła ją kurczowo, kilka razy nacisnęła pedał sprzęgła, potem pedał

hamulca, wreszcie przekręciła kluczyk w stacyjce. Szarpnęło nas na wstecznym, a kiedy stary pikap zakręcił, nawet się roześmialiśmy. Kiedy odjeżdżaliśmy, zobaczyłem Trota leżącego pod ciężarówką Spruillów: obserwował nas zza tylnego koła.

Cała wesołość minęła, gdy dojechaliśmy do rzeki.

- Trzymaj się, Luke - powiedziała mama z przerażeniem w oczach, redukując biegi i pochylając się nad kierownicą.

Trzymać się? Ale czego? Most był wąski, jednopasmowy i nie miał barierek. Gdyby z niego zjechała, poszlibyśmy na dno.

- Dasz radę, mamó - odrzekłem bez większego przekonania.

- Oczywiście, że dam.

Przejeżdżałem z nią tędy kilka razy i każdy przejazd dostarczał mi niezapomnianych wrażeń. Jechaliśmy wolniutko, bojąc się spojrzeć w dół. Wstrzymywaliśmy oddech dopóty, dopóki tylne koła pikapu nie wtoczyły się na bitą drogę.

- Dobra robota - powiedziałem.

- Łatwizna. - Mama w końcu odetchnęła.

Początkowo ich nie dostrzegłem, ale kiedy podjechaliśmy bliżej chaty, w bawełnianym gąszczu na krańcu pola zobaczyłem kilka słomkowych kapeluszy. Nie wiedziałem, czy nas słyszeli, w każdym razie nie przestali zbierać. Zaparkowaliśmy tuż przed gankiem i samochód utonął w kłębach pyłu. Zanim zdążyliśmy wysiąść, z ganku zeszła pani Latcher, nerwowo wycierając ręce w ścierkę. Zdawało się, że mówi do siebie, i miała bardzo niespokojną twarz.

- Dzień dobry, pani Chandler - powiedziała, rozglądając się na boki. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nigdy nie mówi mamie po imieniu. Była od niej starsza i miała co najmniej o sześćoro dzieci więcej niż ona.

- Jak się masz, Darlo. Przywieźliśmy trochę warzyw.

Stały naprzeciwko siebie.

- Dobrze, że pani przyjechała - odrzekła spiętym głosem pani Latcher.

- Co się stało?

Pani Latcher zerknęła na mnie, ale natychmiast przeniosła wzrok z powrotem na mamę.

- Potrzebuję pomocy. Chodzi o Libby. Ona rodzi.

- Rodzi? - powtórzyła mama, udając, że jest kompletnie zaskoczona.

- Tak, ma bóle.

- W takim razie trzeba wezwać lekarza.

- Nie, nie, tylko nie to. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt. Musimy zachować to w tajemnicy.

Przycupnąłem za pikapem, żeby mnie nie widziała. Pomyślałem, że jeśli się schowam, pani Latcher powie coś więcej. Zanosilo się na dużą aferę i nie chciałem niczego przegapić.

- Tak nam wstyd - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie chce nam powiedzieć, kto jest ojcem, ale teraz to nieważne. Oby tylko urodziła.

- Potrzebujecie lekarza...

- Nie, pani Chandler. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Jeśli przyjedzie lekarz, dowie się całe hrabstwo. Musi pani zachować to dla siebie. Może mi pani to obiecać?

Biedaczka omal się nie rozplakała. Desperacko próbowała zachować w tajemnicy coś, o czym od wielu miesięcy trąbiło całe miasto.

- Chodźmy do niej - powiedziała mama, nie odpowiadając na pytanie i ruszyły w stronę ganku. - Luke, zostań przy samochodzie - rzuciła przez ramię.

Kiedy tylko zniknęły w środku, obszedłem chatę i zajrzałem do pierwszego okna, jakie zobaczyłem. Małeńki pokój, stare, brudne materace na podłodze. Zza sąsiedniego okna dobiegły mnie ich głosy. Zamarłem i wyteżyłem słuch. Tuż za mną zaczynało się pole.

- Libby, to jest pani Chandler. Przyszła ci pomóc.

Libby wyszlochała coś, czego nie zrozumiałem. Chyba bardzo ją bolało. A potem dodała:

- Tak mi przykro.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszała ją pani Latcher.

- Kiedy zaczęły się bóle?

- Godzinę temu.

- Tak się boję, mamu - powiedziała Libby, tym razem znacznie głośniej. W jej głosie nie było nic oprócz przerażenia. Mama i pani Latcher próbowały ją uspokoić.

Ponieważ nie byłem już nowicjuszem w przedmiocie kobiecej anatomii, kusiło mnie, żeby zobaczyć dziewczynę w ciąży. Ale jej szloch dochodził tuż zza okna i gdyby przyłapano mnie na podglądaniu, tata darłby ze mnie pasy przez tydzień. Samowolne oglądanie rodzącej kobiety było bez wątpienia grzechem największego kalibru. Mógłbym nawet od tego oślepnąć.

Mimo to nie zdołałem się powstrzymać. Przykucnąłem i wślizgnąłem się niemal pod parapet. Zdjąłem kapelusz i właśnie powolutku się prostowałem, gdy wtem pół metra od mojej głowy grzmotnęła ciężka gruda ziemi. Roztrzaskała się o ścianę z takim hukiem, że zadygotały spróchniałe deski, a kobiety aż pisnęły ze strachu. W policzek uderzyły mnie kawałki ziemi. Błyskawicznie padłem na trawę i odturlałem się od okna. Potem wstałem i popatrzyłem w stronę pola.

Dwa rzędy bawełnianych krzewów dalej zobaczyłem Percy'ego Latchera. W jednej

ręce trzymał nową grudę ziemi, a w drugiej grudę trzecią, którą celował prosto we mnie.

- To pani syn - powiedział czyjś głos.

W oknie mignęła głowa pani Latcher. Jeszcze raz zerknąłem na Percy'ego, jak opętany pognałem do pikapu, wskoczyłem do szoferki i podkręciłem szybę. Czekałem na mamę.

Percy zniknął na polu. Wiedziałem, że dzień pracy zaraz dobiegnie końca, i chciałem stamtąd odjechać, zanim do domu ściagną pozostali Latcherowie.

Na ganek wyszły dwa małe, zupełnie nagie berbecie, chłopiec i dziewczynka, i zastanawiałem się przez chwilę, co myślą o tym, że ich starsza siostra zamierza sprezentować rodzinie kolejne Latcherątko. Stały i gapiły się na mnie.

Z chaty spiesznie wyszła mama, tuż za nią pani Latcher. Idąc do samochodu, z ożywieniem rozmawiały.

- Sprowadzę Ruth - mówiła mama, mając na myśli babcię.

- Proszę, tylko szybko - odrzekła pani Latcher.

- Ruth robiła to wiele razy.

- Błagam, niech ją pani przywiezie. I proszę nic nikomu nie mówić. Czy mogę pani zaufać?

Mama już otwierała drzwi, wsiadała do szoferki.

- Ależ oczywiście.

- Tak nam wstyd. - Pani Latcher otarła łzy. - Proszę nikomu nie mówić.

- Wszystko będzie dobrze, Darlo. - Mama przekreśliła kluczyk w stacyjce. - Za pół godziny wrócę z Ruth.

Samochód szarpnął na wstecznym i po kilku gwałtownych „kangurach” wreszcie zawróciliśmy. Mama jechała znacznie szybciej niż poprzednio i całą uwagę skupiała na prowadzeniu.

- Widziałeś Libby? - spytała w końcu.

- Nie, mamó - odparłem szybko i zdecydowanie. Wiedziałem, że mnie o to zapyta, i udzieliłem odpowiedzi całkowicie zgodnej z prawdą.

- Na pewno?

- Na pewno, mamó.

- W takim razie co robiłeś za domem?

- Poszedłem się przejść, a Percy rzucił we mnie ziemią. Trafił w ścianę. To nie ja, to on.

- Odpowiadałem szybko i bez wahania, czując, że mama bardzo chce mi wierzyć. Miała na głowie ważniejsze sprawy.

Przed mostem jak zwykle przystanęliśmy. Mama wrzuciła jedynekę, wstrzymała oddech

i powiedziała:

- Trzymaj się, Luke.

Babcia stała przy pompie. Wycierała ręcznikiem twarz i ręce i właśnie zamierzała iść do kuchni, żeby przygotować kolację. Mama szła tak szybko, że musiałem za nią biec.

- Musimy jechać do Latcherów - powiedziała. - Libby rodzi i Darla chce, żebyś odebrała dziecko.

- O mój Boże - szepnęła babcia i jej znużone oczy natychmiast rozbłysły. - A więc jednak jest w ciąży.

- Z całą pewnością. Od godziny ma bóle.

Strzygłem uszami, ciesząc się, że w tym wszystkim uczestniczę, gdy nagle, bez żadnej wyraźnej przyczyny, mama i babcia odwróciły się i spojrzały na mnie.

- Luke, do domu - rozkazała surowo mama, wskazując ręką dom, jakbym zapomniał, gdzie stoi.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytałem urażony.

- Nie gadaj, tylko idź - powtórzyła, więc lękliwie odszedłem; wdając się w dyskusję, i tak niczego bym teraz nie wskórał. Podjęły rozmowę przyciszonym głosem, ale kiedy dotarłem do werandy, mama krzyknęła:

- Luke! Biegnij po tatę! Jest potrzebny!

- Tylko szybko! - dodała babcia. Myśl, że będzie doglądała prawdziwą pacjentkę, bardzo ją ekscytowała.

Nie chciało mi się wracać na pole i gdyby nie to, że Libby rodziła, pewnie bym się postawił.

- Tak, mamó - odkrzyknąłem, mijając je w pędzie.

Tata i Dziadzio wazyli bawełnę, ostatni raz tego dnia. Dochodziła piąta i za przyczepą stali Spruillowie z ciężkimi workami. Meksykanów nie było.

Zdołałem odciągnąć tatę na bok i wyjaśniłem mu sytuację. Tata powiedział coś do dziadka i potruczaliśmy do domu.

Babcia właśnie gromadziła niezbędne przybory: spirytus do nacierania, ręczniki, środki przeciwbólowe oraz buteleczki z ohydnyimi miksturami, po ich zażyciu Libby miała zapomnieć o porodzie. Ustawiała i układała ten arsenał na kuchennym stole i nigdy dotąd nie widziałem, żeby tak szybko się poruszała.

- Ogarnij się trochę - rzuciła do taty. - Zawieziesz nas. To może trochę potrwać. - Tata nie był zachwycony tym pomysłem, ale nie zamierzał z nią dyskutować.

- Ja też się ogarnę - powiedziałem.

- Ty nigdzie nie jedziesz - odrzekła mama. Stała przy zlewie i kroїła pomidory. Oprócz codziennego półmiska ogórków i pomidorów, mieliśmy z dziadkiem dostać resztki z lunchu.

Odjechali w pośpiechu. Tata prowadził, mama siedziała wciśnięta między niego i babcię, a wszyscy troje pędzili na ratunek Libby. Stałem na werandzie i patrzyłem na kłęby pyłu, które przestały buchać spod kół dopiero wtedy, kiedy samochód dotarł do mostu. Naprawdę bardzo chciałem jechać z nimi.

Na kolację była fasola i zimne grzanki. Dziadzio nie znosił dojadania resztek. Uważał, że mama i babcia powinny były przygotować kolację przed wyjazdem do Latcherów, ale z drugiej strony sprzeciwiał się również temu, że zawoziliśmy im jedzenie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego musiały pojechać obie - wymruczał, siadając. - Ciekawskie są jak sroki, co, Luke? Nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą dziewczynę w ciąży.

- Tak, dziadku - odrzekłem.

Odmówił krótką modlitwę i bez słowa zaczęliśmy jeść.

- Z kim dzisiaj grają? - spytał po chwili.

- Z Redsami.

- Chcesz posłuchać?

- Jasne. - Słuchaliśmy transmisji co wieczór. Nic innego nie było do roboty.

Posprzątaaliśmy ze stołu i zanieśliśmy brudne naczynia do zlewu. Dziadzio ani myślał ich zmywać; to była babska robota. Gdy zapadł zmrok, usiedliśmy na werandzie, czekając na Harry'ego Caraya i na Kardynałów. Wciąż było duszno i straszliwie gorąco.

- Jak długo rodzi się dziecko?

- To zależy - odrzekł Dziadzio z huśtanej ławki.

Ponieważ nie powiedział nic więcej, odczekałem chwilę i spytałem:

- Od czego?

- Od wielu rzeczy. Niektóre dzieci rodzą się raz dwa, inne całymi dniami.

- A ja? Długo się rodziłem?

Dziadek myślał chwilę.

- Chyba nie pamiętam. Pierwsze dziecko rodzi się dłużej niż następne.

- Był dziadek przy tym?

- Nie. Byłem na traktorze. - Rodzenie dzieci najwyraźniej go nie interesowało, ponieważ rozmowa się nie kleiła.

Zobaczyłem Tally. Przecięła podwórze i zniknęła w ciemności. Spruillowie szykowali

się do snu; ich ognisko prawie wygasło.

W końcu pierwszej zmiany Redsi zaliczyli cztery kółka. Dziadek tak się zezłościł, że poszedł spać. Zgasilem radio i siedzialem po ciemku, wypatrując Tally. Niebawem Dziadzio zaczął chrapać.

## ROZDZIAŁ 16

Postanowiłem zaczekać na nich na werandzie. Niemal widziałem, co się tam dzieje: kobiety w pokoju przy Libby, mężczyźni i dzieci na dworze, jak najdalej od rodzącej. Ich chata stała tuż za rzeką, a mnie przechodziło koło nosa tyle ciekawych rzeczy.

Dopadło mnie zmęczenie i omal nie zasnąłem. Nad obozowiskiem Spruillów już dawno zapadła ciemność i cisza, tymczasem Tally wciąż nie wracała.

Przeszedłem na palcach przez dom, sprawdziłem, czy dziadek mocno śpi, usiadłem na ganku i spuściłem nogi. Ilekroć zza porzrzucanych po niebie chmur wyglądał księżyc, pola za stodołą i silosem spowijała miękka, szarawa poświata. Bez księżycy były zupełnie czarne. I właśnie kiedy wyjrzał zza chmur po raz kolejny, zobaczyłem, że drogą idzie Tally. Była sama i bynajmniej się nie spieszyła. Sekundę później pole znowu zalała ciemność. Przez kilkanaście sekund panowała głucha cisza i nagle dobiegł mnie trzask suchej gałązki.

- Tally - szepnąłem najgłośniejszym głosem, jak umiałem.

- To ty, Luke? - spytała po długiej chwili milczenia.

- Tutaj. Na ganku.

Była na bosaka i szła bezszelestnie.

- Co tu robisz? - spytała, stając przede mną.

- Gdzie byłeś?

- Na spacerze.

- Chodzisz na spacer? Po co?

- Nie wiem. Czasami mam ochotę uciec od rodziny.

Nic z tego nie rozumiałem. Usiadła przy mnie, podciągnęła sukienkę za kolana i zaczęła kiwać nogami.

- Czasami po prostu mam ochotę - dodała cicho. - Ty nigdy nie miałeś?

- Nie. Skończyłem dopiero siedem lat. Ale nie zamierzam mieszkać tu przez całe życie.

- A gdzie będziesz mieszkał?

- W St. Louis.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo tam grają Kardynałowie.

- Ty też będziesz u nich grał?

- No jasne.

- Bystry z ciebie chłopak. Tylko głupiec chciałby do końca życia zbierać bawełnę. Ja chcę wyjechać na północ, gdzieś, gdzie jest chłodno i gdzie pada śnieg. Dużo śniegu.

- Na przykład gdzie?

- Nie wiem. Może do Montrealu.

- Gdzie to jest?

- W Kanadzie.

- Grają tam w baseball?

- Chyba nie.

- To lepiej daj sobie spokój.

- Nie, tam jest pięknie. Uczyliśmy się o Kanadzie na historii. Założyli ją Francuzi i wszyscy mówią tam po francusku.

- Ty też umiesz?

- Nie, ale mogę się nauczyć.

- To łatwe. Ja znam już hiszpański. Juan mnie nauczył, w zeszłym roku.

- Naprawdę?

- *Si.*

- Powiedz coś jeszcze.

- *Buenos días. Por favor. Adios. Gracias. Señor. Como esta?*

- Ale nawijasz.

- Mówiłem, to łatwe. Jak daleko jest do Montrealu?

- Nie wiem. Chyba daleko. Między innymi dlatego chcę tam pojechać.

Nagle w pokoju dziadka zapaliło się światło. Padło na ganek i trochę się przestraszyliśmy.

- Cicho - szepnąłem.

- Kto to? - odszepnęła, nisko pochylając głowę, jakby świstały nad nami kule.

- Dziadek. Idzie napić się wody. Czasami chodzi tak całą noc. - Dziadzio wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Obserwowałem go przez siatkowe drzwi. Wypił dwa kubki wody, poczłapał z powrotem do sypialni i zgasił światło. Kiedy ponownie zapadła cisza i ciemność, Tally spytała:

- Dlaczego? Nie może spać?

- Martwi się. O Ricky'ego. Ricky walczy w Korei.

- Kto to jest Ricky?

- Mój wujek. Ma dziewiętnaście lat.

Tally trawiła to chwilę, po czym spytała:

- Przystojny jest?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. To mój najlepszy kumpel i chciałbym, żeby już wrócił do domu.

Mijała noc, a my kiwaliśmy nogami, myśląc o Rickym.

- Luke, przed kolacją twoi rodzice dokądś pojechali.

- Tak, do Latcherów.

- Kto to jest?

- Połownicy. Mieszkają za rzeką.

- Po co tam pojechali?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo to tajemnica.

- Jaka tajemnica?

- Wielka.

- Daj spokój. Przecież jedną tajemnicę już mamy, prawda?

- Chyba tak.

- Nikomu nie powiedziałam, że podglądałeś mnie nad strumieniem. Powiedziałam?

- Nie.

- A gdybym powiedziała, miałbyś duże kłopoty, tak?

- No tak.

- Sam widzisz. Oboje potrafimy dotrzymać tajemnicy. Więc co się dzieje u tych Latcherów?

- Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz.

- Obiecuję.

Całe miasto wiedziało, że Libby jest w ciąży. Po co miałem udawać, że to tajemnica?

- Libby... To ich córka. Libby rodzi dziecko. Właśnie teraz.

- Ile ma lat?

- Piętnaście.

- O rany.

- Jej rodzice próbują utrzymać to w tajemnicy. Nie chcieli wezwać lekarza, bo wszyscy by się dowiedzieli. Dlatego dziecko ma odebrać babcia.

- Dlaczego chcą utrzymać to w tajemnicy?

- Bo ona nie ma męża.

- Poważnie? A kto jest ojcem?

- Nie chce powiedzieć.

- I nikt tego nie wie?

- Tylko ona.

- Znasz ją?

- Parę razy ją widziałem, ale tam jest kupa dzieciaków. Znam Percy'ego, jej brata.

Mówi, że ma dwanaście lat, ale ja mu nie wierzę. Tak na oko trudno powiedzieć, bo oni nie chodzą do szkoły.

- Wiesz, jak dziewczęta zachodzą w ciążę?

- Nie bardzo.

- To chyba ci nie powiem.

No i dobrze. Ricky próbował kiedyś rozmawiać ze mną o dziewczynach, ale aż mnie od tego zemdlilo.

Trawiąc tę cudowną nowinę, Tally szybciej pokiwała nogami.

- Rzeka jest blisko.

- Półtora kilometra stąd - odrzekłem.

- A ci Latcherowie? Daleko mieszkają?

- Nie, zaraz za mostem.

- Widziałeś kiedyś, jak kobieta rodzi dziecko?

- Nie. Widziałem, jak rodzą krowy i suki, ale nie kobieta.

- Ja też nie.

Zeskoczyła na ziemię, chwyciła mnie za rękę i ściągnęła z ganku. Była zaskakująco silna.

- Chodź. Pójdziemy popatrzeć. - Pociągnęła mnie za sobą, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

- Zwariowałaś - zaprotestowałem, próbując ją powstrzymać.

- Nie - szepnęła. - To przygoda, taka sama jak wtedy nad strumieniem. Podobało ci się, prawda?

- No jasne.

- Więc zaufaj mi.

- A jak nas przyłapią?

- Jakim cudem? Wszyscy śpią. Twój dziadek się obudził, ale nawet do głowy mu nie przyszło, żeby do ciebie zajrzeć. No chodź, nie bądź tchórzem.

I nagle zdałem sobie sprawę, że poszedłbym za nią wszędzie.

Przemknęliśmy chyłkiem za drzewami, po koleinach, gdzie zwykle stał nasz pikap i

przez podjazd, trzymając się jak najdalej obozowiska Spruillów. Słyszeliśmy chrapanie i ciężkie oddechy spracowanych ludzi, którym w końcu udało się zasnąć. Cichutko doszliśmy do drogi. Tally była szybka i zwinna i odważnie zanurzała się w noc. Kiedy skręciliśmy w kierunku rzeki, zza chmur ponownie wyszedł księżyc, żeby oświetlić nam drogę. Droga, a właściwie ścieżka, była wąska - z trudem mijały się na niej dwie furgonetki - a na jej poboczu rosły bawełniane krzewy. Kiedy księżyc krył się za chmurami, musieliśmy uważać na nogi, ale kiedy świecił, widzieliśmy niemal wszystko. Oboje byliśmy na bosaka. Dzięki żwirowi na ścieżce mogliśmy stawiać krótkie, szybkie kroki, chociaż skórę na podszwach stóp mieliśmy tak grubą jak skóra mojej rękawicy.

Bąłem się, ale za nic bym tego nie okazał. Tally zaś nie bała się chyba niczego: ani ciemności, ani tego, że mogą nas przyłapać, ani tego, że próbowaliśmy się zakraść do domu, w którym rodziło się dziecko. Czasami była chłodna, posępna i zamyślona i wtedy wydawało mi się, że ma tyle samo lat co mama. Ale potrafiła też być małą dziewczynką, która śmieje się, grając w baseball, pozwala podglądać się przy kąpieli, chodzi po ciemku na długie spacery i, co najważniejsze, lubi przebywać w towarzystwie siedmioletniego chłopca.

Stanęliśmy na środku mostu i ostrożnie spojrzeliśmy w dół. Opowiedziałem jej o czyhających tam zębaczach, o tym, jakie są wielkie i jakimi świństwami się żywią, i o dwudziestokilogramowym potworze, którego złowił Ricky. Kiedy ruszyliśmy dalej, wzięła mnie za rękę i delikatnie ją ścisnęła, ale nie po to, żeby dodać mi odwagi, tylko po to, żeby pokazać, jak bardzo mnie lubi.

Ścieżka prowadząca do chaty Latcherów była o wiele ciemniejsza. Zwolniliśmy kroku, gdyż wypatrywaliśmy domu, nie schodząc z drogi. Ponieważ Latcherowie nie mieli elektryczności, nie widzieliśmy żadnych świateł ani niczego oprócz aksamitnej czerni za zakrętem rzeki.

Tally coś usłyszała i zastygła w bezruchu. Z oddali dobiegły nas głosy. Weszliśmy na skraj bawełnianego pola i cierpliwie czekaliśmy na księżyc. Wskazywałem ręką to tu, to tam, próbując odgadnąć, gdzie stoi ich chata. Tak, były to głosy dzieci, najpewniej stadka małych Latcherzątek.

Księżyc w końcu wyszedł i mogliśmy się rozejrzeć. Od mrocznej chaty dzieliło nas sto metrów, a więc tyle, ile nasz ganek od stodoły, i była to też odległość między bazą domową i bandą zapola na Sportsman's Park; większość odległości w moim życiu porównywałem do tego dystansu. Przed chatą stał pikap dziadka.

- Chodźmy naokoło - powiedziała spokojnie Tally, jakby codziennie organizowała takie wyprawy. Zanurkowaliśmy między krzewy i rząd po rzędzie, po cichu zatoczyliśmy wielkie półkole. Prawie wszystkie krzewy były wyższe ode mnie. Doszedłszy do miejsca, gdzie się

trochę przerzedziły, przystanęliśmy, żeby ponownie zlustrować teren. W oknie z tyłu domu, w pokoju, gdzie mieszkała Libby, paliło się słabe światło. Przesunęliśmy się na wschód od niego i bezszelestnie ruszyliśmy w tamtą stronę.

Niebezpieczeństwo, że ktoś nas zobaczy, było niewielkie. Nikt nas tam nie oczekiwał, poza tym mieli teraz na głowie inne sprawy. Zresztą, wśród gęstych krzewów panował nieprzenikniony mrok; chłopak mojego wzrostu mógł przejść przez nie na czworakach i nikt by go nie zobaczył.

Moja współniczka poruszała się szybko i zwinnie jak żołnierze, których widziałem na filmach. Ze wzrokiem utkwionym w dom, ostrożnie rozgarniała krzewy, torując mi drogę. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Powoli, ostrożnie zbliżaliśmy się do chaty. Bawełna rosła tuż przy wąskim podwórzu i znalazłszy się kilkanaście kroków od jego skraju, przystanęliśmy, żeby ocenić sytuację.

Słyszeliśmy głosy Latcherzątek przy pikapie, który parkował na drugim końcu podwórka. Mój tata i pan Latcher siedzieli na klapie i cicho rozmawiali. Dzieci to milkły, to zaczynały mówić wszystkie naraz. I dzieci, i dorośli na coś czekali, i odniosłem wrażenie, że czekają już tak od dawna.

Dokładnie naprzeciwko nas było okno pokoju, w którym rodziła Libby, dlatego widzieliśmy więcej niż Latcherowie i tata. Poza tym siedzieliśmy we wspaniałej kryjówce i nie wymacałby nas nawet zamontowany na dachu szperacz.

Na stole przy oknie paliła się świeca. Mama i pani Latcher chodziły to tu, to tam i sądząc po przesuwających się cieniach, w pokoju musiało być co najmniej kilka świec. Światło było mdławne, cienie bardzo wyraźne.

- Podejźmy bliżej - szepnęła Tally. Tkwieliśmy tam już dobre pięć minut i chociaż się trochę bałem, nie wierzyłem, żeby ktoś mógł nas przyłapać.

Podeszliśmy ze trzy metry i przycupnęliśmy za krzewami.

- Wystarczy - syknąłem.

- Zobaczymy.

Światło z pokoju padało na ziemię. W oknie nie było ani siatki, ani firanek. Czekaliśmy. Serce przestało mi walić, oddech wrócił do normy. Oczy przywykły do ciemności, zacząłem też słyszeć nocne odgłosy: chór świerszczy, rechot żab na brzegu rzeki, szmer niskich męskich głosów w oddali.

Mama, babcia i pani Latcher też rozmawiały przyciszonym głosem. Słyszeliśmy je, lecz nie rozumieliśmy.

I właśnie w tej ciszy Libby nagle krzyknęła, i to tak strasznie, że aż podskoczyłem. Jej

bolesny krzyk poniósł się echem po całej okolicy i byłem przekonany, że Libby umarła. Dzieci ucichły. Ucichli tata i pan Latcher. Nawet świerszcze przestały grać.

- Co się stało? - spytałem.

- Nic. Skurcz porodowy - wyjaśniła Tally, nie odrywając wzroku od okna.

- Skurcz? Co to takiego?

Wzruszyła ramionami.

- Podczas porodu tak zawsze. Będzie jeszcze gorzej.

- Biedna dziewczyna.

- Sama się o to prosiła.

- Jak to?

- Nieważne.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Libby zapłakała. Jej mama i moja babcia próbowały ją pocieszyć.

- Przepraszam - powtarzała w kółko Libby.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła jej mama.

- Nikt się o tym nie dowie - zapewniała babcia. Było to oczywiste kłamstwo, ale być może Libby mniej dzięki temu cierpiała.

- Urodzisz ślicznego dzidziusia, zobaczysz - dodała moja mama.

W naszą stronę szło cichcem jakieś Latcherzątko, jedno z tych średniego wzrostu; trudno było odróżnić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Zakradło się pod okno dokładnie tak samo jak ja wtedy, kiedy Percy omal nie zabił mnie grudą ziemi, wspięło się na palce i już miało zajrzeć do pokoju, gdy wtem z drugiego końca domu warknęła na niego starsza siostra:

- Lloyd! Jazda stamtąd, ale już!

Lloyd natychmiast dał nogę i zniknął w ciemności. O przestępstwie musiano donieść ojcu, bo już po chwili doszły do nas odgłosy straszliwego lania. Pan Latcher tłukł chłopaka kijem i powtarzał:

- Następnym razem wezmę grubszy!

Lloyd na pewno uważał, że nawet ten jest za gruby, bo jego wrzaski słychać było chyba aż na moście.

- Mówiłem wam - zagrzmiął pan Latcher, skończywszy łoć mu skórę. - Macie zostać na podwórzu i trzymać się z dala od domu!

Nie widzieliśmy, co się tam działo, ale mogliśmy to sobie wyobrazić.

Bardziej niż lanie, które dostał Lloyd, przerażała mnie surowość i długotrwałość lania, jakie bym ja dostał, gdyby tata się zwiedził, gdzie teraz jestem. Nagle zapragnąłem wrócić do

domu.

- Ile trwa poród? - spytałem.

Tally musiała być znużona, ale zupełnie tego nie okazywała. Klęczała bez ruchu z oczami utkwionymi w okno.

- Zależy. Pierwszy zawsze dłużej.

- A siódmy?

- Nie wiem. Pewnie krótko. Kto urodził siedmioro dzieci?

- Mama Libby. Siedmioro albo ośmioro. Rodzi co roku.

Właśnie miałem przysnąć, kiedy nadszedł kolejny skurcz. Od krzyku zatrzęsł się cały dom, a potem znowu dobiegł nas płacz Libby i kojące słowa mamy i babci. I znowu zapadła cisza, a ja zdałem sobie sprawę, że może to trwać całe wieki.

Raz po raz zamykały mi się oczy, wreszcie nie wytrzymałem i zwinąłem się w kłębek na ciepłej ziemi między rzędami krzewów.

- Może już pójdziemy? - spytałem.

- Nie - odparła stanowczo Tally.

- To obudź mnie, jak coś się będzie działo.

Tally zmieniła pozycję. Usiadła na pupie, skrzyżowała nogi, delikatnie uniosła moją głowę i położyła ją sobie na kolanach. A potem pogłaskała mnie po ramieniu i po skroni. Nie chciałem zasypiać, ale mnie zmogło.

Obudziłem się w zupełnie obcym świecie, na ziemi i w kompletnych ciemnościach. Ani drgnąłem. Ziemia nie była już ciepła i zmarzłem w stopy. Otworzyłem oczy i przerażony gapiłem się w górę, dopóki nie dotarło do mnie, że leżę między krzewami bawełny. Dobiegły mnie podekscytowane głosy. Ktoś powiedział: „Libby” i momentalnie wróciłem do rzeczywistości. Wyciągnąłem rękę, ale Tally przy mnie nie było.

Wstałem i spojrzałem przez krzaki. Nic się nie zmieniło. Okno nadal było otwarte, świece wciąż się paliły, babcia, mama i pani Latcher wciąż krążyły po pokoju.

- Tally! - szepnąłem, pewnie za głośno, ale bałem się jak nigdy.

- Ciiii! Tutaj.

Była dwa rzędy dalej, po prawej stronie, i z trudem dostrzegłem tył jej głowy. Oczywiście podeszła trochę bliżej domu, żeby lepiej widzieć. Przebiłem się przez krzewy i przykucnąłem przy niej.

Baza domowa jest oddalona o osiemnaście metrów od stanowiska pałkarza. Do okna mieliśmy znacznie bliżej, gdyż od skraju podwórka dzieliły nas tylko dwa rzędy krzaków,

dlatego pochyliwszy się i wyciągnawszy szyję, nareszcie zobaczyłem spocone twarze kobiet. Patrzyły w dół, na Libby, której oczywiście nie widzieliśmy. Nie jestem pewien, czy chciałem ją zobaczyć, ale moja kumpelka na pewno.

Mama, babcia i pani Latcher coś tam robiły, pchały ją chyba albo popychały, w każdym razie kazały jej to przeć, to oddychać, to przeć, to oddychać i cały czas zapewniały, że wszystko będzie dobrze. Sądząc po odgłosach, miałem co do tego spore wątpliwości. Biedna Libby jęczała i skowyczała, a czasami krzyczała, i to tak przeraźliwie, że trzęsły się ściany. Jej udręczony głos niósł się daleko w głuchą noc i zastanawiałem się, co myślą o tym jej młodszy bracia i siostry.

Kiedy nie jęczała i nie płakała, mówiła: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Brzmiało to jak pacierz, jak bezsensowna modlitwa kogoś, kto bardzo cierpi.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - powtórzyła po raz tysięczny jej mama.

- Nie można jej jakoś pomóc? - spytałem.

- Nie. Dziecko przyjdzie na świat, kiedy zechce.

Chciałem spytać, skąd tyle o tym wie, ale ugryzłem się w język. To nie była moja sprawa i pewnie tak by mi odpowiedziała.

Nagle wszystko się uciszyło i znieruchomiało. Mama i babcia cofnęły się, a pani Latcher zniknęła za parapetem ze szklanką wody. Libby umilkła.

- Co się dzieje? - spytałem.

- Nic.

Podczas tej krótkiej przerwy miałem czas pomyśleć o innych rzeczach, a mianowicie o ewentualnej wpadce. Już się napatrzyłem. Przygoda dobiegła końca. Tally porównała ją z naszą wyprawą nad strumień, ale tamto przeżycie zbladło w porównaniu z tym. Siedzieliśmy tu od wielu godzin. A jeśli dziadek zajrzy do pokoju Ricky'ego? - myślałem. A jeśli któryś ze Spruillów obudzi się i zacznie szukać Tally? A jeśli tata znudzi się i postanowi wrócić do domu?

Pupa bolałaby mnie przez wiele dni, pod warunkiem, że przeżyłbym lanie. Już wpadałem w panikę, gdy wtem Libby głośno jęknęła, a mama i babcia znowu zaczęły zachęcać ją do parcia i oddychania.

- Jest! - powiedziała mama i wszystkie kobiety ogarnęło gorączkowe ożywienie.

- Przyj! - dorzuciła babcia.

Libby jęknęła jeszcze głośniej. Była bardzo wyczerpana, lecz wyglądało na to, że wszystko zaraz się skończy.

- Jeszcze trochę, skarbie - mówiła jej mama. - Jeszcze trochę.

Zahipnotyzowani tym strasznym dramatem, zastygliśmy bez ruchu. Tally mocno ścisnęła mnie za rękę. Miała zaciśnięte zęby i zadziwione, szeroko otwarte oczy.

- Wychodzi! - powiedziała mama i zapadła cisza. Po chwili usłyszeliśmy płacz noworodka, krótki, bulgotliwy krzyk protestu, i na świat przyszło kolejne Latcherątko.

- Chłopiec - oznajmiła babcia, podnosząc do góry uwalane krwią maleństwo.

- To chłopiec - powtórzyła pani Latcher.

Libby milczała.

Zobaczyłem więcej, niż oczekiwałem.

- Chodźmy - szepnąłem, ciągnąc Tally za rękę, lecz ona ani drgnęła.

Babcia i mama krzątały się wokół Libby, tymczasem pani Latcher kąpała dziecko, które wściekało się o coś i głośno płakało. Pomyślałem, że chyba nie chciałbym przyjść na świat w małej, brudnej chatce, w której roilo się od dzieci. To takie smutne.

Kilka minut później do okna podszedł Percy.

- Możemy zobaczyć dziecko? - spytał.

- Zaraz - odrzekła jego mama.

Zebrawali się pod oknem: cała galeria Latcherów, łącznie z ojcem, który właśnie został dziadkiem. Stali tuż przed nami, między bazą domową i stanowiskiem miotacza, więc wstrzymaliśmy oddech, żeby nas nie usłyszeli. Ale oni nas nie wiedzieli, a tym bardziej o nas nie myśleli. Znieruchomieli i zafascynowani wpatrywali się w okno.

Pani Latcher wzięła dziecko na rękę i nachyliła się ku nim, żeby przedstawić je rodzinie. Przypominało rękawicę baseballową; zawinięte w ręcznik, miało prawie taki sam kolor. Już nie płakało i zdawało się, że czereda Latcherów nie wywarła na nim większego wrażenia.

- Jak się czuje Libby? - spytał ktoś z tłumu.

- Dobrze - odrzekła.

- Możemy ją zobaczyć?

- Nie teraz. Jest bardzo zmęczona. - Zabrała dziecko i Latcherowie powoli wrócili na podwórze. Mojego taty wśród nich nie było. Wiedziałem, że ukrywa się gdzieś przy pikapie: na nieślubnego dzieciaka nie spojrzaliby za żadne pieniądze.

Babcia, mama i pani Latcher krzątały się po pokoju tak samo jak przed porodem, ale widać było, że powoli kończą pracę.

Otrząsnąłem się z transu i natychmiast sobie uświadomiłem, że jesteśmy daleko od domu.

- Tally, musimy iść! - syknąłem niecierpliwie.

Ona też wróciła do rzeczywistości i ruszyła przodem. Szliśmy tą samą drogą co

przedtem: przedarliśmy się przez bawełniane krzewy, oddalając się od chaty Latcherów, potem skręciliśmy na południe, popędziliśmy przed siebie wzdłuż miedzy, wreszcie przystanęliśmy, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy. Światło w oknie już dawno zniknęło nam z oczu. Księżyc schował się za chmurami. Nie widzieliśmy nic, ani chaty Latcherów, ani mrocznych cieni na ich podwórzu. Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność.

Skręciliśmy na zachód i ponownie weszliśmy na pole, przecinając rzędy krzewów i rozgarniając je, żeby nie podrapały nam twarzy. Po chwili pole się skończyło i znaleźliśmy się na ścieżce prowadzącej do głównej drogi. Bolały mnie stopy i nogi, ale nie mogliśmy tracić czasu. Pobiegliśmy do mostu. Tally chciała popatrzeć na kłębiącą się w dole wodę, lecz pociągnąłem ją za sobą.

- Nie pędźmy tak - powiedziała za mostem i przestaliśmy biec. Szliśmy w milczeniu, usiłując złapać oddech. Dopadło nas zmęczenie; przygoda była tego warta, ale kosztowała sporo wysiłku. Dochodziliśmy już do farmy, gdy wtem daleko za nami rozległ się warkot silnika. Światła! Na moście! Przerażony wrzuciłem najwyższy bieg. Tally mogła mnie bez trudu prześcignąć - bardzo by mnie poniżyła, chociaż z drugiej strony nie miałem czasu na wstyd - lecz zamiast przyspieszyć, zwolniła kroku, żeby mnie nie zgubić.

Wiedziałem, że tata będzie jechał powoli - droga była wąska i ciemna, poza tym wiozł mamę i babcię - mimo to światła reflektorów zbliżały się niepokojąco szybko. Niedaleko domu wskoczyliśmy do przydrożnego rowu i pobiegliśmy skrajem pola. Silnik warczał coraz głośniejsze.

- Ja poczekam tutaj - wydyszała Tally, wbiegając na podwórze. - Pikap był tuż-tuż. - Ty pędź do domu, przez ganek. Zaczekam, aż wejdą do środka. Szybko!

Pobiegłem dalej i w chwili, kiedy samochód zahamował na podwórzu, wpadłem na ganek. Bezszelestnie wszedłem do kuchni, potem do pokoju Ricky'ego, tam chwyciłem poduszkę i zwinąłem się w kłębek na podłodze pod oknem. Byłem zlany potem i zbyt brudny, żeby kłaść się do łóżka, i modliłem się tylko, żeby od razu poszli spać.

Weszli cicho do kuchni. Zdejmując buty, coś do siebie szeptali. Do pokoju wpadła smuga światła. Przecięły ją ich cienie, lecz ani babcia, ani rodzice nie zajrzeli do małego Luke'a. Chwilę później leżeli już w łóżkach i w domu ucichło. Zamierzałem trochę odczekać, potem wślizgnąć się do kuchni, przetrzeć myjką ręce i twarz, wypełznąć do łóżka i spać przez cały tydzień. Gdyby coś usłyszeli, powiedziałbym po prostu, że obudzili mnie, wchodząc do domu.

Układanie tego planu było ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem przed zapadnięciem w sen.



## ROZDZIAŁ 17

Nie wiem, jak długo spałem, lecz wydawało mi się, że ledwie kilka minut. Klęczał przy mnie dziadek, pytając, dlaczego leżę na podłodze. Próbowałem mu odpowiedzieć, ale nie mogłem. Paraliżowało mnie zmęczenie.

- Jest nas tylko dwóch, ty i ja. Tamci jeszcze śpią. - Z jego głosu biła pogarda.

Nie będąc w stanie ani myśleć, ani mówić, powlokłem się za nim do kuchni, gdzie czekała kawa. W milczeniu zjedliśmy zimne grzanki z sorgiem. Dziadzio był oczywiście poirytowany, ponieważ miał ochotę na porządne śniadanie. I zły, że babcia i rodzice śpią, zamiast szykować się do wyjścia w pole.

- Ta dziewczucha, ta od Latcherów, urodziła w nocy dziecko - powiedział, wycierając usta. Przez dziewczuchę Latcherów i jej dziecko mieliśmy mniej ludzi do roboty i zjedliśmy marne śniadania, dlatego z trudem nad sobą panował.

- Naprawdę? - spytałem, udając zaskoczonego.

- Tak, ale ciągle nie wiedzą, kto jest tatusiem.

- Nie?

- Nie. Chcą to utrzymać w tajemnicy, dlatego nic nikomu nie mów.

- Dobrze, dziadku.

- I pospiesz się. Musimy jechać.

- O której wrócili?

- Koło trzeciej.

Wyszedł i odpalił silnik traktora. Wstawiłem naczynia do zlewu i zajrzałem do rodziców. Leżeli nieruchomo jak trupy; słychać było tylko ich głębokie oddechy. Miałem ochotę zrzucić buty, wślizgnąć się do ich łóżka i spać przez cały tydzień. Zamiast tego powlokłem się na dwór. Zza drzew na wschodzie właśnie wychodziło słońce. W oddali dostrzegłem sylwetki Meksykanów idących na pole.

Ocieżale nadciągali Spruillowie. Tally wśród nich nie było. Spytałem o nią Bo i powiedział, że siostra źle się czuje. Pewnie rozstrój żołądka. Usłyszał to dziadek i omal nie wyszedł z siebie. Jeszcze jeden pracownik w łóżku zamiast na polu.

A mnie po głowie chodziło tylko jedno: dlaczego nie pomyślałem o rozstroju żołądka?

Przejechaliśmy kilkaset metrów do miejsca, gdzie stała na wpół wypełniona przyczepa, wznosząc się na płaskich polach niczym pomnik i przypominając nam o kolejnym dniu niedoli.

Wzięliśmy worki i zaczęliśmy zbierać. Oczekałem, aż Dziadzio odejdzie w głąb swego rzędu, po czym wybrałem rząd oddalony i od niego, i od Spruillów.

Przez pół godziny pracowałem w pocie czoła. Bawełna była mokra i miękka, ponieważ słońce nie zdążyło jej jeszcze osuszyć. Nie kierował mną ani strach, ani pieniądze. Chciałem po prostu mieć coś miękkiego do spania. Kiedy odszedłem od drogi na tyle daleko, że nikt nie mógł mnie znaleźć, i kiedy w worku było dość bawełny, żeby zrobić z niego mały, wygodny materac, natychmiast zaległem.

Tata przyszedł wczesnym przedpołudniem i, nie wiedząc czemu, spośród tysięcy rzędów na osiemdziesięcioakrowym polu wybrał akurat ten, który sąsiedował z moim.

- Luke! - wykrzyknął gniewnie, kiedy się na mnie natknął. Był zbyt zaskoczony, żeby mnie skrzyknąć i zanim zdążyłem na dobre oprzytomnieć, zacząłem skarżyć się na ból brzucha i głowy, a na dokładkę powiedziałem mu, że w nocy prawie nie spałem.

- Dlaczego? - spytał.

- Czekałem na was. - Było w tym trochę prawdy.

- Po co?

- Chciałem wiedzieć, co z Libby.

- Urodziła. Jeszcze coś?

- Nie, dziadek mi powiedział. - Powoli wstałem, udając śmiertelnie chorego.

- Wracaj do domu - rzucił tata i bez słowa odszedłem.

Wojska chińskie i północnokoreańskie urządziły zasadzkę na amerykański konwój pod Pyonggang, zabijając co najmniej osiemdziesięciu i biorąc do niewoli wielu naszych. Edward R. Murrow odczytał tę wiadomość jako pierwszą i babcia zaczęła się modlić. Jak zwykle siedziała naprzeciwko mnie. Mama, która pochylała się nad zlewem, zamarła i zamknęła oczy. Z ganku dobiegł kaszel dziadka. On też słuchał.

Ponownie zerwano rozmowy pokojowe i Chińczycy wysłali do Korei więcej żołnierzy. Pan Murrow powiedział, że zawieszenie broni, które było w zasięgu ręki, jest teraz chyba niemożliwe. Tego wieczoru mówił bardzo smutnym głosem, a może po prostu byliśmy bardzo zmęczeni i tylko tak nam się zdawało. Po wiadomościach z Korei zrobił przerwę na reklamy, a potem zaczął opowiadać o trzęsieniu ziemi.

Kiedy wszedł dziadek, mama i babcia snuły się po kuchni. Dziadzio potargał mi włosy, jakby nic się nie stało.

- Co na kolację? - spytał.

- Schabowe - odrzekła mama.

Wtedy przyszedł tata i usiedliśmy do stołu. Dziadek podziękował Bogu za dary, które mieliśmy spożywać, i pomodliliśmy się za Ricky'ego. Prawie nie rozmawialiśmy; wszyscy myśleli o Korei, lecz nikt nie chciał o tym mówić.

Po chwili mama zaczęła opowiadać o swojej klasie w szkółce niedzielnej i właśnie wtedy dobiegło mnie cichutkie skrzyknięcie siatkowych drzwi na ganku. Nie usłyszał tego nikt oprócz mnie. Nie było wiatru, a przecież nie mogły otworzyć się same. Przestałem jeść.

- Co się stało? - spytała babcia.

- Chyba ktoś tam jest - odrzekłem.

Wszyscy popatrzyli na drzwi. Nic. Cisza. Widelce powędrowały do ust.

I nagle do kuchni wszedł Percy Latcher. Zamarliśmy. Percy zrobił dwa kroki i znieruchomiał, jakby zabłądził. Umorusany jak nieboskie stworzenie, był na bosaka i miał zaczerwienione oczy; pewnie długo płakał. On gapił się na nas, my na niego. Dziadek podniósł się z krzesła, żeby rozprawić się z intruzem.

- To Percy Latcher - powiedziałem.

Dziadzio usiadł z nożem w prawej ręce. Percy miał szkliste oczy, a kiedy oddychał, z jego piersi wydobył się cichy jęk tłumionego gniewu. Może był ranny, może któremuś z Latcherów działa się krzywda i chłopak przybiegł do nas po pomoc.

- O co chodzi, chłopcze? - warknął dziadek. - Grzeczność wymaga, żeby najpierw zapukać.

Percy przeszył go spojrzeniem nieruchomych oczu i powiedział:

- To Ricky.

- Co Ricky? - spytał Dziadzio nieco łagodniejszym tonem głosu, jakby chciał się z tego wycofać.

- Ricky to zrobił.

- Ale co zrobił?

- To jego dziecko. Ricky'ego.

- Zamilcz! - warknął dziadek, chwytając się krawędzi stołu, jakby zamierzał rzucić się na biedaka i złoić mu skórę.

- Ona nie chciała, ale on ją namówił - dodał Percy, nie wiedząc czemu przenosząc wzrok na mnie. - A potem poszedł na wojnę.

- Tak wam powiedziała? - spytał gniewnie Dziadzio.

- Nie krzycz, Eli - wtrąciła babcia. - Przecież to jeszcze dziecko. - Głęboko odetchnęła i chyba jej pierwszej przyszło do głowy, że mogła sprowadzić na świat własnego wnuka.

- Tak - odparł Percy. - I to prawda.

- Luke, idź do swego pokoju i zamknij drzwi - rzucił tata, wrywając mnie z osłupienia.

- Nie - powiedziała mama, zanim zdążyłem wstać. - To dotyczy nas wszystkich. Luke może zostać.

- Nie powinien tego słyszeć.

- Już słyszał.

- Tak, niech zostanie - wtrąciła babcia, biorąc stronę mamy, co ostatecznie przesądziło sprawę. Obie założyły, że chcę zostać, tymczasem miałem ochotę wybiec na dwór, odszukać Tally i pójść z nią na długi spacer - aby dalej od jej zwariowanej rodziny, od Ricky'ego i Korei, aby dalej od Percy'ego Latchera. Mimo to ani drgnąłem.

- Rodzice cię przysłali? - spytała mama.

- Nie, proszę pani. Nie wiedzą, że tu jestem. Dziecko płakało cały dzień i Libby chyba zwariowała. Chciała skoczyć z mostu i się zabić, i wtedy powiedziała mi o Rickym.

- Rodzicom też?

- Tak, proszę pani. Wszyscy już wiedzą.

- To znaczy, wszyscy w rodzinie.

- Tak, proszę pani. Nikomu innemu nie powiedzieliśmy.

- I nie mówcie - mruknął Dziadzio. Opał na krzesło i przygarbił się, zdając sobie sprawę z klęski. Skoro Libby Latcher twierdzi, że ojcem dziecka jest Ricky, wszyscy jej uwierzą. Ricky był na wojnie, nie mógł się bronić. A gdyby nawet był w domu i przysięgł, że to nie on zrobił jej dziecko, zyskałby mniej zwolenników niż ona, ponieważ miał opinię niepoprawnego hultaja.

- Jadłeś już kolację, synu? - spytała babcia.

- Nie, proszę pani.

- Jesteś głodny?

- Tak, proszę pani.

Na stole stała prawie nietknięta kolacja. My, Chandlerowie, straciliśmy apetyt; nic dziwnego, mieliśmy ku temu powody. Dziadek odsunął talerz.

- Może zjeść moją - mruknął. Gwałtownie wstał i wyszedł na werandę. Tata bez słowa ruszył za nim.

- Usiądź, synu - powiedziała babcia, wskazując krzesło dziadka.

Dała mu kopiasty talerz i szklanę słodzonej herbaty. Percy usiadł i zaczął powoli jeść. Babcia dołączyła do dziadka i taty, tak że w kuchni został on, mama i ja. Odzywał się tylko wtedy, gdy go o coś pytano.

Po długiej dyskusji na werandzie - mnie i Percy'ego wyproszono na ganek - Dziadzio i

tata wsadzili go do pikapu i pojechali za rzekę. Kiedy odjeżdżali, zapadał już mrok i siedziałem z babcią na huśtanej ławce. Mama łuskała fasole.

- Czy dziadek porozmawia z panem Latcherem? - spytałem.

- Na pewno - odrzekła mama.

- O czym? - Miałem mnóstwo pytań i założyłem, że mam prawo je zadawać.

- Cóż, o dziecku - odparła babcia. - O Rickym i o Libby.

- Będą się kłócili?

- Nie. Dojdą do porozumienia.

- Do jakiego?

- Ustalą, żeby nie mówić nikomu o dziecku i nie mieszać w to Ricky'ego.

- To dotyczy również ciebie - wtrąciła mama. - Obowiązuje nas ścisła tajemnica.

- Ja nikomu nie powiem - odrzekłem z przekonaniem. Myśl, że ludzie mogliby się dowiedzieć, iż Chandlerowie są w jakiś sposób spokrewnieni z Latcherami, napawała mnie przerażeniem.

- Czy Ricky naprawdę to zrobił?

- Ależ skąd - prychnęła babcia. - Latcherom nie można wierzyć. Nie są dobrymi chrześcijanami, dlatego Libby zaszła w ciążę. Pewnie zażądają od nas pieniędzy.

- Pieniądzy?

- Nie wiemy, czego zażądają - szybko wtrąciła mama.

- Mama też uważa, że on tego nie zrobił?

Mama się zawahała i cicho odrzekła:

- Tak, tak uważam.

- Ja też. - Byliśmy więc jednogłośni. Postanowiłem bronić Ricky'ego do upadłego i bić się z każdym, kto wspomni choć słowo o dziecku Libby.

Jednakże najgłówniejszym podejrzanym był właśnie on, Ricky, i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Latcherowie rzadko kiedy bywali poza farmą. Trzy kilometry dalej mieszkał młody Jeter, ale nigdy nie widziałem go nad rzeką. W bezpośrednim sąsiedztwie Latcherów nie mieszkał nikt oprócz nas. Najbliżej do Libby miał nie kto inny jak Ricky.

Ni z tego, ni z owego mama i babcia zaczęły rozmawiać o kościele. Miałem do nich więcej pytań na temat Libby i dziecka, ale nie mogłem wtrącić ani jednego słowa. W końcu zrezygnowałem i poszedłem do kuchni posłuchać transmisji z meczu Kardynałów.

Bardzo żałowałem, że nie siedzę teraz w pikapie u Latcherów i nie mogę podsłuchać, jak mężczyźni załatwiają tę sprawę.

Posłano mnie do łóżka, ale walczyłem z sennością, ponieważ zewsząd dochodziły mnie ich głosy. Kiedy dziadkowie rozmawiali w łóżku, ich niskie, stłumione poszeptywanie niesło się wąskim korytarzem i wpadało do pokoju Ricky'ego. Nie rozumiałem ani słowa, a oni robili wszystko, żeby nikt ich nie usłyszał. Ale czasami, kiedy się czymś martwili albo myśleli o Rickym, byli zmuszeni rozmawiać późną nocą. Dlatego, leżąc w łóżku i wyęzając słuch, wiedziałem, że sytuacja jest poważna.

Rodzice wyszli na werandę i usiedli na schodach, czekając, aż wiatr rozpędzi niezdolny upał. Początkowo rozmawiali szeptem, lecz przygniatające ich kłopoty były tak ciężkie, że nie potrafili nad sobą zapanować. Pewni, że już śpię, zaczęli rozmawiać głośniejszym niż zwykle.

Wyślizgnąłem się z łóżka, jak wąż podpełzłem do okna i ostrożnie wyjrzałem. Siedzieli tam gdzie zawsze, kilka kroków dalej, tyłem do mnie.

Chłonałem każde słowo. U Latcherów poszło źle. Libby cały czas siedziała zamknięta w pokoju, z dzieckiem, które ciągle płakało. Latcherowie byli porytowani i zmęczeni tym płaczem. Pan Latcher skrzyczał Percy'ego, że do nas przyszedł, ale na dobre rozgniewał się dopiero wtedy, kiedy zaczął mówić o Libby. Libby twierdziła, że nie chciała zadawać się z Rickym, ale on ją do tego zmusił. Dziadek temu zaprzeczał, lecz były to tylko słowa. Zaprzeczał dosłownie wszystkiemu, wątpił nawet w to, że Ricky i Libby się znają.

Ale oni mieli świadków. Pan Latcher powiedział, że tuż przed Bożym Narodzeniem Ricky dwukrotnie przyjeżdżał po Libby naszym pikapem i zabierał ją na przejażdżkę. Ponoć jeździli do Monette, gdzie Ricky kupował jej wodę sodową.

Tata wydedukował, że jeśli to prawda, to Ricky jeździł do Monette dlatego, że prawie nikt go tam nie znał. Nie pojawiłby się w Black Oak z córką połownika.

- To piękna dziewczyna - powiedziała na to mama.

Kolejnym świadkiem był niespełna dziesięcioletni chłopak. Pan Latcher wywołał go z czeredy dzieci na schodkach ganku. Chłopak zeznał, że widział samochód dziadka na końcu pola, tuż przy zaroślach. Podkrał się na tyle blisko, żeby zobaczyć, jak Ricky i Libby się całują. Nic nikomu nie powiedział, bo się bał i wyznał prawdę dopiero teraz.

Oczywiście Chandlerowie nie mieli żadnych świadków. Po naszej stronie rzeki nic nie wskazywało na rozkwitający romans. Ricky na pewno się z tym nie zdradził. Dziadek by go zbił.

Pan Latcher od samego początku podejrzewał, że ojcem dziecka jest Ricky, ale Libby zaprzeczała; szczerze mówiąc, interesowało się nią również kilku innych chłopaków. Teraz postanowiła powiedzieć całą prawdę: że Ricky ją zgwałcił, i że nie chciała mieć dziecka.

- Chca, żebyśmy je wzięli? - spytała mama.

Omal nie jęknąłem.

- Nie, chyba nie - odrzekł tata. - Jeszcze jedno dziecko to dla nich tyle co nic.

Mama uważała, że dzieciak zasługuje na wychowanie w porządnym domu. Tata na to, że to wykluczone, chyba że Ricky się do niego przyzna. Znajac Ricky'ego, można było przypuszczać, że to mało prawdopodobne.

- Widziałeś je? - spytała mama.

- Nie.

- To wykapany Ricky.

Jeśli dobrze pamiętałem, nowe Latcherzątko przypominało rękawicę baseballową, a nie Ricky'ego. W ogóle nie przypominało człowieka. Ale mama i babcia strawiły wiele godzin na analizowaniu ludzkich twarzy i badaniu, kto jest do kogo podobny, kto ma czyje oczy, włosy i nos. Patrzyły na dziecko w kościele i mówiły: „Wykapany Chisnhall”. Albo: „Spójrz na te oczy. Ma je po babce”.

Dla mnie wszystkie noworodki wyglądały jak lalki.

- Więc myślisz, że to jednak Chandler? - spytał tata.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

## ROZDZIAŁ 18

Znowu była sobota, ale tej sobocie brakowało podniecenia, które zawsze towarzyszyło wyjazdowi do miasta. Wiedziałem, że pojedziemy, bo nigdy dotąd nie odpuściliśmy sobie dwóch sobót z rzędu. Poza tym babcia potrzebowała kilku rzeczy ze sklepu, zwłaszcza mąki i kawy, a mama musiała pójść do apteki. Tata od dwóch tygodni nie był w spółdzielni. Nie miałem prawa głosu w tej sprawie, lecz mama wiedziała, jak ważny dla prawidłowego rozwoju dziecka jest sobotni film, zwłaszcza dla dziecka ze wsi, takiego, które prawie nie ma kontaktu ze światem. Tak, jechaliśmy do Black Oak, ale bez entuzjazmu.

Zawisł nad nami nowy koszmar, bardziej przerażający niż afera z Hankiem Spruillem. Bo co by było, gdyby ktoś dowiedział się o Libby i Rickym? Wystarczyłoby, żeby ten ktoś szepnął słówko na jednym końcu Main Street, a plotka przetoczyłaby się przez całe miasto niczym nawałnica. Panie w sklepie Popa i Pearl poupuszczalyby z wrażenia koszyki i pozakrywały usta dłonią. Starzy farmerzy przed spółdzielnią uśmiechnęliby się szyderczo i powiedzieli: „Nie dziwota”. Starsze dzieciaki wytykałyby mnie palcami, jakbym to ja zrobił Libby dziecko. Mieszkańcy miasta uwierzyliby w plotkę jak w Pismo Święte i dobre imię Chandlerów byłoby na wieki splamione.

Dlatego nie chciałem jechać. Chciałem zostać w domu, zagrać w baseball albo pójść na spacer z Tally.

Przy śniadaniu prawie nie rozmawialiśmy. Wciąż byliśmy bardzo przygaszeni, pewnie dlatego, że wszyscy znaleźliśmy prawdę. Ricky zostawił po sobie małą pamiątkę. Zastanawiałem się, czy o tym wie, ale nie zamierzałem podnosić tego tematu. Postanowiłem, że spytam mamę. Później.

- Lunapark przyjechał - powiedział Dziadzio.

Dzień nabrał rumieńców. Mój widelec zawisł w powietrzu.

- O której jedziemy? - spytałem.

- O tej samej co zwykle. Zaraz po lunchu.

- Jak długo zostaniemy?

- Zobaczymy.

Lunapark: grupa wędrownych Cyganów mówiących ze śmiesznym akcentem, którzy zimą mieszkali na Florydzie, a jesienią, w pełni żniw, kiedy farmerzy mieli pieniądze, objeżdżali małe, rolnicze miasteczka. Zwykle zjawiali się w czwartek. Bez pozwolenia

rozbijali obozowisko na boisku baseballowym i zostawali do niedzieli. Nic nie ekscytowało nas bardziej niż lunapark.

Co roku przyjeżdżał inny. W jednym był słoń i gigantyczny żółw, w innym ludzkie dziwolągi: karty-akrobaci, dziewczyna o sześciu palcach i mężczyzna o trzech nogach. Ale wszystkie miały diabelskie koło, karuzelę i kilka innych machin, które jeździły albo wirowały, skrzypiąc przy tym i trzeszcząc i napawając przerażeniem wszystkie mamy. Jedną z takich machin był Slinger, rodzaj wielkiej karuzeli z huśtawkami na łańcuchu, które wirowały coraz szybciej i szybciej, dopóki siedzący w fotelikach ludzie nie wzbili się wysoko w górę i pędząc w powietrzu równoległe do ziemi, nie zaczęli krzyczeć, że mają dosyć. Przed dwoma laty w Monette pękł łańcuch: mała dziewczynka, która siedziała w foteliku, wystrzeliła jak z procy, przeleciała przez cały plac i grzmotnęła w bok przyczepy. Tydzień później Slinger zawitał do Black Oak z nowym łańcuchem i ludzie natychmiast ustawili się w długachnej kolejce.

Były też różne budki, gdzie rzucało się obręczami i strzałkami, strzelało z wiatrówki i wygrywało nagrody. Były wróżki, które przepowiadały przyszłość, małe namioty, gdzie każdy mógł zrobić sobie zdjęcie, a czasami przyjeżdżali nawet sztukmistrze. Było głośno, wesoło i kolorowo. Wiadomość o przyjeździe lunaparku rozchodziła się lotem błyskawicy i do Black Oak zjeżdżały tłumy z całego hrabstwa. Ja też chciałem jechać, i to bardzo.

Kto wie, myślałem, może w tym podnieceniu ludzie przestaną wypytywać o Libby Latcher. Szybko przełknąłem grzanekę i wybiegłem na dwór.

- Lunapark przyjechał - szepnąłem do Tally, kiedy spotkaliśmy się przy traktorze.

- Jedziecie? - spytała.

- No jasne. Mielibyśmy przepuścić taką okazję?

- A ja coś wiem - szepnęła, strzelając wokoło oczami.

- Tak?

- To tajemnica. Podśluchałam wczoraj w nocy.

- Gdzie?

- Koło werandy.

Droczyła się ze mną i wcale mi się to nie podobało.

- Jaka tajemnica?

Tally nachyliła się ku mnie.

- Wiem coś o Rickym i tej dziewczynie od Latcherów. Chyba przybył wam nowy kuzyn. - Źle patrzyło jej z oczu, a to, co powiedziała, bardzo mnie uraziło. Nie była to Tally, którą dotąd znałem.

- Koło werandy? Co tam robiłaś? - spytałem.

- Nie twój interes.

Z domu wyszedł dziadek. Ruszył prosto do traktora.

- Lepiej nikomu o tym nie mów - wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

- My zawsze dotrzymujemy tajemnic, już zapomniałeś? - mruknęła, odchodząc.

- Nie.

Szybko zjadłem lunch i jeszcze szybciej dałem się wykapać i wyszorować. Mama wiedziała, że się niecierpliwie, więc nie traciła czasu.

Wraz ze mną i tatą do pikapu załadowali się wszyscy Meksykanie i wreszcie ruszyliśmy. Kowboj przez cały tydzień zbierał bawełnę ze złamanymi żebrami, co nie uszło uwagi dziadka i taty. Bardzo go podziwiali. „To twardzi ludzie”, powiedział Dziadzio.

Spruillowie zwijali się jak w ukropie, żeby nas dogonić. Tally powiedziała im o lunaparku i zdawało się, że nawet Trotowi na tym zależy.

Kiedy przejechaliśmy przez most, wyteżyłem wzrok i długo patrzyłem na polną drogę prowadzącą do Latcherów, lecz chaty nie było widać. Zerknąłem na tatę. On też patrzył w tamtą stronę, a oczy miał harde, niemal gniewne. Latcherowie. Jak mogli zakłócić nam życie?

Wturlaliśmy się na żwirówkę i wkrótce ich pole zostało za nami. Zanim dojechaliśmy do szosy, zdążyłem o nich zapomnieć i znowu marzyłem o lunaparku.

Nasz kierowca nigdy się nie spieszył i dawałem głowę, że prowadząc samochód pełen ludzi, pojedzie jeszcze wolniej. Podróż trwała godzinę, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Przed kościołem baptystów stał radiowóz Sticka. Ruch na Main Street już zgęstniał, a na chodnikach roilo się od ludzi. Zaparkowaliśmy i Meksykanie zniknęli w tłumie. Spod drzewa wyłonił się Stick i zdecydowanym krokiem ruszył w naszą stronę. Babcia i mama poszły do sklepu. Ja zostałem, przeczuwając, że mężczyźni będą rozmawiali o ważnych sprawach.

- Eli, Jesse, jak się macie - powitał nas Stick. Kapelusz miał przekrzywiony, z ust sterczało mu źdźbło trawy.

- Dzień dobry - odrzekł dziadek. Tata tylko skinął głową. Nie przyjechali do miasta, żeby gadać z szeryfem, i widać było, że są poirytowani.

- Chcę aresztować młodego Spruilla.

- Rób sobie, co chcesz - warknął gniewnie Dziadzio. - Bylebyś zaczekał do końca zbiorów.

- Chyba możesz zaczekać miesiąc - dodał tata.

Stick żuł chwilę swoją trawę, splunął i odrzekł:

- Chyba mogę.

- To dobry pracownik - powiedział tata. - A bawelny jest mnóstwo. Aresztujesz go i stracimy sześciu ludzi. Wiesz, jacy oni są.

- Chyba mógłbym zaczekać - powtórzył Stick. Wyglądało na to, że zależy mu na kompromisie. - Rozmawiałem z wieloma ludźmi i nie jestem pewien, czy twój chłopak mówi prawdę. - Ja kopałem nogą żwir, a on przesywał mnie wzrokiem.

- Jego w to nie mieszaj - odparł tata. - To jeszcze dziecko.

- Ma dopiero siedem lat! - warknął Dziadzio. - Czemu nie znajdziesz sobie lepszych świadków?

Stick wyprostował się i zeszywniał, jakby ktoś mu nagle przyłożył.

- Zróbmy tak - zaproponował dziadek. - Zostawisz nam Hanka do końca zbiorów, a wtedy przyjadę do miasta i dam ci znać, że już go nie potrzebujemy. Nie obchodzi mnie, co zrobisz z nim potem.

- Dobra, niech ci będzie.

- Ale i tak myślę, że nie założą mu sprawy. Było trzech na jednego, nie skaże go żadna ława przysięgłych.

- Zobaczymy - mruknął zadziornie Stick. Odszedł z kciukami w kieszeniach, arogancko na tyle, żeby nas wnerwić.

- Mogę iść do lunaparku? - spytałem.

- Naturalnie - odrzekł dziadzio.

- Ile masz pieniędzy? - spytał tata.

- Cztery dolary.

- Ile chcesz wydać?

- Cztery.

- Myślę, że wystarczy dwa.

- Może trzy?

- Niech będzie dwa i pół.

- Tak jest. - Puściłem się chodnikiem, śmigając między ludźmi i wkrótce znalazłem się na boisku, które znajdowało się naprzeciwko spółdzielni, kina i sali bilardowej. Lunapark zajął je całe, od tylnej bandy aż po ogrodzenie na końcu zapola. Pośrodku stał diabelski młyn w otoczeniu różnych zjeżdżalni, karuzel i ciągu budek z przeróżnymi atrakcjami. Z głośników na Slingerze i na karuzeli chrypiała głośna muzyka. Niemal wszędzie stały już długie kolejki. W powietrzu unosił się zapach tłustych kiełbasek, prażonej kukurydzy i jakiejś smażeniny.

Znalazłem wózek z watą cukrową. Kosztowała dziesięć centów, ale zapłaciłbym za nią

dużo więcej. Dwayne wypatrzył mnie w tłumie, kiedy gapiłem się, jak starsi chłopcy strzelają z wiatrówki do małych kaczek pływających po stawie. Ciągłe pudłowali, ponieważ - przynajmniej tak twierdził dziadek - wszystkie wiatrówki miały krzywo ustawione muszki.

Jablka w cukrze też kosztowały dziesięć centów. Kupiliśmy sobie po jednym i poszliśmy zwiedzać lunapark. Była tam wiedźma w długiej czarnej sukni. Miała czarne włosy - w ogóle była cała czarna - i za dwadzieścia pięć centów przepowiadała przyszłość. Pewna starsza, ciemnooka wróżka robiła to za tę samą cenę kartami tarota. Kolorowo ubrany mężczyzna z mikrofonem w ręku za dziesięć centów odgadywał wiek i wagę tego, kto mu zapłacił. Jeśli pomylił się o więcej niż trzy lata albo cztery i pół kilograma, zdobywało się nagrodę. W budkach jak zwykle było mnóstwo różnych gier: rzut piłką do dzbana na mleko, rzut piłką w przyciasne obręcze, rzut strzałką w balony, rzut obręczą na butelki.

Chodziliśmy, delektując się hałasem i powszechnym ożywieniem. Przy bandzie boiska zebrał się olbrzymi tłum, więc poszliśmy w tamtą stronę. Wielki afisz zapowiadał występy „Samsona, największego zapaśnika świata, prosto z Egiptu”, a pod afiszem była kwadratowa mata z obitymi materiałem słupkami w rogach i rozciągniętymi między nimi linami. Samsona na ringu nie było, ale Dalila, wysoka, szczupła i kształtna kobieta z mikrofonem w ręku, zapewniała, że za chwilę się pojawi. Jej kostium odsłaniał całe nogi i prawie całe piersi i jestem pewien, że w Black Oak nigdy dotąd nikt się aż tak nie rozebrał, przynajmniej publicznie. Milczący tłum złożony głównie z mężczyzn słuchał, a ona mówiła. Zasady były proste: Samson płacił dziesięć do jednego każdemu, kto wytrwa z nim na ringu przez jedną minutę.

- To tylko sześćdziesiąt sekund! - krzyczała. - I pieniądze są wasze! - Miała bardzo dziwny akcent i od razu uwierzyliśmy, że ona i Samson przyjechali do nas z innego kraju. Nigdy w życiu nie widziałem mieszkańca Egiptu, ale ze szkółki niedzielnej wiedziałem, że Mojżesz miał tam dużo przygód.

Dalila paradowała po ringu, a oczy wszystkich gapiów śledziły każdy jej ruch.

- W tym tournée Samson wygrał trzysta pojedynków z rzędu - prowokowała. - Przegrał tylko w Rosji, stawiając czoło aż trzem przeciwnikom naraz, a muszę dodać, że ludzie ci uciekli się do niedozwolonych chwytów, żeby go pokonać.

Z głośników nad afiszem buchnęła muzyka.

- Panie i panowie! - krzyknęła Dalila. - Przedstawiam wam największego zapaśnika świata! Jedyne, niepowtarzalne i niesamowitego Samsona!

Wstrzymałem oddech.

Wypadł zza zasłony i wśród umiarkowanych oklasków wskoczył na ring. Niby dlaczego mieliśmy go oklaskować? Przyjechał złożyć nam skórę. Pierwszą rzeczą, którą

zauważyłem, były jego włosy, czarne, faliste, opadające na ramiona jak u kobiety. Mężczyzn z takimi włosami widziałem na obrazkach w Starym Testamencie, ale oni żyli przed pięcioma tysiącami lat. Był prawdziwym wielkoludem, a na piersi i karku grały mu potężne mięśnie. Ręce miał porośnięte czarnymi włosami i wyglądał na takiego, co to dźwignąłby cały dom. Żebyśmy mogli podziwiać go w całej okazałości, był bez koszuli. Chociaż spędziliśmy wiele miesięcy na słońcu, skórę miał o wiele ciemniejszą niż my, co przekonało nas ostatecznie, że pochodzi z odległych stron świata. Walczył z Rosjanami! Przechadzał się po ringu w rytm muzyki, zginając ramiona i napinając olbrzymie mięśnie. Robił to dopóty, dopóki nie zobaczyliśmy wszystkiego, co chciał zaprezentować, a według mnie miał tego aż za dużo.

- Kto pierwszy? - wrzasnęła do mikrofonu Dalila, gdy muzyka ucichła. - Stawka minimalna: dwa dolary!

Tłum znieruchomiał. Tylko głupiec wyszedłby na ring.

- Ja! - krzyknął ktoś z tłumu i nie wierząc własnym oczom, zobaczyliśmy młodego mężczyznę, który podszedł bliżej i wręczył Dalili dwa dolary. - Ja się nie boję.

Dalila wzięła pieniądze i przypomniała:

- Dziesięć do jednego. Wytrwasz na ringu sześćdziesiąt sekund, dostaniesz dwadzieścia dolarów. - Podsunęła mu mikrofon pod nos. - Jak masz na imię?

- Farley.

- Powodzenia, Farley.

Mężczyzna wszedł na ring, jakby zupełnie nie bał się Samsona, który obserwował go bez cienia niepokoju. Dalila wzięła młotek i uderzyła w gong.

- Sześćdziesiąt sekund!

Farley pokręcił się trochę po ringu, a kiedy Samson zrobił krok w jego stronę, cofnął się do narożnika. Uważnie się sobie przyglądali: Samson patrzył z pogardą w dół, Farley z napięciem w górę.

- Czterdzieści pięć sekund! - krzyknęła Dalila.

Samson podszedł bliżej i Farley czmychnął na drugą stronę ringu. Był o wiele drobniejszy, tym samym o wiele szybszy i najwyraźniej taką właśnie obrał strategię: olbrzym atakował, karzelek uciekał.

- Trzydzieści sekund!

Ring nie był duży, a Samson musiał nałapać się w życiu setek przerażonych królików takich jak Farley. W pewnej chwili podstawił mu nogę, podniósł go, owinał mu rękę wokół szyi i założył dźwignię.

- Och! - wykrzyknęła Dalila; chyba trochę zbyt dramatycznie. - To „gilotyina”!

Dwadzieścia sekund!

Uśmiechając się sadystycznie, Samson wyginał nieszczęśnikowi szyję, podczas gdy ten młócił go bezładnie pięściami po bokach.

- Dziesięć sekund!

Samson zawirował na pięcie i cisnął Farleyem na drugą stronę ringu. Zanim biedak zdążył wstać, olbrzym chwycił go za stopę, dźwignął, przełożył przez liny i na dwie sekundy przed upływem czasu, na znak zwycięstwa upuścił go na ziemię.

- Niewiele brakowało, Samson! - krzyknęła Dalila do mikrofonu.

Farley był oszołomiony, ale wyszedł z tego w jednym kawałku i wyglądało na to, że jest z siebie dumny. Dowiódł swego męstwa, nie okazał strachu i brakowało mu ledwie dwóch sekund, żeby wygrać dwadzieścia dolarów. Kolejnym ochotnikiem był także ktoś, kogo nie znałem, młody, rostry mężczyzna imieniem Claude, który zapłacił Dalili trzy dolary, chcąc wygrać trzydzieści. Ważył dwa razy więcej niż Farley, był za to o wiele wolniejszy i nie minęło dziesięć sekund, gdy Samson załatwił go „kopniakiem z odbicia” i „zwinął go w precelek”. Gdy do końca walki pozostało dziesięć sekund, dźwignął Claude’a wysoko w powietrze i dając wspaniały pokaz siły, podszedł do lin i wyrzucił go za ring.

Claude też odszedł dumny z siebie. Stało się oczywiste, że mimo przerażającego wyglądu i teatralnych gestów wielkolud Samson to równy gość, i że nikogo nie skrzywdzi. A ponieważ większość młodych mężczyzn pragnęła zamienić choć słowo z piękną Dalilą, przed ringiem ustawiła się wkrótce kolejka.

Widowisko było naprawdę wspaniałe, dlatego siedzieliśmy tam bardzo długo, patrząc, jak wielkolud rozprawia się z kolejnymi ofiarami, stosując wszystkie chwytty ze swego repertuaru. „Bostoński krab”, „nożyce”, „kafar”, „młot”, „ściskarka”: wystarczyło, że Dalila któryś wymieniła, a on natychmiast go demonstrował.

Po godzinie zmagania pływał potem i musiał zrobić sobie przerwę, więc pobiegliśmy z Dewaynem do diabelskiego koła i zafundowaliśmy sobie dwie przejażdżki. Właśnie zastanawialiśmy się, czy nie kupić jeszcze jednej waty, gdy usłyszeliśmy, jak kilku młodych mężczyzn rozmawia o widowisku z gołymi dziewczynami.

- Ściąga wszyściutko! - powiedział jeden z nich i momentalnie zapomnieliśmy o cukrowej wacie. Poszliśmy za nimi na sam koniec ciągu budek, gdzie parkowały wozy cygańskie. Za wozami stał mały namiot i najwyraźniej rozbito go w tym miejscu, żeby nie rzucał się w oczy. Czekają przed nim kilku mężczyzn z papierosem w ustach. Wszyscy mieli miny winowajców. Z namiotu dochodziła muzyka.

W niektórych lunaparkach były przedstawienia z gołymi dziewczynami. Na jednym z

nich widziano przed rokiem Ricky'ego i fakt ten wywołał w naszym domu prawdziwą burzę. Ale nie przyłapano by go, gdyby nie przyłapano Rossa Lee Harta. Pan Hart był administratorem kościoła metodystów, właścicielem ziemskim, prawym obywatelem i mężem straszliwej plotkary. W sobotę późnym wieczorem poszła szukać go w lunaparku i tak się przypadkiem złożyło, że nakryła go, kiedy wychodził z zakazanego namiotu. Na ten widok natychmiast zaczęła okropnie lamentować, tymczasem mąż uciekł za wozy cygańskie. Pani Hart puściła się w pogoń, krzycząc i wygrażając mu pięścią i Black Oak miało o czym mówić.

Nie wiedzieć czemu rozpowiedziała o tym niecnym postępku dosłownie wszystkim i przez wiele miesięcy biednego pana Harta traktowano jak wyrzutka. Rozpowiedziała też, że tuż za jej mężem z namiotu wyszedł Ricky Chandler. Cierpieliśmy w milczeniu. Niepisana zasada głosiła: nigdy nie chodź do gołych dziewczyn w swoim rodzinnym mieście. Jedź do Monette, do Lake City albo do Caraway, ale nie rób tego w Black Oak.

Ani Dewayne, ani ja nie znaleźliśmy mężczyzn, którzy czekali przed namiotem. Obeszliśmy wozy, żeby zajrzeć od tyłu, ale był tam wielki pies na łańcuchu, który czyhał na podglądaczy takich jak my. Wycofaliśmy się i postanowiliśmy poczekać, aż będzie ciemno.

Zbliżała się czwarta i musieliśmy podjąć bolesną decyzję: iść do kina czy zostać w lunaparku. Skłanialiśmy się ku temu pierwszemu, ale w tym samym momencie na ring ponownie wyszła Dalila. Przebrała się i była teraz w dwuczęściowym czerwonym kostiumie, który odsłaniał jeszcze więcej niż ten poprzedni. Szybko zebrał się tłum i wkrótce Samson znowu wyrzucał z ringu miejscowych, ludzi ze wzgórz, a nawet Meksykanów.

Jedyny poważny przeciwnik pojawił się o zmierzchu. Pan Horsefly Walker miał głuchoniemego syna, który ważył sto trzydzieści sześć kilo. Nazywaliśmy go Wieprzem, ale nie z braku szacunku czy z okrucieństwa: od zawsze tak go nazywano. Horsefly zapłacił pięć dolarów i Wieprz powoli wszedł na ring.

- Wielki jest - wymruczała do mikrofonu Dalila.

Samson zdawał sobie sprawę, że wyrzucenie z ringu stu trzydziestu sześciu kilogramów żywej wagi może trochę potrwać, dlatego natychmiast zaatakował, stosując „chińską kostkę”: pochylił się nisko, chwycił Wieprza za kostki u nóg, błyskawicznie je złączył i pociągnął. Wieprz oczywiście upadł, sęk w tym, że upadł na Samsona, który aż jęknął z bólu. Paru widzów radośnie krzyknęło i zaczęło dopingować Wieprza, który naturalnie nic nie słyszał. Turlali się po ringu i kopali, wreszcie Wieprz na sekundę przygniótł przeciwnika do maty.

- Czterdzieści sekund! - Ponieważ Samson leżał na łopatkach, czas płynął znacznie wolniej. Kilka razy bezradnie wierzgnął nogami, a potem zrobił „przerzutkę”: szybko zadarł obie nogi, kopnął Wieprza w uszy, błyskawicznie odtoczył się na bok, jeszcze szybciej wstał i

przyłożył mu „z woleja”. Ten cios trochę Wieprza oszołomił.

- Piętnaście sekund! - Zegar znowu ruszył pełną parą.

Wieprz zaatakował jak rozjuszony byk i obaj przeciwnicy ponownie runęli na matę. Tłum wiwatował. Horsefly skakał wokół ringu jak szalony. Samson i Wieprz mocowali się chwilę i Dalila ogłosiła:

- Dziesięć sekund.

Czas to przyspieszał, to zwalniał bieg, dlatego niektórzy kibice zaczęli buczeć i głośno protestować. Samson wykręcił Wieprzowi rękę, chwycił go za nogę, zamiótł nim matę i wyrzucił go za liny. Tłuszcioch wylądował u stóp ojca.

- Oszukujesz, sukinsynu! - wydarł się Horsefly.

Samson uznał, że to obraza, i gestem ręki zaprosił go na ring. Horsefly podszedł bliżej, ale kiedy Samson rozchylił liny, Dalila, która musiała widzieć wiele takich scen, spokojnie ostrzegła:

- Ja bym tego nie robiła. Kiedy wpada w złość, może zrobić komuś krzywdę.

Horsefly nie wiedział, co robić; wyraźnie się zawahał. Stojąc na ringu i uśmiechając się szyderczo, Samson sprawiał wrażenie olbrzyma trzymetrowej wysokości. Horsefly nachylił się nad bliskim płaczu synem, który rozcierał sobie ramię. Gdy odchodzili, Samson długo się z nich naśmiewał, a potem, żeby jeszcze bardziej nas rozdrażnić, przeszedł się po ringu, napinając mięśnie. Ten i ów głośno syknął, i właśnie o to mu chodziło.

Załatwił jeszcze kilku przeciwników, a potem Dalila oznajmiła, że mistrz musi zjeść kolację. Mieli wrócić za godzinę, na ostatni pokaz.

Zapadł zmierzch. Zewsząd dochodziły odgłosy zabawy: głośne krzyki podekscytowanych dzieci na karuzeli i diabelskim kole, zwycięskie okrzyki tych, którzy właśnie coś wygrali, muzyka rycząca z kilkunastu głośników, z których każdy grał inną melodię, nieustanne nawoływanie naganiaczy zachęcających ludzi do rozstania się z pieniędzmi i obejrzenia największego zółwia świata czy zdobycia kolejnej nagrody. Wszystkim udzielał się elektryzujący nastrój radosnego podniecenia. Ludzi było tak dużo, że nawet kija by między nich nie wetknął, jak mawiała babcia. Przed budkami tłoczyły się dzikie tłumy. Do karuzel stały długie kolejki. Tu i ówdzie powoli krążyły grupki zadziwionych Meksykanów, którzy jednak rzadko sięgali do kieszeni po pieniądze. Nigdy w życiu nie widziałem tylu ludzi w jednym miejscu.

Moi rodzice stali na ulicy, pijąc lemoniadę i obserwując to wszystko z bezpiecznej odległości. Dziadek i babcia siedzieli już w samochodzie, gotowi do wyjazdu, lecz skłonni jeszcze trochę poczekać. Lunapark przyjeżdżał do nas tylko raz w roku.

- Ile pieniędzy ci zostało? - spytał tata.
- Coś koło dolara - odrzekłem.
- To diabelskie koło nie wygląda bezpiecznie - powiedziała mama.
- Dlaczego, jechałem dwa razy i nic się nie stało.
- Dam ci dolara, jeśli więcej nie pojedziesz.
- Dobra.

Wręczyła mi banknot. Umówiliśmy się, że zajrzę do nich za godzinę. Odszukałem Dewayne'a i doszliśmy do wniosku, że nadeszła pora popatrzeć na gołe dziewczyny. Popędziliśmy przez tłum między budkami i zwolniliśmy kroku dopiero przed wozami cygańskimi. Było tam znacznie ciemniej. Przed namiotem kilku mężczyzn paliło papierosy, a u wejścia zobaczyliśmy młodą kobietę w skąpym kostiumie, która tańczyła, nieprzyzwoicie kręcąc biodrami.

Jako baptyści dobrze wiedzieliśmy, że taniec jest nie tylko czymś do cna złym, ale i do cna grzesznym. Znajdował się na liście najcięższych wykroczeń, obok picia alkoholu i przeklinania.

Tancerka nie była tak ładna ani tak naga jak Dalila, nie poruszała się też z takim wdziękiem. No, ale Dalila miała wiele lat doświadczenia i zjechała cały świat.

Skradaliśmy się w mroku, powoli podchodząc coraz bliżej i bliżej, gdy wtem usłyszeliśmy czyjś głos:

- Wystarczy. Spadajcie stąd.

Zamarliśmy, rozejrzeliśmy się i właśnie wtedy dobiegł nas z tyłu inny głos, głos, który dobrze znaliśmy:

- Żałujcie za grzechy, szerzyciele rozpusty! Żałujcie za grzechy!

Był to walebnny Akers. Stał z Biblią w ręku, a długim, zakrzywionym palcem drugiej ręki wskazywał w stronę namiotu.

- Wężowe plemię! - wrzasnął ze wszystkich sił.

Nie wiem, czy młoda tancerka przestała tańczyć i czy stojący u wejścia mężczyźni uciekli. Nie traciłem czasu na patrzenie. Padliśmy z Dewaynem na ziemię, a potem na czworakach kluczyliśmy między wozami i ciężarówkami jak ścigana zwierzyna, dopóki nie dotarliśmy do plamy światła między budkami. Tam wmieszaliśmy się w tłum i zniknęliśmy.

- Myślisz, że nas widział?- spytał Dewayne, kiedy byliśmy już bezpieczni.
- Nie wiem. Chyba nie.

Zatoczyliśmy wielki krąg i przycupnęliśmy w mroku kilkadziesiąt kroków od wozów cygańskich. Brat Akers był w świetnej formie. Podszedł jeszcze bliżej i stojąc dziewięć metrów

od zakazanego namiotu, wypędzał zeń demony. I to z dobrym skutkiem. Tancerka zniknęła, tak samo jak mężczyźni z papierosami w ustach. Wielebny zepsuł im całe przedstawienie, chociaż podejrzewałem, że wszyscy przywarowali w środku, czekając, aż odejdzie.

Tancerka uciekła, za to na ring wróciła Dalila, która miała na sobie kolejny kostium. Uszyty ze skóry lamparta, zasłaniał jedynie to, co musiał zasłaniać, i już wiedziałem, że brat Akers będzie miał o czym mówić na nabożeństwie. Uwielbiał lunaparki, ponieważ dostarczały mu ciekawego materiału do kazań.

Wokół ringu stał wielki tłum, gapiąc się na Dalilę i czekając na Samsona. Dalila przedstawiła go ponownie, słowami, które już słyszeliśmy, i olbrzym wskoczył na ring. On też miał na sobie skórę lamparta, do tego obcisłe szorty i błyszczące skórzane buty. Paradował po macie i przybierając wyzywające pozy, próbował nas sprowokować do nieprzyjaznych okrzyków.

Jako pierwszy na ring wszedł mój kumpel Jackie Moon i podobnie jak większość poprzednich ofiar, przyjął strategię uników. Udawało mu się przez dwadzieścia sekund, lecz w końcu Samson miał tego dość. Zastosował „gilotynę”, potem „turecki przewrót” i Jackie wylądował na trawie niedaleko miejsca, gdzie stałem.

- Nie było tak źle - powiedział ze śmiechem.

Samson nie zamierzał robić nikomu krzywdy - zaszkodziłoby to jego interesom - ale ponieważ był to już ostatni występ, a ochotnicy nie kwapili się do wyjścia na ring, stał się bardziej zadziorny.

- Nie ma wśród was prawdziwych mężczyzn? - Mówił z zabawnym akcentem, lecz głos miał głęboki i przerażający. - Czyżby w Black Oak nie było odważnych wojowników?

Żałowałem, że nie mam dwóch metrów wzrostu. Gdybym miał, wskoczyłbym na ring, natarłbym na niego, a tłum oszalałby z radości. Złoiłbym mu skórę, przerzuciłbym go przez liny i zostałbym największym bohaterem Black Oak. Tymczasem mogłem jedynie głośno buczeć i krzyczeć.

I wtedy na arenę wkroczył Hank Spruill. Przeszedł wzdłuż lin i przystanąwszy między słupkami, stał tam na tyle długo, że przykuł uwagę Samsona. Zapadła cisza, a oni mierzyli się wzrokiem. Samson oparł się o liny.

- Chodź, maleńki - zachęcał - chodź.

Hank, jak to Hank, wykrzywił usta w szyderczym uśmiešku. Potem podszedł do Dalili i wyjął z kieszeni pieniądze.

- Olala! - wykrzyknęła Dalila. - Dwadzieścia pięć dolarów!

Tłum zafalował i zaszemrał.

- Dwadzieścia pięć dolarów! - powtórzył z niedowierzaniem ktoś z tyłu. - Cała tygodniówka.

- Tak, ale może wygrać dwieście pięćdziesiąt - odparł ktoś inny.

Ludzie zbili się w gromadę, a ja i Dewayne przepchnęliśmy się do przodu, żeby lepiej widzieć.

- Jak się nazywasz? - spytała Dalila, podsuwając Hankowi mikrofon do ust.

- Hank Spruill - burknął tamten. - Wciąż płacicie dziesięć do jednego?

- Tak jest, wielkoludzie. Na pewno chcesz postawić dwadzieścia pięć dolarów?

- Na pewno. Wystarczy utrzymać się na ringu przez minutę, tak?

- Tak, przez sześćdziesiąt sekund. Ale pamiętaj, że od pięciu lat Samson nie przegrał ani jednej walki. Przegrał z Rosjanami, ale oni go oszukali.

- Co mnie to obchodzi - mruknął Hank, ściągając koszulę. - Są jakieś inne zasady?

- Nie. - Dalila odwróciła się w stronę publiczności i z największym dramatyzmem, na jaki było ją stać, krzyknęła:

- Panie i panowie. Wielki Samson został wyzwany na pojedynek wszech czasów. Pan Hank Spruill postawił dwadzieścia pięć dolarów. Nigdy dotąd stawka nie była tak wysoka.

Samson przechadzał się po ringu, przęcąc mięśnie, potrząsając długimi włosami i niecierpliwie czekając na gong.

- Najpierw pokażcie pieniądze - warknął Hank.

- Oto są - odrzekła do mikrofonu Dalila.

- Nie, pokażcie te dwieście pięćdziesiąt.

- Nie będą nam chyba potrzebne. - Dalila roześmiała się lekko, lecz w śmiechu pobrzmiwała nutka nerwowości. Opuściła mikrofon i przez chwilę coś tam do siebie szeptała. Z tłumu wyszli Bo i Dale i stanęli przy stoliku, gdzie Dalila trzymała pieniądze. Upewniwszy się, że na blacie leży dwieście pięćdziesiąt dolarów, Hank wszedł na ring, gdzie z założonymi rękami stał wielki Samson.

- Czy to nie ten, który zabił Sisco? - spytał ktoś za nami.

- Tak, to on - odrzekł ktoś inny.

- Są prawie równi wzrostem.

Hank był nieco niższy od Samsona i nie tak szeroki w barach, ale zupełnie się tym nie przejmował. Samson zaczął tańczyć po jednej stronie ringu, tymczasem on stał po drugiej, rozprostowując ramiona.

- Gotowy? - rzuciła Dalila do mikrofonu i tłum przysunął się jeszcze bliżej. Zabrzmiał gong. Przeciwnicy mierzyli się wzrokiem, lecz Hank nie drgnął z miejsca: czas pracował na

jego korzyść. Po kilku sekundach Samson, który musiał wiedzieć, że czeka go kupa roboty, podszedł bliżej, wciąż tańcząc, podrygując i podskakując, jak przystało na prawdziwego zapaśnika. Hank stał bez ruchu i czekał.

- Chodź no, chłopcze! - zadudnił Samson, podchodząc jeszcze bliżej. Hank wciąż trzymał się narożnika.

- Czterdzieści pięć sekund! - krzyknęła Dalila.

Samson popełnił dość zasadniczy błąd: myślał, że będzie to pojedynek zapaśników, a nie bijatyka. Pochylił się nisko, żeby zastosować któryś ze swoich chwytów, i na ułamek sekundy odsłonił twarz. Hank zaatakował z szybkością szarżującego grzechotnika. Jego prawa ręka wystrzeliła do przodu tak błyskawicznie, że prawie niezauważalnie, i zaciśnięta pięść wylądowała na szczęce potężnego Samsona.

Głowa mocarza odskoczyła do tyłu, piękne, długie włosy rozsypały się na wszystkie strony. Rozległ się ostry trzask. Nawet Stan Musial nie uderzyłby piłki z tak wielką siłą.

Samson przewrócił oczami. Był wielki jak góra i pewnie dlatego wiadomość o uderzeniu w głowę dotarła do ciała dobrą sekundę później. Bezwładna noga ugięła się w kolanie. Po chwili odebrało mu władzę w drugiej nodze i największy zapaśnik świata, prosto z Egiptu, z głuchym łomotem runął na plecy. Zatrząsł się ring, zadrżały liny. Zdawało się, że Samson padł trupem.

Hank odpoczywał w narożniku z rękami na linach. Miał czas. Biednej Dalili odebrało mowę. Próbowwała zapewnić widzów, że to nic takiego, jednocześnie chciała wskoczyć na ring i zająć się Samsonem.

Tymczasem on jęknął i usiłował wstać. Zdołał dźwignąć się na czworaki, zachwiał się niepewnie na kolanach, wreszcie podciągnął nogę i gwałtownym zrywem dźwignął z maty potężne cielsko. On chciał dobrze, sęk w tym, że nogi nie chciały. Runął przed siebie i w ostatniej chwili przytrzymał się lin. Biedak patrzył prosto na nas, lecz nic nie widział. Miał dzikie, nabiegłe krwią oczy i zdawało się, że nie wie, gdzie jest. Bezwładnie wisiał na linach, próbując odzyskać przytomność i władzę w dolnych kończynach.

Pan Horsefly Walker podbiegł do Hanka i wrzasnął:

- Zabij skurwysyna! Dalej, wykończ go!

Ale Spruill ani drgnął.

- Czas! - krzyknął z narożnika, lecz Dalila już dawno zapomniała o zegarku.

Ktoś wesoło krzyknął, ktoś inny zagwizdał, jednak większość ludzi milczała. Byli zaszokowani widokiem olbrzyma, który bezwładnie przebierał nogami, na próżno próbując dojść do siebie.

Wreszcie zdołał się odwrócić i skupić wzrok na przeciwniku. Wciąż przytrzymując się lin, zrobił kilka kroków w jego stronę, po czym przypuścił ostatni, desperacki atak. Ale Hank po prostu zszedł mu z drogi i Samson grzmotnął głową w narożny słupek. Liny napięły się pod jego ciężarem, a pozostałe trzy słupki wygięły tak mocno, że omal nie pękły. Samson jęczał, stękał i rzucał się na wszystkie strony jak ranny niedźwiedź. Wreszcie zdołał wstać i utrzymać się na nogach na tyle długo, żeby wykonać pełny obrót. Nie powinien był tego robić. Hank doskoczył do niego i prawym hakiem uderzył szczękę, dokładnie w to samo miejsce co poprzednio. Ponieważ przeciwnik nie podniósł gardy, Spruill odciągnął ramię, żeby zadać trzeci i ostatni już cios. Samson runął na matę. Dalila przeraźliwie krzyknęła i wpadła na ring. Tymczasem Hank spokojnie stał w narożniku i z rękami na linach, uśmiechał się, nie zważając na powalonego olbrzyma.

Nie wiedziałem, jak zareagować, podobnie jak większość widzów, którzy po prostu milczeli. Z jednej strony, miło było widzieć, jak chłopak z Arkansas daje popalić wielkoludowi z Egiptu. Ale z drugiej, dał mu popalić Hank Spruill, który użył w tym celu pięści. Zagrał nieczysto, choć zupełnie się tym nie przejmował. Czuliśmy się znacznie lepiej, gdyby pokonał Samsona w uczciwej walce.

Upewniwszy się, że czas minął, przeszedł między linami i zeskoczył na ziemię. Bo i Dale wzięli już pieniądze i cała trójka zniknęła w mroku.

- Zabił Samsona - skonstatował ktoś za mną.

Największy zapaśnik świata leżał na plecach z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, a klęcząca obok Dalila próbowała go ocucić. Zrobiło mi się ich żal. Byli tak cudownie barwni i przedstawiali widowisko, którego długo - jeśli w ogóle - nie mieliśmy oglądać. Szczerze wątpiłem, czy Samson i Dalila kiedykolwiek powrócą do Black Oak.

Odetchnęliśmy nieco dopiero wtedy, kiedy olbrzym usiadł. Garstka pocziwców nagrodziła go oklaskami i tłum zaczął się rozchodzić.

Dlaczego Hank nie mógł zatrudnić się w lunaparku? Jemu by płacili za bicie ludzi, a my mielibyśmy go z głowy. Postanowiłem wspomnieć o tym Tally. Biedny Samson harował w upale przez cały dzień i w ułamku sekundy stracił wszystkie pieniądze. Co za życie. Nareszcie się przekonałem, że istnieje coś gorszego niż zbieranie bawełny.

## ROZDZIAŁ 19

Wiosną i zimą w niedzielne wieczory często składaliśmy wizyty. Kończyliśmy jeść

lunch, ucinaliśmy sobie krótką drzemkę, ładowaliśmy się do samochodu, jechaliśmy do Lake City albo do Paragould i bez żadnego uprzedzenia wpadaliśmy do krewnych czy przyjaciół, którzy zawsze witali nas z otwartymi ramionami. Bywało też, że oni wpadali do nas. „Odwiedźcie nas” - tę popularną odzywkę traktowano dosłownie. Nie trzeba było się do niczego przygotowywać ani nikogo uprzedzać, zresztą niby jak? Ani my, ani nasi krewni i przyjaciele nie mieliśmy telefonów.

U schyłku lata i jesienią odwiedzaliśmy się rzadziej, ponieważ mieliśmy więcej pracy, a po południu panował straszny upał. Na pewien czas zapominaliśmy o ciotkach i wujkach, dobrze wiedząc, że nadrobimy to później.

Siedziałem na werandzie, słuchając transmisji z meczu Kardynałów i patrząc, jak babcia i mama łuskają groch i fasolę, gdy wtem dostrzegłem kłęby pyłu na drodze za mostem.

- Ktoś jedzie - powiedziałem i wszyscy spojrzeli w tamtą stronę.

Ruch na drodze był mały. Niemal zawsze przejeżdżał tamtędy albo któryś z Jeterów, albo któryś z Tolliverów, tych, co mieszkali na wschód od nas. Bywało jednak, że zapuścił się tam ktoś obcy, wówczas obserwowaliśmy go bez słowa, dopóki pył nie opadł, a potem rozmawialiśmy o tym przy kolacji, zastanawiając się, kto to mógł być i co robił w tym zakątku hrabstwa. Dziadzio i tata wspominali o tym w spółdzielni, mama i babcia w kościele i prędzej czy później okazywało się, że nie tylko my widzieliśmy obcego. Zazwyczaj tajemnica się wyjaśniała, ale bywało też, że nigdy się nie dowiadywaliśmy, kto koło nas przejeżdżał i skąd jechał.

Samochód sunął powoli. Czerwone światelka robiły się coraz większe, coraz bardziej jaśniały i wkrótce na podjazd skrzyła błyszcząca czterodrzwiowa limuzyna. Staliśmy na werandzie, zbyt zaskoczeni, żeby się poruszyć. Limuzyna zaparkowała za naszym pikapem. Spruillowie też się na nią gapili.

Kierowca otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Toż to Jimmy Dale - powiedziała babcia.

- Tak, to on - odrzekła z niejaką ulgą mama.

- Luke, biegnij po dziadka i tatę - rozkazała babcia. Wpadłem z wrzaskiem do domu, ale Dziadzio i tata usłyszeli trzask drzwiczek i już ku nam szli.

Stanęliśmy przy nowiutkiej, czyściutkiej limuzynie i od razu doszedłem do wniosku, że jest to najpiękniejszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałem. Wszyscy zaczęli się obejmować, ścisnąć sobie ręce i pozdrawiać, a potem Jimmy Dale przedstawił nam swoją nową żonę, chude i drobne małeństwo, które wyglądało jeszcze młodziej niż Tally. Miała na imię Stacy. Pochodziła z Michigan i mówiła przez nos. Skracała słowa, ucinając je szybko i

skutecznie, tak że już po chwili przeszedł mnie dreszcz.

- Dlaczego ona tak mówi? - spytałem szeptem, kiedy ruszyliśmy do werandy.

- Jest Jankeską - odszepnęła mama.

Ojcem Jimmy'ego Dale'a był Ernest Chandler, starszy brat dziadka. Miał farmę w Leachville i pracował na roli, dopóki przed kilkoma laty nie umarł na atak serca. Nie pamiętałem ani jego, ani Jimmy'ego, ale dużo o nich słyszałem. Jimmy Dale uciekł ze wsi, wyjechał do Michigan, znalazł pracę w fabryce Buicka i zarabiał trzy dolary na godzinę, co w Black Oak było wprost niewiarygodną stawką. Przed dwoma laty, kiedy mieliśmy kolejny nieurodzaj, tata wyjechał do Flint i spędził tam całą zimę, wstawiając szyby do nowych buicków. Przywiózł do domu tysiąc dolarów i wydał wszystko na spłatę długów.

- Piękny wóz - powiedział, kiedy usiedli na schodkach. Babcia poszła do kuchni, żeby zrobić mrożonej herbaty. Mamie przypadło niemiłe zadanie zabawiania rozmową Stacy, do której zraziłem się, gdy tylko wysiadła z samochodu. Ta kobieta zupełnie do nas nie pasowała.

- Nowiutki - odrzekł z dumą Jimmy Dale. - Odebrałem go w zeszłym tygodniu, tuż przed wyjazdem. Pożeniliśmy się i zafundowaliśmy sobie ślubny prezent.

- Nie „pożeniliśmy się”, tylko „pobraliśmy się” - rzuciła nowa żona z drugiego końca werandy. Zapadła cisza. Zamurowało nas, ponieważ Stacy poprawiła męża w obecności obcych. Nigdy dotąd się z czymś takim nie spotkałem.

- Pięćdziesiąty drugi? - spytał dziadek.

- Nie, pięćdziesiąty trzeci, najnowszy model. Sam go składałem.

- Gadasz.

- Tak jest. Mamy prawo kupować samochody na obstalunek, a wtedy można przypilnować ich na taśmie. W tym montowałem deskę rozdzielczą.

- Ile kosztował? - Zerknąłem na mamę i pomyślałem, że zaraz skoczy mi do gardła.

- Luke! - krzyknęła. Tata i dziadek spiorunowali mnie wzrokiem i już miałem coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili Jimmy wypalił:

- Dwa tysiące siedemset dolarów. To żadna tajemnica. Każdy sprzedawca w kraju ci powie.

Do samochodu podeszli Spruillowie - wszyscy z wyjątkiem Tally, która gdzieś przepadła. Było niedzielne popołudnie i uważałem, że nadeszła pora na chłodną kąpiel w naszym strumieniu. Już od dawna kręciłem się koło werandy, czekając, aż się pojawi.

Obszedł samochód Trot, obeszli go Bo i Dale. Hank zaglądał do środka przez szybę i pewnie szukał kluczyków. Pan i pani Spruill podziwiali limuzynę z daleka.

Jimmy Dale uważnie ich obserwował.

- Ze wzgórz? - spytał.
- Tak, z Eureka Springs.
- Przyzwoici?
- W większości - odparł Dziadzio.
- Co robi ten wielki?
- Nie wiadomo.

Rano słyszeliśmy w kościele, że Samson w końcu wstał i zszedł z ringu, tak że lista ofiar Hanka się nie wydłużyła. Brat Akers przez bitą godzinę mówił o lunaparku i o grzechach, jakie się w nim lęgną: o hazardzie, o bijatykach, o sprośnościach, o wulgarnych kostiumach, o zadawaniu się z Cyganami i o wszelkich brudach. Wsłuchiwalismy się z Dewaynem w każde słowo, lecz nasze nazwiska na szczęście nie padły.

- Dlaczego oni tak mieszkają? - spytała Stacy, patrząc na obozowisko Spruillów. Urwane w połowie słowa cięły powietrze jak nóż.

- A jak mają mieszkać? - spytał dziadek. On też doszedł do wniosku, że nie lubi nowej pani Chandler. Siedziała jak ptaszek na brzeżku bujaka i patrzyła na wszystko z góry.

- Nie możecie zapewnić im jakiegoś pomieszczenia?

Czułem, że Dziadzio zaraz wyjdzie z siebie.

- Tak czy inaczej - wtrącił Jimmy Dale - mogę spłacać go przez dwa lata.

- Naprawdę? - Tata nie odrywał wzroku od limuzyny. - Nigdy nie widziałem piękniejszego wozu.

Babcia wróciła z tacą i poczęstowała nas mrożoną herbatą z cukrem.

Stacy odmówiła.

- Herbata z lodem. Nie, dziękuję. Nie macie takiej zwyczajnej, gorącej?

Gorąca herbata? Cóż to za fanaberie?

- Nie, tu się nie pija gorącej - mruknął dziadek, łypiąc spode łba na Stacy.

- A w Michigan zimnej - odparła nowa pani Chandler.

- Ale tu nie Michigan - odparował dziadzio.

- Chcesz zobaczyć mój ogród? - wtrąciła szybko mama.

- Tak, świetny pomysł - odrzekł Jimmy Dale. - Idź, skarbie. Kathleen ma najpiękniejszy ogród w Arkansas.

- Pójdę z wami - oznajmiła babcia, próbując ściągnąć Stacy z werandy i zapobiec kłótni.

Dziadzio odczekał, aż znikną w ogrodzie, i spytał:

- Na miłość boską, gdzieś ty ją wytrzasnął?

- To miła dziewczyna, wujku - odrzekł bez większego przekonania Jimmy Dale.

- To cholerna Jankeska.

- Jankesi nie są tacy źli. Byli na tyle bystrzy, żeby uciec od zbierania bawełny. Mieszkają w ładnych domach z kanalizacją, z telefonami i telewizorami. Dobrze zarabiają i budują dobre szkoły. Stacy przez dwa lata chodziła do college'u. Jej rodzice od trzech lat mają telewizor. W zeszłym tygodniu oglądałem mecz Indian z Tygrysami. Dasz w to wiarę, Luke? Oglądać mecz w telewizji.

- Nie, proszę pana.

- Widzisz? A ja oglądałem. Dla Indian narzucał Bob Lemon. Ale ci z Tygrysów są do niczego. Znowu spadli na ostatnie miejsce.

- Liga Amerykańska mało mnie obchodzi - odparłem, powtarzając słowa, które tata i dziadek wypowiadali, odkąd tylko pamiętałem.

- To ci dopiero niespodzianka - powiedział ze śmiechem Jimmy Dale. - Mówisz jak prawdziwy kibic Kardynałów. Ja też taki byłem, dopóki nie wyjechałem na północ. Człowiek się przyzwyczaja. W tym roku byłem na jedenastu meczach na stadionie Tygrysów. Mają nowego zawodnika, Mickeya Mantle. Niezły jest, silny, bardzo szybki. Dużo pudłuje, ale kiedy już trafi, piła ląduje za bandą zapola. Kiedyś będzie najlepszy. No i mają Berre i Rizzuto.

- I tak ich nie znoszę - odrzekłem i Jimmy Dale ponownie wybuchnął śmiechem.

- Wciąż chcesz grać u Kardynałów?

- Tak.

- Nie chcesz być farmerem?

- Nie.

- Bystry chłopak.

Dorośli dużo o nim mówili. Był z siebie bardzo dumny, że zdołał uciec ze wsi i urządzić się na północy. Lubił rozmawiać o pieniądzach. Powiodło mu się, dlatego chętnie udzielał rad dorastającym chłopakom z naszego hrabstwa.

Dziadzio uważał, że uprawa ziemi jest jedynym godnym sposobem zarabiania na chleb, może z wyjątkiem grania w zawodowej drużynie baseballowej.

Przez chwilę popijaliśmy herbatę, a potem Jimmy Dale spytał:

- Jak tam bawełna?

- Jak dotąd dobrze - odrzekł dziadek. - Pierwszy zbiór był całkiem niezły.

- Teraz czeka nas drugi - dodał tata. - Za miesiąc pewnie skończymy.

Z obozowiska Spruillów wyszła Tally z ręcznikiem czy jakąś szmatką. Obeszła samochód szerokim łukiem, tak że zahipnotyzowana widokiem limuzyny rodzina jej nie zauważyła. Popatrzyła na mnie z oddali, lecz nie dała żadnego znaku. Nagle znudził mnie

baseball, bawełna i samochody, ale nie mogłem tak po prostu wstać i uciec. Zachowałbym się niegrzecznie i tata zacząłby coś podejrzewać. Dlatego siedziałem i patrzyłem, jak Tally znika za domem.

- Co słysząc u Lutra? - spytał tata.

- W porządku - odrzekł Jimmy Dale. - Załatwiłem mu robotę w fabryce. Zarabia trzy dolary za godzinę, pracuje czterdzieści godzin tygodniowo. Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy.

Luter był naszym krewnym, kolejnym kuzynem z bocznej linii Chandlerów. Widziałem go raz na jakimś pogrzebie.

- A więc nie wraca? - spytał dziadek.

- Wątpię.

- Też chce się ożenić z Jankeską?

- O to go nie pytałem. Zrobi, co zechce.

Zapadło milczenie i napięcie trochę opadło.

- Nie możecie mieć mu za złe, że został - dodał po chwili Jimmy Dale. - Przecież oni stracili farmę. Zbierał bawełnę dla innych, zarabiał tysiąc dolarów rocznie, nigdy nie miał centa przy duszy. Teraz zarabia sześć tysięcy rocznie, zgarnia premię i ma zagwarantowaną emeryturę.

- Wstąpił do związku? - spytał tata.

- Żebyś wiedział. Zapisalem do związku wszystkich naszych chłopaków.

- Co to jest związek? - spytałem.

- Luke, idź zobacz, co robi mama - powiedział dziadek. - Idź.

Po raz kolejny zadałem niewinne pytanie i wykluczyli mnie z rozmowy. Pobiegłem za dom z nadzieją, że zobaczę Tally, ale Tally już nie było. Pewnie poszła nad strumień i kąpała się bez swego wiernego strażnika.

Babcia stała przy ogrodowej furtce, opierając się o płot i obserwując mamę i Stacy, które chodziły od rośliny do rośliny. Stałem przy niej, a ona musnęła mi ręką włosy.

- Dziadzio powiedział, że to cholerna Jankeska - szepnąłem.

- Nie przeklinaj.

- Ja nie przeklinam. Ja tylko powtarzam.

- To dobrzy ludzie. Są po prostu inni. - Babcia znowu była zamyślona. Tego lata rozmawiała ze mną czasem tak, jakby mnie nie widziała. Znużonymi oczami patrzyła w dal i błędziła myślami gdzieś hen, daleko stąd.

- Dlaczego ona tak mówi? - spytałem.

- Ona uważa, że to my śmiesznie mówimy.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Nie mogłem tego zrozumieć.

Z grządkki ogórków wystawił głowę małej zielony wąż - miał najwyżej trzydzieści centymetrów długości - po czym smyrgnął ścieżką tuż przed mamą i Stacy. Dostrzegły go w tym samym momencie. Mama wyciągnęła rękę i spokojnie powiedziała:

- Spójrz, zielony wężyk.

Jednakże Stacy zareagowała zupełnie inaczej. Otworzyła usta, ale była tak przerażona, że co najmniej przez kilka sekund nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. A potem wydała z siebie potworny wrzask, wrzask tak głośny, że musieli słyszeć go Latcherowie, ścinający krew w żyłach krzyk, bardziej przerażający niż najbardziej jadowity wąż.

- Wąż! - wrzasnęła ponownie i schowała się za mamę. - Jimmy Dale! Jimmy Dale!

Wąż znieruchomiał i zdawało się, że na nią patrzy. Był zielony i zupełnie niegroźny. Jak można było bać się takiego maleństwa? Wpadłem do ogrodu i podniosłem go, chcąc pokazać Stacy, że nie ma się czego bać. Ale widok małego chłopca trzymającego w rękach tak śmiertelnie niebezpiecznego potwora był dla niej czymś, co ją ostatecznie dobiło. Zemdlała i w chwili, gdy z werandy nadbiegł tata i Jimmy Dale, runęła jak długa prosto w szparagi.

Kiedy Jimmy Dale podnosił ją z ziemi, próbowaliśmy mu wyjaśnić, co się stało. Biedny wąż zwiotczał mi w rękę - pewnie też zemdlał - a Dziadzio nie mógł przestać się uśmiechać. Jimmy Dale zaniósł żonę na ganek i położył ją na ławce, tymczasem babcia potruchtała po lekarstwa.

Stacy szybko doszła do siebie. Była blada i miała lepka skórę. Babcia nachylała się nad nią z mokrym ręcznikiem i solami trzeźwiącymi.

- Czy w Michigan nie ma węzów? - spytałem szeptem taty.

- Chyba nie.

- Przecież to był zielony.

- Dzięki Bogu, że nie natknęła się na szczurołapa - odrzekł tata. - Chyba by umarła.

Mama zagotowała wodę i zalała nią torebkę herbaty. Stacy usiadła, wzięła szklankę i, tak, chyba pierwszy raz w dziejach ktoś pił u nas gorącą herbatę. Chciała zostać sama, więc wróciliśmy na werandę, żeby mogła odpocząć.

Tata, Dziadzio i Jimmy Dale stanęli przy samochodzie. Podnieśli maskę, nachylili się i zaczęli oglądać silnik. Ponieważ nikt nie zwracał na mnie uwagi, wróciłem za dom, żeby poszukać Tally. Schowałem się za silosem, w moim ulubionym miejscu, gdzie nikt nie mógł

mnie zobaczyć. Usłyszałem warkot silnika, cichy, równy i potężny, i od razu wiedziałem, że to nie nasz stary pikap. Wybierali się na przejażdżkę, słyszałem, jak mnie wołają. Nie odpowiedziałem i odjechali.

Zrezygnowałem z wypatrywania Tally i ruszyłem w stronę domu. Stacy siedziała na stołku pod drzewem, patrząc ze smutkiem na pola. Ręce miała skrzyżowane na piersiach i robiła wrażenie bardzo nieszczęśliwej. Buicka już nie było.

- Nie pojechałeś z nimi? - spytała.

- Nie, proszę pani.

- Dlaczego?

- Po prostu.

- Jechałeś kiedyś samochodem? - W jej głosie pobrzmiewała nutka kpiny, więc zacząłem kłamać.

- Nie, proszę pani.

- Ile masz lat?

- Siedem.

- Masz siedem lat i nigdy nie jechałeś samochodem?

- Nie, proszę pani.

- A oglądałeś telewizję?

- Nie, proszę pani.

- A rozmawiałeś kiedyś przez telefon?

- Nie, proszę pani.

- Niewiarygodne. - Z odrazą potrząsnęła głową i pożałowałem, że wylazłem zza silosu.

- Chodzisz do szkoły?

- Tak, proszę pani.

- Dzięki Bogu chociaż za to. Umiesz czytać?

- Tak, i pisać.

- Chcesz pójść do ogólniaka?

- Oczywiście.

- Twój ojciec też chodził?

- Tak.

- A dziadek?

- Nie, proszę pani.

- Tak myślałam. A czy ktoś z miejscowych chodzi do college'u?

- Jeszcze nie.

- Jak to?

- Mama mówi, że ja pójdę.

- Wątpię. Będzie was na to stać?

- Mama mówi, że pójdę.

- Dorośniesz i zostaniesz biednym farmerem, tak jak twój ojciec i dziadek.

- Nie wiadomo - odparłem.

Rozgoryczona i zniechęcona pokręciła głową.

- Ja chodziłam - rzekła z dumą. - Aż dwa lata.

I wcale nie jesteś od tego mądrzejsza: miałem to na końcu języka, lecz oczywiście nie powiedziałem. Zapadło długie milczenie. Chciałem się stamtąd grzecznie wycofać, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Stacy siedziała na stołku i spoglądała w dal, gromadząc w sobie coraz więcej jadu.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteście tacy zacofani - powiedziała.

Wbiłem wzrok w ziemię. Nie licząc Hanka Spruilla, nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kogo bym tak bardzo nie lubił. Co zrobiłby na moim miejscu Ricky? Pewnie by ją skłął, ale ponieważ ja nie mogłem sobie na to pozwolić, po prostu odszedłem.

Wrócili. Za kierownicą siedział tata. Zaparkował, wysiedli i Jimmy Dale zawołał Spruillów. Bo, Dale i Trot usiedli z tyłu, Hank z przodu i ponownie odjechali, śmigając drogą w stronę mostu.

Jimmy Dale napomknął o wyjeździe dopiero przed wieczorem. Mieliśmy ich dość, a mnie szczególnie martwiła myśl, że mogą zostać na kolację. Mielibyśmy usiąść do stołu, jeść i słuchać, jak Stacy szydzi z naszych potraw i zwyczajów? Szydziła ze wszystkiego, co łączyło się z naszym sposobem życia, dlaczego miałyby darować sobie kolację?

Do samochodu szliśmy bardzo powoli, gdyż pożegnania jak zwykle ciągnęły się w nieskończoność.

Kiedy nadchodziła pora odjazdu, nikt się nigdy nie spieszył. Najpierw ktoś oznajmiał, że już późno, po jakimś czasie powtarzał to ktoś inny i wreszcie, wraz z falą pierwszych pożegnań, wszyscy ruszali na podjazd. Po drodze ściskali sobie ręce, obejmowali się, wymieniali obietnice rychłych odwiedzin. Szli tak i szli, wreszcie docierali do samochodu czy ciężarówki i tu cała procesja zawsze przystawała, ponieważ ktoś przypominał sobie taką czy inną historyjkę, którą koniecznie musiał opowiedzieć. Ponownie ściskano sobie ręce i obiecywano rychłe odwiedziny. Kosztem olbrzymiego wysiłku ci, którzy odjeżdżali, wsiadali wreszcie do samochodu, a wówczas ci, którzy ich odprowadzali, wtykali do środka głowę, żeby

po raz ostatni się z nimi pożegnać albo wysłuchać jeszcze jednej opowiadki. Kilka nieśmiałych protestów i w końcu kierowca zapuszczał silnik. Wszyscy zaczęli machać rękami na pożegnanie i samochód powoli ruszał.

Kiedy dom zniknął pasażerom z oczu, ktoś siedzący z tyłu mruczał:

- Co ich tak pognęło?

A ktoś wciąż machający ręką na podwórzu mówił:

- Ciekawe, dlaczego tak szybko odjechali?

W drodze do samochodu Stacy szepnęła coś do ucha mężowi.

- Ona musi do łazienki - powiedział cicho Jimmy Dale.

Mama zmarszczyła czoło. Nie mieliśmy łazienki. Mieliśmy wychodek, małą drewnianą wygodkę z głębokim dołem, ukrytą za szopą na narzędzia, w połowie drogi między gankiem i stodołą.

- Chodź ze mną - odrzekła i poszły. Jimmy Dale przypomniał sobie historyjkę o miejscowym chłopaku, który wyjechał do Flint i został aresztowany za picie alkoholu na ulicy przed barem. Zostawiłem ich, przeszedłem przez dom, zbiegłem schodami z ganku, prześlizgnąłem się między kurnikami i przystanąłem w miejscu, z którego mogłem obserwować, jak mama prowadzi Stacy do wychodka. Stacy zatrzymała się przed drzwiami i wyglądało na to, że nie ma zbyt wielkiej ochoty tam wchodzić. Ale nie miała wyboru.

Mama wróciła na podwórze.

Wtedy zaatakowałem. Zapukałem do drzwi. Usłyszałem cichy krzyk, potem rozpaczliwy pisk:

- Kto to?

- To ja, Luke.

- Zajęte! - Mówiła szybko i niewyraźnie, głosem przytłumionym przez duszną wilgoć wychodka. W środku było ciemno, gdyż światło sączyło się tylko przez maleńkie szpary między deskami.

- Niech pani teraz nie wychodzi! - rzuciłem z udawaną paniką.

- Dlaczego?

- Tu jest wielki czarny wąż!

- O mój Boże! - tchnęła. Gdyby nie to, że już siedziała, pewnie znowu by zemdląła.

- Cicho! - syknąłem. - Bo usłyszysz, że pani tam jest.

- Jezu święty! - wykrzyknęła załamującym się głosem. - Zrób coś!

- Nie mogę. Jest wielki i gryzie.

- Czego on chce? - załkała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

- Nie wiem. To gównojad, często się tu kręci.

- Zawołaj Jimmy'ego Dale'a!

- Dobrze, tylko niech pani nie wychodzi. On leży tuż za drzwiami. Chyba już wie, że pani tam jest.

- O mój Boże - jęknęła Stacy i się rozplakała.

Zanurkowałem między kurnikami i okrążyłem ogród. Cicho i powoli szedłem wzdłuż żywopłotu, który stanowił granicę naszej działki, dopóki nie dotarłem do kępy krzewów, skąd widać było podwórze przed domem. Schowałem się tam i ostrożnie wyjrzałem. Jimmy Dale opierał się o maskę samochodu, opowiadając coś i czekając, aż żona się załatwi.

Czas płynął straszliwie wolno, bo jedna opowieść przechodziła w drugą. Moi rodzice, dziadek i babcia słuchali, chichotali i od czasu do czasu zerkali w stronę wygodki.

Mama zaniepokoiła się w końcu i poszła tam zajrzeć. Chwilę później ktoś krzyknął i Jimmy Dale popędził w stronę wychodka. Rozgarnąłem krzaki i ukryłem się w nich najgłębiej, jak umiałem.

Kiedy wszedłem do kuchni, było już prawie ciemno. Obserwowałem dom zza silosu i wiedziałem, że mama i babcia przygotowują kolację. Wiedziałem też, że będę miał kłopoty, a spóźnienie na posiłek tylko pogorszy moją sytuację.

Gdy przekroczyłem próg kuchni i cicho usiadłem na swoim miejscu, dziadek miał właśnie odmówić modlitwę. Spojrzeli na mnie, ale ja wolałem wbić wzrok w talerz. Dziadzio pomodlił się szybko i babcia podała mu półmisek. Kiedy milczenie i napięcie stało się nie do zniesienia, tata spytał:

- Gdzie byłeś?

- Nad strumieniem - odrzekłem.

- Co tam robiłeś?

- Nic. Poszedłem się rozejrzeć.

Brzmiało to dość podejrzanie, lecz jakoś mi uszło. Kiedy zapadła cisza, Dziadzio odchrząknął i z doskonałym wyczuciem chwili spytał:

- A nie widziałeś tam gównojadów?

W jego głosie pobrzmiwała szelmowska nutka i skończywszy mówić, parsknął głośnie śmiechem.

Powiodłem wzrokiem po twarzach siedzących przy stole. Babcia mocno zaciskała szczęki, jakby nie chciała się roześmiać. Mama zasłaniała usta serwetką, lecz zdradzały ją oczy; ona też z trudem tłumiała wesołość. Tata miał w ustach duży kęs jedzenia i jakimś cudem zdołał

go przeżuć z poważną miną.

Natomiast Dziadzio dosłownie wył. Zanosił się gromkim śmiechem, podczas gdy mama, babcia i tato próbowali zachować śmiertelną powagę.

- To było dobre, Luke! - wykrztusił w końcu dziadek, łapiąc oddech. - Należało jej się.

Ja też się roześmiałem, ale wcale nie śmiałem się z tego, co zrobiłem. Widok dziadka, który ryczał ze śmiechu, podczas gdy pozostali zaciskali usta, żeby nie okazać po sobie wesołości, wydał mi się bardzo śmieszny.

- Dość tego, Eli - powiedziała babcia, wreszcie rozwierając szczęki.

Wziąłem do ust dużą porcję groszku i ponownie wbiłem wzrok w talerz. Przy stole się uciszyło i przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu.

Po kolacji tata zaprowadził mnie do szopy z narzędziami. Na jej drzwiach wisiał kij z hikorowego drewna, który tata osobiście wyciął i wypolerował. Kij był przeznaczony dla mnie.

Nauczono mnie, że karę należy przyjmować godnie, jak mężczyzna. Że nie wolno płakać, przynajmniej jawnie. W tych strasznych chwilach zawsze próbowałem brać przykład z Ricka. Słyszałem potworne opowieści o cięgach, jakie zbierał od Dziadzia: według rodziców jego i moich nigdy, ale to nigdy nie uronił ani jednej łzy. Będąc dzieckiem, traktował karę jak wyzwanie.

- Zachowałeś się złośliwie - zaczął tata. - Stacy była naszym gościem, jest żoną twojego kuzyna.

- Tak, tato.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo powiedziała, że jesteśmy głupi i zacofani. - Wiedziałem, że małe upiększenie nigdy nie zaszkodzi.

- Tak powiedziała?

- Tak. Nie lubię jej tak samo jak ty i wszyscy inni.

- Mimo to starszych trzeba darzyć szacunkiem. Jak myślisz, na ile kijów zasłużyłeś? - Zbrodnię i karę zawsze omawialiśmy przed egzekucją, tak że pochylając się, wiedziałem już, ile dostanę razów.

- Na jeden - odrzekłem; zwykle zaczynałem od jednego.

- Moim zdaniem na dwa. Użyłeś też brzydkiego słowa.

- Chyba nie aż tak brzydkiego.

- Było nie do przyjęcia.

- Tak, tato.

- Ile kijów za to?

- Jeden.

- Ustalmy, że w sumie zasłużyłeś na trzy, zgoda? - Nigdy nie bił mnie, kiedy był zły, co dawało mi możliwość negocjacji. Trzy kije to chyba całkiem fair, ale zawsze broniłem się do samego końca. Ostatecznie to ja stałem po tej stronie kija. Dlaczego się trochę nie potargować?

- Dwa byłoby sprawiedliwiej - odparłem.

- Trzy. Pochyl się.

Przełknąłem ślinę, zacisnąłem zęby, odwróciłem się, pochyliłem i chwyciłem za kostki u nóg. Zdzielił mnie w pupę trzy razy. Piekło jak diabli, ale czułem, że nie włożył w to serca. Bywało gorzej.

- A teraz do łóżka - powiedział i pobiegłem do domu.

## ROZDZIAŁ 20

Hank miał w kieszeni dwieście pięćdziesiąt dolarów i zupełnie odechciało mu się zbierać.

- A gdzie Hank? - spytał dziadek pana Spruilla, kiedy w poniedziałek rano szliśmy do pracy.

- Chyba śpi - warknął tamten i umilkł.

Hank przyszedł na pole dopiero przed południem. Nie wiem dokładnie kiedy, ponieważ byłem wtedy na końcu swego rzędu, ale wkrótce doszły mnie ich głosy i domyśliłem się, że Spruillowie znowu się żrą.

Mniej więcej na godzinę przed przerwą na lunch niebo pociemniało, a od zachodu powiał lekki wiatr. Kiedy słońce się schowało, przestałem zbierać i spojrzałem na chmury. Sto metrów dalej Dziadzio zrobił to samo: w przekrzywionym na bok kapeluszu trzymał się pod boki i ze zmarszczonym czołem patrzył w górę. Wiatr się wzmógł, niebo pociemniało jeszcze bardziej i zrobiło się chłodno. Burze zawsze nadciągały od strony Jonesboro, z tak zwanej Alei Tornad.

Najpierw spadł grad, małe, twarde kulki wielkości ziarna grochu. Ruszyłem do traktora. Niebo na południowym zachodzie było granatowe, niemal czarne i pokryte niskimi chmurami, które pędziły prosto na nas. Spruillowie szli szybko w stronę przyczepy. Meksykanie biegli do stodoły.

Ja też zacząłem biec. Grad siekł mi kark, więc przyspieszyłem kroku. Wiatr wył między drzewami nad rzeką i przygniatał do ziemi krzewy bawełny. Gdzieś za mną trzasnęło, głośno huknęło i dobiegł mnie przerażony krzyk jednego ze Spruillów, chyba Bo.

- Nie zbliżajcie się do przyczepy z bawełną - mówił dziadek, kiedy dobiegłem do traktora. - Pioruny biją.

- Musimy uciekać do domu - dodał tata.

Szybko załadowaliśmy się na płaską przyczepę i kiedy dziadek zawrócił traktorem, z furją lunął na nas deszcz. Był zimny, gwałtowny i ostro zacinał. Momentalnie przemokliśmy do suchej nitki; nie byłbym bardziej mokry, gdybym wskoczył do strumienia.

Spruillowie zbili się w gromadkę wokół Tally. Krok dalej tata przyciskał mnie do piersi, jakby się bał, że porwie mnie wiatr. Mama i babcia wróciły do domu tuż przed burzą.

Deszcz lał falami. Był tak rzęsisty, że ledwo widziałem krzewy bawełny przy drodze.

- Szybciej, dziadku! - powtarzałem. - Szybciej!

Ulewa huczała i bębniła tak głośno, że nie słyszałem znajomego terkotu traktora. Znowu uderzył piorun, tym razem bliżej, tak blisko, że od huku rozboleły mnie uszy. Myślałem, że tam zginiemy.

Zdawało się, że jedziemy całe wieki, lecz kiedy wreszcie dotarliśmy do domu, deszcz nagle ustał. Niebo pociemniało jeszcze bardziej i było niemal zupełnie czarne.

- To trąba! - powiedział głośno pan Spruill, kiedy zeskakiwaliśmy na ziemię.

Na zachodzie, hen, wysoko i daleko za linią drzew, tworzył się wąski lej. Był jasnoszary, na tle nieba niemal biały, i ciągle się wydłużał, sunąc w stronę ziemi z coraz głośniejszym hukiem. Wirował kilkanaście kilometrów dalej, dlatego nie wydawał się zbyt groźny.

Tornada były zjawiskiem powszechnym w tej części Arkansas i dużo się o nich nasłuchałem. Przed kilkudziesięciu laty tata babci miał ponoć wyjść cało ze straszliwego huraganu, który krążąc w kółko, kilkakrotnie spustoszył jego farmę. Opowieść była trochę naciągana i babcia opowiadała ją bez większego przekonania. Trąby powietrzne były częścią naszego życia, ale nigdy dotąd ich nie widziałem.

- Kathleen! - krzyknął tata. Nie chciał, żeby mama przegapiła takie widowisko. Zerknąłem na stodołę, gdzie stali Meksykanie, zadziwieni tak samo jak my. Paru z nich wskazywało ręką w górę.

Obserwowaliśmy lej z niemą fascynacją, lecz bez strachu czy przerażenia, ponieważ trąba była daleko i sunęła w przeciwnym kierunku, na północny wschód. Wędrowała powoli, jakby szukała najdogodniejszego miejsca na zetknięcie się z ziemią. Lej był doskonale widoczny: tańczył daleko nad horyzontem, hen, wysoko, w połowie drogi między niebem i ziemią, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie uderzyć. Wyglądał przy tym niczym doskonały stożek na odwyrtek.

Trzasnęły siatkowe drzwi. Mama i babcia wyszły na schody, wycierając ręce ścierką.

- Idzie na miasto - orzekł zdecydowanie Dziadzio, jakby potrafił przewidywać ruchy tornad.

- Chyba tak. - To tata, kolejny ekspert od pogody.

Lej wydłużył się jeszcze bardziej i przestał podskakiwać. Wyglądało na to, że wreszcie zetknął się z ziemią, ponieważ nie widzieliśmy już jego końca.

Kościół, odziarniarnia, kino, sklep Popa i Pearl: właśnie próbowałem podsumować ewentualne szkody, gdy wtem lej wzbił się w górę i zniknął.

W tej samej chwili gdzieś za nami rozległ się potworny ryk. Po drugiej stronie drogi, za

polem Jeterów, szalało kolejne tornado. Zaszło nas od tyłu, kiedy obserwowaliśmy to nad miastem. Było jakieś dwa kilometry dalej i zdawało się, że zmierza prosto na nasz dom. Przez kilka sekund gapiliśmy się na nie jak sparaliżowani.

- Do stodoły! - krzyknął dziadek. Kilku Spruillów pędziło do swego obozowiska, jakby myśleli, że będą bezpieczni pod namiotem.

- Tutaj! - wrzasnął pan Spruill, wskazując stodołę. Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć, wrzeszczeć i biegać w kółko. Tata chwycił mnie za rękę i popędziliśmy przed siebie. Ziemia drżała, przeraźliwie wył wiatr. Meksykanie rozpierzchli się na wszystkie strony; niektórzy uznali, że lepiej jest uciec na pole, inni gnali do domu, lecz zawrócili, widząc, że biegniemy do stodoły. Minał nas Hank z Trotem na barana. Tally też nas prześcignęła.

Zanim dotarliśmy na miejsce, lej oderwał się od ziemi i wzniosł się szybko. Dziadzio przystanął i zadarł głowę, wszyscy pozostali też. Lej minął naszą farmę od wschodu i zamiast uderzyć w nią czołowo, obryzgał nas tylko gęstą zawiesiną brązowej wody i błota. Patrzyliśmy, jak podryguje w powietrzu, szukając innego miejsca, zupełnie jak ten pierwszy.

Przez kilka minut byliśmy zbyt oszołomieni i przerażeni, żeby cokolwiek powiedzieć.

Uważnie obserwowałem chmury i rozglądałem się na wszystkie strony, nie chcąc dać się ponownie zaskoczyć. Nie tylko ja, pozostali też.

Znowu lunął deszcz i wróciliśmy do domu.

Burza szalała przez dwie godziny, wypróbowała na nas klasyczny arsenał broni: huraganowy wiatr, oślepiający deszcz, trąby powietrzne, grad oraz pioruny, które były tak blisko, że czasami chowaliśmy się pod łóżko. Spruillowie schronili się w naszym salonie, my drżeliśmy ze strachu w pozostałych pomieszczeniach. Mama cały czas tuliła mnie do siebie. Śmiertelnie bała się burzy, dlatego było jeszcze straszniej niż zwykle.

Nie wiedziałem, jak przyjdzie nam zginąć - porwie nas wiatr, zabije piorun czy zmyje woda - lecz nie ulegało wątpliwości, że koniec jest bliski. Ale tata szybko zasnął i jego całkowita obojętność trochę podniosła mnie na duchu. Mieszkał w ziemiankach, strzelali do niego Niemcy, dlatego niczego się nie bał. Leżeliśmy we troje na podłodze w sypialni rodziców: tata chrapał, mama się modliła, a ja wsłuchiwałem się w odgłosy burzy. Myślałem o Noem, o czterdziestodniowym potopie, i czekałem, aż nasz mały domek uniesie się na wodzie i odpłynie w dal.

Kiedy przestało lać i ustał wiatr, wyszliśmy na dwór, żeby oszacować szkody. Jednakże, jeśli nie liczyć połamanych gałęzi, wypłukanych przez wodę rowów i kilku

wyrwanych z korzeniami krzaków w ogrodzie mamy, zniszczenia były zaskakująco małe. Wiedzieliśmy, że bawełna szybko wyschnie, i że rano znowu wyjdziemy w pole.

Przy lunchu Dziadzio powiedział:

- Chyba pojedę zobaczyć, co z odziarniarnią. - Wszyscy chcieliśmy jechać. A jeśli trąba zrównała ją z ziemią?

- A ja co z kościołem - dodała babcia.

- Ja też - wtrąciłem.

- Ty? - spytał tata. - Po co?

- Chcę zobaczyć, czy nie zniszczyła go trąba.

- No to jedźmy - rzucił dziadek i zerwaliśmy się z krzesel. Naczynia wylądowały w zlewie, lecz nikt ich nie zmył, co nigdy dotąd się nie zdarzyło.

Nasza droga zmieniła się w błoto, miejscami była podmyta. Ślizgając się na wszystkie strony, przejechaliśmy kilkaset metrów, aż dotarliśmy do wielkiej dziury. Dziadzio wrzucił jedynkę i spróbował objechać ją lewym poboczem, skrajem pola Jeterów, i pikap utknął na dobre. Tata wrócił piechotą po traktor, a nam pozostało tylko czekać. Jak zwykle siedziałem z tyłu, więc miałem dużo miejsca. Mama była w szoferce między dziadkiem i babcią. Babcia powiedziała, że wyprawa do miasta to chyba nie najlepszy pomysł. Dziadzio tylko zgrzytał zębami.

Przyjechał tata. Przymocował do przedniego zderzaka sześciometrowej długości łańcuch i powoli wyciągnął nas na drogę. On i dziadek doszli do wniosku, że lepiej będzie, jeśli traktor doholuje nas aż do mostu. Kiedy tam dotarliśmy, Dziadzio odczepił łańcuch, i tata pojechał dalej. My przejechaliśmy przez most za nim. Droga po drugiej stronie rzeki była jeszcze gorsza, dlatego tata ponownie zaczepił łańcuch i ciągnął nas przez ponad trzy kilometry, aż dotarliśmy do żwirówki. Tam zostawiliśmy traktor i ruszyliśmy do miasta z nadzieją, że jeszcze istnieje. Tylko Bóg wiedział, co nas tam czekało. Z trudem ukrywałem podniecenie.

W końcu wjechaliśmy na asfaltówkę i skręciliśmy w kierunku Black Oak, zostawiając za sobą długie smugi błota. Dlaczego nie można wyasfaltować wszystkich dróg? - myślałem.

Jak na razie wszystko wyglądało normalnie. Nie dostrzegliśmy ani powalonych drzew, ani porzucanych szczątków, ani wielkich wyrw w ziemi. Domy też były nietknięte. Na polach nikt nie pracował, bo deszcz zmoczył bawełnę, ale poza tym nie zauważyłem niczego szczególnie niepokojącego.

Oparliśmy się z tatą o dach szoferki i wyżejając wzrok, wypatrywaliśmy pierwszych zabudowań miasta. Wkrótce je dostrzegliśmy. Odziarniarnia ryczała jak zwykle. Bóg ochronił

także kościół. I wszystkie sklepy przy Main Street.

- Dzięki Ci, Panie - wymruczał tata.

Nie to, żeby brak zniszczeń mnie zmartwił, ale cóż, mogło być trochę ciekawiej.

Okazało się, że nie tylko my przyjechaliśmy do miasta. Na Main Street panował duży ruch, a na chodnikach roiło się od przechodniów - w poniedziałek to rzecz niesłychana. Zaparkowaliśmy przed kościołem. Zobaczywszy, że jest nietknięty, pobiegłem do sklepu Popa i Pearl, przed drzwiami którego stał tłum ludzi. Wszyscy słuchali opowieści pana Reda Fletchera - zdążyłem w samą porę.

Pan Red - mieszkał w zachodniej części miasta - przewidział nadejście tornada dzięki swemu psu, który schował się pod stół: to bardzo zły znak. Kiedy pies się schował, pan Red zaczął uważnie obserwować niebo i nie zdziwił się, kiedy gwałtownie pociemniało. Usłyszał tornado, zanim je zobaczył. Uderzyło nagle: lej grasował po jego podwórzu dopóty, dopóki nie zniszczył dwóch kurników i nie zerwał dachu z domu. Kawalek szkła zranił do krwi jego żonę, więc mieliśmy pierwszą prawdziwą ofiarę. Niektórzy słuchacze, ci najbardziej podekscytowani, chcieli pojechać na jego farmę, żeby obejrzeć zniszczenia.

- Jak wyglądał? - rzucił ktoś z tłumu.

- Lej? - odrzekł pan Red. - Był czarny jak węgiel. I dudnił jak pociąg towarowy.

Niesamowite. Nasz lej był jasnoszary, niemal biały, a jego czarny. Najwyraźniej nawiedziły nas wszystkie rodzaje tornada.

U boku pana Reda stanęła jego żona z obandażowaną ręką na temblaku, więc natychmiast na nią spojrzeliśmy. Wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Pokazała nam swoją ranę i oglądaliśmy ją, dopóki pan Red się nie zorientował, że stracił zainteresowanie słuchaczy, i podjął opowieść. Powiedział, że po jakimś czasie lej oderwał się od ziemi i powędrował dalej, a wówczas on wskoczył do samochodu i pojechał za nim. Ścigał tornado w siekącym gradzie i niemal je dopędził, gdy zawróciło.

Jego pikap był starszy od naszego i kilku słuchaczy z niedowierzaniem uniosło brwi. Szkoda, że żaden z nich nie spytał: „Red, a co byś zrobił, gdybyś je dopędził?”. Tak czy inaczej, pan Red zrezygnował z dalszego pościgu i wrócił do domu, żeby zająć się żoną. Kiedy widział tornado ostatni raz, zmierzało w kierunku miasta.

Dziadzio powiedział mi później, że pan Red kłamie nawet wtedy, kiedy prawda brzmi lepiej.

Tego popołudnia w Black Oak zaroilo się od kłamczuchów, a raczej od tych, którzy lubili przesadzać. Opowieści o tornadzie przekazywano z ust do ust, z jednego końca Main Street na drugi. Dziadzio też opowiadał, przed spółdzielnią, ale na ogół trzymał się faktów.

Dwa leje przykuwały uwagę słuchaczy do chwili, gdy pan Dutch Lamb oznajmił, że widział aż trzy! Potwierdziła to jego żona i Dziadzio wrócił do samochodu.

Nasłuchaliśmy się tyłu opowieści, że wyjeżdżając z miasta, doszedłem do wniosku, iż to prawdziwy cud, że tornado nie zabiło co najmniej tysiąca osób.

Ostatnie chmury zniknęły o zmierzchu, lecz upał nie powrócił. Po kolacji usiedliśmy na werandzie, żeby zaczekać na transmisję z meczu Kardynałów. Powietrze było czyste i lekkie: zapowiadało rychłe nadejście jesieni.

Do końca rundy pozostało sześć meczów, trzy z Redsami i trzy z Cubsami. Wszystkie mieliśmy rozgrywać na Sportsman's Park, ale ponieważ Dodgersi prowadzili siedmioma punktami, można było uznać, że sezon dobiegł końca. Stan Musial prowadził w lidze po względem średniej liczby trafień, poza tym zaliczył więcej kólek niż jakikolwiek inny gracz. Wiedzieliśmy, że nie zdobędziemy proporca, ale i tak mieliśmy najlepszego zawodnika. Harry Caray, który często przekazywał słuchaczom najświeższe plotki i ploteczki, jakby Kardynałowie mieszkali u niego w domu, powtarzał, że po wyprawie do Chicago zawodnicy z radością powrócili do St. Louis.

Musiał zaliczył jedynekę i trójkę i po dziewięciu zmianach było trzy do trzech. Mimo późnej pory nie odczuwaliśmy zmęczenia. Tornado spędziło nas z pola, a chłód przyniósł rozkoszną ulgę. Spruillowie siedzieli przy ognisku, cicho rozmawiając i ciesząc się, że mogą pobyć chwilę bez Hanka. Po kolacji często znikał.

Pod koniec dziesiątej zmiany Schoendienst z Redsów zdobył punkt i kiedy na stanowisko pałkarza wyszedł Stan Musial, kibice dosłownie oszaleli: przynajmniej tak twierdził Harry Caray, który, według Dziadzia, często obserwował jeden mecz, relacjonując zupełnie inny. Na trybunach zasiadało mniej niż dziesięć tysięcy widzów, lecz Harry robił tyle hałasu, jakby było ich co najmniej trzydzieści tysięcy. Po stu czterdziestu ośmiu meczach przemawiał do nas z takim samym entuzjazmem jak w pierwszym dniu ligi. Musiał zaliczył dwójkę, wyeliminował z gry Schoendiensta i wygraliśmy cztery do trzech.

Jeszcze przed miesiącem wiwatowalibyśmy wraz z Harrym. Ja bym wypadł na podwórze, obiegnął boisko i zaliczył ślizgiem dwójkę, tak samo jak Stan Musiał. Poszlibyśmy spać upojeni dramatycznym zwycięstwem, chociaż Dziadzio na pewno chciałby wyrzucić menedżera.

Ale teraz było inaczej. Zwycięstwo znaczyło tyle co nic: kończyła się liga, Kardynałowie zajęli trzecie miejsce, a na naszym podwórzu obozowali Spruillowie. Powoli nadchodziła jesień.

Kiedy Harry zaczął żegnać się ze słuchaczami, dziadek wyłączył radio.

- Baumholtz nie ma szans - mruknął. Frankie Baumholtz z Cubsów rywalizował z Musialem o tytuł najlepszego pałkarza i przegrywał z nim sześcioma punktami.

Tata potwierdził tę opinię cichym chrząknięciem. Dziadzio i on ekscytowali się meczem mniej niż zwykle. Tornado i fala chłodu poraziły ich niczym choroba. Kończyło się lato, a na polu było jeszcze mnóstwo bawełny. Przez siedem miesięcy mieliśmy idealną pogodę. Musiała się kiedyś zmienić.

## ROZDZIAŁ 21

Jesień trwała niecałą dobę. Nazajutrz w południe powrócił upał, bawełna wyschła, ziemia stwardniała, dlatego szybko zapomnieliśmy o miłym chłodzie i o szeleszczących pod nogami liściach. Wróciliśmy na pole: czekał nas drugi zbiór. Przy dobrej pogodzie, pod koniec jesieni mogliśmy zaliczyć i trzeci, „bożonarodzeniowy”, chociaż zbierało się wtedy tylko resztki. Do tego czasu ludzie ze wzgórz i Meksykanki już dawno będą w domu.

Przez większość dnia trzymałem się blisko Tally. Z jakiegoś powodu ostatnio mnie unikała i bardzo chciałem się dowiedzieć dlaczego. Spruillowie sposepniali. Nie śmiali się już, nie śpiewali i prawie się do siebie nie odzywali. Tego dnia Hank przyszedł do pracy późnym rankiem i zbierał tak, jakby nic mu się nie chciało. Spruillowie chyba go unikali.

Przed wieczorem powlokłem się do przyczepy z nadzieją, że będzie to już ostatnie ważenie. Za godzinę mieliśmy skończyć, więc rozglądałem się za mamą. Zamiast mamy zobaczyłem Hanka, Bo i Dale'a, którzy czekali w cieniu na tatę albo dziadka. Przywarowałem między krzewami, żeby mnie nie zauważyli.

Hank mówił jak zwykle bardzo głośno.

- Dość mam zbierania bawełny. Cholernie mnie to zmęczyło. Dlatego dużo ostatnio myślałem i wymyśliłem nowy sposób zarabiania pieniędzy. Dużych pieniędzy. Będę jeździł za lunaparkiem od miasta do miasta. Samson i jego kobitka koszą tęgi szmal, więc spokojnie zaczekam, aż skoszą naprawdę dużo. Zaczekam, popatrzę, jak wyrzuca tych kmiotków z ringu, a wieczorem, kiedy będzie zmęczony, wyłożę pięćdziesiąt dolców, wyjdę na matę, dam mu wycisk i zgram całą forszę. Wystarczy jeden numer tygodniowo: to dwa tysiące dolarów miesięcznie, dwadzieścia cztery tysiące rocznie. W żywej gotówce. Kurde, będę bogaty!

Mówił z lekką ironią w głosie, dlatego Bo i Dale pokładali się ze śmiechu. Nawet ja musiałem przyznać, że pomysł jest zabawny.

- A jeśli Samson będzie miał tego dość? - spytał Bo.

- Żartujesz? Przecież to największy zapaśnik świata, przyjechał prosto z Egiptu. Nikogo się nie boi. Kurde, przy okazji mógłbym odbić mu tę kobitkę. Ładna, nie?

- Od czasu do czasu będziesz musiał z nim przegrać - zauważył Bo. - Inaczej nie zechce z tobą walczyć.

- Pomysł z kobitką jest całkiem niezły - wtrącił Dale. - Miała ładne nogi.

- Nie tylko nogi - odrzekł Hank. - Czekaście, już wiem! Wysiudam go z roboty i zostanę

nowym Samsonem! Zapuszczę włosy, aż do tyłka, ufarbuję je na czarno, kupię sobie gacie z lamparciej skóry, zacznę mówić tak samo jak on i te ciemne wsioki pomyślą, że jestem z Egiptu. Dalila przyleci do mnie jak pszczoła do miodu!

Śmiali się głośno i zaraźliwie. Zachichotałem na myśl o Hanku, który paraduje po ringu w obcisłych szortach, próbując przekonać widzów, że jest Egipcjaninem. Ale nie, był za głupi, żeby zostać dobrym showmanem. Łamałby ludziom ręce i nogi i odstraszał przeciwników.

Nadszedł dziadek i zaczął ważyć bawełnę. Mama też przyszła i szepnęła mi na ucho, że chce wracać do domu. Nie musiała mi tego powtarzać. Szliśmy długo, niespiesznie i bez słowa, szczęśliwi, że dzień dobiegł końca.

Ktoś znowu malował nasz dom. Zauważyliśmy to z ogrodu i po bliższym zbadaniu sprawy, stwierdziliśmy, że malarz - wciąż zakładaliśmy, że to Trot - pomalował już pięć desek, a więc powierzchnię wielkości małego okna. Mama dotknęła deski palcem: farba była lepka.

- Świeża. - Zerknęła w stronę podwórza, lecz Trota jak zwykle tam nie było.

- Myślisz, że to on? - spytałem.

- Na pewno.

- Skąd ma farbę?

- Tally mu kupuje.

- Skąd mama wie?

- Pytałam pani Foley ze sklepu żelaznego. Powiedziała, że kaleki chłopiec i jego siostra kupili litr białej farby i mały pędzel. Pomyślała, że to dziwne: ludzie ze wzgórz, którzy kupują farbę.

- Ile kosztuje litr farby?

- Niedużo.

- Powie mama dziadkowi?

- Powiem.

Szybko przeszliśmy przez ogród, zbierając tylko to, co najważniejsze: pomidory, ogórki oraz dwie czerwone papryki, które wpadły jej w oko. Wkrótce mieli wrócić dziadek i tata i wprost nie mogłem się doczekać fajerwerków, które wybuchną, kiedy mama powie im, że ktoś maluje dom.

Kilka minut później zza okna dobiegły mnie szepty i odgłosy przyciszonej rozmowy. Jak zwykle wygnano mnie do kuchni i kazano kroić pomidory, czyli zastosowano taktykę, która miała na celu wyłączenie mnie z uczestnictwa w ewentualnym sporze. Babcia słuchała wiadomości, mama gotowała. Jakiś czas potem tata i Dziadzio przeszli na wschodnią stronę domu, żeby ocenić pracę Trota.

Wrócili, weszli do kuchni, usiedli, dziadek odmówił modlitwę i zaczęliśmy jeść, rozmawiając wyłącznie o pogodzie. Jeśli Dziadzio był zły, zupełnie tego nie okazywał. Może był zbyt zmęczony.

Nazajutrz rano mama zatrzymała mnie w domu i krzątała się po kuchni, dopóki się dało. Zmyła naczynia, zrobiła pranie, a potem obserwowaliśmy podwórze. Babcia już dawno poszła na pole, lecz my wciąż tkwiliśmy na posterunku.

Trot przepadł jak kamień w wodę. W każdym razie na podwórzu go nie było. Około ósmej z namiotu wygramolił się Hank: pobrzękiwał puszkami i słojami dopóty, dopóki nie znalazł kilku starych grzanek. Zjadł je, beknął i popatrzył na nasz dom, jakby zamierzał go złupić w poszukiwaniu jedzenia. Wreszcie wstał, minął silos i poczłapał na pole.

Czuwaliśmy, wyglądając przez frontowe okna. Ani śladu Trota. W końcu zrezygnowaliśmy i też poszliśmy do pracy. Trzy godziny później mama wróciła, żeby przygotować lunch i pod oknem mojego pokoju zobaczyła kilka świeżo pomalowanych desek. Trot malował, posuwając się od węgła ku tylnej ścianie domu. Pracował bardzo powoli, tylko wtedy, gdy nikt go nie widział, poza tym miał mały zasięg rąk. W tym tempie do chwili powrotu na wzgórze skończyłby połowę ściany.

Po trzech dniach spokoju i ciężkiej pracy doszło do kolejnego konfliktu. Po śniadaniu Miguel czekał na dziadka przy traktorze i od razu ruszyli razem do stodoły, gdzie kręciło się kilku Meksykanów. Była szarówka, więc cichutko potruchtałem za nimi z nadzieją, że mnie nie zobaczą i że usłyszę coś ciekawego. Na pniaku siedział Luis. Miał zwieszoną głowę i robił wrażenie chorego. Dziadek przyjrzał się uważnie jego twarzy. Meksykanin był chyba ranny.

Miguel łamaną angielszczyzną wyjaśnił, że nocą ktoś rzucał w stodołę grudami ziemi. Pierwsza trafiła w ścianę wyżek zaraz po tym, gdy się położyli. Uderzenie zabrzmiało jak wystrzał: zadygotały deski, zatrzęsała się cała stodoła. Kilkanaście sekund później w ścianę huknęła druga gruda, potem trzecia. Po dziesięciu minutach ciszy uznali, że to chyba koniec i wtedy grzmotnęła kolejna gruda: ta trafiła w blaszany dach tuż nad ich głowami. Byli źli i przerażeni, nie mogli spać. Przez szpary między deskami obserwowali pole za stodołą. Ich prześladowca, niewidoczny w mroku nocy, ukrywał się jak tchórz między krzewami bawełny.

Luis ostrożnie uchylił drzwiczki, żeby lepiej widzieć, i właśnie wtedy oberwał w twarz kamieniem z drogi przed domem. Napastnik musiał zachować go specjalnie na tę okazję, na celny rzut w któregoś z Meksykanów. Grudy ziemi robiły tylko dużo hałasu, ale kamień mógł zabić.

Poharatany i złamany nos Luisa napuchł tak bardzo, że był dwa razy większy niż

normalnie. Dziadzio krzyknął do taty, żeby ten natychmiast sprowadził babcię.

Tymczasem Miguel mówił dalej. Kiedy tylko opatrzyli Luisa i wygodnie go ułożyli, bombardowanie rozpoczęło się od nowa. Mniej więcej co dziesięć minut, kiedy już-już mieli zasnąć, z ciemności nadlatywały kolejne pociski. Tak, wyglądali przez szpary w deskach, ale nikogo nie dostrzegli. Było za ciemno. W końcu napastnik zmęczył się zabawą i odszedł. Tej nocy większość z nich spała bardzo niespokojnym snem.

Nadeszła babcia i wzięła sprawy w swoje ręce. Dziadzio stał z boku, cicho klnąc. Stałem wobec dramatycznego wyboru: czy patrzeć, jak babcia eksperymentuje na Luisie, czy słuchać, jak dziadek daje upust złości?

Poszedłem za dziadkiem. Ruszył do traktora i mruknął do taty coś, czego nie zrozumiałem. Potem odwrócił się gwałtownie w stronę przyczepy, na której czekali rozespani Spruillowie.

- Gdzie Hank? - warknął.
- Chyba śpi - odparł pan Spruill.
- Będzie dzisiaj pracował? - spytał ostro Dziadzio.
- Sam go pan spytaj. - Spruill wstał.

Dziadek podszedł krok bliżej.

- Meksykanie nie mogli spać, bo ktoś rzucał w stodołę grudami ziemi. Wie pan może kto?

Tata, człowiek o wiele spokojniejszy i bardziej opanowany, stanął między nimi.

- Nie - odrzekł Spruill. - Oskarża pan kogoś?

- Nie wiem. Wszyscy ciężko pracują. Wieczorem lecą z nóg i twardo zasypiają. Wszyscy oprócz Hanka. Tylko on ma dużo czasu. Poza tym taka głupota do niego pasuje.

Nie podobał mi się ten jawny konflikt ze Spruillami. Mieli dość Hanka tak samo jak my, ale byli jego rodziną. No i pochodzili ze wzgórz: gdyby się rozgniewali, natychmiast spakowaliby manatki. Czułem, że jeszcze trochę, i dziadek powie coś, czego potem będzie żałował.

- Porozmawiam z nim - odrzekł pan Spruill nieco łagodniejszym głosem, jakby wiedział, że to syn jest winowajcą. Spuścił głowę i zerknął na żonę. Hank zalażał im wszystkim za skórę i nie zamierzali go bronić.

- Jedźmy - rzucił tata.

Spruillowie chcieli zakończyć tę potyczkę. Spojrzałem na Tally, ale ona patrzyła w drugą stronę. Pograżona w myślach, nie zwracała uwagi ani na mnie, ani na nikogo innego. Dziadzio usiadł za kierownicą i pojechaliśmy na pole.

Luis przeleżał na ganku cały ranek, z woreczkiem lodu na twarzy. Babcia wielokrotnie próbowała zmusić go do zażycia lekarstw, ale Meksykanin twardo odmawiał. W południe miał dość amerykańskich metod leczenia i nie zważając na złamany nos, postanowił wrócić na pole.

Wydajność Hanka spadła z prawie stu osiemdziesięciu dwóch do ledwie dziewięćdziesięciu kilogramów dziennie i Dziadzio kipiał gniewem. W miarę upływu czasu sytuacja się zaostrzała i widziałem, że dorośli coraz częściej szepczą między sobą na ten temat. Dziadek nigdy nie miał na zbyciu dwustu pięćdziesięciu dolarów.

- Ile dzisiaj zebrał? - spytał taty przy kolacji. Właśnie odmówiliśmy modlitwę i nakładaliśmy jedzenie na talerze.

- Dziewięćdziesiąt sześć kilo.

Zdenerwowana mama zamknęła oczy. Uważała, że kolacja powinna być okazją do spokojnej, rodzinnej rozmowy. Nie znosiła sporów, nie przy posiłkach. Owszem, ploteczki czy pogawędki o znajomych czy nawet o ludziach, których nie znaliśmy, były dopuszczalne, w przeciwieństwie do swarów i kłótni. Kłótnie źle wpływały na trawienie.

- Mam ochotę pojechać jutro do miasta i powiedzieć Stickowi, żeby go aresztował - powiedział dziadek, wymachując widelcem.

Wiedzieliśmy, że tego nie zrobi. On też wiedział. Gdyby Stick Powers zdołał zakuć Hanka w kajdanki i wepchnąć go do radiowozu - nawiasem mówiąc, bardzo chciałbym zobaczyć, jak to robi - pozostali Spruillowie natychmiast spakowaliby się i odjechali. Dziadek nie naraziłby się na straty przez takiego idiotę jak on. Musieliśmy zacisnąć zęby i jakoś go znosić. Pozostawała nam jedynie nadzieja, że Hank nikogo nie zabije i że nikt nie zabije jego. Już za kilka krótkich tygodni zbiór bawełny miał dobiec końca, a wówczas Spruill po prostu wyjedzie.

- Nie wiadomo, czy to on - zauważyła babcia. - Nikt nie widział, jak rzucał.

- Niektórych rzeczy nie trzeba widzieć - odparował Dziadzio. - Trota też nie widzieliśmy, mimo to uznaliśmy, że to on maluje nasz dom. Mam rację?

- Luke - wtrąciła mama z idealnym wyczuciem chwili. - Z kim grają Kardynałowie? - Była to jej klasyczna odzywka, w ten sposób dawała nam do zrozumienia, że chciałaby zjeść posiłek w spokoju.

- Z Cubsami - odrzekłem.

- Ile meczów im zostało?

- Tylko trzy.

- Musiał nadal prowadzić?

- Sześcioma punktami. On ma trzysta trzydzieści sześć, a Baumholtz trzysta trzydzieści. Nie dogoni go.

W tym momencie tata zawsze przychodził mamie z pomocą i kierował rozmowę na lżejsze tematy. Odchrząknął i rzekł:

- W sobotę spotkałem Lou Jeffcoata; zapomniałem wam powiedzieć. Podobno metodyści mają nowego miotacza. Wystawią go w niedzielę.

- Łże - mruknął dziadek, który zdążył już nieco ochłonąć. - Mówią tak co roku.

- Po co im nowy miotacz? - spytała babcia z leciutkim uśmiechem w kącikach ust i myślałem, że mama parsknie śmiechem.

W niedzielę organizowano jesienny piknik, wspinała imprezę dla wszystkich mieszkańców Black Oak. Po nabożeństwie - zazwyczaj bardzo długim, przynajmniej dla nas, baptystów - spotykaliśmy się w szkole, gdzie przychodzili też metodyści. Na rozstawionych w cieniu drzew stołach panie ustawiały półmiski z jedzeniem, którym można by wykarmić całe Arkansas, i po długim lunchu panowie rozgrywali mecz.

Nie był to mecz zwykły, gdyż grali o prawo do przechwałek. Zwycięzcy szydzili z pokonanych przez cały rok. Nawet w środku zimy słyszałem, jak siedzący w herbaciarni mężczyźni rozmawiają o jesiennym meczu.

Od czterech lat regularnie wygrywali metodyści, mimo to co roku rozpuszczali plotkę o nowym miotaczu.

- A kto będzie narzucał dla nas? - spytał tata. Trenerem baptystów był Dziadzio, chociaż po czterech porażkach ludzie zaczęli na niego narzekać.

- Riddley - odrzekł bez wahania dziadek. Rozmyślał o meczu przez cały rok.

- Riddley? - powtórzyłem. - Nawet ja dam radę odbić jego piłkę.

- Tak? - warknął Dziadzio. - Jeśli nie on, to kto? Masz jakiś pomysł?

- Mam.

- To mów. Umieram z ciekawości.

- Niech dziadek wystawi Kowboja. - Wszyscy się uśmiechnęli. Co za cudowny pomysł.

Niestety, Meksykanie nie mogli grać. Ani Meksykanie, ani ludzie ze wzgórz. W skład drużyn wchodziło tylko oficjalnie zatwierdzeni członkowie Kościoła metodystów i baptystów. Ani pracownicy najemni, ani krewni z Jonesboro, ani żadni inni grać nie mieli prawa. Zasad było tyle, że gdyby je spisać, regulamin byłby grubszy od Biblii. Sędziów sprowadzano z Monette; płacono im pięć dolarów, no i mogli się przy okazji najeść. Nie mogło być wśród nich znajomych, ale po ubiegłorocznej porażce krążyły plotki - przynajmniej wśród nas, baptystów - że sędziowie byli albo metodystami, albo mężami metodystek.

- Dobrze by było - rozmarzył się tata, myśląc o Kowboju, który roznosi w pył naszych przeciwników. Jeden strajk za drugim. Szybkie podkręcone, które nadlatują ze wszystkich stron.

Ponieważ rozmowa zbiegła na przyjemniejsze tematy, mama i babcia wzięły sprawy w swoje ręce. Baseball poszedł w kąć i zaczęły rozmawiać o pikniku: o jedzeniu, o tym, w jakich sukniach wystąpią metodystki, i tak dalej. Zjedliśmy w spokoju i jak zwykle wyszliśmy na werandę.

Postanowiłem napisać do Ricky'ego i powiedzieć mu o Libby Latcher. Byłem pewien, że żadne z dorosłych tego nie zrobi, gdyż za bardzo zależało im na zachowaniu sprawy w tajemnicy. A przecież Ricky musiał wiedzieć, o co go oskarżano. I musiał się jakoś do tego ustosunkować. Gdyby wiedział o dziecku, może załatwiłby sobie przeniesienie do kraju. Im szybciej, tym lepiej. Latcherowie trzymali język za zębami, nic nikomu nie mówili, ale w Black Oak sekrety szybko przestawały być sekretami.

Przed wyjazdem do Korei Ricky opowiadał mi o swoim kumplu z Teksasu, którego poznał na obozie dla rekrutów. Chłopak miał dopiero osiemnaście lat, ale był już żonaty, a jego żona spodziewała się dziecka. Wojsko wysłało go do Kalifornii - przekładał tam papierki, żeby go nie zabili - wykorzystując tak zwane okoliczności wyjątkowe. Przed narodzinami dziecka miał wrócić do Teksasu.

Okoliczności wyjątkowe obejmowały teraz i Ricky'ego, z tym że Ricky o tym nie wiedział. I to właśnie ja zamierzałem mu o tym donieść. Uciekłem z werandy, wymawiając się zmęczeniem i poszedłem do jego pokoju, gdzie przechowywałem blok papieru listowego. Zniosłem go do kuchni - nad stołem było lepsze światło - i zacząłem powoli pisać, jak zwykle dużymi, drukowanymi literami.

Napisałem trochę o baseballu, o sytuacji w lidze, o lunaparku, o Samsonie i o trąbach powietrznych, które nawiedziły nas na początku tygodnia. Ponieważ nie miałem czasu ani nerwów, żeby wspominać o Hanku, od razu przeszedłem do rzeczy. Napisałem, że Libby Latcher urodziła dziecko, ale nie przyznałem się, że byłem wtedy w pobliżu.

Do kuchni weszła mama i spytała, co robię.

- Piszę do Ricky'ego - odrzekłem.

- Bardzo ładnie. Pora spać.

- Tak, mam. - Zapisałem całą stronę i byłem z siebie dumny. Postanowiłem, że nazajutrz napiszę kolejną. A potem może jeszcze jedną. Że będzie to najdłuższy list, jaki Ricky kiedykolwiek otrzymał.



## ROZDZIAŁ 22

Dochodziłem do końca długiego rzędu krzewów bawełny i znajdowałem się niedaleko gęstych zarośli nad strumieniem, gdy wtem usłyszałem czyjeś głosy. W tym miejscu krzewy były wyjątkowo wysokie i ginałem w nich jak w dżungli. Worek miałem wypełniony tylko do połowy i marzyłem o popołudniu w mieście, a zwłaszcza o kinie z butelką coli i torebką prażonej kukurydzy w ręku. Słońce stało niemal dokładnie nad głową; dochodziła dwunasta. Zamierzałem dojść do końca rzędu, zawrócić, ruszyć z powrotem w stronę przyczepy i pracując w pocie czoła, wzorowo zakończyć dzień.

Kiedy usłyszałem te głosy, przypadłem na jedno kolano i cichutko usiadłem. Przez długi czas panowała cisza i już myślałem, że mi się przesłyszało, gdy wtem zza zbitej ściany łodyg dobiegł mnie głos dziewczyny. Była gdzieś po prawej stronie, ale nie wiedziałem, jak daleko.

Powolutku wstałem, ostrożnie wyjrzałem zza krzewów, lecz niczego nie zobaczyłem. Ponownie przykucnąłem i porzuciwszy worek, zacząłem czołgać się ku końcowi rzędu. Pełzałem, zastygłem bez ruchu, znowu pełzałem i znowu zastygłem bez ruchu, dopóki nie usłyszałem jej ponownie. Była kilka rzędów dalej, ukrywała się w bawełnie. Zamarłem, jakiś czas leżałem zupełnie nieruchomo i nagle dobiegł mnie jej śmiech, cichy śmiech, stłumiony przez gęste krzewy. I już wiedziałem, że to Tally.

Przez kilkanaście sekund kiwałem się na czworakach, próbując sobie wyobrazić, co tam robi, i zastanawiając się, dlaczego uciekła tak daleko od przyczepy. Wtedy usłyszałem drugi głos: głos mężczyzny. Postanowiłem podejść bliżej.

Znalazłem dużą szparę między krzakami i pierwszy rząd pokonałem bezszelestnie. Nie było wiatru, dlatego musiałem zachować szczególną ostrożność i być bardzo cierpliwy. Pokonałem drugi rząd i wyteżyłem słuch.

Długo milczeli i już zaczynałem się martwić, że mnie usłyszeli. Potem ona zachichotała, on coś powiedział i zaczęli rozmawiać, ale tak cicho, że prawie nic nie słyszałem. Wyciągnąłem się na brzuchu, żeby ocenić sytuację z miejsca, gdzie łodygi były najgrubsze i gdzie nie było ani liści, ani bawełnianych kulek. Z tej pozycji widziałem, co działo się kilka rzędów dalej i dostrzegłem nawet coś, co mogło być włosami Tally. Doszedłem do wniosku, że podszedłem wystarczająco blisko.

W pobliżu nikt nie pracował. Pozostali - Spruillowie i Chandlerowie - przebijali się w

kierunku przyczepy, a Meksykanie byli tak daleko, że widziałem tylko czubki ich słomkowych kapeluszy.

Chociaż leżałem w cieniu, pocilem się jak mysz. Serce waliło jak młotem, zaschło mi w ustach. Tally ukrywała się w gęstwinie z mężczyzną i robiła coś złego, bo gdyby nie robiła, to po co by się ukrywała? Chciałem ich jakoś powstrzymać, ale nie miałem prawa. Byłem tylko małym dzieckiem, szpiegiem, który ich nachodził. Przeszło mi przez myśl, żeby się wycofać, ale powstrzymywały mnie ich głosy.

To był wodny mokasyn, tak zwana bawełnianka, jeden z wielu węży spotykanych w Arkansas. Mieszkały nad strumieniami i rzekami i czasami wychodziły na ląd, żeby się pożywić i wygrzać na słońcu. Podczas każdej wiosennej orki widzieliśmy, jak wylażą spod pługa czy spod talerzy brony. Były krótkie, czarne, grube, agresywne i jadowite. Ich ukąszenia rzadko kiedy kończyły się śmiercią, ale słyszałem też, że od ich jadu ludzie umierali w straszliwych męczarniach.

Jeśli się jakiegoś zobaczyło, zabijało się go kijem, motyką, czymkolwiek, co wpadło do ręki. Nie były tak szybkie jak grzechotniki, nie potrafiły też atakować z dużej odległości, były jednak złośliwe i ogólnie mówiąc, paskudne.

Ten, który pełznął między krzewami prosto na mnie, znajdował się niecałe półtora metra dalej. Znalazłem się oko w oko z mokasynem. Byłem tak bardzo zajęty Tally i tym, co tam robiła, że zapomniałem o bożym świecie. Wykrzyknąłem coś śmiertelnie przerażony, błyskawicznie wstałem, jednym susem przedarłem się przez najbliższy rząd krzewów, a potem przez następny.

Mężczyzna coś powiedział - tak głośno, że wyraźnie go słyszałem - ale bardziej bałem się węża niż jego. Padłem na ziemię, chwyciłem worek, zarzuciłem go sobie na plecy i poczołgałem się w kierunku przyczepy. Upewniwszy się, że mokasyn został daleko w tyle, znieruchomiałem i wytrzymałem słuch. Nic. Cisza. Nikt mnie nie ścigał.

Powoli wstałem i wyciągnąłem szyję. Po prawej stronie, kilka rzędów dalej, zobaczyłem Tally: w przekrzywionym na bok kapeluszu, z workiem na ramieniu, jakby nigdy nic zbierała bawełnę.

A po stronie lewej dostrzegłem przemykającego jak złodziej... Kowboja.

W sobotnie popołudnia Dziadzio zawsze znajdował jakiś pretekst, żeby opóźnić nasz wyjazd do miasta. Kończyliśmy jeść lunch, szedłem się kąpać, a kiedy już wycierpiawszy te poniżające męki, byłem czysty i gotowy do drogi, dziadek wynajdował sobie coś do roboty, żebyśmy musieli na niego czekać. Nagle psuł się traktor, co wymagało jego natychmiastowej

interwencji. Krzątał się wokoło ze starymi narzędziami w rękę, mruczając, że musi go koniecznie naprawić i kupić w mieście zapasowe części. Albo silnik pikapu pracował nierówno: sobotnie popołudnie było najlepszą porą, żeby go wreszcie wyregulować. Często - ale zawsze w sobotę - szwankowała też pompa na podwórzu. Bywało, że siadał przy kuchennym stole, żeby wypełnić jakieś dokumenty, bez których - jak twierdził - nie można było prowadzić farmy.

W końcu, kiedy wszyscy się już porządnie wściekli, brał długą kąpiel i wreszcie wyruszaliśmy.

Mama bardzo chciała zobaczyć nowego mieszkańca naszego hrabstwa - nie szkodzi, że Latchera - więc podczas gdy Dziadzio buszował w szopie z narzędziami, załadowaliśmy do pikapu cztery pudła warzyw i pojechaliśmy za rzekę. Tata zrobił unik i został. Ponieważ domniemany ojciec dziecka był jego bratem, tato stał się automatycznie domniemanym wujkiem nowego Latcheratka, z czym nie mógł się po prostu pogodzić, przynajmniej na razie. Poza tym czułem, że nie ma specjalnej ochoty na kolejne spotkanie z panem Latcherem.

Mama prowadziła, ja się modliłem i bezpiecznie przejechaliśmy przez most. Na drugim brzegu rzeki stanęliśmy: mama dodała za mało gazu, silnik zadławił się i zdechł. Kiedy brała głęboki oddech, doszedłem do wniosku, że teraz albo nigdy.

- Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

- Nie możesz później? - spytała, wyciągając rękę w stronę kluczyka.

- Nie, teraz.

Siedzieliśmy w rozgrzanym samochodzie stojącym tuż za mostem, na wąskiej, pustej drodze, przy której nie było ani jednego domu. Uznałem, że to idealne miejsce na poważną rozmowę.

- No dobrze. - Skrzyżowała ręce na piersiach, jakby z góry założyła, że zrobiłem coś strasznego. - Mów.

Miałem tyle tajemnic. Hank i Siscowie. Tally nad strumieniem. Narodziny dziecka Libby. Ale te tajemnice chwilowo odłożyłem na półkę. Potrafiłem trzymać język za zębami jak nikt inny - zdążyłem się tego nauczyć. Jednakże tajemnicą z bawełnianego pola musiałem podzielić się z mamą.

- Myślę, że Tally i Kowboj się lubią - powiedziałem i od razu mi ulżyło.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem, jakbym, będąc dzieckiem, mało wiedział o życiu. Myślała chwilę i nagle przestała się uśmiechać. Może też wiedziała o ich potajemnym romansie.

- Tak.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dziś rano przyłapałem ich na polu.

- Co robili? - spytała lekko przestraszona, że widziałem coś, czego nie powinienem był oglądać.

- Nie wiem, ale byli razem.

- Widziałeś ich?

Opowiedziałem jej wszystko po kolei: o głosach, o wężu i o mojej ucieczce. Nie pominąłem absolutnie niczego i, o dziwo, niczego nie upiększyłem. No, może dodałem wężowi kilkanaście centymetrów długości, ale poza tym trzymałem się faktów.

Mama słuchała z uwagą i ze szczerym zdumieniem.

- Co oni tam robili? - spytałem.

- Nie wiem. Ale nic nie widziałeś, tak?

- Nic. Myśli mama, że się całowali?

- Prawdopodobnie - odrzekła szybko i ponownie wyciągnęła rękę w stronę stacyjki. - Porozmawiam o tym z tatą.

Pospiesznie odjechaliśmy. Przez kilka minut naprawdę nie wiedziałem, czy czuję się lepiej, czy gorzej. Tyle razy mi powtarzała, że mali chłopcy nie powinni mieć tajemnic przed swoimi mamami, ale ilekroć z czegoś się jej zwierzałem, szybko mnie zbywała i opowiadała o tym tacie. Nie jestem pewien, czy szczerowość przynosiła mi jakieś korzyści. Cóż, nic więcej nie mogłem zrobić. Teraz o Tally i Kowboju wiedzieli już dorośli. Ja miałem sprawę z głowy.

Latcherowie zbierali bawełnę blisko domu, więc zanim dojechaliśmy na podwórze, mieliśmy już publiczność. Z chaty wyszła pani Latcher. Uśmiechnęła się słabo i pomogła nam zanieść warzywa na ganek.

- Pewnie chce pani zobaczyć dziecko - powiedziała cicho do mamy.

Ja też chciałem, ale nie miałem na to szans. One weszły do domu, ja znalazłem sobie miejsce pod drzewem. Chciałem usiąść i nikomu nie wadząc, spokojnie poczekać na mamę. Nie miałem ochoty oglądać Latcherów. Na myśl, że najprawdopodobniej zostaliśmy krewniakami, robiło mi się niedobrze.

Zza pikapu wyszło ich trzech: trzech chłopców z Percym na czele. Dwaj pozostali byli młodszy i mniejszy, ale równie chudzy i żyłaści jak on. Podeszli do mnie bez słowa.

- Cześć, Percy - powiedziałem, próbując zachować pozory grzeczności.

- Co tu robisz? - warknął. Stał w środku, między braćmi, a wszyscy ustawili się szeregiem dokładnie naprzeciwko mnie.

- Mama mnie przywiozła - odparłem.

- Nie masz tu nic do roboty - syknął Percy tak groźnie, że chciałem się cofnąć; szczerze

mówiąc, chętnie wziąłbym nogi za pas.

- Czekam na mamę - odrzekłem.

- Spuścimy ci manto - oznajmił i wszyscy trzej zacisnęli pięści.

- Dlaczego? - wykrztusiłem.

- Bo jesteś Chandler, a twój Ricky zrobił Libby dziecko.

- To nie moja wina.

- Wszystko jedno. - Najmniejszy z nich robił wrażenie najbardziej zacieklego. Łypał na mnie spode łba, wykrzywił usta, warczał i założyłem, że to właśnie on zada pierwszy cios.

- Trzech na jednego to nie fair - powiedziałem.

- To, co Ricky zrobił Libby, też było nie fair - odrzekł Percy i ze zwinnością kota grzmotnął mnie w brzuch. Nawet koń nie kopnąłby mocniej: krzyknąłem z bólu i upadłem.

Biłem się kilka razy w szkole; były to najczęściej drobne przepychanki na boisku, skutecznie neutralizowane przez nauczycieli, zanim padły pierwsze silniejsze ciosy. Od pani Emmy Enos, nauczycielki trzeciej klasy, dostałem trzy razy w pupę za to, że pobitem się z Joeyem Stallcupem: Dziadzio był ze mnie dumny jak nigdy. Ricky też mnie nie oszczędzał; mocowałem się z nim, boksowałem, i tak dalej. Tak więc przemoc nie była mi obca. Dziadek uwielbiał burdy i padając, pomyślałem właśnie o nim. Ktoś mnie kopnął: chwyciłem go za nogę i natychmiast zważyło się na mnie trzech małych wojowników, którzy tłukli mnie, drapali i klęli. Złapałem za włosy średniego i gdy dwaj pozostali grzmocili mnie w plecy, próbowałem urwać mu głowę. Wtedy Percy przyłożył mi paskudnie w nos. Na sekundę oślepiłem, tamci wrzasnęli jak stado dzikich bestii i ponownie przygnietli mnie do ziemi.

Z ganku dobiegł mnie krzyk. Najwyższa pora, pomyślałem. Pierwsza nadbiegła pani Latcher i zaczęła wyciągać synów z kłębu ciał, głośno ich wyzywając. Ponieważ leżałem na samym spodzie, wstałem jako ostatni. Przerażona mama wytrzeszczyła oczy. Moje czyściutkie ubranie było uwalane ziemią. Z nosa ciekła mi ciepła krew.

- Luke, nic ci się nie stało? - spytała, chwytając mnie za ramiona.

Łzawiły mi oczy, zaczynał boleć nos. Kiwnąłem głową. A skąd, wszystko w porządku.

- Przynieś kij! - wrzasnęła do Percy'ego pani Latcher, ciągnąc za uszy jego młodszych braci. - Co to znaczy? Bić takiego małego chłopca? Nic wam nie zrobił!

Krew ciekła coraz bardziej i z policzka spływała na koszulę. Mama kazała mi się położyć i odchylić do tyłu głowę, tymczasem Percy przyniósł kij.

- Chcę, żebyś to widział - rzuciła pani Latcher w moją stronę.

- Nie, Darlo - odrzekła mama. - Już jedziemy.

- Nie. On musi to zobaczyć - powtórzyła pani Latcher. - Pochyl się, Percy.

- Nie - wysapał przerażony chłopiec.

- Pochyl się albo zawołam ojca. Nauczę was dobrych manier. Żeby pobić małego chłopca, naszego gościa.

- Nie - szepnął Percy, a wówczas pani Latcher zdzieliła go kijem w głowę. Percy przeraźliwie wrzasnął, a wtedy ona grzmotnęła go w ucho.

Kazała mu się pochylić i chwycić za kostki u nóg.

- Wyprostujesz się, to będę tłukła cię przez cały tydzień! - zagroziła. Percy rozplakał się, zanim rozpoczęła egzekucję. Byliśmy z mamą zdumieni jej gniewem i brutalnością. Po ośmiu czy dziewięciu uderzeniach chłopak głośno zaskowyczał.

- Zamknij się! - wrzasnęła.

Ręce i nogi miała cienkie jak patyczki, lecz fizyczną wåtłość nadrabiała zwinnością i szybkością. Jej ciosy siekły niczym kule z karabinu maszynowego, a kij trzaskał jak bat. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści razów.

- Przestań, mamó! - zawył Percy. - Przepraszam!

Ale ona nie przestała i tłukła go dalej, przekraczając wszelkie granice kary. Kiedy się wreszcie zmęczyła, pchnęła go mocno na ziemię i Percy zwinął się w kłębek, głośno szlochając. Pozostali dwaj napastnicy też już płakali. Złapała za włosy tego średniego, Rayforda, i wysyczała:

- Pochyl się. - Rayford chwycił się za kostki i jakoś zniósł serię uderzeń.

- Chodźmy - szepnęła mama. - Połóżysz się. - Pomogła mi wejść na skrzynię pikapu.

Tymczasem pani Latcher ciągnęła za włosy trzeciego napastnika. Percy i Rayford, ofiary bitwy, którą sami rozpoczęli, leżeli na ziemi. Mama usiadła za kierownicą, zawróciliśmy i odjechaliśmy w chwili, kiedy pani Latcher zaczynała bić tego najmłodszego. Doszedł mnie głośny krzyk, więc usiadłem i zobaczyłem, że z za domu wypada jej mąż na czele stadka dzieci. Wrzasnął na żonę, ale ona go nie słuchała, a wówczas pan Latcher podbiegł bliżej i chwycił ją za rękę. Otoczyło ich kłębowisko dzieci. Wszystkie albo krzyczały, albo płakały.

Spod kół buchnął kurz i straciłem ich z oczu. Położyłem się wygodniej, modląc się, żeby moja noga nigdy więcej nie postała na ich farmie. I żebym do końca życia żadnego z nich nie oglądał. Długo i żarliwie modliłem się też o to, żeby do nikogo nie dotarły plotki o naszym ewentualnym pokrewieństwie.

Powrót do domu był moim triumfem. Spruillowie zdążyli się już umyć i siedzieli pod drzewem, pijąc mrożoną herbatę z dziadkiem, babcią i tatą. Zatrzymaliśmy się niecałe sześć metrów od nich. Wstałem najdramatyczniej, jak tylko umiałem, by z satysfakcją spostrzec, że mój widok mocno nimi wstrząsnął. Oto stałem przed nimi pokiereszowany, zakrwawiony i w

porwanym ubraniu, ale stałem, utrzymywałem się na nogach.

Zeskoczyłem na ziemię i wszyscy mnie otoczyli.

- Nie uwierzycie! - powiedziała wzburzona mama. - Trzech Latcherów napadło na Luke'a! Percy i jeszcze dwóch; byłem wtedy w domu, z ich matką. Mali bandyci! My ich dokarmiamy, a oni tak nam się odwdzięczają!

Tally też była poruszona i chyba chciała mnie dotknąć, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyję.

- Trzech? - powtórzył Dziadzio z radosnym błyskiem w oku.

- Tak. W dodatku byli od niego więksi - odrzekła mama, dając początek nowej legendzie. Wiedziałem, że w miarę upływu czasu wielkość napastników będzie rosnać i rosnać.

Babcia uważnie obejrzała moją twarz i lekko rozcięty nos.

- Może być złamany - powiedziała, a mnie przeszedł miły dreszczyk, chociaż nie chciałem bynajmniej, żeby mnie leczyła.

- Chyba nie uciekłeś, co? - spytał dziadek. On też podszedł bliżej.

- Nie, dziadku - odrzekłem z dumą. Gdybym tylko mógł, zwałbym stamtąd gdzie pieprz rośnie.

- Nie, nie uciekł - oświadczyła stanowczo mama. - Kopał ich i drapał tak samo jak oni jego.

Dziadzio rozpromienił się, tata się uśmiechnął.

- Pojedziemy tam jutro i pokażemy im, gdzie raki zimują - obiecał Dziadzio.

- Wykluczone - odrzekła mama. Dziadek uwielbiał burdy i bardzo ją to irytowało. Cóż, wychowywała się z samymi dziewczynami. Nie rozumiała, co znaczy prawdziwa walka.

- Przyłożyłeś któremuś? - spytał Dziadzio.

- Kiedy odjeżdżaliśmy, wszyscy płakali - odrzekłem.

Mama przewróciła oczami.

Wyrósł przede mną Hank. On też się pochylił, żeby obejrzeć mój nos.

- A więc powiadasz, że było ich trzech? - burknął.

- Tak, proszę pana.

- Bardzo dobrze. Zaprawiasz się.

- Tak, proszę pana.

- Jeśli chcesz, nauczę cię paru sztuczek - dodał z uśmiechem. - Przydadzą się w walce trzech na jednego.

- Chodźmy się umyć - powiedziała mama.

- Chyba jednak jest złamany - wymruczała babcia.

- Dobrze się czujesz, Luke? - spytała Tally.

- Jasne - odparłem głosem starego zabijaki.

Do domu podążałem jak zwycięski wódz.

## ROZDZIAŁ 23

Jesienny piknik zawsze organizowano w ostatnią niedzielę września, chociaż nikt nie wiedział dlaczego. To była po prostu tradycja, rytuał zakorzeniony w historii Black Oak tak samo jak przyjazd lunaparku czy wiosenne nabożeństwa poświęcone odnowie religijnej. Myślę, że miało to coś wspólnego z nadejściem nowej pory roku, z początkiem i zakończeniem zbiorów i z końcem sezonu baseballowego. Nie wiem, czy wszystkie te sprawy udawało się załatwić jednym piknikiem, ale przynajmniej próbowaliśmy.

Dzień ten spędzaliśmy z metodystami, naszymi przyjaciółmi i zaprzyjaźnionymi rywalami. Black Oak było za małe na jakiegokolwiek podziały. Nie mieszkały u nas żadne grupy etniczne, ani czarni, ani Żydzi, ani Azjaci, ani nikt taki. Wszyscy byliśmy pochodzenia anglo-irlandzkiego - może z niewielką domieszką krwi niemieckiej - wszyscy albo uprawialiśmy ziemię, albo czymś handlowaliśmy. No i wszyscy byliśmy chrześcijanami, a przynajmniej tak twierdziliśmy. Kłótnie wybuchały tylko wtedy, kiedy kibic Cubsów powiedział coś nieopatrznie w herbaciarni albo kiedy jakiś idiota oświadczył, że traktor Johna Deere jest gorszy od traktora innej marki. Zazwyczaj jednak w mieście było cicho i spokojnie. Starsi chłopcy i młodzi mężczyźni lubili tłuc się za spółdzielnią, zwłaszcza w soboty, lecz robili to głównie ot tak, dla sportu. Masakra, jaką urządził Sisco Hank Spruill, była czymś tak rzadkim, że mówiono o niej do tej pory.

Urażeń chowano przez całe życie - Dziadzio chował ich chyba najwięcej - ale prawdziwych wrogów nikt nie miał. Istniał wyraźny podział społeczny, z połownikami na samym dole i z kupcami na samej górze, i wszyscy musieli znać swoje miejsce. Jakoś się żyło.

Linia podziału między baptystami i metodystami nigdy nie była prosta i wyraźna. Ich obrządek różnił się trochę od naszego, a największym odstępstwem od Pisma Świętego - przynajmniej naszym zdaniem - było to, że podczas chrztu spryskiwali dzieci wodą. No i znacznie rzadziej chodzili do kościoła, co oczywiście oznaczało, że nie traktują swej wiary tak poważnie jak my. Nikt nie chodził do kościoła tak często jak baptysty. Byliśmy dumni, że ciągle się modlimy. Pearl Watson, moja ulubiona metodystka, mówiła, że chciałaby zostać baptystką, ale nie ma na to siły.

Ricky wyznał mi kiedyś w zaufaniu, że jak wyjedzie do miasta, to przejdzie na katolicyzm, bo katolicy chodzą do kościoła tylko raz w tygodniu. Nic nie wiedziałem o katolikach, więc próbował mi coś tłumaczyć, ale z teologii był bardzo słaby.

Tego niedzielnego ranka mama i babcia poświęciły masę czasu na prasowanie ubrań. No i oczywiście wykąpano mnie i wyszorowano dokładniej niż zwykle. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że nos wcale nie jest złamany. Nawet nie spuchł, a ranka była ledwo widoczna.

Musieliśmy wyglądać elegancko, zwłaszcza panie, ponieważ metodystki miały zawsze trochę ładniejsze suknie. Mimo porannego zamieszania byłem bardzo podekscytowany i nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie pojedziemy do miasta.

Zaprosiliśmy Spruillów. Tak nakazywała przyjaźń i chrześcijańska troska o bliźniego, chociaż wolałbym zaprosić tylko niektórych. Na przykład Tally; pozostali mogliby zostać na podwórzu, miałem to gdzieś. Ale kiedy po śniadaniu wyjrzałem przez okno, zobaczyłem, że nic się u nich nie dzieje. Ciężarówka wciąż stała w plątaninie sznurów, linek i drutów podtrzymujących zadaszenie.

- Spruillowie nie jadą - zameldowałem dziadkowi, który właśnie przygotowywał lekcję do szkółki niedzielnej.

- To dobrze - odrzekł spokojnie.

Myśl, że Hank miałyby krążyć między stołami, obżerać się naszym jedzeniem i szukać zaczepki, nie należała do przyjemnych.

Meksykanie po prostu nie mieli wyboru. Na początku tygodnia mama przekazała zaproszenie Miguelowi i kilkakrotnie je ponawiała. Tata wyjaśnił mu, że nabożeństwo będzie tłumaczone na hiszpański, specjalnie dla nich, i że potem będzie kupa jedzenia. Zresztą w niedzielne popołudnie i tak nie mieli nic do roboty.

Do pikapu wsiadło dziewięciu. Brakowało tylko Kowboja i moja wyobraźnia zapłonęła. Gdzie był i co robił? Gdzie była Tally? Na podwórzu jej nie widziałem. Serce zamarło mi na myśl, że znowu poszli na pole, że się schowali i robią coś, co mają ochotę robić. Że zamiast jechać z nami do kościoła, Tally wymknęła się i grzeszy. A jeśli poszła wykąpać się w strumieniu i zamiast mnie zabrała ze sobą Kowboja? Ta myśl nie dawała mi spokoju przez całą drogę do miasta.

Brat Akers podszedł do kazalnicy z uśmiechem na ustach, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. Kościół pękał w szwach; wszystkie ławki były zajęte i ludzie musieli stać pod ścianami. Przez otwarte okna widzieliśmy Meksykanów. Zbili się w gromadę pod wielkim dębem, a ponieważ pozdejmowali słomkowe kapelusze, rozlało się tam morze brązu i czerni.

Brat Akers powitał gości, tych ze wzgórz i z Meksyku. Ludzi ze wzgórz przyjechało niewiele i wielebny poprosił ich jak zwykle, żeby się nam przedstawili. Pochodzili z miejsc

takich jak Hardy, Mountain Home czy Calico Rock i byli wystrojeni tak samo jak my.

W oknie ustawiono głośnik, żeby słowa brata Akersa mogły dotrzeć pod dąb, gdzie pan Carl Durbin tłumaczył je na hiszpański. Pan Durbin, emerytowany misjonarz z Jonesboro, przepracował trzydzieści lat w Peru. Mieszkał z prawdziwymi Indianami, wysoko w górach, i podczas tygodnia misyjnego dużo nam o tym opowiadał, ilustrując wykład zdjęciami i slajdami z tej dziwnej krainy. Oprócz hiszpańskiego znał jakiś indiański dialekt, którego brzmienie zawsze mnie fascynowało.

Stał pod dębem, a wokół niego siedzieli Meksykanie. Miał na sobie biały garnitur, był w białym słomkowym kapeluszu, a jego głos niósł się niemal z taką samą siłą jak głos brata Akersa dudniącego przez głośnik. Ricky powiedział kiedyś, że pan Durbin jest dużo rozsądniejszy od wielebnego. Wypowiedział tę opinię przy niedzielnej kolacji, co doprowadziło do kolejnej awantury. Krytykowanie kaznodziei - przynajmniej jawne - było grzechem.

Siedziałem na końcu ławki, tuż przy oknie, dlatego dobrze słyszałem i widziałem, co robi pan Durbin. Nie rozumiałem ani słowa, ale szybko zauważyłem, że mówi po hiszpańsku znacznie wolniej niż Meksykanie. Meksykanie trajkotali tak szybko, że często zastanawiałem się, jak to możliwe, że w ogóle się rozumieją. Natomiast zdania pana Durbina były gładkie i wymuskane, i wypowiadał je z silnym amerykańskim akcentem. Chociaż nie miałem pojęcia, o czym mówi, mówił znacznie bardziej porywająco niż brat Akers.

Ponieważ do kościoła przyszły tłumy ludzi, poranne kazanie zaczęło żyć własnym życiem i przerodziło się w prawdziwy maraton. Im mniej wiernych, tym krótsze kazanie. Kiedy było ich naprawdę dużo, a więc na Wielkanoc, w Dniu Matki czy na jesiennym pikniku, wielebny dochodził do wniosku, że musi pokazać, na co go stać. Po jakimś czasie panu Durbinowi chyba się znudziło i nie zważając na słowa grzmiące z głośnika, zaczął wygłaszać własne kazanie. Kiedy brat Akers robił przerwę dla nabrania oddechu, on mówił dalej, jakby żadnej przerwy nie było, a kiedy wielebny groził nam ogniem piekielnym i siarką, pan Durbin odpoczywał, spokojnie popijając wodę. Wreszcie usiadł, by wraz z Meksykanami zaczekać, aż w kościele ucichnie.

Ja też czekałem. Zabijałem czas, marząc o stojących na stole półmiskach, o kopiających talerzach pieczonych kurczaków i o hektolitrach lodów domowej roboty.

Meksykanie zaczęły zerkać w okna. Pewnie myśleli, że brat Akers oszalał. „Spokojnie. On tak cały czas”. Gdybym mógł, chętnie bym im to powiedział.

Podczas błogosławieństwa odśpiewaliśmy pięć zwrotek hymnu i wielebny niechętnie nas odprawił. W drzwiach spotkałem Dewayne'a i pobiegliśmy na boisko, żeby sprawdzić, czy

przyszli już metodyści. A jakże, byli od dawna, ponieważ ich nabożeństwa trwały znacznie krócej niż nasze.

Za bandą zapola, pod trzema wiązami, które wyłapały miliony spartaczonych piłek, ustawiono stoły przykryte obrusami w biało-czerwoną kratę, stały na nich dziesiątki półmisków. Wokół stołów kłębili się metodyści, mężczyźni i dzieci, którzy znosili jedzenie, gdy tymczasem ich żony i mamy rozstawiały talerze. Podeszliśmy do Pearl Watson.

- Wielebny wciąż gada? - spytała z uśmiechem.

- Właśnie nas puścił - odrzekłem. Pearl dała nam po czekoladowym ciasteczku. Pochłonąłem je dwoma kęsami.

Rozległ się chór głosów - „Dzień dobry”, „Cześć”, „Jak się macie?”, „Dlaczego tak późno?” - i wreszcie nadciągnęli baptyści. Samochody, półciężarówki i ciężarówki stały zderzak w zderzak i wkrótce wzdłuż ogrodzenia zabrakło miejsca. Wiedzieliśmy, że co najmniej jeden albo dwa wozy zostaną trafione zbląkaną piłką. Przed dwoma laty piłka odbita przed Ricky'ego - zaliczył wtedy pełne kółko - wybiła przednią szybę w nowiutkim chryslerze pana Wilbera Shiffletta. Huknęło jak z armaty. Najpierw huknęło, a potem usłyszeliśmy brzęk sypiącego się szkła. Ale pan Shifflett był bogaty, dlatego nikt się tym nie przejął. Poza tym wiedział, czym ryzykuje, parkując samochód w tym miejscu. Metodyści dali nam wtedy popalić - siedem do pięciu - a Ricky uważał, że trener, czyli Dziadzio, powinien był zmienić miotacza w trzeciej zmianie.

Potem długo się do siebie nie odzywali.

Na stołach stanęły wkrótce wielkie misy jarzyn, kopiałe półmiski pieczonych kurczaków i kosze wypełnione chlebem kukurydzianym, bułeczkami oraz innymi rodzajami pieczywa. Pod nadzorem pani Orr, żony pastora metodystów, naczynia przesuwano to tu, to tam, dopóki nie zapanował wśród nich ład i porządek. Na jednym stole stały tylko surówki z kilkunastu odmian pomidorów, ogórków i białych i żółtych cebulek w occie. Obok surówek ustawiono potrawy z grochu i fasoli, a więc zielony groszek, fasolę gotowaną z szynką i fasolkę szparagową. Na każdym pikniku była sałatka ziemniaczana, a każda kucharka miała na nią inny przepis: naliczyliśmy z Dewaynem jedenaście wielkich salaterek, a każda wyglądała inaczej. Równie popularne były jajka w majonezie, dlatego półmiski z jajkami zajmowały niemal pół stołu. Ale najważniejsze były pieczone kurczaki. Przygotowano ich tyle, że całe miasto nie zjadłoby ich przez miesiąc.

Panie krzątały się wokół stołów, tymczasem panowie rozmawiali, śmiali się, wymieniali powitania, przy czym cały czas niespokojnie zerkali na kurczaki. Wszędzie kręciły się dzieci, a Dwayne i ja ruszyliśmy powoli do upatrzonego stolika, na którym ustawiano

desery. Naliczyłem szesnaście pojemników z lodami domowej roboty, szczelnie przykrytych ściereczkami i obsypanych bryłkami lodu.

Kiedy pani Orr uznała, że wszystko wygląda jak trzeba, jej mąż, wielebny Vernon, stanął przed stołami wraz z bratem Akersem i tłum ucichł. Przed rokiem modlitwę dziękczynną odmawiał brat Akers, dlatego w tym roku zaszczyt ten przypadł metodystom. Podczas pikniku obowiązywał niepisany regulamin. Pochyliliśmy głowy i słuchaliśmy, jak wielebny Orr dziękuje Bogu za Jego dobroć, za przepyszne jedzenie, za pogodę, za bawełnę, i tak dalej, i tak dalej. Nie pominął niczego; mieszkańcy Black Oak rzeczywiście mieli za co dziękować.

Dochodził mnie zapach pieczonych kurczaków. Czułem smak ciasteczek i lodów. Dewayne mnie kopnął, ale mu nie oddałem, bo oberwałbym od rodziców za bicie się podczas modlitwy.

Kiedy wielebny wreszcie skończył, mężczyźni ustawili rzędem Meksykanów. To też należało do tradycji: najpierw obsługiwano Meksykanów, potem ludzi ze wzgórz, potem dzieci, a na końcu dorosłych. Jak spod ziemi wyrósł Stick Powers. Był oczywiście w mundurze i wepchnął się do kolejki pomiędzy Meksykanów i ludzi ze wzgórz; słyszałem, jak mówi, że jest na służbie i nie ma zbyt dużo czasu. Wziął dwa talerze, jeden wypełniony kawałkami kurczaka, drugi wszystkim, co tylko zdołał na nim zmieścić. Wiedzieliśmy, że naje się do syta, potem pojedzie na skraj miasta, znajdzie sobie jakieś drzewo i zalegnie, żeby odespać lunch.

Kilku metodystów spytało mnie o Ricky'ego, co u niego słyhać, czy do nas pisze. Odpowiadałem grzecznie i uprzejmie, ale jako rodzina, my, Chandlerowie, nie lubiliśmy takich pytań. Poza tym mieliśmy teraz kolejną tajemnicę - dziecko Libby - i baliśmy się każdej publicznej wzmianki o Rickym.

- Przekaż mu, że o nim myślimy. - Zawsze tak mówili. Jakbyśmy mieli telefon i codziennie z nim rozmawiali.

- Że się za niego modlimy.

- Dziękuję - odpowiadałem.

Nawet najcudowniejszą chwilę, taką jak na przykład jesienny piknik, mogło zepsuć nieoczekiwane pytanie o Ricky'ego. Ricky był w Korei. Siedział w okopach, walczył, krył się przed kulami i zabijał ludzi, nie wiedząc, czy kiedykolwiek wróci do domu i do kościoła, czy kiedykolwiek pojedzie z nami na piknik i zagra przeciwko metodystom. Wokoło panowało radosne podniecenie, a ja poczułem się nagle przerażająco samotny.

Bądź twardy, Luke - powiedziałyby Dziadzio.

Bardzo pomogło mi w tym jedzenie. Wzięliśmy z Dewaynem talerze i usiedliśmy za pierwszą bazą, gdzie było troszkę cienia. Rodziny z małymi dziećmi siedziały na kocach.

Ponieważ świeciło słońce, na zapolu wyrósł las parasolek; panie wachlowały sobie twarze, twarze dzieci i talerze. Meksykanie ścisnęli się pod drzewem rosnącym za linią autową prawego zapola, z dala od nas. Juan wyznał mi przed rokiem, że nasze kurczaki im nie smakowały. Nigdy w życiu nie słyszałem większej bzdury. Były o niebo lepsze niż tortilla, przynajmniej tak wtedy myślałem.

Moi rodzice i dziadkowie rozłożyli się na kocu za trzecią bazą. Po długich targach i przetargach pozwolili mi w końcu zjeść z kumplami, co dla siedmiolatka było wielkim krokiem naprzód.

Kolejka się nie zmniejszała. Zanim do stołu doszli dorośli mężczyźni, młodzież ustawiała się po dokładkę. Dla mnie wystarczył jeden talerz - musiałem mieć miejsce na lody. Wkrótce podeszliśmy do stołu z deserami, strzegła go pani Irene Flanagan, żeby nie spustoszyli go mali wandale, tacy jak na przykład my.

- Ile jest czekoladowych? - spytałem, spoglądając na stojące w cieniu pojemniki z kolorowymi lodami.

- Nie wiem. Kilka rodzajów.

- Czy pani Cooper przyniosła orzechowe? - spytał Dewayne.

- Tak, przyniosła - odrzekła pani Flanagan, wskazując jeden z pojemników. Pani Cooper umiała zmieszać czekoladę z masłem orzechowym i produkt ostateczny miał wprost niewiarygodny smak. Ludzie wspominali te lody przez cały rok. Na poprzednim pikniku dwóch nastoletnich chłopców, metodysta i baptysta, omal nie pobiło się o dokładkę i gdy wielebny Orr próbował ich rozdzielić, Dewayne podwędził ze stołu dwie miseczki. Uciekł pędem na ulicę, przywarował za jakąś szopą i pożarł wszystko do ostatniego kęsa. Przez cały miesiąc nie mówił o niczym innym.

Pani Cooper była wdową. Mieszkała w ślicznym, małym domku dwie ulice za sklepem Popa i Pearl i kiedy potrzebowała kogoś do sprzątnięcia podwórka, po prostu robiła swoje lody. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiała się u niej kilkunastu chłopaków, dlatego miała najładniejsze podwórko w mieście. Wpadali do niej nawet dorośli, żeby wyrwać parę chwastów.

- Musicie poczekać - powiedziała pani Flanagan.

- Długo? - spytałem.

- Dopóki wszyscy nie skończą jeść.

Czekaliśmy całe wieki. Starsi chłopcy i młodszy mężczyźni zaczęli się już rozgrzewać i rzucali do siebie piłką na zapolu. Dorośli rozmawiali, krążyli między kocami, gadali i gadali i byłem pewien, że lody zdążyły się już rozpuścić. Z Monette przyjechało dwóch sędziów, co

wywołało nową falę podniecenia. Oczywiście najpierw musieli coś zjeść i przez drugi czas znacznie bardziej interesowały ich pieczone kurczaki niż baseball. Z pola wewnętrznego i z zapola zaczynały znikać koce i parasolki. Piknik dobiegał końca. Niebawem miał się rozpocząć mecz.

Panie podeszły do stołu z deserami, zaczęły wydawać lody i Dewayne dostał w końcu swoje orzechowe. Ja wybrałem dwie kulki czekoladowych na kruchym ciasteczku pani Lou Kiner. Przy stole omal nie doszło do zamieszek, lecz sytuacja została opanowana. Spokoju pilnowali wielebny Orr i brat Akers, którzy objadali się lodami tak samo jak my. Sędziowie podziękowali, mówiąc, że w tym upale nie powinni tyle jeść.

Ktoś krzyknął:

- No to gramy!

Tłum ruszył w stronę boiska. Trenerem metodystów był pan Duffy Lewis, farmer mieszkający na zachód od miasta, który - zdaniem Dziadzia - nie znał się na baseballu. Ale po czterech porażkach z rzędu prawie nikt nie traktował tej opinii poważnie. Sędziowie poprosili trenerów do bazy domowej i długo radzili nad regułami miejscowej odmiany baseballu, wskazując przy tym płoty, przeróżne tyczki, kołki i zwisające nad boiskiem gałęzie drzew: każda z tych rzeczy miała swoją historię i rządziła się swoimi prawami. Ponieważ dziadek przeważnie się z nimi nie zgadzał, dyskusja ciągnęła się w nieskończoność.

Przed rokiem gospodarzami meczu byli baptyści, dlatego w tym roku atakowaliśmy jako pierwsi. Miotaczem metodystów był Buck Prescott, syn pana Sapa Prescottta, jednego z największych posiadaczy ziemskich w hrabstwie. Miał dwadzieścia parę lat i jako jeden z nielicznych mieszkańców miasta przez dwa lata studiował na stanowym uniwersytecie. Tam też grał, ale ponoć miał jakieś kłopoty z trenerem. Był leworęczny, rzucał same podkręcone i przed rokiem wykończył nas dziewięć do dwóch. Kiedy wyszedł na stanowisko miotacza, od razu wiedziałem, że prędko stamtąd nie odejdzie. Pierwsza piłka była wolna i podkręcona. Poszła łukiem w bok, mimo to sędzia ją uznał i Dziadzio natychmiast tę decyzję skrytykował. Buck wyautował pierwszych dwóch pałkarzy na pierwszej bazie, dwóch kolejnych na strajki, a potem, po długiej, wysokiej piłce, wysłał mojego tatę na środkowe zapole.

Naszym miotaczem był Duke Ridley, młody farmer, ojciec siedmiorga dzieci, który narzucał tak marnie, że nawet ja potrafiłbym odbić jego piłkę. Mówił, że podczas wojny grał na Alasce, ale nigdy nie zdołano tego potwierdzić. Dziadzio uważał, że Duke łże, a po ubiegłorocznym meczu ja też nabrałem co do niego podejrzeń. Trzy razy spudłował, raz trafił i myślałem, że dziadek go zabije. Ostatnią piłkę przechwycił łapacz. Miejsce Duke'a zajął kolejny miotacz. Szczęście uśmiechnęło się do nas dopiero wtedy, kiedy pałkę przejął pan

Lester Hurdle. Miał pięćdziesiąt dwa lata, był najstarszym zawodnikiem na obu listach i odbił długą, wysoką piłkę, którą Bennie Jenkins, nasz środkowo zapolowy, złapał gołymi rękami.

Zamiast prawdziwego meczu, mieliśmy pojedynek miotaczy, ale nie dlatego, że tak ostro narzucali, tylko dlatego, że ani w jednej, ani w drugiej drużynie nie było dobrego pałkarza. Wróciliśmy z Dewaynem do stołu z deserami, gdzie wydawano resztki roztopionych lodów. Zanim nasi rozpoczęli trzecią zmianę, metodystki i baptystki, dla których mecz był mniej ważny niż rozmowa, zdążyły się już pozbijać w rozdyskutowane grupki. Ktoś włączył radio i dobiegł mnie głos Harry'ego Caraya. Kardynałowie rozgrywali z Cubsami ostatni mecz sezonu.

Z miseczkami lodów w ręku odeszliśmy od stołu i przechodząc obok koca, na którym odpoczywało kilkanaście młodych kobiet, usłyszałem, jak jedna z nich pyta:

- Ile Libby ma lat?

Przystanąłem, zjadłem łyżeczkę lodów i spojrzałem w dal, na boisko, jakby zupełnie nie interesowało mnie to, o czym rozmawiają.

- Piętnaście.

- To Latcherowa. Niedługo urodzi kolejne.

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Podobno chłopiec.

- A tatuś?

- Nie wiadomo. Libby nie chce nikomu powiedzieć.

- No, chodź. - Dewayne trącił mnie w łokieć i poszliśmy dalej. Nie byłem pewien, czy mi ulżyło, czy ogarnął mnie jeszcze większy strach. Wiedzieli już, że Libby urodziła dziecko, na szczęście nikt nie łączył tego z Rickym.

Ale niedługo wszystko sobie skojarzą, pomyślałem. I będziemy zrujnowani. Moim kuzynem jest jeden z Latcherów i wszyscy się o tym dowiedzą.

Pojedynek miotaczy dobiegł końca w piątej zmianie, kiedy to zawodnicy obu drużyn zaliczyli po sześć pełnych kólek. Przez pół godziny piłki fruwały dosłownie wszędzie: wzdłuż linii metowych, za linie autowe i za boczne linie zapola. Dwa razy zmienialiśmy miotaczy, a kiedy Dziadzio kazał narzucać tacie, wiedziałem, że będziemy mieli poważne kłopoty. Tato nie był miotaczem, sęk w tym, że nie pozostał nam nikt inny. Ale rzucał dobrze, nisko, i tę zmianę wygraliśmy.

Wtedy ktoś krzyknął:

- Musiał narzuca!

Albo ktoś sobie zażartował, albo się pomylił. Stan Musial robił różne rzeczy, ale nigdy

dotąd nie narzucał. Pobiegliśmy na parking. Wokół czteroletniego dodge'a pana Rafe'a Harry'ego zebrał się mały tłum. Ryczało radio, Harry Caray wpadł w amok: słynny Stan rzeczywiście narzucał Frankiemu Baumholtzowi, z którym od roku toczył pojedynek o tytuł najlepszego pałkarza ligi. Kibice na Sportsman's Park wychodzili z siebie. Harry wrzeszczał do mikrofonu. Stan Musiał miotaczem: to nami wstrząsnęło.

Baumholtz posłał szczura na trójkę i Stan musiał wrócić na środek pola wewnętrznego. Popędziłem do dziadka i powiedziałem mu, kto narzuca, ale mi nie uwierzył. Powiedziałem tacie, on też uznał, że zmyślam. Metodyści prowadzili osiem do sześciu w siódmej zmianie i w szeregach baptystów zapanowała bardzo napięta atmosfera. Mniej martwiliby się powodzią, przynajmniej w tym momencie.

Było co najmniej trzydzieści pięć stopni w cieniu. Zawodnicy ociekali potem, a ich czyściutkie kombinezony i białe odświętne koszule lepiły się do ciała. Poruszali się coraz wolniej - płacąc za te wszystkie kurczaki i sałatkę z ziemniaków - i zdaniem Dziadka coraz częściej partaczyli.

Tata Dewayne'a nie grał, więc po paru godzinach Dewayne pojechał do domu. Odjechało też kilku innych kibiców. Meksykanie wciąż leżeli pod drzewem, tuż za żerdzią prawej linii autowej, ale zdążyli już chyba zasnąć. Panie w cieniu plotkowały, zupełnie nie interesując się wynikiem meczu.

Siedziałem samotnie na ławce i patrząc, jak metodyści zdobywają trzy punkty w ósmej zmianie, marzyłem o dniu, kiedy będę zaliczał kółko za kółkiem i po mistrzowsku rozgrywał piłki na polu wewnętrznym. Tak, kiedy podrosnę, ci nędzni metodyści nie będą mieli żadnych szans.

Wygrali jedenaście do ośmiu: piąty raz z rzędu dziadzio poprowadził baptystów do porażki. Zawodnicy uścisnęli sobie ręce i śmiejąc się, poszli do cienia, gdzie czekała mrożona herbata. Dziadek ani się nie śmiał, ani się nie uśmiechał, ani nikomu nie ścisnął rąk. Na jakiś czas zniknął i wiedziałem już, że przez cały tydzień będzie chodził nadąsany.

Kardynałowie też przegrali, trzy do zera. Mieli trzy mecze do tyłu w stosunku do Gigantów i osiem w stosunku do Dodgersów, którzy mieli stawić czoło Jankesom w nowojorskich rozgrywkach o puchar świata.

Reszki jedzenia zebrano i załadowano do samochodów. Przetarto stoły i pozbierano śmieci. Pomogłem panu Duffy zagrabić ziemię na stanowisku pałkarza oraz na bazie domowej i kiedy skończyliśmy, boisko wyglądało jak nowe. Pożegnania trwały godzinę. Pokonani jak zwykle odgrzali się zwycięzcom, zwycięzcy jak zwykle nabijali się z pokonanych. Wszyscy byli uśmiechnięci i zadowoleni. Wszyscy oprócz Dziadzia.

Odjeżdżając, rozmyślałem o końcu sezonu. Rozpoczął się na wiosnę, kiedy sialiśmy i kiedy ożywały nadzieje. Baseball podnosił nas na duchu przez całe lato i często był jedyną rozrywką po nużącej harówce na polu. Słuchaliśmy każdej transmisji, przez cały dzień dyskutowaliśmy o meczu, o zawodnikach i o strategii gry. Przez pół roku liga była nieodłączną częścią naszego życia, a teraz się skończyła. Tak jak bawełna.

Do domu wróciłem smutny. Koniec z transmisjami na werandzie. Sześć miesięcy bez głosu Harry'ego Caraya. Sześć miesięcy bez Stana Musiala. Wziąłem rękawicę i poszedłem na długi spacer polną drogą, podzuczając piłkę i zastanawiając się, co będę robił do kwietnia.

Pierwszy raz w życiu baseball złamał mi serce.

## ROZDZIAŁ 24

Upały skończyły się w pierwszych dniach października. Noce były chłodniejsze, a rano marzliśmy. Dusząca wilgoć wyparowała, słońce jakby wyblakło. W południe znowu robiło się gorąco, lecz nie tak jak w sierpniu, a o zmierzchu powietrze było lekkie i rześkie. Czekaliśmy, ale skwar już nie powrócił. Nadchodziła zima i dni stawały się coraz krótsze.

Ponieważ słońce nie wysysało z nas sił, pracowaliśmy ciężiej i więcej zbieraliśmy. Dziadzio uznał, że zmiana pogody jest znakomitym pretekstem do tego, żeby wymyślić sobie kolejne zmartwienie. Ponieważ zima była za pasem, zaczął wspominać, jak to w Boże Narodzenie któregoś roku stał na polu, bezradnie patrząc na rzędy zrudziałych krzewów, obsypanych gnijącą, bo nie zebraną bawełną.

Po miesiącu harówki zatęskniłem za szkołą. Miała się rozpocząć pod koniec października i pomyślałem, że miło będzie siedzieć przez cały dzień w ławce, zamiast bawełnianych krzewów widzieć kolegów i nareszcie mieć z głowy Spruillów. Ponieważ skończyła się liga, musiałem o czymś marzyć. To, że pozostały mi jedynie marzenia o szkole, było miarą mojej rozpacz.

Powrót do szkoły miał być triumfalny, ponieważ chciałem wystąpić w nowej, lśniącej kurtce w barwach Kardynałów. W pudełku po cygarach w górnej szufladzie biurka trzymałem mnóstwo pieniędzy: czternaście dolarów i pięćdziesiąt centów. Uzbierałem tę zawrotną kwotę dzięki ciężkiej pracy i oszczędnym wydatkom. Z rzadka dawałem na tace, mądrze inwestowałem w niedzielne kino i w prażoną kukurydzę i cent do centa układałem pieniądze obok karty baseballowej ze Stanem Musiałem i scyzoryka o perłowej rękojeści, który podarował mi Ricky w dniu wyjazdu do Korei.

Chciałem zamówić kurtkę z katalogu Seara i Roebucka, ale mama kazała mi zaczekać do końca zbiorów. Wciąż ten termin negocjowaliśmy. Paczka szła dwa tygodnie, a ja bardzo chciałem wrócić do szkoły w czerwieni Kardynałów.

Pewnego dnia o zmierzchu, na podwórzu czekał na nas Stick Powers. Byłem z mamą i babcią, ponieważ wróciliśmy z pola kilka minut przed pozostałymi. Stick jak zwykle siedział pod drzewem przy pickupie dziadka, a jego rozespiane oczy zdradzały, że uciał sobie krótką drzemkę.

Wstał i musnął palcami rondo kapelusza.

- Ruth, Kathleen, dzień dobry.
- Jak się masz, Stick - odrzekła babcia. - Co cię tu sprowadza?
- Szukam Eliego albo Jesse'ego.
- Zaraz przyjdą. Coś się stało?

Stick zagryzł sterczące z ust źdźbło trawy i długo patrzył w dal, jakby się zastanawiał, czy kobiety nie ugną się pod ciężarem wiadomości, jaką miał im przekazać.

- Stick, o co chodzi? - spytała babcia. Jej syn był na wojnie, dlatego każdy gość w mundurze wzbudzał w niej lęk. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym jeden z poprzedników Sticka przyniósł wiadomość, że mój tata został ranny pod Anzio.

Szeryf przeniósł na niego wzrok i doszedł do wniosku, że chyba może im zaufać.

- Chodzi o Grady'ego, najstarszego Sisca - powiedział. - Tego, co to siedział w więzieniu za morderstwo. W zeszłym tygodniu uciekł. Powiadają, że wrócił w rodzinne strony.

Przez chwilę mama i babcia milczały. Babcia dlatego, że jej ulżyło, mama, że sprawa Sisców już dawno ją znudziła.

- Będzie lepiej, jeśli powiesz to Eliemu - odrzekła babcia. - Musimy przygotować kolację.

Przeprosily go i weszly do domu. Stick patrzył za nimi, niewątpliwie myśląc o kolacji.

- Kogo on zamordował? - spytałem, kiedy teren był czysty.

- Nie wiem.

- A jak?

- Z tego, co slyszalem, zdzielił go szpadlem.

- O rany, musiało być ostro.

- Chyba tak.

- Myśli pan, że przyjdzie po Hanka?

- Wiesz, lepiej pójde pogadać z Elim. Gdzie on jest?

Wyciągnąłem rękę w kierunku pola. Z tej odległości przyczepa była prawie niewidoczna.

- Daleko - wymruczał. - Można tam dojechać?

- Jasne - odrzekłem, ruszając do radiowozu. Wsiadliśmy.

- Tylko niczego nie dotykaj - rzucił, gdy usiadłem w fotelu dla pasażera. Gapiłem się na przełączniki i na radiostację, więc natychmiast zaczął się popisywać. - To jest radiostacja - powiedział, podnosząc mikrofon. - Tym włącza się syrenę, a tym światła. - Dotknął dźwigni na desce rozdzielczej. - A to jest uchwyt szperacza.

- Z kim pan rozmawia przez radio? - spytałem.

- Przeważnie z kwaterą główną.

- Gdzie ona jest?

- W Jonesboro.

- Może pan ich wywołać?

Stick niechętnie podniósł mikrofon do ust, przekrzywił głowę, zmarszczył czołom i zaczął:

- Czwórka do bazy. Odbiór. - Mówił teraz szybciej, niskim i hardym głosem.

Czekaliśmy. Ponieważ baza się nie zgłaszała, Stick przekrzywił głowę w drugą stronę, wcisnął guzik na mikrofonie i powtórzył:

- Czwórka do bazy. Odbiór.

- Pan jest czwórka? - spytałem.

- Tak.

- Ile radiowozów krąży w terenie?

- To zależy.

Wpatrywałem się w radiostację i czekałem, aż przemówi. To niesamowite, myślałem. Ktoś z Jonesboro może wywołać Sticka i Stick może z tym kimś rozmawiać.

Teoretycznie powinno tak być, lecz tych z bazy najwyraźniej nie obchodziło, gdzie jest teraz ich szeryf.

- Czwórka do bazy. Odbiór - powtórzył po raz trzeci Stick; tym razem wypowiedział te słowa z większym naciskiem.

Ale baza ponownie go zignorowała. Stick odczekał kilka długich sekund i odłożył mikrofon.

- To pewnie Teodor. Znowu śpi.

- Kto to jest Teodor?

- Dyspozytor. Cały czas śpi.

Pan też, pomyślałem.

- Może pan włączyć syrenę?

- Nie. Mama się przestraszy.

- A światła?

- Akumulator siądzie. - Przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozrusznik długo zgrzytał i gwizdał, lecz silnik nie zaskoczył.

Spróbował ponownie i zanim siadł akumulator, silnik wreszcie kichnął, parsknął i odpalił. Ci z kwatery głównej musieli przydzielić mu najgorszego gruchota, jakiego tylko zdołali znaleźć. Ostatecznie Black Oak nie było wylęgarnią zbrodni i występku.

Zanim zdążył wrzucić jedynekę, zobaczyłem na drodze nasz traktor.

- Już jadą - powiedziałem.

Stick zmrużył oczy, wyteżył wzrok i wyłączył silnik. Wysiedliśmy i wróciliśmy pod drzewo.

- Chcesz zostać zastępcą szeryfa? - spytał Stick.

I jeździć zdezelowanym radiowozem, przesypiać pół dnia i mieć do czynienia z takimi jak Hank Spruill czy Siscowie? Odpada.

- Będę baseballistą.

- Gdzie?

- W St. Louis.

- Rozumiem - odrzekł z uśmiechem, jakim dorośli obdarzają dzieci, które za dużo marzą. - Każdy chłopiec chce grać u Kardynałów.

Miałem do niego masę pytań, głównie dotyczących rewolweru i naboji. Poza tym zawsze chciałem obejrzeć kajdanki, zobaczyć, jak się je zamyka i otwiera. Podczas gdy on spoglądał na nasz traktor, ja przyglądałem się jego broni i kaburze, chcąc zasypać go gradem pytań.

Ale Stick poświęcił mi już wystarczająco dużo czasu. Chciał, żebym dał mu święty spokój. Grad pytań musiał zaczekać na inną okazję.

Traktor się zatrzymał i z przyczepy zeskoczyli Spruillowie oraz kilku Meksykanów. Dziadzio i tata od razu ruszyli w naszą stronę i zanim stanęli pod drzewem, atmosfera wyraźnie zgęstniała.

- Czego chcesz, Stick? - warknął dziadek.

Natręctwo Sticka bardzo go drażniło. Musieliśmy zebrać bawełnę, reszta się nie liczyła. Tymczasem on deptał nam po piętach, nachodził nas i w mieście, i w naszym własnym domu.

- O co chodzi? - powtórzył Dziadzio, tym razem z wyraźną pogardą w głosie. Tego dnia harował przez dziesięć godzin i zebrał dwieście dwadzieścia siedem kilogramów bawełny, podczas gdy Stick nie spocił się z wysiłku od wielu lat.

- Grady, najstarszy syn Sisców, ten, co siedział za morderstwo, uciekł w zeszłym tygodniu z więzienia i chyba wrócił do domu.

- To go złap - odparował dziadek.

- Próbuje. Ponoć Siscowie coś knują. Mogą być kłopoty.

- Jakie?

- Z nimi nigdy nic nie wiadomo, ale mogą przyjść tu po Hanka.

- Niech przyjdą - odparł Dziadzio gotów do walki.

- Podobno mają broń.

- Ja też mam broń. Powiedz im, że jeśli któryś tu przylezie, odstrzelę mu łeb - wyszczał dziadek; zdawało się, że nawet tata się trochę ożywił na myśl o obronie domu i rodziny.

- Oni tu nie przyjdą - odrzekł Stick. - Powiedz swemu chłopakowi, żeby trzymał się z dala od miasta.

- Sam mu powiedz - warknął Dziadzio. - To nie jest mój chłopak. Mam gdzieś, co mu się przytrafi.

Stick popatrzył na obozowisko, gdzie Spruillowie przygotowywali kolację. Nie miał ochoty tam iść.

Spojrzał na dziadka i powiedział:

- Powiedz mu, Eli. - Po czym odwrócił się i ruszył do radiowożu.

Silnik jęknął, kichnął i w końcu zaskoczył. Samochód wyjechał tyłem na drogę i po chwili zniknął nam z oczu.

Po kolacji przyglądałem się, jak tata próbuje załatać dętkę tylnego koła naszego traktora, gdy wtem zobaczyłem Tally. Było już późno, ale jeszcze nie ciemno, a ona wyraźnie kryła się w półmroku, idąc po cichu ścieżką obok silosu. W pewnej chwili przystanęła i dała mi znak, żebym poszedł za nią. Łata nie chciała się przykleić i tata coś do siebie mruczał, więc powoli wycofałem się w stronę domu, szybko skręciłem za półciążarówkę, dałem nura w mrok i kilka sekund później szliśmy ścieżką w kierunku strumienia.

- Dokąd idziesz? - spytałem, kiedy stało się jasne, że pierwsza się nie odezwie.

- Nie wiem. Na spacer.

- Nad strumień?

Roześmiała się cicho.

- Chciałbyś, co? Chcesz znowu popatrzeć, tak?

Zapiekły mnie policzki, w głowie miałem pustkę.

- Może kiedy indziej - dodała Tally.

Chciałem wypytać ją o Kowboja, ale temat był tak okropny i osobisty, że nie miałem odwagi. Chciałem się też dowiedzieć, kto powiedział jej o Libby Latcher i o Ricku, ale wolałem nie ryzykować. Tally zawsze była tajemnicza, zawsze miewała humory i po prostu ją uwielbiałem. Idąc z nią ramię w ramię wąską ścieżką, czułem się jak dwudziestolatek.

- Czego chciał szeryf? - spytała.

Opowiedziałem jej wszystko. Ostatecznie Stick nie zdradził nam żadnej tajemnicy. Siscowie zaczęli szemrać, a byli na tyle szaleni, że mogli zrobić coś głupiego. Przekazałam

to Tally.

Mysłała chwilę i spytała:

- Czy on chce aresztować Hankę? Wiesz, za tamtego chłopaka.

Tu musiałem zachować ostrożność. Owszem, Spruillowie darli ze sobą koty, lecz wiedziałem, że na jakąkolwiek wzmiankę o zagrożeniu zewnętrznym natychmiast się zjednoczą.

- Dziadek martwi się, że wyjedziecie - odrzekłem.

- Co to ma wspólnego z Hankiem?

- Jeśli Stick go aresztuje, możecie wyjechać.

- Nie wyjedziemy. Potrzebujemy pieniędzy.

Przystanęliśmy. Tally patrzyła na mnie, ja na swoje bosa stopy.

- Myślę, że Stick chce poczekać, aż zbierzemy bawełnę - powiedziałem.

Przyjęła to bez słowa, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Szedłem za nią, pewien, że powiedziałem za dużo. Przy silosie powiedzieliśmy sobie dobranoc i zniknęła w ciemności.

Kilka godzin później, chociaż już od dawna miałem spać, leżałem w pokoju Ricky'ego i słuchałem przez okno, jak Spruillowie warczą na siebie i krzyczą. Najczęściej darł się Hank. Nie zawsze słyszałem, co mówią czy o co się kłóca, ale miałem wrażenie, że każda nowa sprzeczka dotyczyła czegoś, co zrobił albo powiedział. Oni byli zmęczeni, on nie. Budzili się przed wschodem słońca i spędzali co najmniej dziesięć godzin na polu. On spał do późna, a potem zbierał bawełnę tak, jakby wcale nie zbierał.

I najwyraźniej znowu włączył się po nocach. Kiedy rano wyszliśmy z domu, żeby jak co dzień pozbierać jajka i wydoić krowę, za kuchennymi drzwiami czekał na tatę Miguel. Błagał o pomoc. Wznowiono ostrzał: po północy ktoś obrzucił stodołę ciężkimi grudami ziemi. Meksykanie byli źli i wyczerpani do tego stopnia, że omal się między sobą nie pobili.

Temat ten zdominował rozmowę przy śniadaniu i Dziadzio tak się wściekł, że prawie nie mógł jeść. Postanowiono, że Hank musi odejść, a jeśli Spruillowie odejdą wraz z nim, jakoś damy sobie radę. Dziesięciu wypoczętych i chętnych do pracy Meksykanów miało dla nas większą wartość niż wszyscy Spruillowie razem wzięci.

Dziadek już wstawał z krzesła, chcąc wyjść na podwórze i przekazać im ultimatum, ale tata go uspokoił. Ustalili, że zaczekają do wieczora, żeby Spruillowie wyrobili jeszcze jedną dniówkę. Poza tym wieczorem, po ciemku, będą mniej skłonni do odjazdu.

Ja tylko słuchałem. Chciałem się wtrącić i opowiedzieć im o rozmowie z Tally, zwłaszcza o tym, że Spruillowie potrzebują pieniędzy. Moim zdaniem wcale by nie wyjechali, ale z rozkoszą pozbyłbym się Hankę. Lecz podczas tych gorących rodzinnych sporów nie

wolno mi było wygłaszać własnych opinii. Dlatego pogryzałem grzanekę i chłonałem każde słowo.

- A co ze Stickiem? - spytała babcia.

- A co ma być? - warknął Dziadzio.

- Miałeś go zawiadomić, kiedy Hank przestanie nam być potrzebny.

Dziadek odgryzł kawałek szynki i popadł w zadumę.

Babcia myślała dużo rozsądniej, no ale w przeciwieństwie do niego nie kipiała gniewem. Wypiła łyk kawy i dodała:

- Moim zdaniem trzeba powiedzieć panu Spruillowi, że Stick chce aresztować Hanka. Niech chłopak wymknie się nocą, i już. Niech sobie stąd pójdzie, to najważniejsze, a Spruillowie będą nam wdzięczni, że ich uprzedziliśmy.

Jej plan był bardzo sensowny. Mama uśmiechnęła się leciutko. I znowu kobiety przeanalizowały sytuację szybciej niż mężczyźni.

Dziadzio nie odrzekł ani słowa. Tata szybko skończył jeść i wyszedł na dwór. Słońce nie wyrzało jeszcze zza drzew, a dzień był już pełen wydarzeń.

- Luke, jedziemy do miasta - rzucił po lunchu Dziadzio. - Przyczepa jest pełna.

Przyczepa nie była pełna, poza tym nigdy dotąd nie wieźliśmy jej do miasta w środku dnia. Ale nie zamierzałem protestować. Coś się kroilo.

Na parkingu przed odziarniarnią stały tylko cztery przyczepy. W porze zbiorów było ich co najmniej dziesięć, no ale zawsze przyjeżdżaliśmy po kolacji, kiedy do miasta ściągał tłum farmerów.

- Południe to dobra pora - powiedział Dziadzio.

Zostawił kluczyki w stacyjce i kiedy wysiadaliśmy, dodał:

- Muszę wpaść do spółdzielni. Chodźmy na Main Street.

- Jasne, chętnie.

Black Oak miało trzystu mieszkańców i dosłownie wszyscy mieszkali pięć minut marszu od Main Street. Często myślałem, jak cudownie byłoby postawić sobie mały, piękny domek przy cieniejszej uliczce o rzut kamieniem od sklepu Pearl i od kina, i już nigdy więcej nie oglądać bawełnianych krzewów.

W połowie ulicy nagle skręciliśmy.

- Pearl chce cię widzieć - powiedział dziadek, wskazując dom Watsonów. Nigdy u nich nie byłem, nigdy nie miałem powodu, żeby tam wchodzić, ale często widywałem ten dom z ulicy. Należał do nielicznych zbudowanych z cegły.

- Co takiego? - spytałem kompletnie zaskoczony.

Dziadzio nie odpowiedział, więc po prostu poszedłem za nim.

Pearl czekała w drzwiach. Wszedłem do środka, poczułem silny, aromatyczny zapach piekących się ciasteczek, ale byłem zbyt skołowany, żeby pomyśleć, że chcą mnie czymś poczęstować. Poklepała mnie po głowie i puściła oko do dziadka. Pop stał w kącie pokoju, pochylony tyłem do nas.

- Chodź tu, Luke - rzucił, nie odwracając głowy.

Słyszałem, że mają telewizor. Pierwszy telewizor w naszym hrabstwie kupił pan Harvey Gleeson, właściciel banku, ale pan Gleeson był samotnikiem i jak dotąd nikt tego nie potwierdził. Kilku znajomych baptystów miało krewnych w Jonesboro, ci zaś mieli telewizory i kiedy znajomi od nich wracali, długo rozwodzili się z zachwytem nad tym cudownym wynalazkiem. Dewayne widział telewizor w oknie wystawowym sklepu w Blytheville i potem przez kilka tygodni chlubił się tym w szkole.

- Usiądź tutaj - powiedział Pop, wskazując mi miejsce na podłodze i nie przestając kręcić gałkami. - Puchar świata. Trzeci mecz. Dodgersi u Jankesów.

Zamarło mi serce, rozdziawiłem usta. Dosłownie mnie sparaliżowało. Niecały metr dalej zobaczyłem mały ekran, na którym tańczyły krzywe linie i pasy. Ekran był wbudowany w drewnianą skrzynkę z ciemnego drewna, a na skrzynce, pod rzędem pokręteł, widniał błyszczący napis: „Motorola”. Pop znowu przekręcił jedną z gałek i rozległ się skrzekliwy głos sprawozdawcy, który mówił, że piłka poszła po ziemi na pole wewnętrzne między drugą i trzecią bazą. Pop pokręcił dwiema gałkami naraz i...

To był mecz baseballowy. Na żywo ze stadionu Jankesów, a my oglądaliśmy go tutaj, w Black Oak w stanie Arkansas!

Ktoś przesunął za mną krzesło i Dziadzio też usiadł. Pearl nie interesowała się baseballlem. Przez kilka minut krzątała się w kuchni, a potem przyniosła mi talerz kruchych ciasteczek i szklanek mleka. Wziąłem talerzyk i podziękowałem jej. Ciasteczka były gorące, prosto z pieca, i pysznie pachniały. Ale nie mogłem jeść, nie w takiej chwili.

Dla Jankesów narzucał Ed Lopat, dla Dodgersów Wielebny Roe. W drużynie nowojorczyków grali Mickey Mantle, Yogi Berra, Phil Rizzuto, Hank Bauer i Billy Martin, a w drużynie Dogersów Pee Wee Reese, Duke Snider, Roy Campanella, Jackie Robinson i Gil Hodges. Wszyscy byli tu, ze mną, w saloniku Popa i Pearl, grając jednocześnie przed tłumem sześćdziesięciu tysięcy kibiców na stadionie Jankesów. Ten widok mnie zahipnotyzował, odebrał mi mowę. Po prostu gapiłem się w ekran, i widząc ich, nie wierzyłem własnym oczom, że ich widzę.

- Jedz, Luke - rzuciła Pearl, przechodząc przez pokój. Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż zachęta, więc zacząłem jeść.

- Komu kibicujesz? - spytał Pop.

- Nie wiem - wymamrotałem, bo naprawdę nie wiedziałem. Nauczono mnie nienawidzić i jednych, i drugich, i przychodziło mi to z łatwością, kiedy byli daleko, w Nowym Jorku, w innym świecie. Ale teraz byli tu, w Black Oak, grali w moją ukochaną grę, dlatego cała nienawiść ze mnie wyparowała. - Chyba Dodgersom.

- Co liga krajowa, to liga krajowa - mruknął Dziadzio.

- Fakt, ale im trudno kibicować - odparł niechętnie Pop.

Mecz był transmitowany przez Kanał 5 z Memphis, stację telewizyjną zrzeszoną w National Broadcasting Company, cokolwiek to znaczyło. Transmisję często przerywano reklamami lucky strike'ów, cadillaców, coca-coli i Texaco. W przerwach między zmianami stadion zniknął i na ekranie pojawiała się reklama, a kiedy się kończyła, ponownie wracaliśmy na stadion. Było to naprawdę oszałamiające przeżycie; całkowicie mnie pochłonęło. Na godzinę przeniosłem się do innego świata.

Dziadek miał coś do załatwienia na mieście i w pewnej chwili wyszedł. Nie słyszałem, jak wychodził, i zdałem sobie z tego sprawę dopiero w trakcie jakiejś reklamy.

Yogi Berra zaliczył kółko i patrząc, jak obiega wszystkie bazy na oczach sześćdziesięciu tysięcy kibiców, zrozumiałem, że już nigdy nie będę mógł nienawidzić Jankesów tak bardzo, jak nienawidziłem ich kiedyś. Byli legendą, najwspanialszymi zawodnikami najpiękniejszej gry zespołowej, jaką znałem. Po prostu zmiękłem, ale poprzysiągłem sobie, że nigdy o tym nikomu nie powiem. A już na pewno nie dziadkowi. Wyrzuciłby mnie z domu.

W końcu dziewiątej zmiany Berra przepuścił piłkę, Dodgersi zdobyli dwa punkty i wygrali mecz. Pearl zawięła ciasteczka w papier i wcisnęła mi je do ręki. Podziękowałem Popowi, że pozwolił mi uczestniczyć w tej niewiarygodnej przygodzie, i spytałem, czy mógłbym kiedyś obejrzeć mecz Kardynałów.

- Oczywiście - odrzekł - ale chyba nieprędko ich zobaczymy.

W drodze do odziarniarni spytałem dziadka, jak działa telewizor. Zaczął opowiadać o jakichś sygnałach i wieżach, ale mówił bardzo niezrozumiale i w końcu przyznał, że się na tym nie zna, bo telewizja jest nowym wynalazkiem. Wtedy spytałem, kiedy i my kupimy sobie telewizor.

- Kiedyś - odrzekł. Zabrzmiało to jak nigdy. Było mi wstyd, że o to zapytałem.

Zabraliśmy pustą przyczepę, wróciliśmy do domu i do wieczora zbierałem bawełnę.

Przy kolacji dorośli dopuścili mnie do głosu. Gadałem jak nakręcony o meczu, o reklamach i o wszystkim, co widziałem u Popa i Pearl.

Do rolniczej części Arkansas powoli wkraczała nowoczesna Ameryka.

## ROZDZIAŁ 25

Tuż przed zapadnięciem zmroku tato i pan Spruill poszli na krótki spacer za silos. Tato powiedział mu, że Stick Powers zamierza aresztować Hanka za zabójstwo Jerry'ego Sisca. Uważał, że ponieważ Hank i tak nastęcza wszystkim dużo kłopotów, jest to doskonały moment, żeby wreszcie zniknął i wrócił na wzgórze. Pan Spruill chyba się z nim zgodził, gdyż nie zagroził natychmiastowym odjazdem. Tally miała rację: Spruillowie potrzebowali pieniędzy. I mieli serdecznie dość Hanka. Wyglądało na to, że zostaną do końca zbiorów.

Siedzieliśmy na werandzie, obserwowaliśmy i nasłuchiwalismy. Nie doszły nas żadne ostre słowa, nie dostrzeżliśmy żadnych oznak wskazujących na to, że zamierzają zwinąć obozowisko. I niczego, co świadczyłoby, że Hank zamierza odejść. Od czasu do czasu widzieliśmy, jak krąży w mroku między namiotami, jak siada przy ognisku, jak szuka resztek jedzenia. Jedno po drugim, Spruillowie poszli spać. My też.

Odmówiłem pacierz, położyłem się i z szeroko otwartymi oczami rozmyślałem o Janekach i Dodgersach, gdy wtem na podwórzu wybuchła kłótnia. Cichutko wstałem i wyjrzałem przez okno. Wszędzie było ciemno i cicho i przez chwilę nic nie widziałem, ale kiedy oczy przywykły do mroku, przy drodze zobaczyłem pana Spruilla i Hanka, którzy stali naprzeciwko siebie i mówili obydwaj naraz. Nie rozumiałem ani słowa, ale widać było, że są bardzo źli.

Nie mogłem przepuścić takiej gratki. Wymknąłem się na korytarz i przystanąłem, żeby sprawdzić, czy dorośli śpią. Potem cichutko przetruchtałem przez salon, wyszedłem na werandę, zbiegłem ze schodków i skręciłem za żywopłot po wschodniej stronie podwórza. Zza chmur prześwitywała połówka księżycy i po kilku minutach bezszelestnych podchodów znalazłem się niedaleko drogi. Do dyskusji włączyła się pani Spruill. Rozmawiali o bójce z Siscami. Hank stanowczo twierdził, że jest niewinny. Jego rodzice nie chcieli, żeby go aresztowano.

- Zabiję tego grubasa - warknął Hank.
- Wracaj do domu, synku - powtarzała pani Spruill. - Niech to przycichnie.
- Chandlerowie też chcą, żebyś wyjechał - wtrącił pan Spruill.
- Banda głupich kmiotów. Mam w kieszeni więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widzieli i zobaczą.

Kłótnia przybrała charakter wielowątkowy. Hank obrzucił błotem Meksykanów, Sticka

Powersa, Sisców i mieszkańców Black Oak w ogólności; powiedział nawet kilka przykrych słów pod adresem swoich rodziców, Bo i Dale'a, oszczędzając jedynie Tally i Trota. Mówił coraz głośniejsze i dosadniej, ale pani i pan Spruill się nie wycofali.

- Dobra, wyjadę - powiedział wreszcie i jak burza wpadł po coś do namiotu. Podkrałem się do skraju drogi, szybko przebiegłem na drugą stronę i zanurkowałem w gęstwinę na polu Jeterów. Miałem stamtąd idealny widok na podwórze. Hank napelniał starą, płócienną torbę jedzeniem i ubraniami. Domyśliłem się, że zechce dojść do szosy i złapać okazję, dlatego przebiłem się przez rzędy krzewów i skrajem przydrożnego rowu powolutku ruszyłem w kierunku rzeki. Chciałem zobaczyć, jak Hank odchodzi.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem pani Spruill powiedziała:

- Za kilka tygodni będziemy w domu.

Rozmowa ucichła i środkiem drogi, tuż obok mnie, przeszedł Hank z torbą na ramieniu. Wystawiłem głowę zza krzaka i patrzyłem, jak idzie w stronę mostu.

Uśmiech sam wpełzł mi na usta. Na naszą farmę miał powrócić spokój. Siedziałem za krzakami jeszcze długo po tym, gdy Spruill zniknął mi z oczu, i dziękowałem gwiazdom, że nareszcie odszedł.

Już miałem wracać, gdy wtem po drugiej stronie drogi dostrzegłem jakiś ruch. Leciutko zafalowały wierzchołki łądyg i z gęstwiny wyszedł jakiś mężczyzna. Nisko pochylony i szybki, ciał się w mroku, najwyraźniej nie chcąc, żeby ktoś go zobaczył. Spojrzał przez ramię w stronę domu i w blasku księżycy zobaczyłem jego twarz. To był Kowboj.

Na polu Jeterów byłem bezpieczny. Chciałem zawrócić, popędzić do domu i paść na łóżko Ricky'ego.

Ale chciałem też zobaczyć, co knuje Kowboj.

A on bezszelestnie biegł głębokim do kolan rowem. To biegł, to przystawał i nasłuchiwał. Znowu biegł i znowu przystawał. Ja też biegłem, wciąż skrajem pola Jeterów. Gdyby mnie usłyszał, natychmiast zanurkowałbym między krzewy. Dzielili nas odległość trzydziestu metrów.

Wkrótce dostrzegłem zwałistą sylwetkę Hanka, który człapał niespiesznie środkiem drogi. Kowboj zwolnił kroku, zwolniłem kroku i ja.

Byłem na bosaka i gdybym przypadkiem nadepnął na mokasyna, skończyłbym w straszliwych męczarniach. W głowie pobrzmiwał mi natarczywy szept: wracaj do domu. Zjeżdżaj stąd!

Jeśli Kowboj chciał się z nim bić, na co jeszcze czekał? Przecież farma była daleko. Farma tak, w przeciwieństwie do mostu, i może o to mu chodziło.

Kiedy Hank zbliżył się do mostu, Meksykanin wyszedł na drogę. Ja wciąż szedłem skrajem pola, spływając potem, ciężko dysząc i zastanawiając się, dlaczego jestem taki głupi.

Hank wszedł na most. Kowboj puścił się biegiem. Kiedy Spruill dotarł do połowy mostu, Meksykanin przystanął i rzucił w niego kamieniem. Kamień wylądował u stóp Hanka, który odwrócił się błyskawicznie i warknął:

- No chodź, gnojku, chodź!

Kowboj szedł dalej, nie okazując cienia lęku. Był już na łagodnym ziemnym stoku, który przechodził w deski, tymczasem Spruill czekał na niego i kłął. Wyglądało na to, że spotkają się dokładnie na środku mostu, i że jeden z nich wyjdzie z tego przemoczony.

Kiedy dzieliło ich ledwie kilka kroków, Meksykanin ponownie cisnął w Hanka kamieniem. Ten uchylił się, zaatakował i wtedy szczęknęło ostrze sprężynowca. Kowboj trzymał nóż wysoko. Hank zdążył przyhamować i uderzył go torbą, lecz zdołał tylko strącić Meksykaninowi kapelusz. Krążyli wokół siebie na wąskim moście, wypatrując najlepszej okazji do ataku. Spruill głucho powarkiwał, kłął i cały czas patrzył na nóż. Nagle sięgnął do torby, wyjął z niej jakiś słój, chwycił go jak piłkę baseballową i wziął zamach. Nisko pochylony Kowboj tańczył na ugiętych nogach, czekając na odpowiedni moment. Krążyli tak i krążyli o centymetry od barierki.

Raptem Spruill głośno stęknął i ze wszystkich sił cisnął słojem w stojącego trzy metry dalej przeciwnika. Musiał trafić w szyję albo w gardło, nie widziałem dokładnie w co, tak czy inaczej przez sekundę wydawało się, że Kowboj zaraz upadnie. Hank rzucił w niego torbą i zaatakował, lecz w tej samej chwili Meksykanin przełożył nóż do lewej ręki, prawą wyjął z kieszeni kamień i cisnął nim mocniej niż jakkolwiek piłką. Kamień ugodził Spruilla w twarz. Nie widziałem tego, lecz znakomicie słyszałem. Hank przeraźliwie wrzasnął, chwycił się za twarz i zanim zdążył dojść do siebie, było już za późno.

Kowboj pochylił się, dźgnął go w brzuch i mocno poderwał nóż do góry. Zaszokowany Spruill wydał z siebie bolesny okrzyk przerażenia.

Meksykanin wyszarpnął nóż i dźgnął go jeszcze dwa razy. Hank opadł na kolana, najpierw na jedno, potem na drugie. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Po prostu patrzył na Kowboja z maską śmiertelnego przerażenia na twarzy.

Ten zadał jeszcze kilka szybkich, zjadliwych ciosów i dokończył dzieła. Potem, kiedy Spruill znieruchomiał, błyskawicznie przeszukał mu kieszenie, zabrał pieniądze i przerzucił go przez barierkę. Rozległ się głośny plusk i ciało momentalnie zniknęło pod wodą. Kowboj zajrzał do torby i nie znalazłszy w niej niczego interesującego, cisnął ją do rzeki. Potem stanął przy barierce i długo patrzył w dół.

Nie miałem najmniejszej ochoty podzielić losu Hanka, dlatego zanurkowałem w krzaki i rozpląsałem się na ziemi tak bardzo, że sam bym siebie nie znalazł. Serce waliło mi jeszcze mocniej niż przedtem. Trząsałem się, modliłem, pociłem się i płakałem. Powinienem być zostać w łóżku. Zasnąć i spać bezpiecznie z rodzicami i dziadkami za ścianą. Byli tak daleko. Siedziałem jak mysz w płytkiej norce, samotny i przerażony. Groziło mi wielkie niebezpieczeństwo. Widziałem coś, w co wciąż nie mogłem uwierzyć.

Nie wiem, jak długo Kowboj stał na moście, patrząc na wodę i upewniając się, czy trup nie wypłynie. Kiedy księżyc zniknął za chmurami, prawie go nie widziałem, ale wystarczyło, że chmury się rozstały, i znowu tam był, znowu stał przy barierce w swoim brudnym, przekrzywionym na bok kapeluszu. Wreszcie zszedł na brzeg, żeby umyć nóż w wodzie. Jakiś czas patrzył na rzekę, wreszcie odwrócił się i ruszył drogą w stronę domu. Kiedy mijał mnie w odległości sześciu metrów, czułem się tak, jakbym leżał co najmniej metr pod ziemią.

Czekałem całą wieczność, aż zniknął mi z oczu i już w żaden sposób nie mogłem mnie usłyszeć, i dopiero wówczas wypłynęłam ze swojej norki i rozpocząłem powrotną podróż. Nie wiedziałem, co zrobię, gdy wreszcie dotrę na miejsce, wiedziałem jednak, że będę bezpieczny. I że na pewno coś wymyślę.

Nisko pochylony, szedłem przez wysokie trawy porastające skraj pola. Jako farmerzy nie znosiliśmy tych traw, ale teraz pierwszy raz w życiu cieszyłem się, że tam rosną. Chciałem przyspieszyć kroku, puścić się pędem środkiem drogi i jak najszybciej dobiec do domu, ale byłem zbyt przerażony i nogi miałem jak z ołowiu. Dopadł mnie strach i zmęczenie, chwilami po prostu nie mogłem się poruszyć. Minęła cała wieczność, zanim dostrzegłem w mroku zarys domu i stodoły. Uważnie obserwowałem drogę, przekonany, że Kowboj jest gdzieś przede mną, że nieustannie sprawdza, czy nikt nie zachodzi go od tyłu i z boku. Próbowiałem nie myśleć o Hanku. To bardzo zależało mi na powrocie do domu.

Przystanąłem, żeby złapać oddech, i wtedy doszedł mnie nieomylny zapach Meksykanina. Meksykanie rzadko się kąpali i po kilku dniach na polu wydzielali specyficzny zapach.

Zapach szybko zniknął i kiedy wziąłem kilka głębokich oddechów, uznałem, że to tylko moja wyobraźnia. Mimo to nie chciałem ryzykować: ponownie skręciłem na pole Jeterów i przedzierając się bezszelestnie przez rzędy krzewów, powoli ruszyłem na wschód. Gdy po pewnym czasie dostrzegłem białe namioty Spruillów, wiedziałem już, że jestem w domu.

Co powiem im o Hanku? Prawdę, całą prawdę. Miałem tyle tajemnic, że kolejna przyniotłaby mnie jak głaz, zwłaszcza tajemnica tak straszna jak ta. Postanowiłem, że wślizgnę się cichcem do pokoju Ricky'ego, prześlpię się trochę i kiedy tata obudzi mnie przed

wyjściem po jajka i mleko, wszystko mu opowiem. Że opowiem o każdym ich kroku i ruchu, o każdym ciosie noża, że opiszę mu wszyściutkie szczegóły. Tata i Dziadzio pojedą do miasta, zawiadomią Sticka o morderstwie i jeszcze przed lunchem Kowboj wyląduje w areszcie. Do Bożego Narodzenia pewnie go powieszają.

Hank nie żył. Kowboj trafi do więzienia. Spruillowie spakują się i wyjadą, ale miałem to gdzieś. Już nigdy w życiu nie chciałem oglądać żadnego z nich, nawet Tally. Chciałem, żeby zniknęli z naszej farmy i z naszego życia.

Pragnąłem też, żeby Ricky wrócił do domu, i żeby Latcherowie poszli sobie precz. Wtedy wszystko wróciłoby do normy.

Znalazłszy się kilkadziesiąt metrów od werandy, postanowiłem puścić się biegiem. Miałem zszargane nerwy, straciłem cierpliwość. Ukrywałem się od wielu godzin i byłem zmęczony. Doszedłem do końca rzędu krzewów, przeskoczyłem rów i stanąłem na drodze. Przykucnąłem, chwilę nasłuchiwałem, a potem pogałem przed siebie. Po dwóch, może po trzech krokach usłyszałem cichy szelest: ktoś chwycił mnie za kostki u nóg i jak długi runąłem na ziemię. Kowboj. Usiadł na mnie, przygniótł mnie kolanem, tuż przed nosem błysnęło mi ostrze sprężynowca. Oczy żarzyły mu się jak węgle.

- Cicho! - syknął.

Obydwaj głośno sapaliśmy, obydwaj splywaliśmy potem i wtedy doszedł mnie jego cuchnący zapach, ten sam, który poczułem na polu. Przestałem się wyrywać i zacisnąłem zęby. Pękały mi zębra.

- Byłeś nad rzeką? - spytał.

Pokręciłem głową. Z podbródka spłynęła mu kropla potu i wpadła mi do oka. Zapiekło. Leciutko przesunął nóż, jakbym go nie widział.

- To gdzie?

Ponownie pokręciłem głową. Nie mogłem mówić i zdałem sobie sprawę, że trzęsę się ze strachu.

Kiedy stało się oczywiste, że nie wykrztuszę ani słowa, lekko stuknął mnie ostrzem w czoło.

- Piśniesz choć jedno słowo - powiedział powoli - i zabiję twoją matkę. Rozumiesz? - Jego oczy mówiły więcej niż słowa.

Energicznie kiwnąłem głową. Kowboj wstał, odszedł i zniknął w ciemności, zostawiając mnie w pyłe drogi. Rozplakałem się, poczołgałem w stronę domu i zanim zemdlałem, dotarłem aż do naszego pikapu.

Znaleźli mnie pod swoim łóżkiem. W zamieszaniu, które nastąpiło zaraz potem - rodzice krzyczeli na mnie, wypytywali o uwalane ziemią ubranie, o krwawe zadrapania na rękach i o to, dlaczego spałem tam, gdzie spałem - wpadł mi do głowy pewien pomysł. Miałem koszmarny sen. Hank się utopił! Poszedłem sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

- Ty lunatykowałeś! - skonstatowała z niedowierzaniem mama i natychmiast to wykorzystałem.

- Chyba tak - szepnąłem.

Wszystko to, co działo się potem, widziałem jak przez mgłę: byłem śmiertelnie zmęczony, przerażony i nie wiedziałem już, czy to, co widziałem nad rzeką, zdarzyło się naprawdę, czy tylko we śnie. Umierałem ze strachu na myśl, że mogę znowu zobaczyć Kowboja.

- Ricky też lunatykował - rzuciła babcia z korytarza. - Pewnej nocy przyłapałam go aż za silosem.

To ich trochę uspokoiło. Zaprowadzili mnie do kuchni i posadzili przy stole. Mama obmyła mnie, a babcia opatrzyła zadrapania na rękach. Uznawszy, że sytuacja jest opanowana, tato i dziadek poszli po jajka i mleko.

Już mieliśmy zacząć jeść, gdy wtem zagrzmiało. Odetchnąłem. Przez kilka godzin na pewno zostaniemy w domu i nie będę musiał oglądać Kowboja.

Patrzyli na mnie, gdy dziobałem widelcem w talerzu.

- Nic mi nie jest - powiedziałem.

Lunał deszcz. Zabębnił w blaszany dach tak głośno, że nie mogliśmy rozmawiać, więc jedliśmy w milczeniu. Mężczyźni martwili się o bawełnę, kobiety o mnie.

Moje zmartwienia by ich zabiły.

- Mógłbym skończyć później? - spytałem, odsuwając talerz. - Chce mi się spać.

Mama zdecydowała, że położę się do łóżka i będę leżał, dopóki nie odpocznę. Kiedy sprzątała ze stołu, spytałem ją szeptem, czy nie położyłaby się razem ze mną. Natychmiast się zgodziła.

Zasnęła przede mną. Leżeliśmy w ich łóżku, w ich tonącej w półmroku sypialni, i wsłuchiwalismy się w deszcz. Było nam chłodno i przyjemnie, a tuż za ścianą tata i dziadek pili kawę, rozmawiali i czekali. Poczułem się bezpiecznie.

Pragnąłem, żeby padało przez całą wieczność. Żeby Meksykanie i Spruillowie wyjechali. Żeby Kowboja odesłano do domu, gdzie mógłby chlastać nożem co by zechciał i żebym nic o tym nie wiedział. Postanowiłem, że latem, kiedy będziemy planowali przyszłoroczne zbiory, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby Miguel i jego banda nie

przyjechali do naszego hrabstwa.

Chciałem, żeby mama była zawsze obok mnie, a tata gdzieś w pobliżu. Chciałem zasnąć, ale kiedy zamknąłem oczy, zobaczyłem Kowboja na moście. Nagle pomyślałem z nadzieją, że może Hank żyje i nadal szpera w rzeczach, szukając kawałka starej grzanki, albo rzuca kamieniami w stodołę. Wtedy wszystko to byłoby tylko snem.

## ROZDZIAŁ 26

Burza minęła, zjedliśmy lunch, wszyscy poszli na pole, a ja przez cały ten czas ani na chwilę nie odstępowałem mamy. Rodzice coś tam między sobą szeptali, tata groźnie marszczył brwi, lecz mama była nieugięta i zostaliśmy w domu. Czasami bywa tak, że mali chłopcy po prostu muszą pobyc z swoimi mamami. Bałem się spuścić ją z oczu.

Na samą myśl, że miałbym opowiedzieć komuś o tym, co widziałem na moście, robiło mi się słabo. Staralem się o tym nie myśleć, lecz na próżno.

Zbieraliśmy warzywa w ogrodzie. Chodziłem za nią z koszem w ręku, rozglądając się na wszystkie strony, przekonany, że lada chwila jak spod ziemi wyrośnie przed nami Kowboj i nas zaszlachtuje. Czułem jego zapach i dotyk, wszędzie słyszałem jego głos. Widziałem jego wstrętne oczy, którymi obserwował każdy nasz ruch. Ucisk sprężynowca na moim czole stawał się coraz wyraźniejszy.

Nie myślałem o niczym innym i trzymałem się blisko mamy.

- Co się stało? - pytała mnie nieustannie. Zdawałem sobie sprawę, że cały czas milczę, ale nie mogłem wykrztusić ani słowa. Dzwoniło mi w uszach. Świat poruszał się wolniej. Chciałem się gdzieś zaszyć.

- Nic - odpowiadałem. Nawet głos mi się zmienił. Był teraz niski i chrapliwy.

- Wciąż jesteś zmęczony?

- Tak, mam.

Byłem gotów być zmęczony przez cały miesiąc, gdybym tylko mógł dzięki temu nie chodzić na pole i nie widzieć Kowboja.

Przystanęliśmy, żeby obejrzeć dzieło Trota. Ponieważ zostaliśmy w domu, chłopak zniknął. Gdybyśmy wyszli, wróciłby do pracy. Przez całą wschodnią ścianę biegł teraz biały pas szerokości niecałego metra. Czysty i równiutki, był dziełem człowieka, któremu się nie spieszyło.

Wiedziałem, że w tym tempie na pewno nie zdąży do końca zbiorów. Co będzie, kiedy Spruillowie wyjadą? Przecież nie mogliśmy mieszkać w domu z dwukolorową ścianą.

Miałem na głowie ważniejsze sprawy.

Mama postanowiła zawekować trochę pomidorów. Latem i na początku jesieni spędzała z babcią całe dni, wekując warzywa z ogrodu - pomidory, groszek, fasolkę, okrę, gorczycę i kukurydzę - tak że już pod koniec października wszystkie półki w naszej spiżarni

były zastawione poczwórnymi rzędami litrowych słoików, których zawartość kończyliśmy wyjadać dopiero na początku wiosny. No i oczywiście gromadziła też zapasy dla biednych i potrzebujących. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że zimą będziemy wozili jedzenie Latcherom, zwłaszcza gdy okazało się, iż jesteśmy spokrewnieni.

Na myśl o pokrewieństwie z Latcherami omal nie dostałem szału, ale już się nimi tak nie przejmowałem.

Moim zadaniem było obieranie pomidorów ze skórki. Obrane kroilo się na kawałki, wrzucało do dużych garnków, gotowało, aż zmiękły, wkładało do słoików, dodawało łyżeczkę soli, a słoje zamykało nowymi pokrywkami. Wystarczyła minimalna nieuszczelnienie pokrywy i zawartość słoja się psuła. Zimą, ilekroć mama lub babcia otwierała taki zepsuty słoje, zawsze bardzo się smuciła. Ale nie zdarzało się to zbyt często.

Szczelnie zakręcone słoje ustawiało się rzędem w dużym szybkowarze, wypełnionym do połowy wodą. Tam gotowały się przez pół godziny, żeby uszła z nich reszka powietrza i żeby pokrywki dobrze chwyciły. Babcia i mama bardzo się tym wszystkim przejmowały. Weki były przedmiotem dumy wszystkich pań i często słyszałem, jak stojąc przed kościołem, chwaliły się, że zrobiły tyle a tyle słoików fasolki szparagowej i czegoś tam jeszcze.

Wekowanie rozpoczynało się, gdy tylko ziemia wydała pierwsze plony. Czasami zmuszano mnie do pomocy przy krojeniu warzyw i zawsze tego nienawidziłem. Ale tego dnia było inaczej. Tego dnia cieszyłem się, że mogę być w kuchni z mamą i że Kowboj jest daleko na polu.

Stałem przy zlewie z ostrym nożem w ręku i rozkrajając pierwszego pomidora, pomyślałem o Hanku na moście. Krew, sprężynowiec, okrzyk bólu, nieme przerażenie na twarzy, gdy spadły kolejne ciosy. Hank musiał wiedzieć, że dźga go ktoś, kto robi to nie pierwszy raz. Że za chwilę będzie po nim.

Uderzyłem głową w nogę krzesła. Kiedy ocknąłem się na sofie, mama przykładała mi lód nad prawym uchem; miałem tam guza. Uśmiechnęła się i szepnęła:

- Zemdlałeś.

Próbowałem coś powiedzieć, ale zaschło mi w ustach. Dała mi łyk wody i oświadczyła, że muszę trochę poleżeć.

- Jesteś zmęczony?

Kiwnąłem głową i zamknąłem oczy.

Dwa razy do roku władze hrabstwa przysyłały nam żwir do utwardzenia drogi. Ciężarówka wysypywała go, a zaraz potem nadjeżdżała równiarka i wszystko wyrównywała.

Operatorem równiarki był pewien starzec, który mieszkał pod Caraway. Nosił czarną przepaskę na oku, a lewą połowę twarzy miał tak straszliwie pokiereszowaną i zniekształconą, że kiedy to zobaczyłem, przeszły mnie ciarki. Dziadzio, który często dawał nam do zrozumienia, że wie o nim więcej, niż chce powiedzieć, twierdził, że te wszystkie blizny i zniekształcenia są wynikiem ran, jakie starzec odniósł na pierwszej wojnie światowej. Nazywał się Otis.

Otis miał dwie małpki, które pomagały mu wyrównywać drogi wokół Black Oak. Malutkie, czarne, z długimi ogonami, biegały po całej maszynie, a bywało nawet, że wskakiwały na łyżkę i bawiły się o centymetry od żwiru i ziemi. Czasami siadały mu na ramieniu, na oparciu fotela albo na długim pręcie pod kierownicą. Otis jeździł tam i z powrotem, przekładając dźwignie, zmieniając kąt nachylenia łyżki i strzykając sokiem tytoniowym, a nieustraszone małpki skakały, baraszkowały i świetnie się bawiły.

Gdyby z jakichś strasznych powodów nie udało nam się dostać do drużyny Kardynałów, wielu z nas, miejscowych chłopaków, chciało zostać operatorem równiarki. Tą olbrzymią, potężną maszyną kierował tylko jeden człowiek, który musiał precyzyjnie poruszać dźwigniami i dokładnie zgrać ruchy nie tylko rąk, ale i nóg. Poza tym równe drogi miały podstawowe znaczenie dla farmerów z rolniczej części Arkansas. Niewiele było ważniejszych zawodów niż ten, przynajmniej naszym zdaniem.

Nie mieliśmy zielonego pojęcia, ile za to płać, ale byliśmy pewni, że jest to zajęcie bardziej dochodowe niż praca na roli.

Usłyszałem warkot diesla i już wiedziałem, że Otis powrócił. Wziąłem mamę za rękę, podeszliśmy do skraju drogi i okazało się, że między naszym domem i mostem wyrosły trzy góry żwiru. Otis rozgarniał go, powoli zmierzając w naszą stronę. Stanęliśmy pod drzewem, żeby na niego zaczekać.

Myślałem trzeźwo i czułem się silny. Mama raz po raz ciągnęła mnie lekko za rękę, jakby sprawdzała, czy nie mam zamiaru ponownie zemdleć. Kiedy Otis podjechał bliżej, wyszedłem na drogę. Ryczał silnik, wielka łyżka rozgarniała ziemię i żwir. Naprawiano nam drogę - to ważne wydarzenie.

Czasami Otis machał do nas ręką, czasami nie. Zobaczyłem jego blizny i czarną przepaskę. Ach, ileż miałem do niego pytań!

Zobaczyłem też małpkę, ale tylko jedną. Siedziała na ramie, tuż za kierownicą, i była bardzo smutna. Poszukałem wzrokiem jej małej towarzyszki, lecz nigdzie jej nie dostrzegłem.

Pomachaliśmy Otisowi, który zerknął na nas, lecz nie odmachął. W naszym świecie było to oznaką straszego grubiaństwa, no ale Otis był po prostu inny. Z powodu wojennych ran nie miał ani żony, ani dzieci i pozostała mu jedynie samotność.

Nagle równiarka stanęła. Otis spojrział na mnie zdrowym okiem i dał znak, żebym wsiadł. Natychmiast ruszyłem do maszyny, ale tuż za mną ruszyła mama, mówiąc „nie”.

- Wszystko w porządku! - krzyknął Otis. - Nic mu się nie stanie! - Nie miało to żadnego znaczenia, bo i tak już włąziłem na górę.

Wyciągnął mi rękę i podniósł mnie na mały podest obok fotela kierowcy.

- Stań tu - burknął, wskazując miejsce obok siebie. - Trzymaj się tego - warknął i kurczowo zacisnąłem palce na uchwycie sterującym obok wielkiej, pewnie bardzo ważnej dźwigni, której bałem się dotknąć. Zerknąłem na mamę. Wzięła się pod boki i kręciła głową, jakby chciała mnie udusić, ale na ustach miała leciutki uśmiech.

Otis dodał gazu, silnik ryknął. Otis wcisnął pedał sprzęgła, przesunął dźwignię zmiany biegów i ruszyliśmy. Szybciej szedłbym pieszo, ale silnik dudnił tak głośno, jakbyśmy pędzili na złamanie karku.

Stałem po lewej stronie Otisa, bardzo blisko jego twarzy, i starałem się nie patrzeć na te wszystkie blizny. Po paru minutach przestał zwracać na mnie uwagę. W przeciwieństwie do małpki, która była bardzo zaciekawiona. Przez chwilę obserwowała mnie jak intruza, wreszcie podkrađła się powoli bliżej, szykując się do ataku. Ale nie: wskoczyła na ramię Otisowi, przeszła po karku na moją stronę i przysiadła, nie spuszczając mnie z oczu.

I ja nie spuszczałem z niej oczu. Była nie większa od wiewióreczki, miała czarne futerko i małe, czarne oczy, ledwie rozdzielone grzbietem nosa. Długi ogon opadał Otisowi na pierś. Starzec przerzucał dźwignie, rozgarniał żwir, mrucał coś do siebie i zupełnie na nią nie zważał.

Zyskawszy pewność, że małpka zadowoli się samym patrzeniem, spojrzałem przed siebie. Łyżka równiarki wygarniała z rowu błoto, chwasty i trawę i spychała to wszystko na drogę. Wiedziałem, że Otis będzie jeździł tak kilka razy, oczyszczając rowy, rozgarniając i ubijając żwir. Dziadek uważał, że władze hrabstwa powinny naprawiać naszą drogę znacznie częściej, ale uważała tak większość farmerów.

Otis zawrócił, opuścił łyżkę do drugiego rowu i ruszył w stronę naszego domu. Małpka ani drgnęła.

- Gdzie jest druga? - krzyknąłem.

Otis wskazał stalową łyżkę.

- Spadła - odrzekł.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Byłem przerażony myślą, że biedne maleństwo zginęło tak straszną śmiercią, lecz wyglądało na to, że Otis wcale się tym nie przejmuje. Natomiast ocalała małpka niewątpliwie bolała na stratą towarzyszki. Siedziała,

patrzyła na mnie albo w dal i robiła wrażenie bardzo samotnej. I oczywiście trzymała się z dala od stalowej łyżki.

Mama stała w miejscu. Pomachałem jej, ona mi odmachnęła, a Otis znowu nikomu nie pomachał. Często strzykał śliną i pod przednie koła leciała długa struga brązowego soku tytoniowego. Ocierał usta brudnym rękawem, to lewym, to prawym, w zależności od tego, która ręka spoczywała na tej czy tamtej dźwigni. Dziadzio mówił, że Otis jest bardzo zrównoważony, bo tytoniowy sok spływa mu i z jednego, i z drugiego kącika ust.

Z wyżyn, na których się znalazłem, sięgałem wzrokiem bardzo daleko; widziałem nawet przyczepę pośrodku pola i kilka słomkowych kapeluszy. Zmrużyłem oczy, dostrzegłem Meksykanów pracujących tam, gdzie zwykle pracowali, i znowu pomyślałem o Kowboju, o sprężynowcu w jego kieszeni. Pewnie był dumny z ostatniego zabójstwa. Ciekawe, czy powiedział o tym kolegom. Chyba jednak nie.

Przestraszyłem się, ponieważ mama została sama. To było bez sensu i dobrze o tym wiedziałem, lecz racjonalne myślenie przychodziło mi z wielkim trudem.

Popatrzyłem na rząd drzew nad rzeką i znowu ogarnął mnie lęk. Most. Bałem się spojrzeć na most, na miejsce zbrodni. Na deskach i barierce na pewno były plamy krwi, dowód, że stało się tam coś strasznego. A może zmył je deszcz? Bywało, że przez wiele dni nie przejeżdżał tamtędy ani jeden samochód. Czy ktoś widział krew Hanka? Istniało duże prawdopodobieństwo, że dowody morderstwa już zniknęły.

Czy naprawdę doszło do rozlewu krwi, czy był to tylko zły sen?

Nie chciałem też patrzeć na rzekę. O tej porze roku płynęła powoli, a Hank był taki wielki. Czy woda wyrzuciła go na brzeg? A może osiadł na mieliźnie, jak martwy wieloryb? Nie chciałem być tym, który go znajdzie.

Został zaszlachtowany. Kowboj zawsze nosił przy sobie nóż i miał dobry motyw. Nawet Stick Powers rozwiązałby tę zagadkę.

Byłem jedynym świadkiem, ale postanowiłem, że zabiorę tę tajemnicę do grobu.

Otis zmienił biegi i zawrócił; przekonałem się, że to wcale nie takie łatwe. W oddali mignął mi most, ale na szczęście tylko mignął. Małpka znudziła się obserwowaniem mojej twarzy i przeszła na drugie ramię swego pana. Przez chwilę patrzyła na mnie zza jego głowy, a potem po prostu siedziała tam niczym mała sówka i gapiła się na drogę.

Och, gdyby widział mnie teraz Dewayne! Spaliłby się z zazdrości. Byłby upokorzony. Doznałby tak wielkiej klęski, że długo by się do mnie nie odzywał. Nie mogłem się doczekać soboty, kiedy to zamierzałem rozpuścić po Main Street wiadomość, że spędziłem cały dzień z Otisem na jego równiarczy - z Otisem i jego małpką. Tylko z jedną małpką, więc oczywiście

będę musiał im opowiedzieć, co się stało z drugą. A te wszystkie dźwignie i przełączniki, które z dołu wyglądały tak przerażająco, wcale nie są takie straszne. Nauczyłem się nimi operować! Tak, to będzie dzień mojej chwały.

Równiarka przystanęła przed domem. Zszedłem na dół i krzyknąłem: „Dziękuję!”, ale Otis już odjechał, nie skinąwszy mi głową i nie wypowiedziawszy ani słowa.

Nagle pomyślałem o martwej małpce i się rozplakałem. Nie wiedziałem, dlaczego płacze, i próbowałem się powstrzymać, ale łzy same ciekły mi z oczu. Nadbiegła mama, pytając, co się stało. Nie wiedziałem, co się stało: po prostu płakałem. Byłem przestraszony, zmęczony, bardzo osłabiony i pragnąłem, żeby wszystko wróciło do normy, żeby Meksykanie, Spruillowie i Latcherowie zniknęli z naszego życia, i żebym wreszcie zapomniał o koszmarze z Hankiem. Miałem dość tajemnic, dość oglądania rzeczy, których nie powinienem oglądać.

Dlatego płakałem.

Mama przytuliła mnie mocno. Kiedy uświadomiłem sobie, że się przestraszyła, powiedziałem jej o małpce.

- Na twoich oczach? - spytała przerażona.

Pokręciłem głową i wszystko jej wyjaśniłem. Wróciliśmy do domu i długo siedzieliśmy na werandzie.

Odejście Hanka zostało ostatecznie potwierdzone. Przy kolacji okazało się, że pan Spruill powiedział tacie, że Hank wyruszył nocą. Zamierzał wrócić do domu okazją.

Hank spoczywał na dnie rzeki Świętego Franciszka i kiedy pomyślałem, że leży tam wśród zębaczy, od razu straciłem apetyt. Dorośli obserwowali mnie uważniej niż zwykle. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zemdlałem, miałem zły sen, kilka razy płakałem i - przynajmniej według nich - lunatykowałem. Coś mi dolegało i chyba się o mnie martwili.

- Ciekawe, czy dojedzie do domu - powiedziała babcia, co zapoczątkowało cykl opowieści o ludziach, którzy zniknęli. Dziadzio miał kuzyna i ten kuzyn postanowił przenieść się z rodziną z Missisipi do Arkansas. Podróżowali dwiema starymi ciężarówkami. Dojechali do torów kolejowych. Ciężarówka z kuzynem za kierownicą przejechała przez tory jako pierwsza. Wtedy nadjechał z rykiem pociąg, więc druga ciężarówka musiała poczekać. Pociąg był długi i kiedy wreszcie przejechał, po pierwszej ciężarówce nie było ani śladu. Ta druga dojechała do rozwidlenia dróg. Kuzyna już nigdy więcej nie widziano, a działo się to przed trzydziestoma laty. Zniknęli i kuzyn, i ciężarówka.

Słyszałem tę historię wiele razy. Wiedziałem, że po dziadku opowiadać będzie babcia i rzeczywiście, opowiedziała historię o ojcu swojej mamy, który spłodził sześcioro dzieci i

uciekł pociągiem do Teksasu. Ktoś z rodziny spotkał go dwadzieścia lat później. Ojciec mamy miał nową żonę i sześcioro nowych dzieci.

- Dobrze się czujesz? - spytał Dziadzio, kiedy skończyliśmy jeść. Nie burczał już ani nie warczał jak zwykle. Opowiadali to wszystko ze względu na mnie. Próbowali mnie rozbawić, bo się o mnie martwili.

- Tak, jestem tylko zmęczony - odrzekłem.

- Chcesz się wcześniej położyć? - spytała mama. Kiwnąłem głową.

One zmywały naczynia, a ja poszedłem do pokoju Ricky'ego. Napisałem do niego już dwie strony listu, co było nie lada wyczynem. List wciąż tkwił w bloku do pisania, ukryty pod materacem, i w przeważającej części zawierał opis bójk z Letcherami. Z zadowoleniem przeczytałem go jeszcze raz. Przeszło mi przez myśl, żeby napisać mu o Kowboju i Hanku, ale postanowiłem poczekać, aż wróci do domu. Do tego czasu Meksykanie już wyjadą, w domu znowu będzie bezpiecznie i Ricky na pewno zdecyduje, co zrobić.

Doszedłem do wniosku, że list jest gotowy, sęk w tym, że nie wiedziałem, jak go wysłać. Zawsze wysyłaliśmy wszystkie listy razem, najczęściej w dużej, żółtej kopercie. Postanowiłem, że nazajutrz spytam o to pana Lyncha Thorntona z poczty przy Main Street.

Mama przeczytała mi opowieść o Danielu w jaskini lwa, jedną z moich ulubionych. Kiedy zmieniała się pogoda i wieczorami chłodziło, mniej czasu spędzaliśmy na werandzie, a więcej na czytaniu do poduszki. Mama lubiła opowieści biblijne, co bardzo mi odpowiadało. Czytała kawałek, wyjaśniała, o co w nim chodzi, i czytała dalej. W każdej opowieści tkwiła jakaś nauka i zależało jej na tym, żebym ją zrozumiał. Nic nie irytowało mnie bardziej niż to, że w swoich rozdętych kazaniach brat Akers zawsze pomija najistotniejsze szczegóły.

Kiedy zamykały mi się oczy, spytałem, czy mama zostanie ze mną, dopóki nie zasnę.

- Oczywiście - odrzekła.

## ROZDZIAŁ 27

Po całodziennym odpoczynku tata ani myślał tolerować mojej dalszej nieobecności w pracy. Wyciągnął mnie z łóżka o piątej rano i jak zwykle poszliśmy po jajka i mleko.

Wiedziałem, że nie mogę dłużej ukrywać się w domu z mamą, dlatego dzielnie zniosłem przygotowania do wyjazdu na pole. Zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później muszę stawić czoło Kowbojowi. Chciałem mieć to już za sobą i spotkać się z nim, kiedy wokoło będzie dużo ludzi.

Meksykanie poszli na pole piechotą, odpuszczając sobie przejazdkę przyczepą. Dzięki temu mogli zacząć zbierać kilka minut wcześniej i uniknąć kontaktu ze Spruillami. Wyjechaliśmy tuż przed świtem. Trzymając się mocno fotela kierowcy, patrzyłem, jak w kuchennym oknie powoli znika twarz mamy. Wieczorem długo się modliłem i coś mi mówiło, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Podczas jazdy przyglądałem się naszemu traktorowi. Spędziłem na nim wiele godzin, orząc, bronując, siejąc i zwoząc bawełnę z tatą lub dziadkiem i zawsze uważałem, że jego obsługa jest bardzo skomplikowana i wymaga nie lada umiejętności. Ale teraz, po trzydziestu minutach na równiarce Otisa wyposażonej w rzędy tajemniczych dźwigni i pedałów, traktor wydał mi się maszyną bardzo prostą. Dziadzio siedział w fotelu z rękami na kierownicy i przysypiał, nie poruszając stopami, podczas gdy Otis był w nieustannym ruchu: stanowiło to kolejny powód, dla którego zamiast uprawiać bawełnę, chciałem wyrównywać drogi, jeśli oczywiście nie wypali moja kariera baseballowa, co wydawało mi się wręcz nieprawdopodobne.

Meksykanie byli już w połowie swoich rzędów, zagubieni w gąszczu krzewów i nieświadomi, że przyjechaliśmy. Wiedziałem, że jest wśród nich Kowboj, lecz w tym świetle nie mogłem ich odróżnić.

Unikałem go do przerwy na lunch. Musiał mnie widzieć i pewnie doszedł do wniosku, że przydałoby się małe przypomnienie. Tak czy inaczej, gdy jego koledzy dojadali resztki w cieniu przyczepy z bawełną, on zabrał się z nami. Siedział samotnie, a ja przez całą drogę do domu nie zwracałem na niego uwagi.

Kiedy w końcu zebrałem się na odwagę i zerknąłem przez ramię, czyścił nożem paznokcie, wyraźnie czekając na tę chwilę. Uśmiechnął się strasznym uśmiechem, który mówił więcej niż tysiąc słów, i leciutko pomachał do mnie sprężynowcem. Nikt oprócz mnie tego nie

widział, a ja natychmiast uciekłem wzrokiem w bok.

Nasz układ został przypieczętowany jeszcze trwalej.

Pod wieczór przyczepa się wypełniła i po szybkiej kolacji Dziadzio oznajmił, że pora jechać do miasta. Podczepiliśmy ją do pikapu i skręciliśmy na świeżo wyźwirowaną drogę. Otis był prawdziwym mistrzem. Nawet naszym starym pikapem sunęło się po niej jak po stole.

Dziadzio jak zwykle się nie odzywał, co bardzo mi pasowało, bo ja też nie miałem nic do powiedzenia. Od dawna uginałem się pod ciężarem tajemnic, ale nie mogłem się z nich nikomu zwierzyć. Powoli przejechaliśmy przez most. Powiodłem wzrokiem po powierzchni mulistej, leniwie płynącej wody, lecz nie zauważyłem niczego niezwykłego, ani plam krwi, ani innych dowodów zbrodni, której byłem świadkiem.

Od chwili morderstwa minął już cały dzień, zwyczajny dzień harówki na farmie. Nieustannie myślałem o Hanku, ale chyba dobrze to ukrywałem. Najważniejsze, że mama była bezpieczna, reszta się nie liczyła.

Minęliśmy skrzyżowanie z drogą do Latcherów i dziadek zerknął w stronę ich chaty. Miałem większe zmartwienia niż oni, przynajmniej chwilowo.

Wjechaliśmy na szosę i kiedy tak oddalaliśmy się od domu, pomyślałem, że już niedługo będę mógł zrzucić z ramion ciężar tajemnicy i opowiedzieć wszystko dziadkowi, sam na sam, w cztery oczy. Kowboj wróci do Meksyku i zniknie w swojej bezpiecznej krainie. Spruillowie wrócą do domu i nie zastaną tam Hanka. Wtedy zdradzę tajemnicę dziadkowi, a on na pewno będzie wiedział, co zrobić.

Wjechaliśmy do miasta za jakąś przyczepą i skręciliśmy za nią do odziarniarni. Zaparkowaliśmy, wysiedliśmy, a ja nie odstępowałem dziadka na krok. Przed biurem stała grupka farmerów pogrążonych w poważnej rozmowie. Podeszliśmy do nich, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

Wiadomości były groźne i ponure. W nocy przez hrabstwo Clay na północ od nas przeszła potężna ulewa. W niektórych miejscach w ciągu dziesięciu godzin spadło piętnaście centymetrów deszczu. Hrabstwo Clay leżało w górnym biegu rzeki Świętego Franciszka i wpadające do niej potoki i strumyki gwałtownie przybrały.

Poziom wód szybko wzrastał.

Farmerzy rozważali, co z tego wyniknie. Paru z nich sądziło, że burza nie będzie miała dużego wpływu na stan naszej rzeki. Byliśmy za daleko, tutaj od dawna nie padało, dlatego Święty Franciszek na pewno nie wyleje. Jednakże zdecydowanie przeważali pesymiści i zawodowi czarnowidze, dlatego wiadomość o ulewie przyjęto z dużym niepokojem.

Jeden z farmerów powiedział, że w połowie października spadną ulewne deszcze - tak przewidywał poradnik rolnika.

Inny dodał, że zalało jego kuzyna w Oklahomie, a ponieważ deszcze zawsze nadciągały od zachodu, nie ulegało wątpliwości, że dotrą i do nas.

Dziadzio mruknął, że deszcze z Oklahomy zawsze docierają do Arkansas szybciej niż jakiegokolwiek wiadomości.

Rozmawiali bardzo długo, padały różne głosy, ale przeważały te pesymistyczne. Pogoda, rozchwiany rynek, ceny nasion i nawozów dawały im w kość tyle razy, że oczekiwali najgorszego.

- Od dwudziestu lat nie mieliśmy powodzi w październiku - oświadczył pan Red Fletcher, co zapoczątkowało dyskusję o historii jesiennych powodzi. Ponieważ każdy z nich miał inne wspomnienia, padło tyle sprzecznych opinii, że problem jeszcze bardziej się zagmatwał.

Dziadek nie przyłączył się do rozmowy. Stał tam i słuchał przez pół godziny, wreszcie wrócił do samochodu, odczepił przyczepę i pojechaliśmy do domu, oczywiście bez słowa. Zerknąłem na niego parę razy i przekonałem się, że wygląda dokładnie tak, jak przypuszczałem: ponury, milczący i zmartwiony, miał zmarszczone czoło, nie odrywał rąk od kierownicy i myślał wyłącznie o nadchodzącej powodzi.

Zatrzymaliśmy się przy moście i zeszliśmy na mulisty brzeg. Dziadek przyglądał się jej przez chwilę, jakby zaraz miała wylać - drżałem ze strachu, bo tuż przed nami mógł nagle wypłynąć trup Hanka - a potem bez słowa wyłowił z wody jakiś kij. Kij miał niecały metr długości i ze dwa i pół centymetra średnicy: dziadek odłamał sterczące gałązki, za pomocą kamienia wbił go w piach, gdzie woda miała najwyżej trzy centymetry głębokości, po czym zrobił na kiju nacięcie scyzorykiem.

- Sprawdzimy rano. - Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od bardzo długiego czasu.

Przez kilka minut obserwowaliśmy nasz wodomierz, przekonani, że woda zaraz przybierze. Ponieważ nie przybrała, wróciliśmy do pikapu.

Rzeka mnie przerażała, ale nie dlatego, że mogła wylać. Gdzieś pod mostem leżał Hank, martwy i rozdęty, gotów w każdej chwili wypłynąć. Gdyby ktoś go tam znalazł, policja miałaby do czynienia z morderstwem. Nie ze zwykłym zabójstwem jak to, do którego doszło podczas bójki z Siscami, ale z prawdziwym morderstwem.

Jeśli nadejdą ulewne deszcze, to może pozbędziemy się Kowboja. Po ulewnych deszczach woda w rzece przybiera i płynie znacznie szybciej. Porwałaby wtedy Hanka, a raczej

to, co z niego zostało, i poniosła do innego hrabstwa, może nawet do innego stanu, gdzie pewnego dnia ktoś by go znalazł, nie mając najmniejszego pojęcia, co to za trup.

Tego wieczoru modliłem się o deszcz. Modliłem się najżarliwiej, jak tylko umiałem. Prosiłem Boga, żeby zesłał nam największy potop od czasów Noego.

Była sobota rano i właśnie jedliśmy śniadanie, kiedy do kuchni wszedł dziadzio. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i już wiedzieliśmy, że jest źle.

- Rzeka przybrała dziesięć centymetrów - powiedział, zerkając na mnie i sięgając po jedzenie. - A na zachodzie się błyska.

Tata zmarszczył brwi, ale nie przestał jeść. Jeśli chodzi o pogodę, zawsze był pesymistą. Gdy świeciło słońce, przewidywał rychłe opady deszczu. Kiedy lało, lało zgodnie z jego oczekiwaniami. Babcia przyjęła tę wiadomość obojętnie. Jej młodszy syn walczył w Korei i był ważniejszy od wszystkich deszczów razem wziętych. Od urodzenia mieszkała na wsi i wiedziała, że chociaż lata złe przeplatają się z dobrymi, życie toczy się dalej. Bóg obdarzył nas zdrowiem i mnóstwem jedzenia, czego nie mogło powiedzieć o sobie wielu ludzi. Poza tym nie miała cierpliwości, żeby wiecznie zamartwiać się o pogodę.

- Nic na to nie poradzimy - powtarzała.

Mama ani się nie uśmiechała, ani nie marszczyła brwi, jednak na jej twarzy gościł dziwny wyraz zadowolenia. Nie zamierzała egzystować na farmie do końca życia, tym bardziej nie zamierzała dopuścić do tego, żebym ja został farmerem. Jej dni na wsi były policzone, a złe zbiory mogły tylko przyspieszyć nasz wyjazd.

Zanim skończyłem jeść, po niebie przetoczył się pierwszy grzmot. Babcia i mama zebrały ze stoły naczynia i zaparzyły drugi dzbanek kawy. Siedzieliśmy, rozmawiając, nasłuchując i zastanawiając się, jak gwałtowna nawiedzi nas burza. Miałem wyrzuty sumienia, bo wyglądało na to, że Bóg wysłuchał moich modlitw.

Jednakże grzmoty i błyskawice przeszły bokiem. Deszcz nie spadł. O siódmej rano harowaliśmy już na polu, z utęsknieniem czekając na lunch.

Do Black Oak pojechał z nami tylko Miguel. Pozostali Meksykanie tyrali przy bawelnie, a on musiał kupić dla nich kilka rzeczy. Odczułem niewymowną ulgę. Nie musiałem jechać z Kowbojem, który siedziałby na podłodze ledwie metr ode mnie.

Na skraju miasta złapał nas deszcz, a raczej chłodna mżawka. Chodnikami snuli się przechodnie, na próżno usiłując kryć się pod markizami i balkonami.

Pogoda zatrzymała w domu wielu farmerów. Najwyraźniej dało się to odczuć o

czwartej, kiedy rozpoczął się seans w naszym kinie. Połowa sali ziała pustką, pewny znak, że nie była to zwyczajna sobota. W trakcie filmu zamrugały boczne światelka i zgasł ekran. Siedzieliśmy w ciemności i gotowi do panicznej ucieczki, wsłuchiwalismy się w odgłosy burzy.

- Nie ma prądu - powiedział ktoś bardzo oficjalnym głosem. - Proszę powoli wychodzić.

Stłoczyliśmy się w ciasnym holu i patrzyliśmy na deszcz. Niebo było ciemnoszare, a nieliczne samochody przejeżdżające Main Street miały włączone światła.

Nawet jako dzieci wiedzieliśmy, że za dużo jest tych deszczów, burz i pogłosek o powodzi. Rzeki wylewały na wiosnę, rzadko kiedy podczas zbiorów. W świecie, w którym wszyscy albo uprawiali ziemię, albo handlowali z farmerami, opady w połowie października były czymś bardzo przygnębiającym.

Kiedy deszcz trochę zelżał, pobiegliśmy poszukać rodziców. Ulewa oznaczała, że drogi będą błotniste i że miasto wkrótce opustoszeje, ponieważ farmerzy zechcą dotrzeć do domu przed zapadnięciem zmroku. Tata wspominał, że chce kupić nowy brzeszczot do piły, dlatego wszedłem do sklepu żelaznego. Tam też było tłoczno. Starcy rozprawiali o dawnych powodziach, kobiety o tym, ile deszczu spadło w Paragould, Lepanto czy w Manili. W przejściach między półkami stali ludzie, którzy po prostu rozmawiali, niczego nie kupując ani nawet niczego nie oglądając.

Przebiegałem się przez tłum i wypatrywałem taty. Sklep był bardzo stary, w głębi mroczny jak pieczara. Mokra podłoga głośno skrzypiała, a miejscami się zapadała. Na końcu rzędu skręciłem za półkę i stanąłem oko w oko z Tally i Trotem. Ona trzymała czteroipółlitrową puszkę białej farby, on puszkę litrową. Podobnie jak pozostali klienci, krążyli po sklepie, czekając, aż ulewa zelżeje. Trot zobaczył mnie i schował się za siostrę.

- Cześć, Luke - powiedziała z uśmiechem.

- Cześć. - Spojrzałem na puszkę, którą postawiła na podłodze. - Po co wam farba?

- Po nic - odparła i znowu się uśmiechnęła. Po raz kolejny doszedłem do wniosku, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem, i kiedy się tylko uśmiechnęła, w mojej głowie zapanowała kompletna pustka. Jeśli widziało się piękną dziewczynę nago, odczuwa się do niej swoiste przywiązanie.

Trot ukrywał się za nią jak małe dziecko za spódnicą matki. Zaczęliśmy rozmawiać o burzy i przekazałem jej ekscytującą wiadomość, że w trakcie filmu wysiadł prąd. Słuchała z zainteresowaniem, dlatego im dłużej mówiłem, tym większą miałem ochotę mówić. Opowiedziałem jej o wrastającym poziomie wody i o wodomierzu, który ustawiliśmy z

dziadkiem w rzece. Potem spytała mnie o Ricky'ego, no i rozgadałem się o Rickym.

O farbie oczywiście zapomniałem.

Zamrugały lampy, zapaliło się światło. Ale deszcz wciąż lał, dlatego nikt nie wychodził ze sklepu.

- A co słyhać u Latcherów? - spytała Tally, rozglądając się wokoło, jakby ktoś mógł nas podsłuchać. Dziecko Libby było jedną z naszych największych tajemnic.

Już miałem coś powiedzieć, gdy wtem dotarło do mnie, że jej brat nie żyje, a ona nic o tym nie wie. Spruillowie myśleli pewnie, że Hank jest już w Eureka Springs, w ich ładnym, małym, malowanym domku, że za kilka tygodni go zobaczą - za kilka tygodni, a nawet wcześniej, jeśli nie przestanie padać. Spojrzałem na nią i chciałem coś powiedzieć, ale mogłem myśleć jedynie o tym, jak bardzo byłaby wstrząśnięta, gdyby wiedziała, o czym myślę.

Uwielbiałem Tally mimo jej dąsów, sekretów i tego, co robiła z Kowbojem na polu. Nic nie mogłem na to poradzić, dlatego nie chciałem zadawać jej bólu. Miałbym nagle wypalić, że Hank nie żyje? Na samą myśl o tym ugięły się pode mną nogi.

Coś bąknąłem, zająknąłem się i wbiłem wzrok w podłogę. Zrobiło mi się zimno ze strachu.

- Na razie - wykrztusiłem i ruszyłem do drzwi.

Na chwilę przestało lać i ludzie truchtali chodnikiem, zmierzając do swoich samochodów i ciężarówek. Chmury wciąż były czarne i chcieliśmy zdążyć do domu, zanim znowu lunie.

## ROZDZIAŁ 28

W niedzielę niebo było ciemne i zaciągnięte i tacie nie podobała się perspektywa moknięcia na deszczu w drodze do kościoła. Poza tym szoferka naszego pikapu nie należała do najlepszych, dlatego podczas silnej ulewy mama i babcia zwykle ociekały wodą. Rzadko kiedy opuszczaliśmy niedzielne nabożeństwo, ale groźba deszczu czasami zatrzymywała nas w domu. Ponieważ od wielu miesięcy jeździliśmy do kościoła bardzo regularnie, to kiedy babcia zaproponowała, żeby zjeść późne śniadanie i posłuchać radia, natychmiast na to przystaliśmy. Bellevue był jednym z największych kościołów w Memphis i rozgłośnia WHBQ transmitowała odbywające się tam nabożeństwa. Dziadziowi nie podobał się kaznodzieja - mówił, że jest zbyt liberalny - mimo to lubiliśmy go słuchać. No i śpiewał tam chór na sto głosów, to znaczy na osiemdziesiąt więcej niż chór w Black Oak.

Długo po śniadaniu usiedliśmy przy kuchennym stole, żeby wypić kawę (ja też piłem), posłuchać kazania dla trzech tysięcy wiernych i pomartwić się drastyczną zmianą pogody. Martwili się dorośli, ja tylko udawałem.

Najbardziej niesamowite było to, że Bellevue miał własną orkiestrę i kiedy zagrała podczas błogosławieństwa, zdawało się, że Memphis leży milion kilometrów stąd. Orkiestra w kościele. W Memphis mieszkała ciocia Betty, starsza córka babci, i chociaż nie chodziła do Bellevue, znała kogoś, kto tam chodził. Wszyscy mężczyźni występowali w garniturach, a wszystkie rodziny przyjeżdżały do kościoła pięknymi samochodami. To był naprawdę inny świat.

Pojechaliśmy z dziadkiem nad rzekę, żeby zobaczyć, co z naszym wodomierzem. Deszcz wyżywał się na świeżo wyrównanej drodze. Z płytkich rowów po jej obu stronach wyciekała woda, złobiąc w nawierzchni głębokie bruzdy, a w licznych dziurach kisiło się błoto. Zatrzymaliśmy się na moście i popatrzyliśmy na rzekę. Nawet ja zauważyłem, że przybrała. Nasz cypel i mielizna zniknęły w głębinie. Woda była mętniejsza, brązowawa, co oznaczało, że deszcz spłukuje do niej ziemię z pól. Płynęła znacznie szybciej, miejscami gwałtownie wirowała, niosąc z prądem patyki, a nawet duże gałęzie.

Nasz wodomierz wciąż stał, ale ledwo się trzymał. Wystawał tylko kilkanaście centymetrów nad powierzchnię. Dziadzio zamoczył buty, chcąc do niego dojść. Wyciągnął go i podejrzliwie obejrzał ze wszystkich stron.

- Dwadzieścia pięć centymetrów w ciągu dwudziestu czterech godzin. - Powiedział to

chyba do siebie, nie do mnie. - Przykucnął i postukał kijkiem w kamień.

Obserwując go, uświadomiłem sobie, że rzeka szumi trochę inaczej niż zwykle. Może nie głośniej, ale inaczej. Woda rwała na pewno szybciej, zalewając piaszczyste mielizny i szturmując podpory mostu. Chlupotała w gęstych zaroślach na brzegu i muskała korzenie pobliskiej wierzby. Był to szum złowieszczy. Nigdy dotąd takiego nie słyszałem.

Dziadek słyszał go aż za dobrze. Wskazał kijkiem zakręt rzeki i powiedział:

- Najpierw dojdzie do Latcherów. Ich pole leży najniżej.

- Kiedy dojdzie? - spytałem.

- Zależy od deszczu. Jeśli ustanie, może i nie wyleje. Ale wciąż pada i za tydzień woda wystąpi z brzegów.

- Kiedy wylała ostatni raz?

- Trzy lata temu, ale na wiosnę. Jesienią od dawna nie było powodzi.

Chciałem go o wszystko wypytać, lecz widziałem, że dziadek nie chce o tym rozmawiać. Przez chwilę patrzył na rzekę, wsłuchiwał się w szum, potem wrócił do samochodu i pojechaliśmy do domu.

- Teraz nad strumień - rzucił.

Polne drogi były bardzo błotniste, dlatego uruchomił traktor i wyjechaliśmy z podwórza, czując na sobie zaciekawione spojrzenia Spruillów i Meksykanów. W niedzielę nigdy nie jeździliśmy ciągnikiem. Pewnie myśleli, że Eli Chandler chce pracować w święto.

Strumień też się zmienił. Czyściutkiej wody, w której tak bardzo lubiła kąpać się Tally, już nie było. Zniknęły też chłodne strumyczki szemrzące między głazami i starymi pniakami. Siler's Creek był teraz dużo szerszy i niósł do rzeki mętną, błotnistą wodę. Wysiedliśmy i podeszliśmy do brzegu.

- To on nas zalewa - powiedział dziadek. - Nie rzeka. Tu jest niżej i kiedy występuje z brzegów, woda spływa prosto na nasze pola.

Woda wciąż płynęła trzy metry niżej, w głębokim, bezpiecznym żlebie, który musiał powstać przed dziesiątkami lat. Wydawało się niemożliwe, żeby się przelała.

- Myśli dziadek, że wyleje? - spytałem.

Myślał bardzo długo, a może nie myślał wcale. Patrzył na strumień i patrzył, wreszcie rzekł:

- Nie. Wszystko będzie dobrze. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Na zachodzie zagrzmiało.

W poniedziałek wczesnym rankiem wszedłem do kuchni i zastałem tam dziadka, który

pił kawę i majstrował przy radiu. Próbował złapać radiostację w Little Rock, żeby posłuchać prognozy pogody. Babcia smażyła bekon. W domu było zimno, ale od rozgrzanej patelni i od zapachu bekonu od razu zrobiło mi się cieplej. Tata podał mi starą flanelową koszulę, którą odziedziczyłem po Rickym, i niechętnie ją włożyłem.

- Dziadku, będziemy dzisiaj zbierać? - spytałem.

- Zaraz zobaczymy - mruknął, nie odrywając wzroku od radia.

- Czy w nocy padało?

Babcia pocałowała mnie w czoło.

- Tak, lało - odrzekła. - A teraz idźcie po jajka.

Ganek, schodki, podwórze - szedłem za tatą, dopóki nie zobaczyłem czegoś, co mnie zmroziło. Stałem jak wryty. Słońce dopiero co wzeszło, ale światło było całkiem dobre. Nie, nie miałem żadnych omamów.

- Tam - wykrztusiłem, wyciągając rękę.

Tata szedł do kurnika i wyprzedzał mnie o dziesięć kroków.

- Co się stało? - rzucił przez ramię. Pod dębem, w miejscu, gdzie przez całe moje życie dziadek zostawiał pikapa, były tylko puste koleiny. Pikap zniknął.

- Samochód - powiedziałem.

Tata podszedł do mnie powoli i długo patrzyliśmy na koleiny. Pikap stał tam od niepamiętnych czasów, od zawsze, tak samo jak dęby czy szopa na narzędzia. Widzieliśmy go codziennie, nie zdając sobie sprawy, że go widzimy, gdyż zawsze tam był.

Tata bez słowa zawrócił. Wszedł przez ganek do kuchni i spytał:

- Gdzie jest nasz pikap?

Dziadzio rozpaczliwie wsłuchiwał się w dobiegające z radia trzaski. Babcia zamarła i przekrzywiła głowę, jakby nie dosłyszała pytania. Dziadek wyłączył radio.

- Co mówisz? - rzucił.

- Nie ma pikapu - powiedział tata.

Dziadek spojrzął na babcię, która patrzyła na tatę. Potem wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym znowu zrobił coś złego. W tej samej chwili do kuchni weszła mama i wszyscy razem wymaszerowaliśmy rzędem z domu, żeby popatrzeć na błotniste koleiny.

Przeszukaliśmy całą farmę, jakby pikap mógł sam przejechać w inne miejsce.

- Zaparkowałem tutaj - powiedział z niedowierzaniem dziadek. Oczywiście, że tutaj. Nigdy w życiu nie zostawił samochodu gdzie indziej.

Z oddali dobiegł nas głos pana Spruilla:

- Tally!

- Ktoś zabrał nasz samochód - wymamrotała cichutko babcia.

- Gdzie są kluczyki? - spytał tata.

- Koło radia, jak zawsze - odparł Dziadzio. Na końcu kuchennego stołu stała mała cynowa miska, do której zawsze wrzucano kluczyki. Tato poszedł sprawdzić. Wrócił bardzo szybko.

- Nie ma - powiedział.

- Tally! - krzyknął pan Spruill, tym razem głośniej. W ich obozowisku zapanowało dziwne ożywienie. W stronę werandy szła szybko jego żona. Kiedy zobaczyła, że stoimy na ganku, podbiegła do nas i powiedziała:

- Tally zniknęła. Nie możemy jej nigdzie znaleźć.

Niebawem dołączyli do niej pozostali Spruillowie i przed gankiem doszło do dwurodzinnego zgromadzenia. Tata zawiadomił ich, że zginął nam pikap, a oni, że zginęła im córka.

- Czy ona umie prowadzić? - spytał dziadek.

- Nie - odrzekła pani Spruill, co jeszcze bardziej skomplikowało sprawę.

Zapadło głucho milczenie, bo wszyscy pogrążyli się w zadumie.

- Czy to możliwe, żeby Hank wrócił? - myślał głośno dziadek. - Wrócił i zabrał nam samochód?

- Hank by niczego nie ukradł - odparł pan Spruill z gniewem i zakłopotaniem w głosie. W tym momencie wszystko zdawało się zarówno możliwe, jak i zupełnie nieprawdopodobne.

- Hank jest już w domu - dodała pani Spruill ze łzami w oczach.

Chciałem krzyknąć: „Hank nie żyje!”, a potem uciec do domu i schować się pod łóżko. Ci biedni ludzie nie wiedzieli, że ich syn już nigdy nie wróci do domu. Tajemnica jego śmierci była zbyt ciężka, bym mógł dźwigać ją samotnie. Stałem za mamą.

Mama nachyliła się do taty i szepnęła:

- Sprawdź, co z Kowbojem. - Powiedziałem jej o Kowboju i o Tally, dlatego wiedziała więcej niż reszta.

Tata myślał chwilę i spojrzał w stronę stodoły. Za jego wzrokiem poszedł Dziadzio, babcia i w końcu wszyscy pozostali.

Powoli szedł ku nam Miguel. Szedł niespiesznie, zostawiając ślady w mokrej trawie. W rękę ścisnął brudny słomkowy kapelusz i odniosłem wrażenie, że chyba nie chce z nami rozmawiać.

- Dzień dobry - pozdrowił go dziadek, jakby był to zwyczajny ranek zwyczajnego dnia.

- Dzień dobry, *señor*. - Miguel skinął głową.

- Coś się stało?

- *Si, señor*. Jest mały kłopot.

- Tak?

- Kowboj zniknął. Pewnie uciekł nocą.

- Epidemia jakaś czy co - mruknął dziadek i splunął na trawę.

Chwilę trwało, zanim Spruillowie dodali dwa do dwóch. Początkowo uważali, że zniknięcie Tally nie ma nic wspólnego z Kowbojem; najwyraźniej nic nie wiedzieli o ich potajemnym romansie. Chandlerowie wyciągnęli wnioski znacznie szybciej, no ale my o romansie wiedzieliśmy.

Powoli dotarła do nas cała prawda.

- Myślicie, że on ją porwał? - spytał pan Spruill z nutką paniki w głosie. Jego żona pociągnęła nosem, z trudem powstrzymując łzy.

- Sam nie wiem, co myśleć - odrzekł dziadek. O wiele bardziej martwił się pikapem niż Tally i Kowbojem.

- Czy Kowboj zabrał swoje rzeczy? - spytał Miguela tato.

- *Si, señor*.

- A Tally? - spytał tato pana Spruilla.

Pan Spruill nie odpowiedział i pytanie zawisło w powietrzu.

- Tak - wyręczył go Bo. - Nie ma jej torby.

- Co miała w torbie?

- Ubranie i takie tam... I puszkę z pieniędzmi.

Pani Spruill rozplakała się i jęknęła:

- O, moje dziecko!

Miałem ochotę wczołgać się pod dom.

Spruillowie wyglądali żałośnie. Pospuszczane głowy, pochylone ramiona, przymknięte oczy - ich ukochana Tally uciekła z kimś, kogo uważali za gorszego od siebie, z ciemnoskórym intruzem z zapomnianej przez Boga krainy. Byli upokorzeni i boleśnie zranieni.

Mnie też bolało serce. Jak mogła zrobić coś tak strasznego? Była moją przyjaciółką. Traktowała mnie jak powiernika i chroniła jak starsza siostra. Kochałem ją, a ona uciekła z tym potwornym mordercą.

- On ją porwał! - jęczała pani Spruill. Bo i Dale odprowadzili ją do namiotu i na placu boju został tylko jej mąż i Trot. W zazwyczaj tępych oczach małego Spruilla smutek mieszał się z konsternacją. Tally była także jego opiekunką. A teraz zniknęła.

Rozpętała się burzliwa dyskusja. Co robić? Oczywiście najważniejszym zadaniem było

odnalezienie Tally i pikapu, zanim jedno i drugie odjadą za daleko. Nie mieliśmy pojęcia, o której uciekli, wiedzieliśmy jedynie, że zrobili to pod osłoną burzy. Spruillowie słyszeli tylko grzmoty i bębnienie deszczu, a droga przebiega dwadzieścia pięć metrów od ich namiotów.

Mogli uciec wiele godzin temu i mieli dość czasu, żeby dotrzeć do Jonesboro, Memphis, a nawet Little Rock.

Jednakże dorośli byli dobrej myśli i uważali, że oboje szybko się odnajdą. Pan Spruill poszedł zdjąć zadaszanie z ciężarówki i wyprowadzić ją zza prowizorycznych stołów i namiotów. Prosiłem tatę, żeby zabrał mnie ze sobą, ale kategorycznie odmówił. Poszedłem do mamy, ale ona też nie chciała mnie puścić.

- To nie dla ciebie - powiedziała.

Dziadzio i tata wcisnęli się do szoferki z panem Spruillem. Zabuksowały koła, trysnęły strugi błota i ciężarówka odjechała, zarzucając na śliskiej drodze.

Poszedłem za silos, do porośniętych zielskiem pozostałości po starej wędzarni. Usiadłem pod dziurawym blaszanym daszkiem i siedziałem tam przez godzinę, patrząc na kapiący deszcz. Ulżyło mi, że Kowboj wyjechał, i podziękowałem za to Bogu krótką, lecz szczerą modlitwą. Jednakże ulgę przesłoniło rozczarowanie, jakie odczuwałem w związku z Tally. Udało mi się nawet ją znienawidzić. Przeklinałem ją słowami, których nauczył mnie Ricky, a kiedy wreszcie zabrakło mi przekleństw, długo błagałem Boga o przebaczenie.

I prosiłem Go, żeby strzegł Tally.

Odszukanie szeryfa zajęło im dwie godziny. Stick utrzymywał, że był w kwaterze głównej w Jonesboro, ale - przynajmniej zdaniem dziadka - wyglądał tak, jakby przez cały tydzień spał. Niezmiernie się ucieszył, że na podlegającym mu terenie doszło do tak ciężkiego przestępstwa. Kradzież samochodu dostawczego była według farmerów zbrodnią niewiele lżejszą od morderstwa, dlatego energicznie wziął się do roboty. Przez zdezelowane radio zawiadomił patrole we wszystkich okolicznych hrabstwach i wkrótce w północno-wschodnim Arkansas zawrzało.

Dziadzio uważał, że Stick nie martwi się zbytnio o Tally. Trafnie odgadł, że wyjechała z Kowbojem dobrowolnie, co było czynem niegodnym, może nawet haniebnym, ale nie kwalifikowało się jako przestępstwo, chociaż jej tato ciągle mówił o „uprowadzeniu”.

Było bardzo wątpliwe, że zakochane ptaszki zdecydują się na długą podróż naszym pikapem. Najprawdopodobniej zamierzali uciec do innego stanu, dlatego Stick uważał, że przesiądą się do autobusu. Jako autostopowicze wyglądałoby zbyt podejrzanie; nasi kierowcy nigdy nie podrzuciliby takiego typu jak Kowboj, zwłaszcza że towarzyszyła mu biała

dziewczyna.

- Pewnie jadą autobusem na północ - zawyrokował.

Kiedy dziadek nam to opowiedział, przypomniało mi się, że Tally marzyła o wyjeździe do Kanady, gdzie jest zawsze chłodno i sucho. Pragnęła mieszkać tam, gdzie jest dużo śniegu, i z jakiegoś powodu uznała, że najlepiej jej będzie w Montrealu.

Dorośli omówili też kwestię pieniędzy. Tata szybko obliczył, że Kowboj zarobił u nas około czterystu dolarów. Nikt nie wiedział, ile wysłał do domu. Tally zarobiła mniej więcej połowę tego co on i najpewniej większość tej kwoty odłożyła. Wiedzieliśmy, że kupowała farbę dla Trota, ale nie mieliśmy pojęcia o jej innych wydatkach.

Właśnie w tym miejscu opowieści dziadka chciałem obnażyć duszę i powiedzieć im o Hanku. Bo Kowboj nie tylko go zabił, ale i obrabował. Nie wiedzieliśmy, ile Hank wydał, a ile zaoszczędził, lecz ja wiedziałem na pewno, że w chwili śmierci miał przy sobie dwieście pięćdziesiąt dolarów od Samsona, które spoczywały teraz w kieszeni Kowboja. Już otwierałem usta, żeby to wszystko powiedzieć, ale się przestraszyłem. Kowboj uciekł, lecz mogli go złapać.

Zaczekaj, powtarzałem sobie w duchu. Zaczekaj. Pewnego dnia zrzucisz z barków wszystkie ciężary.

Tak czy inaczej, było oczywiste, że uciekinierzy mają dość pieniędzy, żeby długo jechać autobusem.

A my byliśmy spłukani, jak zwykle. Dziadek i tata zastanawiali się przez chwilę, co zrobią bez pikapu, jednak sprawa ta za bardzo ich bolała, by się nad nią rozwodzić. Poza tym stałem obok i wszystko słyszałem.

Zjedliśmy wczesny lunch, a potem siedliśmy na ganku i patrzyliśmy na deszcz.

## ROZDZIAŁ 29

Na podwórzu wtoczył się z warkotem stary radiowóz Sticka, a tuż za nim wjechał nasz pikap. Z radiowozu wysiadł Stick, dumny i wyniosły, bo oto rozwiązał najbardziej palącą część zagadki. Pikapa, który na pierwszy rzut oka wyglądał tak samo jak przedtem, przyprowadził drugi zastępca szeryfa z Black Oak. Nadbiegli Spruillowie, chcąc dowiedzieć się czegoś o Tally.

- Znaleźliśmy go na dworcu autobusowym w Jonesboro - oznajmił Stick, gdy zebrał się wokół niego stosowny tłumek. - Tak jak myślałem.

- Gdzie były kluczyki? - spytał Dziadzio.

- Pod fotelem. Zbiornik jest pełen. Nie wiem, czy był, kiedy stąd wyjeżdżali, ale teraz jest.

- Miałem tylko pół baku - mruknął zdumiony dziadek. Byliśmy zaskoczeni nie tylko tym, że znowu widzimy pikapa, ale i tym, że jest nieuszkodzony. Cały dzień martwiliśmy się o przyszłość bez środka transportu. Znaleźlibyśmy się w tej samej sytuacji co Latcherowie, którzy musieli prosić sąsiadów o podrzucenie do miasta. Nie mogłem sobie tego wyobrazić, dlatego jeszcze bardziej chciałem przenieść się do miasta, gdzie wszyscy mieli samochody.

- Chyba tylko go sobie pożyczyli - powiedział pan Spruill jakby sam do siebie.

- Też tak to widzę - odrzekł Stick. - Chcesz wnieść oskarżenie?

Dziadek i tata wymienili spojrzenia.

- Chyba nie - odparł Dziadzio.

- Widział ich kto? - spytała cicho pani Spruill.

- Tak. Kupili dwa bilety do Chicago i przez pięć godzin czekali na dworcu. Kasjer czuł, że coś się święci, ale uznał, że to nie jego sprawa. Ucieczka z Meksykaninem to głupota, ale nie przestępstwo. Obserwował ich przez całą noc, udawali, że się nie znają. Nawet nie siedzieli obok siebie, ale w autobusie usiedli razem.

- O której odjechali? - spytał pan Spruill.

- O szóstej rano. - Stick wyjął z kieszeni kopertę. - Znalazłem to na przednim siedzeniu. Zdaje się, że to list od Tally. Nie czytałem.

Pan Spruill podał kopertę żonie, która wyjęła z niej kartkę papieru i zaczęła czytać, ocierając łzy. Obserwowaliśmy ją w milczeniu. Nawet kryjący się za Bo i Dałem Trot wystawił głowę i patrzył na mamę.

- To nie moja sprawa - odezwał się Stick - ale jeśli są tam jakieś użyteczne informacje, chyba powinna mi je pani przekazać.

Pani Spruill czytała dalej, a kiedy skończyła, wbiła wzrok w ziemię i powiedziała:

- Pisz, że nie wróci. Pisz, że chce wyjść za Kowboja i zamieszkać na północy, gdzie jest dużo pracy. - Już nie płakała ani nie pociągała nosem: była po prostu zła. Jej córki nie uprowadzono. Uciekła z Meksykaninem i zamierzała go poślubić.

- Chcą zostać w Chicago? - spytał Stick.

- Nie pisze. Mówi tylko, że jadą na północ.

Pokonani Spruillowie rozpoczęli odwrót. Tata podziękował Stickowi i jego koledze za odnalezienie pikapu.

- Napadało u was, że aż strach - rzucił Stick, otwierając drzwiczki radiowożu.

- Wszędzie pada - odparował Dziadzio.

- Rzeka przybiera od północy - powiedział Stick tonem zawodowego meteorologa. - I znowu idzie deszcz.

- Wiem, dzięki - odrzekł dziadek.

Wsiadli. Stick już miał zamknąć drzwiczki, gdy nagle wysiadł i dodał:

- Aha, Eli. Dzwoniłem do szeryfa w Eureka Springs w sprawie tego wielkiego, no wiesz, Hanka. Nie widzieli go tam. Chłopak powinien już dojechać, nie sądzisz?

- Ano powinien. Będzie tydzień, jak wyjechał.

- Ciekawe, gdzie się zaszyl.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Jeszcze z nim nie skończyłem. Znajdę go, wezmę za to wielkie dupsko, zapuszkuje i postawię przed sądem.

- Koniecznie, Stick - odparł dziadek i odwrócił się do niego tyłem. - Koniecznie.

Łyse opony ślizgały się w błocie, ale w końcu jakoś skręcili na drogę. Mama i babcia wróciły do kuchni.

Dziadek przyniósł narzędzia, rozłożył je na opuszczonej klapie pikapu, podniósł maskę i rozpoczął dokładne oględziny silnika. Siedząc na błotniku, podawałem mu klucze i patrzyłem, co robi.

- Dlaczego taka dziewczyna jak Tally chce wyjść za Meksykanina? - spytałem.

Dziadzio naciągał pasek klinowy. Nie było wątpliwości, że uciekając, Kowboj nie zawracał sobie głowy grzebaniem w silniku, mimo to dziadek musiał sprawdzić każdą śrubkę na wypadek, gdyby Meksykanin celowo uszkodził wóz.

- Baby - mruknął.

- Co baby?

- Są głupie.

Czekałem, aż to wyjaśni, ale nie wyjaśnił.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Potem też ich nie zrozumiesz. Kobiety nie są po to, żeby je rozumieć.

Odkręcił filtr powietrza i podejrzliwie spojrzął na gaźnik. Przez chwilę zdawało się, że znalazł ślady sabotażu, ale nie: dokręcił jakąś śrubę i zadowolony kiwnął głową.

- Myśli dziadek, że ją znajdują? - spytałem.

- Nikt ich nie szuka. Odzyskaliśmy samochód. Nie było kradzieży, więc policja ich nie ściga. Spruillowie też nie będą jej szukali. Bo i po co?

- Nie mogą kazać jej wrócić do domu?

- Nie. Jeśli za niego wyjdzie, znaczy się, że jest dorosła. Zamężnej kobiecie nie można niczego kazać.

Odpalił silnik i długo wsłuchiwał się w jego warkot. Według mnie silnik warczał tak samo jak przedtem, ale on uważał, że stuka.

- Przejedźmy się - rzucił. Zawsze powtarzał, że marnowanie benzyny to grzech, ale widać miał ochotę spalić trochę darmowego paliwa od Kowboja i Tally.

Wyjechaliśmy z podwórza. Siedziałem w fotelu, w którym przed kilkunastoma godzinami siedziała Tally, uciekając do Jonesboro pod osłoną burzy. Myślałem tylko o niej i w głowie miałem kompletny chaos.

Droga była zbyt mokra i błotnista, żeby pikap osiągnął prędkość doskonałą, mimo to dziadek nadal uważał, że z silnikiem jest coś nie tak. Zatrzymaliśmy się na moście, żeby popatrzeć na rzekę. Piaszczyste mielizny i cypel już dawno zniknęły w głębinie. Między brzegami nie było nic oprócz wody: wody i naniesionych przez nią śmieci. Rwała bardzo szybko, znacznie szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Wodomierza też już nie było; pewnie zabrał go prąd. Nikt nie musiał nas przekonywać, że Święty Franciszek wkrótce wyleje.

Dziadzio był zahipnotyzowany widokiem wody i jej szumem. Nie wiedziałem, czy chciało mu się płakać, czy miał ochotę zakląć. Ani jedno, ani drugie nic by nam nie pomogło i właśnie wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że znowu grozi nam utrata plonów.

Zanim wróciliśmy do domu, silnik naprawił się sam. Przy kolacji dziadek oznajmił, że samochód jest w porządku, po czym rozpoczęliśmy długą rozmowę o Tally i Kowboju, o tym, gdzie mogą teraz być i co robić. Tata słyszał, że w Chicago jest mnóstwo Meksykanów i uważał, że Kowboj i jego nowo poślubiona żona po prostu znikną w tym olbrzymim mieście i że już nigdy więcej ich nie zobaczymy.

Martwiłem się o Tally tak bardzo, że prawie nie mogłem jeść.

Nazajutrz późnym rankiem, kiedy słońce próbowało przebić się przez chmury, wróciliśmy na pole. Mieliśmy dość siedzenia na werandzie i spoglądania w niebo. Nawet mnie chciało się pracować.

Ale nie tak bardzo jak Meksykanom. Ostatecznie byli ponad trzy tysiące kilometrów od domu i nic nie zarabiali.

Niestety, bawełna była za mokra, a ziemia za miękka. Błoto przyklejało się do butów i do worka, tak że po godzinie zbierania miałem wrażenie, że wlokę za sobą pień drzewa. Dwie godziny później, smutni i zniechęceni, wróciliśmy do domu.

Spruillowie mieli tego dość, dlatego nie zaskoczyło nas, że zaczęli zwijać obóz. Robili to powoli, jakby nie chcieli przyznać się do porażki. Pan Spruill powiedział dziadkowi, że nie ma sensu, żeby u nas siedzieli, skoro nie mogą pracować. Deszcze ich znużyły i wcale im się nie dziwiliśmy. Od półtora miesiąca obozowali na naszym podwórzu. Ich stare namioty i plandeki ugiwały się pod ciężarem wody, a materace, na których spali, były ochlapane błotem. Na ich miejscu wyjechałbym już dawno temu.

Siedzieliśmy na werandzie i patrzyliśmy, jak zbierają manatki i bez ładu i składu wrzucają je do ciężarówki. Mieli teraz więcej miejsca, bo Hanka i Tally już nie było.

Nagle ogarnął mnie strach. Spruillowie wrócą do domu i nie zastaną tam najstarszego syna. Będą czekali, potem zaczną szukać, jeszcze potem rozpytywać o niego. Nie wiedziałem, czy i w jaki sposób zaginięcie Hanka może odbić się na mnie, mimo to bardzo się bałem.

Mama wzięła mnie do ogrodu, gdzie zebraliśmy tyle warzyw, że można by nimi wykarmić dwadzieścia osób. Kukurydza, ogórki, pomidory, groszek - umyliśmy to wszystko w kuchennym zlewie i starannie powkładaliśmy do kartonowego pudła. Babcia włożyła do pudła tuzin jaj, kilogram wiejskiej szynki, pół kilo masła i dwa słoiki konfitur truskawkowych. Jazda na głodnego Spruillom nie groziła.

Skończyli się pakować w południe. Ciężarówka i przyczepa były beznadziejnie przeładowane, a zwisające po bokach pudła, skrzynie i worki mogły w każdej chwili spaść. Kiedy stało się jasne, że zaraz odjadą, całą rodziną wyszliśmy na podwórze, żeby się z nimi pożegnać. Pan i pani Spruill podziękowali nam za żywność na drogę. Przepraszali, że wyjeżdżają przed końcem zbiorów, ale wszyscy wiedzieliśmy, że i bez nich jakoś sobie poradzimy. Próbowali się uśmiechać i okazać nam wdzięczność, lecz widać było, że bardzo im ciężko. Pomyślałem, że do końca życia nie darują sobie tego, że zdecydowali się u nas pracować. Gdyby wybrali inną farmę, Tally nie spotkałaby Kowboja. No i Hank mógłby

jeszcze żyć, chociaż zważywszy jego ciagotki do przemocy, najpewniej pisana mu była wczesna śmierć. „Ten, kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Babcia lubiła cytować różne powiedzonka.

Miałem wyrzuty sumienia, że tak źle o nich myślałem. I czułem się jak złodziej, ponieważ ja znałem prawdę o Hanku, a oni nie.

Pożegnałem się z Bo i Dalem, ale nie mieliśmy sobie prawie nic do powiedzenia. Trot ukrywał się za przyczepą. Kiedy pożegnania dobiegły końca, przyczłapał do mnie i wymamrotał coś, czego nie rozumiałem. A potem wręczył mi pędzel. Nie miałem wyboru i musiałem go przyjąć.

Widzieli to dorośli i przez chwilę panowało głuche milczenie.

- Tam - mruknął Trot, wskazując ciężarówkę. Bo zrozumiał, o co mu chodzi: sięgnął za klapę i wyjął czteroipółlitrową puszkę białej farby z jaskrawą naklejką Pittsburgh Paint. Postawił ją na ziemi i wyjął jeszcze jedną.

- To dla ciebie - powiedział Trot.

Spojrzałem na farbę, zerknąłem na dziadka i babcie. Chociaż o malowaniu domu dawno się nie mówiło, od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że Trot nie skończy tego, co zaczął. Dlatego teraz przekazywał pałeczkę mnie. Popatrzyłem na mamę. Na jej ustach błędził dziwny uśmiech.

- Tally to kupiła - wyjaśnił Dale.

Postukałem pędzlem w nogę.

- Dzięki - wykrztusiłem.

Trot posłał mi głupawy uśmiech, pozostali też się uśmiechnęli. Spruillowie ponownie ruszyli do ciężarówki, ale tym razem po to, by do niej wsiąść. Trot siedział na skrzyni. Sam, smutny i zagubiony. Kiedy zobaczyłem ich pierwszy raz, towarzyszyła mu Tally.

Silnik odpalił z wielki trudem. Jęknęła i zgrzytnęła tarcza sprzęgła, a kiedy pan Spruill zwolnił pedał, ciężarówka gwałtownie szarpnęła do przodu. Zagrzechotały garnki i patelnie, zatrzęsły się i zachwiały pudła. Bo i Dale podskoczyli na materacach, Trot skulił się w kącie przyczepy i wreszcie odjechali. Machaliśmy im na pożegnanie, dopóki nie zniknęli nam z oczu.

Nie rozmawialiśmy z nimi o przyszłym roku. Wiedzieliśmy, że nie wrócą. Że już nigdy więcej ich nie zobaczymy.

Zadeptali nam i sprasowali resztki trawy na podwórzu i gdy tylko to zobaczyłem, wyparował ze mnie cały smutek. Dziwiąc się ich bezmyślności, kopnąłem i rozgarnąłem nogą popiół z ogniska na mojej bazie domowej. Ziemia była zryta kolejnami i pełna dziur po kołkach od namiotów. Poprzysięgłem sobie, że w przyszłym roku ludzie ze wzgórz tu nie wejdą, że

ogrodzę boisko płotem.

Jednakże najpierw musiałem dokończyć to, co zaczął Trot. Zdumiony ich ciężarem, zaniósłem, puszką po puszcze, farbę na werandę. Czekałem, co powie na to dziadek, ale nie odezwał się słowem. Natomiast mama szepnęła coś tacie, a ten szybko wznosił rusztowanie na wschodniej ścianie domu. Zrobił je z grubej na pięć centymetrów i długiej na dwa i pół metra dębowej deski, której jeden koniec oparł na koźle do piłowania drewna, a drugi na baniaku po oleju napędowym. Baniak był trochę niższy, dlatego deska leżała krzywo, jednak nie na tyle, żebym z niej spadł. Tata otworzył puszkę, rozmieszał patykiem farbę i pomógł mi wejść na rusztowanie. Dał mi parę krótkich wskazówek, ale ponieważ nie znał się na malowaniu domów, byłem zdany wyłącznie na siebie. Pomyślałem, że jeśli Trot sobie poradził, poradzę sobie i ja.

Mama obserwowała mnie uważnie, udzielając światłych rad w rodzaju: „Nie chłap tak” albo „Powoli, nie spiesz się”. Trot pomalował pierwsze sześć desek od dołu, a ja mogłem sięgnąć ledwie metr wyżej. Nie wiedziałem, jak uda mi się pomalować deski pod dachem, ale postanowiłem, że tym martwić się będę później.

Stare drewno szybko wchłonęło pierwszą warstwę farby. Druga była gładziutka i biała. Praca bardzo mnie fascynowała, ponieważ jej rezultaty były natychmiast widoczne.

- Jak mi idzie? - spytałem, nie patrząc w dół.

- Wspaniale - odrzekła mama. - Tylko powoli, nie spiesz się. I nie spadnij.

- Nie spadnę. - Dlaczego zawsze ostrzegała mnie przed tak oczywistymi niebezpieczeństwami?

Tego popołudnia tata przesuwiał rusztowanie dwa razy i do kolacji zużyłem całą puszkę farby. Umyłem ręce ługowym mydłem, lecz farba przywarła mi do paznokci. Ale co tam. Byłem dumny z mojego nowego zajęcia. Robiłem coś, czego nie robił dotąd nikt z Chandlerów.

Przy kolacji nie rozmawialiśmy o malowaniu. Mieliśmy na głowie ważniejsze sprawy. Spruillowie spakowali się i wyjechali, tymczasem na polu zostało jeszcze dużo nie zebranej bawełny. Nie słyszeliśmy, żeby z powodu złej pogody wyjeżdżali pracownicy sąsiadów, i dziadek nie chciał, żeby gadano, że skapitulowaliśmy przed deszczem. Z uporem twierdził, że pogoda się zmieni. Nigdy dotąd nie było u nas tylu burz, a już na pewno nie o tej porze roku.

O zmierzchu wyszliśmy na werandę, gdzie było teraz znacznie ciszej. Kardynałowie odeszli w niepamięć, więc po kolacji rzadko kiedy słuchaliśmy radia. Dziadzio nie chciał marnować prądu, dlatego siedziałem na schodach i po prostu patrzyłem na podwórze, ciche teraz i puste. Przez półtora miesiąca służyło za obozowisko i składowisko przeróżnych szpargałów. Teraz nie było na nim nic.

Na ziemi leżało kilka żółtych liści. Chłodny i bezchmurny wieczór natchnął tatę

pewnością, że nazajutrz będzie dobra pogoda, co stanowiło znakomitą okazję do tego, żeby zbierać bawełnę przez dwanaście godzin. A ja chciałem tylko malować.

## ROZDZIAŁ 30

Zerknąłem na wiszący nad piecem zegar. Było dziesięć po czwartej: nigdy w życiu nie jadłem tak wczesnego śniadania. Tato odezwał się przy stole jedynie po to, żeby zapoznać nas ze stanem pogody. Było chłodno, rześko i bezchmurnie, a błoto na polu zdążyło podeschnąć.

Dorośli bardzo się denerwowali. Gdybyśmy nie zdążyli zebrać bawełny, popadlibyśmy w jeszcze większe długi. Mama i babcia zmyły naczynie w rekordowym tempie i całą rodziną wyszliśmy z domu. Jechali z nami Meksykanie. Zbili się w gromadę na przyczepie, żeby się trochę ogrzać.

Suche, pogodne dni stały się rzadkością, dlatego pracowaliśmy tak intensywnie, jakby miał to być dzień ostatni. Już o wschodzie słońca leciałem z nóg, lecz nie narzekałem, bojąc się, że Dziadzio zmyje mi głowę. Groziła nam kolejna klęska i musieliśmy harować do upadłego. Miałem ochotę na krótką drzemkę, ale gdybym wpadł, tata zbiłby mnie pasem.

Lunch - zimne grzanki z szynką - zjedliśmy w pośpiechu za przyczepą. W południe zrobiło się ciepło, ale zamiast udać się na miłą sjeść, usiedliśmy na workach i skubiąc grzanki, czujnie obserwowaliśmy niebo. Nawet rozmawiając, niespokojnie zerkaliśmy w górę.

Bezchmurny dzień oznaczał, że zbliża się kolejna burza, dlatego po dwudziestominutowym odpoczynku tato i dziadek ogłosili, że pora wracać do roboty. Mama i babcia zerwały się z ziemi wraz z mężczyznami, by udowodnić, że potrafią pracować równie ciężko jak oni. Zwlekałem tylko ja.

Cóż, mogło być gorzej: Meksykanie nie zrobili sobie nawet przerwy na lunch.

Popołudnie było nudne. Cały czas myślałem o Tally, potem o Hanku, potem znowu o Tally. Myślałem też o Spruillach i zazdrościłem im, że już nie muszą tyrać. Próbowałem wyobrazić sobie, co zrobią, kiedy wróciwszy do Eureka Springs, nie zastaną w domu Hanka. Wmawiałem sobie, że nic mnie to nie obchodzi, lecz na próżno.

Od kilku tygodni nie mieliśmy żadnych wiadomości od Ricky'ego. Rodzice i dziadkowie coraz częściej o tym szeptali. Mój długi list nadal spoczywał pod materacem głównie dlatego, że nie wiedziałem, jak go wysłać, nie narażając się na ryzyko wpadki. Poza tym nabrałem wątpliwości, czy warto obciążać go wiadomościami o Libby. Miał dość zmartwień. Gdy wróci do domu, pójdziemy na ryby i wszystko mu powiem. Zacznę od zabójstwa Jerry'ego Sisca i nie oszczędzę szczegółów. Dziecko Libby, Hank, Kowboj - opowiem wszyściutko. Ricky będzie wiedział, co zrobić. Bardzo za nim tęskniłem.

Nie wiem, ile bawełny zebrałem tego dnia, ale jak na siedmiolatka był to na pewno rekord wszech czasów. Kiedy słońce schowało się za drzewami, znalazła mnie mama i poszliśmy do domu. Babcia została, bez trudu nadążając za mężczyznami.

- Długo będą pracować? - spytałem. Byliśmy tak zmęczeni, że ledwo powłóczyliśmy nogami.

- Chyba do zmroku.

Kiedy dotarliśmy do domu, było już prawie ciemno. Miałem ochotę paść na sofę i spać przez cały tydzień, ale mama kazała mi umyć ręce i pomóc przy kolacji. Upiekła chleb kukurydziany i odgrzała resztki jedzenia z poprzedniego dnia, a ja obrałem ze skórki i pokroiłem pomidory. Włączyliśmy radio. Ani słowa o Korei.

Mimo katorzniczej harówki na polu, siadając do stołu, Dziadzio i tata byli w dobrych humorach, bo zebrali prawie pięćset kilo bawełny. Deszcze podbiły jej cenę i gdybyśmy mieli jeszcze kilka dni dobrej pogody, przeżylibyśmy jakoś do przyszłego roku. Babcia milczała. Przysłuchiwała się nam, ale chyba nic nie słyszała. Pewnie znowu powędrowała myślami do Korei. Mama była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać.

Dziadek nie znosił odgrzewanego jedzenia, mimo to podziękował Bogu i za nie. Podziękował też za dobrą pogodę i poprosił Go o więcej dni takich jak ten. Jedliśmy powoli; w końcu dopadło nas zmęczenie. Rozmowy były ciche i krótkie.

Pierwszy usłyszałem grzmot. Kiedy przetoczył się głucho w oddali, zerknąłem na dorosłych, żeby sprawdzić, czy oni też usłyszeli. Dziadek rozprawiał o cenach bawełny. Kilka minut później zagrzmiało ponownie, tym razem znacznie bliżej, a kiedy za oknem błysnęło, przestaliśmy jeść. Zerwał się wiatr, cicho zaklekotał dach ganku. Nie patrzyliśmy sobie w oczy.

Dziadzio złożył ręce i podparł się łokciami, jakby chciał odmówić jeszcze jedną modlitwę. Przed chwilą prosił Boga o dobrą pogodę, a On zsyłał nam kolejną burzę.

Tata się przygarbił. Potarł ręką czoło i wbił wzrok w ścianę. Zabębniło w dach. Trochę za głośno jak na deszcz.

- To grad - powiedziała babcia.

Wraz z gradem zawsze nadciągała ulewa i silny wiatr i już niebawem za oknem rozszalała się burza. Zapomniawszy o jedzeniu, długo siedzieliśmy przy stole i wsłuchując się w ryk nawałnicy, myśleliśmy tylko o jednym: kiedy znowu będziemy mogli wyjść w pole. Wiedzieliśmy, że w tej sytuacji rzeka niebawem wyleje, a jeśli wyleje, nie będziemy mieli co zbierać.

Burza minęła, lecz deszcz wciąż padał, a chwilami nawet lał. Gdy w końcu wyszedłem z dziadkiem na ganek, okazało się, że między domem i drogą jest tylko woda. Dziadzio usiadł

na huśtanej ławce i patrzył z niedowierzaniem na ten zesłany przez Boga potop. Było mi go bardzo żal.

Potem mama czytała mi opowieści biblijne, ale przez ten deszcz ledwo ją słyszałem; tego dnia opowieść o potopie była naturalnie zakazana. Usnąłem, zanim młody Dawid zdążył zabić Goliata.

Nazajutrz rodzice oznajmili, że jadą do miasta. Zaprośili i mnie - każąc mi zostać w domu, byłoby zbyt okrutni - ale dziadek i babcia nie jechali. Ot, urządziliśmy sobie małą rodzinną wycieczkę; wspomniano nawet o lodach. Dzięki Kowbojowi i Tally mieliśmy trochę darmowej benzyny, a na farmie nie było nic do roboty - między rzędami bawełnianych krzewów stała woda.

Siedziałem w szoferce i z uwagą obserwowałem strzałkę prędkościomierza. Kiedy skręciliśmy na szosę, tata szybko zmienił biegi i wkrótce przekroczyliśmy siedemdziesiątkę. Jeśli dobrze pamiętałem, prędkością doskonałą dla naszego pikapu zawsze była sześćdziesiątka, ale nie zamierzał mówić o tym dziadkowi.

Miło było widzieć, że inni farmerzy też odpoczywają z powodu deszczu. Nikt nie próbował zbierać. Nie było widać ani jednego Meksykanina.

Nasze pola leżały najniżej i woda zalewała je najwcześniej, dlatego bywało, że my traciliśmy bawełnę, a oni nie. Wyglądało na to, że tegoroczny potop dotknął wszystkich w jednakowym stopniu.

Był środek dnia. Farmerzy nie mieli nic do roboty, więc siedzieli na gankach, patrząc na drogę. Kobiety łuskały groch. Strapieni mężczyźni rozmawiali. Dzieci albo siedziały na schodkach, albo bawiły się w błocie. Znalismy ich wszystkich, każdy dom. Machaliśmy im ręką, oni nam odmachiwali i niemal słyszeliśmy, jak mówią: „Ciekawe, po co ci Chandlerowie jadą do miasta”.

Na Main Street było cicho i spokojnie. Zaparkowaliśmy przed sklepem żelaznym. Trzy domy dalej, przed spółdzielnią, stała grupka farmerów w kombinezonach, pogrążonych w poważnej rozmowie. Tata postanowił się do nich przyłączyć i dowiedzieć się, kiedy, ich zdaniem, przestanie padać. Poszedłem z mamą do drogerii, gdzie mieli też ladę z lodami i wodą sodową. Odkąd tylko pamiętałem, pracowała tam ładna dziewczyna imieniem Cindy. Akurat nie było klientów, więc dała mi wyjątkowo dużą porcję waniliowych z wisienkami. Kosztowały dziesięć centów. Usiadłem na wysokim stołku. Kiedy stało się jasne, że nie ruszę się stamtąd przez co najmniej pół godziny, mama zapłaciła i wyszła, żeby coś załatwić.

Cindy miała brata, który zginął w strasznym wypadku samochodowym, dlatego ilekroć

ją widziałem, zawsze mi się przypominały krążące o tym opowieści. Samochód stanął w ogniu, a jej brat utknął we wraku i nie można go było wyciągnąć. Widział to tłum ludzi, dlatego istniało mnóstwo wersji tej potwornej tragedii. Cindy była bardzo ładna, ale miała smutne oczy. Wiedziałem dlaczego. Nigdy nie chciała o tym rozmawiać, i bardzo dobrze. Jadłem powoli, żeby lodów starczyło na dłużej, i patrzyłem na krzątającą się Cindy.

Podśluchiwałem rodziców wystarczająco uważnie, by wiedzieć, że chcą dokądś zadzwonić. Ponieważ nie mieliśmy telefonu, musieli skorzystać z cudzego. Domyśliłem się, że najpewniej z tego w sklepie Popa i Pearl.

W większości domów w mieście były telefony, we wszystkich urzędach i zakładach też. Były również w domach farmerów w promieniu pięciu kilometrów od miasta, ale dalej już nie, ponieważ nie doprowadzono tam przewodów. Mama mówiła, że upłynie wiele lat, zanim doprowadzą je do nas. Ale Dziadzio telefonu nie chciał. Mówił, że jak jest telefon, trzeba rozmawiać z ludźmi nie wtedy, kiedy się chce, tylko wtedy, kiedy oni chcą. Telewizor, owszem, ale telefon? Nigdy.

Do drogerii wszedł Jackie Moon.

- Się masz, mały. - Potargał mi włosy i usiadł na sąsiednim stołku. - Co cię tu sprowadza?

- Lody - odrzekłem i wybuchnął śmiechem.

Podeszła do nas Cindy.

- To samo co zwykle? - spytała.

- Tak, poproszę - odparł Jackie. - Co słychać?

- Wszystko po staremu - zagruchała Cindy. Spojrzeli sobie w oczy i odniosłem wrażenie, że coś się między nimi kłuje. Kiedy się odwróciła, żeby przygotować to co zwykle, zaczął uważnie przyglądać się jej nogom i całej reszcie.

- Dostaliście list od Ricky'ego? - rzucił, nie odrywając wzroku od Cindy.

- Ostatnio nie. - Ja też się jej przyglądałem.

- Ricky to twardy chłop. Da sobie radę.

- Wiem.

Jackie przypalił papierosa i przez chwilę w milczeniu zaciągał się dymem.

- Mokniecie tam, co?

- I to jeszcze jak - odparłem.

Cindy postawiła na ladzie miseczkę lodów czekoladowych i filiżankę czarnej kawy.

- Podobno ma lać przez dwa tygodnie - rzucił Jackie. - I chyba będzie.

- Deszcz, deszcz i deszcz - powiedziała Cindy. - Ostatnio nikt nie mówi o niczym

innym. Nie macie dość rozmów o pogodzie?

- A o czym mamy rozmawiać? - odparł Jackie. - Jesteśmy farmerami.

- Tylko głupcy zostają farmerami. - Cindy rzuciła ściereczkę na ladę i poszła do kasy.

Jackie zjadł łyżeczkę lodów.

- Ona ma chyba rację - mruknął.

- Chyba tak.

- Twój tata też jedzie na północ?

- Gdzie?

- Na północ, do Flint. Podobno wielu naszych tam wydzwania. Chcą podłapać robotę u Buicka. Ale w tym roku miejsc jest dużo mniej niż w zeszłym, dlatego każdy się spręży. Bawełnę znowu diabli wzięli. Spadnie jeszcze trochę deszczu i Franciszek wyleje. Ludzie będą mieli szczęście, jeśli zbiorą połowę tego, co posiali. To trochę głupie, co nie? Przez pół roku harujesz na polu jak wół, a potem zasuwasz do Flint, żeby pospłacać długi i znowu zasiać bawełnę.

- Ty też tam jedziesz? - spytałem.

- Nie wiem, pewnie pojedę. Jestem za młody, żeby tkwić na wsi do końca życia.

- Ja też.

Wypił łyk kawy i przez długą chwilę bez słowa utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że uprawa roli jest czystą głupotą.

- Słyszałem, że ten ze wzgórz dał nogę - powiedział w końcu Jackie.

Na szczęście miałem w ustach lody, więc tylko kiwnąłem głową.

- Mam nadzieję, że go złapią - mówił dalej Jackie. - Trzeba go postawić przed sądem, niech ma za swoje. Powiedziałem Stickowi, że będę zeznawał. Widziałem całą bójkę. Inni też chcą zeznawać. Facet nie musiał go zabijać.

Jadłem lody i potulnie kiwałem głową. Nauczyłem się już, że kiedy mówią o Hanku Spruillu, najlepiej jest trzymać język za zębami.

Wróciła Cindy. Krzątała się za ladą, przecierała ją ściereczką i cicho nuciała jakąś melodyjkę. Jackie od razu zapomniał o Hanku.

- Skończyłeś? - spytał, zerkając na moje lody. Pewnie chciał pogadać z nią sam na sam.

- Prawie - odrzekłem.

Cindy nuciała i patrzyła na mnie, dopóki nie zjadłem wszystkiego. Pożegnałem się z nimi i poszedłem do sklepu Popa i Pearl, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym telefonie. Pearl siedziała przy kasie i gdy wszedłem, spojrzała na mnie znad okularów na czubku nosa. Podobno umiała rozpoznać warkot każdego samochodu, który przejeżdżał Main Street, i

potrafiła powiedzieć nie tylko, kto go prowadzi, ale i od kiedy u nas mieszka. Nic nie uchodziło jej uwagi.

- Gdzie Eli? - spytała, gdy wymieniliśmy uprzejmości.

- Został w domu - odrzekłem, spoglądając na słój z ciagutkami.

- Poczęstuj się - rzuciła Pearl.

- Dzięki. A gdzie Pop?

- Na zapleczu. A więc przyjechałeś tylko z rodzicami, he?

- Tak. Byli tu?

- Jeszcze nie. Chcą coś kupić?

- Chyba tak. I zadzwonić. - To dało jej do myślenia. Chandlerowie chcieli dokądś zadzwonić? Po co?

- Tak? - spytała. - A gdzie?

- Nie wiem. - Żał mi było biedaka, który chciałby zatelefonować od Pearl i zachować szczegóły rozmowy dla siebie. Wkrótce znałaby ich więcej niż jego rozmówca.

- Leje u was, co?

- Tak, bardzo.

- Fatalne miejsce. Was, Latcherów i Jeterów zawsze zalewa jako pierwszych. - Mówiła coraz ciszej, wreszcie zamilkła, rozmyślając o nękającym nas pechu. Potem spojrzała w okno i pokręciła głową. Zapowiadał się kolejny rok złych zbiorów.

Jeszcze nie widziałem prawdziwej powodzi - a przynajmniej tego nie pamiętałem - dlatego nie miałem nic do powiedzenia. Pogoda przygnębiła dosłownie wszystkich, nawet Pearl. Kiedy nad głową wiszą zwałiste chmury, trudno jest zachować optymizm. Poza tym znowu nadchodziła posepna zima.

- Słyszałem, że niektórzy wyjeżdżają na północ. - Byłem pewien, że Pearl zna więcej szczegółów ode mnie.

- Też słyszałam - odrzekła. - Próbują załatwić sobie pracę na wypadek, gdyby nie przestało lać.

- Kto wyjeżdża?

- Nie wiem - odparła, ale po jej głosie poznałem, że na pewno doszły ją jakieś plotki; z telefonu w sklepie korzystało wielu farmerów.

Podziękowałem za ciagutkę i wyszedłem. Na chodnikach było pusto. Wymarłe miasto - miłe uczucie. W sobotę zawsze roilo się tam od ludzi. Przez okno wystawowe sklepu żelaznego zobaczyłem rodziców, więc wszedłem sprawdzić, co kupują.

Kupowali farbę, mnóstwo farby. Na ladzie stał równiutki rząd pięciu

czteropółlitrowych puszek z naklejką Pittsburgh Paint, a tuż obok leżały dwa jeszcze nie rozpakowane pędzle. Kiedy wszedłem, sprzedawca właśnie obliczał należność. Tata szperał w kieszeni, a obok niego stała dumnie wyprostowana mama. Było oczywiste, że to ona zmusiła go do kupienia farby. Uśmiechnęła się do mnie z satysfakcją.

- Czternaście dolarów, osiemdziesiąt centów - powiedział sprzedawca.

Tata wyjął pieniądze i zaczął odliczać banknoty.

- Mogę dodać to do rachunku - zaproponował sprzedawca.

- Nie, nie - odrzekła mama. - Zapłacimy od ręki. - Dziadek dostałby ataku serca, gdyby z miesięcznego wyciągu dowiedział się, ile wydaliśmy na farbę.

Zanieśliśmy puszki do samochodu.

## ROZDZIAŁ 31

Wszystkie ustawiliśmy na ganku i wyglądały tam jak żołnierze w zasadzce. Tata przeniósł rusztowanie i pod okiem mamy ustawił je na północno-wschodnim rogu domu, dzięki czemu mogłem teraz malować niemal aż po dach. Minąłem narożnik. Trot byłby ze mnie dumny.

Otworzyliśmy pierwszą puszkę. Wyjąłem z opakowania nowy pędzel i przesunąłem dłonią po włosiu. Miał ponad dwanaście centymetrów szerokości i był znacznie cięższy od starego.

- Idziemy z tatą do ogrodu - powiedziała mama. - Zaraz wrócimy. - I poszli, zabierając ze sobą trzy największe kosze. Babcia smażyła w kuchni konfitury truskawkowe, Dziadzio martwił się w jakiejś samotni. Zostałem sam.

To, że rodzice zainwestowali w farbę, bardzo podniosło znaczenie tego, co robiłem. Dom zostanie pomalowany bez względu na to, czy dziadek życzy sobie tego, czy nie. A największa część roboty przypadła mnie. Ale nie było pośpiechu. Jeśli nadejdzie powódź, będę malował, kiedy przestanie padać. A jeśli będę musiał zbierać bawełnę, dokończę moje dzieło zimą. Domu nie malowano od pięćdziesięciu lat. Po co się spieszyć?

Zmęczyłem się już po półgodzinie. Z ogrodu dochodziły głosy rodziców. Miałem jeszcze dwa pędzle, nowy i ten od Trota. Leżały na ganku przy puszkach. Dlaczego mama i tata nie mogli ich wziąć i zabrać się do pracy? Na pewno chcieli mi pomóc.

Pędzel był naprawdę ciężki. Malowałem krótkimi, powolnymi i starannymi ruchami. Mama wielokrotnie przestrzegała mnie, żebym nie nakładał za dużo farby. „Nie za dużo -mówiła. Niech tak nie ścieka”.

Godzinę później uznałem, że przydałby mi się odpoczynek. Zagubiony we własnym świecie, stojąc przed tak gigantycznym zadaniem, zacząłem mieć pretensje do Trota. Ale mnie wpakował. Pomalował jedną trzecią ściany i dał nogę. Dziadek miał chyba rację. Dom nie wymagał malowania.

Wszystko przez Hanka. To on wyśmiewał mnie i obrażał moją rodzinę dlatego, że mieszkaliśmy w nie pomalowanym domu. Trot stanął w mojej obronie i wraz z Tally uknuli ten spisek, nie wiedząc, że po ich wyjeździe cała robota spadnie na mnie.

Usłyszałem czyjeś głosy. Na dole stali Miguel, Luis i Rico. Stali i ciekawie mi się przyglądali. Uśmiechnąłem się do nich i powiedzieliśmy sobie *buenas tardes*. Podeszli bliżej,

wyraźnie zaskoczeni, że najmniejszemu z Chandlerów powierzono tak wielkie zadanie. Miguel obejrzał puszki i pozostałe pędzle.

- Możemy się pobawić? - spytał.

Co za genialny pomysł!

Otworzyliśmy kolejne dwie puszki. Przekazałem Miguelowi pędzel i już kilka minut później Rico i Luis siedzieli na rusztowaniu ze spuszczonej nogami i malowali tak pięknie, jakby przez całe życie nie robili nic innego. Miguel malował od strony ganku. Niebawem dołączyło do nas sześciu pozostałych Meksykanów. Siedzieliśmy w cieniu i patrzyliśmy, jak idzie tamtym.

Babcia usłyszała hałas i wyszła na dwór, wycierając ręce w ściereczkę. Popatrzyła na mnie, roześmiała się i wróciła do swoich konfitur.

Meksykanki były zachwyceni, że nareszcie mają co robić. Ponieważ prawie cały czas padało, musieli jakoś zabijać czas w stodole. Nie mieli ani samochodu, którym mogliby pojechać do miasta, ani radia, ani książek. (Nie byliśmy pewni, czy w ogóle umieją czytać). Czasami grywali w kości, ale gdy tylko się do nich zbliżaliśmy, natychmiast przestawali.

Dlatego malowali z wielką energią i zapałem. Ci, którzy siedzieli na trawie, nieustannie zasypywali ich radami i wskazówkami. Niektóre rady musiały być zabawne, ponieważ ci z pędzlami śmiali się tak serdecznie, że nie mogli pracować. Rozmawiali coraz szybciej i coraz głośniej, śmiali się i trąkali jak najęci. Chodziło o to, żeby namówić kogoś z malujących do przekazania pędzla innemu. Wkrótce pojawił się samozwańczy ekspert, Roberto, który pomagając sobie dramatycznymi gestami rąk, zaczął nauczać nowicjuszy techniki trzymania pędzla i malowania. Chodził wzdłuż ściany, udzielał kolegom rad, żartował, a czasami ich rugał. Pędzle przechodziły z rąk do rąk i wkrótce się okazało, że mamy na farmie zgrany zespół malarzy.

Siedziałem pod drzewem wraz z nimi, patrząc, jak ganek zmienia wygląd. Wrócił dziadek. Zaparkował traktor przy szopie z narzędziami i przyglądał nam się chwilę z daleka. Potem obszedł dom szerokim łukiem, żeby wejść przez werandę. Nie wiedziałem, czy podobało mu się, czy nie, ale chyba przestało go to już obchodzić. Szedł powoli, jego ruchom brakowało dawnej sprężystości i zdecydowania. Był smutnym, zafrasowanym farmerem, któremu znowu groziła utrata plonów. Z ogrodu wrócili rodzice z pełnymi koszami.

- Proszę, proszę - powiedziała mama. - Drugi Tom Sawyer.

- Kto? - spytałem.

- Opowiem ci wieczorem.

Omijając pomalowane miejsca, postawili kosze na ganku i weszli do środka. W kuchni

dołączyli do dziadków i zastanawiałem się, czy nie rozmawiają przypadkiem o mnie i o Meksykanach. Wyszła do nas babcia ze szklankami i dzbankiem mrożonej herbaty. To był dobry znak. Meksykanie zrobili sobie przerwę, wypili, podziękowali i natychmiast zaczęli się sprzeczać, kto będzie malował jako następny.

Czas płynął i zza chmur wyjrzało słońce. Czasami świeciło bardzo jasno, a wówczas robiło się ciepło jak w lecie. Często zadzieraliśmy głowy z nadzieją, że chmury odpłyną na dobre i że wrócą dopiero na wiosnę. Niestety, słońce szybko zniknęło i na ziemi znowu kładł się mroczny, chłodny cień.

Chmury wygrywały i dobrze o tym wiedzieliśmy. Czułem, że Meksykanie wkrótce wyjadą, tak jak Spruillowie. Nie mogliśmy oczekiwać, że będą siedzieć beczynnie całymi dniami, obserwując niebo, uciekając przed deszczem i nie zarabiając przy tym ani centa.

Pod wieczór farba się skończyła. Tył domu, łącznie z gankiem, był pomalowany i różnica biła w oczy. Białe, błyszczące deski ostro kontrastowały z tymi nie pomalowanymi. Postanowiłem, że jeśli uda mi się wynegocjować nową dostawę farby, nazajutrz zaczniemy zachodnią ścianę.

Podziękowałem Meksykanom. Śmiali się, wracając do stodoły. Pewnie zamierzali zjeść tortillę i wcześniej pójść spać z nadzieją, że gdy wstanie dzień, znowu będą mogli zbierać bawełnę.

Siedziałem na zimnej trawie, podziwiając ich dzieło. Nie chciałem wchodzić do domu, ponieważ dorośli byli w złych humorach. Pewnie uśmiechnęliby się sztucznie, spróbowali powiedzieć coś śmiesznego, gdy tak naprawdę zamartwiali się na śmierć.

Żałowałem, że nie mam brata; młodszego albo starszego, wszystko jedno. Tata i mama chcieli mieć więcej dzieci, ale podobno wynikły jakieś problemy. Chciałem mieć przyjaciela, chłopaka, z którym mógłbym się bawić, gadać i dzielić tajemnicami. Miałem dość bycia jedynym maluchem na farmie.

Dlatego tęskniłem za Tally. Próbowałem ją znienawidzić, lecz nie mogłem.

Zza rogu wyszedł dziadek i przyjrzał się świeżo pomalowanej ścianie. Trudno było powiedzieć, czy jest zdenerwowany, czy nie.

- Chodź - rzucił. - Pojedziemy nad strumień.

Bez zbędnych słów poszliśmy do traktora. Dziadek odpalił silnik i wjechaliśmy w koleiny. Na drodze, którą tyle razy przemierzaliśmy, stała woda. Spod przednich kół bryzgało błoto. Tylne koła ryły ziemię, pogłębiając śliskie bruzdy. Jechaliśmy przez pole, które szybko zamieniało się w trzęsawisko.

Bawełna wyglądała żałośnie. Kulki obwisły pod ciężarem deszczówki, łądygi

przekrzywiły się od wiatru. Tydzień ostrego słońca i wszystko by wyschło, a my moglibyśmy dokończyć robotę. Wiedzieliśmy jednak, że taka pogoda już nie wróci.

Skręciliśmy na północ, na jeszcze bardziej grząską ścieżkę, którą kilka razy spacerowałem z Tally. Niedaleko był strumień.

Stałem tuż za dziadkiem i trzymając się podpórki parasola i uchwyty na lewym błotniku, obserwowałem jego twarz. Miał zaciśnięte zęby i zwężone oczy. Czasem unosił się gniewem, lecz nie należał do tych, którzy okazują uczucia. Nigdy nie widziałem, żeby płakał, nigdy nie zwilgotniały mu nawet oczy. Martwił się, ponieważ był farmerem, ale nigdy się nie skarżył. Skoro deszcz miał zabrać nam bawełnę, musiał istnieć ku temu jakiś powód. Bóg nas obroni i zaopiekuje się nami bez względu na to, czy rok jest dobry, czy zły. Jako baptyści wierzyliśmy, że czuwa nad wszystkim.

Byłem pewien, że Kardynałowie nie przegrali bez powodu, nie rozumiałem tylko, dlaczego stał za tym Bóg. Dlaczego pozwolił, żeby o puchar świata grały dwie nowojorskie drużyny? Nie potrafiłem się w tym połapać.

Woda zrobiła się nagle głębsza i przednie koła zanurzyły się na jakieś piętnaście centymetrów. Zalało ścieżkę: przez dłuższą chwilę nie mogło to do mnie dotrzeć. Byliśmy niedaleko strumienia. Dziadzio zahamował.

- Przełała się - powiedział rzeczowo, lecz w jego głosie zabrzmiała cicha nutka rezygnacji. Krzak, który rósł kiedyś wysoko na brzegu, tonął w wodzie. Jeszcze tak niedawno, gdzieś tam, na dole, w chłodnym, czystym strumieniu, którego już nie było, kąpała się Tally.

- Wylewa - dodał dziadek. Wyłączył silnik i wsłuchaliśmy się w szum wody przelewającej się przez brzegi i pochłaniającej nasze dolne pole. Ginęła między krzewami bawełny, powoli spływając lekkim stokiem, by zatrzymać się pośrodku pola, w połowie drogi do naszego domu, tam, gdzie grunt lekko się wznosił. Zbierała się tam, pęczniała, by za kilka dni rozlać się na zachód i wschód i rozpełznąć po całym polu.

Nareszcie widziałem powódź. Na pewno nie była to moja pierwsza powódź, lecz byłem za mały, by pamiętać te wcześniejsze. Od urodzenia słyszałem opowieści o wymykających się spod kontroli rzekach i o zalanej bawełnie, i po raz pierwszy w życiu na własne oczy widziałem to zjawisko. Wywierało przerażające wrażenie, bo kiedy się już zaczęło, nie sposób było przewidzieć, kiedy się skończy. Wody nie dawało się zatrzymać; płynęła tam, gdzie chciała. Czyżby miała dotrzeć do naszego domu? Czy Święty Franciszek naprawdę chciał nas wszystkich zalać? A deszcz zamierzał padać przez czterdzieści nocy i dni, żeby potopić nas jak tych, którzy wyśmiewali się z Noego?

Chyba jednak nie. W biblijnej opowieści o Noem było coś o tęczy, która symbolizowała

obietnicę, że Bóg nigdy więcej nie spuści na nas potopu.

Ale przecież spuścił. Widok tęczy był dla nas niemal świętym wydarzeniem, ale nie widzieliśmy jej od wielu tygodni. Nie rozumiałem, dlaczego Bóg do tego dopuszcza.

Tego dnia Dziadzio był nad strumieniem co najmniej trzy razy, obserwując, czekając i najpewniej się modląc.

- Kiedy się to zaczęło? - spytałem.

- Nie wiem. Z godzinę temu.

Chciałem spytać, kiedy się skończy, ale już znałem odpowiedź.

- Cofa się - powiedział dziadek. - Rzeka jest przepelniona, więcej nie pomieści.

Staliśmy tam bardzo długo i patrząc na przednie koła traktora, dostrzegłem, że przez ten czas woda przybrała o kilka centymetrów. Zdałem sobie sprawę, że chcę już wracać, ale dziadek nie chciał. Jego lęki i zmartwienia znalazły potwierdzenie i widok wylewającej rzeki go hipnotyzował.

Pod koniec marca orał pole wraz z tatą, odwracając skiby, przykrywając ziemią stare łądygi i korzenie bawełnianych krzewów. Obaj byli tacy radośni, tacy szczęśliwi, że po długiej zimie znowu mogą pracować. Obserwowali niebo, studiowali poradniki, jeździli do spółdzielni, żeby się dowiedzieć, co mówią inni farmerzy. Jeśli pogoda była dobra, siali na początku maja, najpóźniej do piętnastego. Ja wkraczałem do akcji na początku czerwca, kiedy kończyła się szkoła i zaczynały wyrastać pierwsze chwasty. Dawali mi motykę, wskazywali kierunek i przez wiele godzin okopywałem krzaczki, co jest zajęciem niewiele lżejszym od otepiającego zrywania bawełny. Krzaki i chwasty rosły przez całe lato, a my przez całe lato machaliśmy motyką. Jeśli bawełna zakwitła przed czwartym lipca, wiedzieliśmy, że będzie urodzaj. W połowie sierpnia zaczynaliśmy zbierać. Na początku września wyruszaliśmy na poszukiwanie ludzi ze wzgórz i sprowadzaliśmy Meksykanów.

A teraz, w połowie października, staliśmy tu i patrzyliśmy, jak wszystko zabiera nam woda. Ciężka praca, pot, bolące mięśnie, pieniądze zainwestowane w ziarno, nawozy i paliwo, nasze nadzieje i plany - wszystko to szło na marne, pogrążając się w topieli.

Czekaliśmy, lecz woda wciąż przybierała. Kiedy Dziadzio wreszcie uruchomił silnik, przednie koła traktora były do połowy zalane. Zapadał zmierzch. Wiedziałem, że w tym tempie do wschodu słońca stracimy dolne pole.

Nigdy dotąd przy kolacji nie było tak cicho. Nawet babcia nie potrafiła powiedzieć nic wesołego. Dziobałem widelcem fasolkę szparagową i próbowałem sobie wyobrazić, o czym myślą rodzice. Tata martwił się pewnie o pożyczkę pod zasiew, o dług, którego nie mógł teraz spłacić. Mama opracowywała szczegóły ucieczki do miasta. Była przygnębiona znacznie mniej

niż pozostali. Katastrofalne zbiory po tak obiecującej wiośnie i lecie dawały jej potężną broń do walki z tatą.

Dzięki powodzi przestały mnie dręczyć poważniejsze sprawy - Hank, Tally i Kowboj - dlatego myślałem o niej nie bez pewnej przyjemności. Ale oczywiście milczałem.

Wkrótce miała zacząć się szkoła i mama postanowiła, że co wieczór mam się wprawiać w czytaniu i pisaniu. Tęskniłem za szkołą - naturalnie nikomu bym się do tego nie przyznał - dlatego chętnie odrabiałem to, co mi zadawała. Szybko orzekła, że piszę jak kura pazurem i że muszę dużo ćwiczyć. Czytanie też nie szło mi za dobrze.

- Widzi mama? - odparłem. - Wszystko przez tę bawełnę.

Byliśmy w pokoju Ricky'ego i czytaliśmy sobie przed snem.

- Zdradzę ci sekret - szepnęła. - Umiesz dochować tajemnicy?

Mamo, gdybyś tylko wiedziała, pomyślałem.

- Jasne.

- Dajesz słowo, że nikomu nie powiesz?

- Pewnie.

- Nikomu, nawet dziadkowi i babci.

- Słowo. Ale jaki to sekret?

Mama nachyliła się ku mnie.

- Chcemy z tatą wyjechać na północ.

- I ze mną?

- I z tobą.

Co za ulga.

- Tata chce pracować jak Jimmy Dale?

- Tak, już z nim rozmawiał. Jimmy Dale załatwi mu pracę w fabryce Buicka we Flint. W takiej fabryce można zarobić dużo pieniędzy. Nie zostaniemy tam na zawsze, ale tato musi mieć stałą pracę.

- A co z dziadkiem i babcią?

- Och, oni nigdy stąd nie wyjadą.

- Będą dalej uprawiać bawełnę?

- Chyba tak. Co innego mogliby robić.

- I dadzą sobie radę bez nas?

- Na pewno. Posłuchaj, nie możemy tu siedzieć, rok po roku tracić pieniądze i zaciągać nowe długi. Tato i ja chcemy spróbować czegoś innego.

Słuchałem jej z mieszanymi uczuciami. Pragnąłem, żeby rodzice byli szczęśliwi, lecz wiedziałem, że na wsi mama szczęśliwa nie będzie, zwłaszcza mieszkając z teściami. Oczywiście nie chciałem zostać farmerem, ale z drugiej strony czekała mnie tu świetlana przyszłość jako zawodnika drużyny Kardynałów. Myśl, że miałbym opuścić miejsce, które znałem od urodzenia, napawała mnie niepokojem. Poza tym nie wyobrażałem sobie życia bez dziadka i babci.

- Będzie wspaniale - szepnęła mama. - Zobaczysz.

- Chyba tak. Czy tam jest zimno?

- Nie, ale zimą jest dużo śniegu, a na śniegu można się cudownie bawić. Ulepimy bałwana, zrobimy śnieżne lody, a na Boże Narodzenie wszędzie będzie biało.

Przypomniały mi się opowieści Jimmy'ego Dale'a o meczach Tygrysów z Detroit, o dobrej płatnej pracy, o telewizji i o szkołach, które ponoć były tam lepsze. Potem przypomniała mi się jego żona, wstrętna Stacy, która gęgała jak gęś, i to, jak nastraszyłem ją w wychodku.

- Oni tam śmiesznie mówią.

- Tak, ale jakoś do tego przywyknjemy. Przeżyjemy nową przygodę, a jeśli się nam nie spodoba, wrócimy do domu.

- Do domu?

- Tak, albo tu, albo gdzieś na południe.

- Nie chcę widzieć tej okropnej Stacy.

- Ja też nie. Dobrze, a teraz połóż się i przemyśl to sobie. Tylko pamiętaj: to nasz sekret.

- Tak, mamo.

Okryła mnie i zgasiła światło.

I tak przybyła mi kolejna tajemnica.

## ROZDZIAŁ 32

Dziadek dojadł jajecznicę, wytarł usta i spojrzał w okno nad zlewem. Światło było marne, ale najwyraźniej zobaczył to, co chciał zobaczyć.

- Chodźmy - powiedział.

Wyszliśmy z kuchni na podwórze i ruszyliśmy w stronę stodoły. Kuląc się w swetrze, z trudem dotrzymywałem kroku tacie. Trawa była mokra i po kilku krokach przemokły mi buty. Przystanęliśmy na skraju pola i popatrzyliśmy na ciemną linię drzew nad strumieniem półtora kilometra dalej. Rozciągało się przed nami czterdzieści akrów ziemi, połowa tego, co mieliśmy. Woda sięgała daleko, nie wiedzieliśmy tylko, do którego miejsca.

Dziadek wszedł między krzewy i niebawem widać było tylko jego ramiona i słomkowy kapelusz. Miał dojść do granicy wody. Gdyby szedł i szedł, oznaczałoby to, że strumień wyrządził mniejsze szkody, niż się obawialiśmy. Może się cofał, może zza chmur wychynie słońce. Może dałoby się coś uratować.

Dziadek przystanął osiemnaście metrów dalej i dzieliła nas teraz odległość, jaka dzieli miotacza od bazy domowej. Przystanął i spojrzał pod nogi. Nie widzieliśmy ani ziemi, ani nic, lecz wiedzieliśmy już wszystko. Woda podchodziła coraz bliżej.

- Już tu jest - rzucił przez ramię. - Z pięć centymetrów.

Zalewała pole szybciej, niż przewidywali, a biorąc pod uwagę ich skłonności do pesymizmu, musiało być naprawdę źle.

- W październiku nigdy czegoś takiego nie było - powiedziała babcia, nerwowo mnąc fartuch.

Dzisiaj cały czas patrzył pod nogi. Nie odrywaliśmy od niego wzroku. Wschodziło słońce, lecz na niebie było dużo chmur i często się za nimi chowało. Usłyszałem jakieś głosy i spojrzałem w prawo. Stała tam grupka Meksykanów. Obserwowali nas w posepnym milczeniu. Było ponuro jak na pogrzebie.

Wszystkich ciekawiło, dokąd sięga woda. Poprzedniego dnia widziałem, jak występuje z brzegów strumienia, teraz chciałem zobaczyć, jak zalewa pole, sunąc w kierunku domu niczym gigantyczny wąż, którego nie sposób powstrzymać. Tato wszedł między krzewy. Stał przy dziadku i schował ręce do kieszeni, tak samo jak on. Dołączyły do nich mama i babcia. Ruszyłem za nimi i ja, a za mną po polu rozeszli się Meksykanie. Szliśmy tyralierą, wypatrując granicy zalewu i przystanęliśmy, gdy pod nogami zachlupotała mętna, brązowa breja.

Odlamałem kawałek lodzgi i wetknąłem ją w ziemię. Woda pochłonęła ją w ciągu minuty.

Powoli ruszyliśmy do domu. Tato porozmawiał z Miguelem i pozostałymi Meksykanami. Chcieli wracać do kraju albo jechać na inną farmę, gdzie mogliby zbierać bawełnę. Kto miałby im to za złe? Kręciłem się w pobliżu i nasłuchiwałem. Uzgodnili, że dziadek zawiezie ich na górne pole. Bawełna była mokra, ale gdyby wyszło słońce, każdy z nich mógłby zbierać chociaż ze czterdzieści pięć kilo.

Tato miał pojechać do miasta - już drugi dzień z rzędu - i spytać w spółdzielni, czy ktoś nie potrzebuje Meksykanów do pomocy. W północno-wschodniej części hrabstwa ziemia była lepsza, a pola leżały dalej od strumieni i rzeki. Krążyły też plotki, że w okolicach Monette spadło mniej deszczu niż u nas.

Kiedy tato przedstawił nam plan działania, siedziałem w kuchni z mamą i babcią.

- Przecież bawełna ocieka wodą - rzuciła babcia, kręcąc głową. - Nie zbiorą nawet dwudziestu kilo, to strata czasu.

Dziadzio był na podwórzu i tego nie słyszał. Tato słyszał, ale nie miał ochoty wyklócać się ze swoją mamą.

- Spróbujemy przenieść ich na inną farmę - powiedział.

- Mogę jechać do miasta? - spytałem. Bardzo mi na tym zależało, bo gdybym nie pojechał, musiałbym pewnie iść z Meksykanami na górne pole i wlokąc worek po wodzie, zbierać mokrą bawełnę.

- Możesz - odrzekła z uśmiechem mama. - Nie ma już farby.

Babcia tylko się skrzywiła. Wydawać pieniądze na farbę w chwili, gdy grozi nam klęska? Z drugiej strony dom był już w połowie pomalowany i świeża biel za bardzo kontrastowała z wypłowiałym brązem starych desek. Trzeba było doprowadzić rzecz do końca.

Tata też nie chciał rozstawać się z gotówką, mimo to spojrzał na mnie i rzekł:

- Jedź.

- Ja zostanę - powiedziała mama. - Muszę zawekować trochę okry.

Kolejna wyprawa do miasta. Miałem fart. Nie musiałem zbierać bawełny, nie musiałem nic robić, tylko jechać i zastanawiać się, jak by tu fundnąć sobie ciagutkę albo lody. Nie wypadało mi jednak podskakiwać z radości, ponieważ byłem jedynym szczęśliwym członkiem naszej rodziny.

Przystanęliśmy przed mostem. Rzeka z trudem mieściła się w korycie.

- Myśli tato, że przejedziemy? - spytałem.

- Mam nadzieję. - Tata wrzucił jedynekę i bojąc się spojrzeć w dół, powoli, powolutku

wjechaliśmy na most. Zadygotały obciążone i podmywane wodą pale, zatrzeszczały deski. Tata dodał gazu i po chwili byliśmy już po drugiej stronie. Dopiero wtedy odetchnęliśmy.

Strata mostu byłaby prawdziwą tragedią. Odcięłoby nas od świata. Woda podeszłaby pod dom i nie mielibyśmy dokąd uciec. Nawet Latcherowie mieliby lepiej. Mieszkali po tej stronie rzeki, znacznie bliżej miasta i cywilizacji.

Popatrzyliśmy w stronę ich chaty.

- Zalało ich - powiedział tata, chociaż nic z tej odległości nie widzieliśmy. Ale tak, ich bawełnę zalało na pewno.

Na polach pod miastem dostrzeżliśmy pracujących Meksykanów, ale było ich znacznie mniej niż zwykle. Zaparkowaliśmy przed spółdzielnią i weszliśmy do środka. Pod ścianą siedziało kilku posepnych farmerów, pili kawę i rozmawiali. Tata dał mi dziesięć centów na coca-colę i przyłączył się do nich.

- Zebraliście coś? - spytał jeden z nich.

- Tyle co nic.

- Co ze strumieniem?

- Wylał, wczoraj wieczorem. Przez noc woda doszła do drogi. Dolnego pola już nie ma. Zapadła cisza. Farmerzy wbili wzrok w podłogę, trawiąc tę straszną wiadomość i współczując biednym Chandlerom. Znienawidziłem bawełnę jeszcze bardziej.

- Ale rzeka jeszcze nie wylała.

- Jeszcze nie, ale tylko patrzeć.

Zgodnie pokiwali głowami.

- Zalało jeszcze kogoś? - spytał tato.

- Triplettów. Jeleni Potok zabrał im ponoć dwadzieścia akrów, ale nie wiem, czy to prawda.

- Wszystkie strumienie wylewają, rzeka nie wytrzyma.

Znowu zapadła cisza. Farmerzy myśleli o strumieniach i o rzece.

- Nie potrzebujecie Meksykanów? - spytał w końcu tato. - Mam dziewięciu. Nie mają nic do roboty i chcą wracać do domu.

- Są jakieś wiadomości o dziesiątym?

- Nie. Wyjechał. Nie moja sprawa.

- Riggs zna kogoś na północ od Blytheville. Podobno szukają tam ludzi do roboty.

- A gdzie on?

- Zaraz przyjdzie.

Rozmowa zesłała na temat masowych wyjazdów ludzi ze wzgórz i Meksykanów.

Exodus siły roboczej stanowił kolejny dowód na to, że zbiory się już skończyły. Nastrój w spółdzielni sponseśniał jeszcze bardziej, więc poszedłem do Pearl, żeby wycyganić od niej ciągutkę.

Sklep był zamknięty. Pierwszy raz w życiu widziałem zamknięty sklep, to znaczy zamknięty sklep Popa i Pearl. Na tabliczce było napisane, że jest otwarty od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do szóstej, a w soboty od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem. Oczywiście w niedzielę był zamknięty. W moją stronę szedł pan Sparky Dillon, mechanik z Texaco.

- Otwierają dopiero o dziewiątej - rzucił.
- A która jest teraz? - spytałem.
- Dwadzieścia po ósmej.

Nigdy dotąd nie byłem w Black Oak o tak wczesnej porze. Rozejrzałem się po ulicy, nie wiedząc, dokąd pójść. Postanowiłem zajrzeć do drogerii i szedłem w tamtą stronę, gdy wtem usłyszałem warkot silnika. Nadjeżdżały dwie ciężko obciążone ciężarówki. Ludzie ze wzgórz: najwyraźniej wracali do domu. Na starych materacach rozłożonych na przyczepie tej pierwszej siedziało kilku nastoletnich chłopców, którzy gapili się smutno na sklepy - z powodzeniem mogliby uchodzić za Spruillów. Druga ciężarówka była o wiele czystsza i ładniejsza. Na niej też piętrzyły się drewniane skrzynie i worki, lecz wszystkie były porządnie poukładane i powiązane. Za kierownicą siedział ojciec rodziny, w fotelu pasażera jego żona z małym dzieckiem na kolanach. Dzieciak pomachał do mnie. Odmachałem.

Babcia zawsze mówiła, że ludzie ze wzgórz mają ładniejsze domy niż my. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego co roku pakowali manatki i zjeżdżali do nas na zbiór bawełny.

Zobaczyłem, że tato wchodzi do sklepu żelaznego, więc i ja tam wszedłem. Stał przy półkach z farbą i rozmawiał ze sprzedawcą. Na ladzie stały cztery czteroipółlitrowe puszki z naklejką Pittsburgh Paint. Pomyślałem o Piratach z Pittsburgha. Znowu skończyli ligę na ostatnim miejscu. Ich jedyny dobry zawodnik, Ralph Kiner, zaliczył w sumie trzydzieści siedem kólek.

Pewnego dnia ja też zagram w Pittsburghu. Z dumą włożę strój Kardynałów i zmiotę w proch tych nędznych Piratów.

Na tylną ścianę domu zużyliśmy cały zapas farby. Meksykanie mieli wkrótce wyjechać. Uważałem, że trzeba kupić więcej puszek i skorzystać z darmowej siły roboczej, w przeciwnym razie wszystko znowu spadnie na mnie.

- Nie wystarczy - szepnąłem do taty, kiedy sprzedawca podliczał rachunek.
- Na razie musi - odrzekł ze zmarszczonym czołem. Chodziło o pieniądze.

- Dziesięć dolarów i trzydzieści sześć centów podatku - powiedział sprzedawca.

Tato wyjął z kieszeni cienki zwitek banknotów. Odliczał je bardzo powoli, jakby nie chciał się z nimi rozstać.

Odliczył dziesięć, bo tylko tyle miał: dziesięć jednodolarowych banknotów. Kiedy stało się jasne, że mu nie wystarczy, roześmiał się sztucznie i rzekł:

- Wygląda na to, że wziąłem tylko dziesięć dolarów. Podatek zapłacę następnym razem.

- Oczywiście - odparł sprzedawca. - Nie ma sprawy.

Załadowali puszki do samochodu.

W spółdzielni był już pan Riggs i tato poszedł porozmawiać z nim o Meksykanach. Ja wróciłem do sklepu.

- Ile kosztuje dziewięć litrów białej? - spytałem.

- Pięć dolarów - odrzekł sprzedawca.

Podąłem mu pieniądze.

- Proszę.

Sprzedawca się zawahał.

- Zarobiłeś przy bawelnie?

- Tak.

- Tatuś wie, co kupujesz?

- Jeszcze nie.

- Co malujecie?

- Nasz dom.

- Dlaczego?

- Bo nikt go dotąd nie malował.

Niechętnie przyjął pieniądze.

- Jeszcze osiemnaście centów podatku.

Podąłem mu dolara.

- Tato jest panu coś winien.

- Tak, trzydzieści sześć centów.

- Proszę to doliczyć.

- Dobrze. - Wydał mi resztę i zaniósł puszki do pikapu. Stałem na chodniku, pilnując farby, jakby ktoś mógł ją ukraść.

Nagle zobaczyłem pana Lyncha Thorntona, naszego poczmistrza: otworzył drzwi poczty i wszedł do środka. Nie spuszczając oka z samochodu, ruszyłem w tamtą stronę. Pan Thornton był dziwakiem. Wielu uważało, że zdziwaczał z powodu żony, która miała pociąg do

whisky. Mieszkańcy Black Oak surowo potępiali picie alkoholu. Najbliższy sklep monopolowy był aż w Blytheville, ale pod miastem mieszkało kilku pokątnych handlarzy, którzy nieźle sobie radzili. Wiedziałem to od Ricky'ego. Ricky mówił, że nie lubi whisky, ale że od czasu do czasu wypija kilka piw. Wysłuchałem tylu kazań na temat szkodliwości alkoholu, że poważnie martwiłem się o jego duszę. O ile picie było dla mężczyzny grzechem, o tyle dla kobiety zakrawało na skandal.

Chciałem spytać pana Thorntona, jak się nadaje list i jak to zrobić, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Mój list do Ricky'ego miał aż trzy strony, co napawało mnie dumą, ale ponieważ pisałem w nim o dziecku Libby, nie byłem do końca przekonany, czy powinienem wysłać go do Korei.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Pan Thornton sadowił się właśnie za ladą i otwierał okienko.

- Mały Chandler, tak? - spytał, ledwie na mnie zerknąwszy.

- Tak.

- Mam coś dla was. - Nachylił się i po chwili podał mi dwa listy, w tym jeden od Ricky'ego. - To wszystko?

- Tak, dziękuję.

- Jak sobie radzi?

- Chyba dobrze.

Wybiegłem na ulicę, ściskając listy w rękę; ten drugi był z fabryki traktorów Johna Deere w Jonesboro. Przyjrzałem się kopercie listu od Ricky'ego. Był zaadresowany do nas wszystkich: do Eliego Chandlera i jego rodziny przy Route 4 w Black Oak w stanie Arkansas. W lewym górnym rogu widniał adres zwrotny, skomplikowany ciąg liter i cyfr i nazwa miasta w ostatniej linijce: San Diego, Kalifornia.

Ricky żył i pisał, reszta się nie liczyła. Szedł ku mnie tato. Podbiegłem do niego, usiedliśmy na schodach sklepu tekstylnego i dokładnie przeczytaliśmy list. Ricky znowu się spieszył i napisał tylko jedną stronę. Jego jednostka ostatnio prawie nie walczyła i chociaż bardzo się tym denerwował, dla nas brzmiało to jak najpiękniejsza muzyka. Coraz częściej mówiło się o zawieszeniu broni, a nawet o tym, że na Boże Narodzenie nasze wojsko wróci do domu.

Ostatni akapit zasmucił nas i przeraził. Jeden z jego kolegów, chłopak z Teksasu, wpadł na minę i zginął. Byli rówieśnikami, poznali się na obozie dla rekrutów. Po powrocie do domu Ricky zamierzał pojechać do Fort Worth i odwiedzić jego matkę.

Tato złożył list i schował go do kieszeni kombinezonu. Wsiedliśmy do pikapu i

odjechaliśmy.

W domu na Boże Narodzenie. Nie mogłem wyobrazić sobie piękniejszego prezentu.

Zaparkowaliśmy pod dębem i tata poszedł po farbę. Przeliczył puszki, spojrzął na mnie i spytał:

- Dwadzieścia siedem litrów?
  - Dokupiłem dziewięć. I zapłaciłem podatek.
- Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.
- Z własnych pieniędzy?
  - Tak.
  - Niepotrzebnie.
  - Chcę pomóc.

Podrapał się w głowę, pomyślał, w końcu rzekł:

- Dobra, w porządku.

Kiedy zanieśliśmy farbę na ganek, powiedział, że chce sprawdzić, jak idzie dziadkowi i Meksykanom na górnym polu. Gdyby okazało się, że można zbierać, miał do nich dołączyć. Pozwolił mi zacząć malować zachodnią ścianę domu. Chciałem pracować sam. Chciałem, żeby wszyscy widzieli, że jestem zdany tylko na własne siły, że ogrom zadania mnie przytłacza, i żeby Meksykanie mi współczuli.

Wrócili w południe, brudni i zmęczeni. Zebrali tyle co nic.

- Za mokra - powiedział dziadek do babci. Zjedliśmy smażoną okrę z grzankami i ponownie wziąłem się do roboty.

Malując, cały czas zerkałem na stodołę, ale przez całą wieczność harowałem bez niczyjej pomocy. Co oni tam robili? Było już po lunchu, po tortillach. I po sjeście. Przecież widzieli, że mam od groma roboty? Dlaczego nie chcieli mi pomóc?

Niebo na zachodzie pociemniało, ale zauważyłem to dopiero wtedy, kiedy na ganek wyszli babcia i dziadek.

- Może padać - powiedział dziadek. - Lepiej już skończ.

Wymyłem pędzle, a puszki z farbę schowałem pod ławkę, jakby burza mogła je uszkodzić. Usiadłem, po mojej lewej stronie usiadła babcia, po prawej Dziadzio i wsłuchaliśmy się w pomruk grzmotu na południowym zachodzie. Czekaliśmy na deszcz.

## ROZDZIAŁ 33

Nasz nowy obrządek powtórzył się nazajutrz po późnym śniadaniu. Przeszliśmy przez mokre podwórze, stanęliśmy za stodołą na skraju pola i zobaczyliśmy nie wodę, która zebrała się tam po nocnym deszczu, tylko mętną breję ze strumienia. Miała prawie osiem centymetrów głębokości i ciągle przybierała, gotowa rozpocząć powolny marsz w stronę stodoły, szopy z narzędziami, kurników i naszego domu.

Łodygi krzewów były pochylone na wschód: powyginał je szalejący nocą wiatr. Kulki bawełny obwisły pod ciężarem deszczówki.

- Dziadku, dom też zaleje? - spytałem.

Dziadzio pokręcił głową i objął mnie ramieniem.

- Nie, nie zaleje. Już kilka razy podchodziła bardzo blisko, ale dom stoi dobre półtora metra wyżej. Nie martw się.

- Raz zalała stodołę - powiedział tato. - Rok po narodzinach Luke'a, tak?

- W czterdziestym szóstym - odrzekła babcia, która pamiętała wszystkie daty. - Ale to było w maju - dodała - dwa tygodnie po tym, jak skończyliśmy siać.

Ranek był chłodny i wietrzny, a cienka warstwa chmur zapowiadała względnie dobrą pogodę. Idealny dzień na malowanie, oczywiście zakładając, że znalazłbym kogoś do pomocy. Meksykanie stali blisko, ale nie na tyle blisko, żeby do nich zagadać.

Niebawem, może już za kilka godzin, odjadą, i tyle ich zobaczę. Zawieziemy ich do spółdzielni i zaczekamy, aż przyjdzie po nich farmer, którego jeszcze nie zalało. Podśluchałem, jak dorośli rozmawiają o tym przy śniadaniu przed wschodem słońca, i omal nie wpadłem w panikę. Dziewięciu Meksykanów mogło pomalować zachodnią ścianę w niecały dzień. Mnie zajmie to miesiąc. Nie pora na nieśmiałość.

Kiedy wracaliśmy do domu, czekałem na nich i powiedziałem:

- *Buenos días. Como esta?*

Odpowiedziała mi cała dziewiątka. Szli do stodoły, czekał ich kolejny zmarnowany dzień. Towarzyszyłem im, dopóki nie oddaliliśmy się od rodziców. Wtedy rzuciłem:

- Chcecie trochę pomalować?

Miguel przetłumaczył pytanie i wszyscy się uśmiechnęli.

Dziesięć minut później trzy z sześciu puszek farby były już otwarte, a przy zachodniej ścianie domu stał tłumek malarzy. Kilku biło się o trzy pędzle, reszta wznosiła rusztowanie.

Wskazywałem ręką to tu, to tam, wydając polecenia, ale nikt mnie nie słuchał. Miguel i Roberto to samo robili po hiszpańsku, ale koledzy słuchali ich tak samo jak mnie.

Mama i babcia zmywały naczynia i wyglądały przez kuchenne okno. Dziadek był w szopie i dłubał w silniku traktora. Tato poszedł na długi spacer, pewnie po to, żeby ocenić rozmiar szkód i trochę się pomartwić.

Meksykanie malowali w pośpiechu. Żartowali, śmiali się i wzajemnie wyszydali, ale pracowali dwa razy szybciej niż przed dwoma dniami. Nie marnowali ani sekundy. Co pół godziny pędzle przechodziły z ręki do ręki, tak że w pogotowiu zawsze czekała wypoczęta zmiana. O dziesiątej dotarli prawie do werandy. Dom nie był duży.

Z radością schodziłem im z drogi. Pracowali tak szybko, że gdybym któregoś zastąpił, spowolniłbym tylko postęp prac. Poza tym ich pomoc była tymczasowa. Zbliżała się chwila, kiedy miałem zostać sam na sam z resztą domu.

Mama przyniosła nam mrożoną herbatę i kruche ciasteczka, ale Meksykanie nie przerwali malowania. Najpierw zjedli i wypili ci, którzy siedzieli ze mną pod drzewem, potem ci, którzy machali pędzlem.

- Starczy wam farby? - spytała szeptem.

- Nie.

Mama wróciła do kuchni.

Do lunchu skończyliśmy całą ścianę i w blasku rzadko wyglądającego zza chmur słońca lśniła na niej gruba warstwa białej farby. Zostało nam tylko cztery i pół litra. Zaprowadziłem Miguela pod wschodnią ścianę i pokazałem mu miejsce, którego Trot nie mógł dosięgnąć. Miguel rzucił kilka rozkazów i ekipa wzięła się do roboty.

Zastosowali nową metodę. Nie przesuwali rusztowania, tylko Pepe i Luis, dwóch najdrobniejszych Meksykanów, usadowili się na ramionach Pabla i Roberto, którzy byli najroślejsi, i zaczęli malować deski pod dachem; oczywiście wywołało to nie kończącą się serię komentarzy i żarcików.

Farba się wreszcie skończyła i trzeba było coś zjeść. Uścisnąłem im ręce i wylewnie podziękowałem. Wracając do stodoły, śmiali się wesoło i rozmawiali. Patrzyłem za nimi przez chwilę, a potem spojrzałem na pole za stodołą. Na jego skraju widać było wodę. To dziwne: przybierała nawet wtedy, gdy świeciło słońce.

Jeszcze raz obejrzałem nasze dzieło. Tylna i boczne ściany domu wyglądały jak nowe. Została tylko frontowa, ale wiedziałem, że jako stary weteran dam radę pomalować ją bez pomocy Meksykanów.

- Luke, jedzenie na stole. - Na ganku stała mama.

Ponieważ wciąż zwlekałem, podziwiając jaskrawą biel ścian, podeszła do mnie i też spojrzała na dom.

- Pięknie - powiedziała. - Dobra robota.

- Dzięki.

- Ile zostało ci farby?

- Nic. Skończyło się.

- Ile potrzebujesz na frontową ścianę?

Na frontowej ścianie, nieco krótszej od zachodniej i wschodniej, była weranda, którą musiałem pomalować, tak jak pomalowałem ganek.

- Osiemnaście, dwadzieścia litrów - odrzekłem, jakbym od urodzenia malował domy.

- Nie chcę, żebyś wydawał pieniądze na farbę.

- To moje pieniądze. Mówiła mama, że mogę za nie kupić, co chcę.

- To prawda, ale nie powinieneś ich wydawać na coś takiego.

- Ale ja chcę. Chcę pomóc.

- A twoja kurtka?

Myśl o kurtce Kardynałów spędzała mi kiedyś sen z powiek, lecz teraz miałem na głowie ważniejsze sprawy. Poza tym zbliżała się Gwiazdka.

- Może przyniesie mi ją święty Mikołaj?

- Może - odrzekła mama z uśmiechem. - A teraz chodźmy coś zjeść.

Dziadek podziękował Bogu za dary, jakie mieliśmy spożywać, lecz ani słowem nie wspomniał o pogodzie i zbiorach. Gdy zaczęliśmy jeść, tato powiedział, że woda przelała się już przez drogę i doszła do górnego pola. Prawie nikt tego nie skomentował. Uodporniliśmy się na złe nowiny.

Meksykanie stali przy pikapie, czekając na dziadka. Każdy z nich miał zawiniątko z tymi samymi rzeczami, z którymi przyjechał do nas przed półtora miesiącem. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Jak zawsze bardzo chciałem pojechać z nimi, chociaż ta wyprawa nie należała do najprzyjemniejszych.

- Idź pomóż mamie w ogrodzie - powiedział tato, gdy Meksykanie zaczęli wsiadać do samochodu. Dziadek zapalił silnik.

- Miałem jechać z wami - zaprotestowałem.

- Nie każ mi się powtarzać - warknął tato.

Patrzyłem, jak odjeżdżają, ostatni raz spoglądają na nasz dom i ze smutkiem machają mi na pożegnanie. Tata mówił, że jadą na wielką farmę na północ od Blytheville, dwie godziny

drogi stąd, że zależnie od pogody będą tam pracować jeszcze przez trzy, może nawet cztery tygodnie, a potem wrócą do Meksyku. Mama chciała wybadać, czym wrócą, ciężarówką do przewożenia bydła czy autobusem, ale nie drażyła tematu. Nie mieliśmy na to żadnego wpływu, poza tym groziła nam powódź.

Najważniejszy był zapas żywności na długą zimę po fatalnych zbiorach: mieliśmy jeść wyłącznie warzywa z naszego ogrodu. Niby nic nadzwyczajnego, tyle tylko, że będzie nas stać jedynie na mąkę, cukier i kawę. Po dobrych zbiorach rodzice i dziadkowie zawsze wtykali pod materac trochę pieniędzy, cienki zwitek banknotów przeznaczonych na takie luksusy jak coca-cola, lody, słone krakersy czy biały chleb. Jeśli zbiory były złe, jedliśmy wyłącznie to, co wyrosło w ogrodzie.

Jesienią zbieraliśmy nać gorczycy, rzepę i groch, warzywa, które sialiśmy w maju i czerwcu. Czasami udawało się zebrać kilka pomidorów, choć nie zawsze.

Ogród zmieniał wygląd zależnie od pory roku, a zimą wreszcie odpoczywał, nabierając sił do pracy.

Babcia gotowała w kuchni czerwoną fasolę i wekowała ją najszybciej, jak umiała. Mama czekała na mnie w ogrodzie.

- Chciałem jechać do miasta - powiedziałem.

- Przykro mi, synku. Musimy się spieszyć. Jeśli spadnie więcej deszczu, wszystko zgnije. Poza tym woda może dojść aż tutaj. I co wtedy?

- Czy tata kupi farbę?

- Nie wiem.

- Chciałbym pojechać i kupić.

- Może jutro. Teraz musimy powyrywać rzepę. - Podciągnęła sukienkę do kolan.

Była na bosaka i stała po kostki w błocie. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby była tak brudna. Rzuciłem się na rzepę i kilka minut później wyglądałem jak nieboskie stworzenie.

Zrywaliśmy i wyrywaliśmy warzywa przez dwie godziny, a potem umyliśmy w wannie przy ganku. Babcia zaniósła je do kuchni, gdzie zostały ugotowane i zawekowane.

Na farmie było cicho: nie grzmiało, nie wiał wiatr, po podwórzu nie kręcili się Spruillowie, stodoła opustoszała. Znowu zostaliśmy sami, tylko my, Chandlerowie: musieliśmy walczyć z żywiołem i przetrwać. Powtarzałem sobie, że kiedy wróci Ricky, życie będzie lepsze, bo będę miał się z kim bawić i rozmawiać.

Mama postawiła na ganku kolejny kosz warzyw. Spocona i zmęczona, natychmiast obmyła się zmoczoną w wiadrze szmatką. Nie znosiła brudu i niechęć tę również mnie próbowała wpoić.

- Chodźmy do stodoły - rzuciła. Nie byłem na wyżkach od półtora miesiąca, od przyjazdu Meksykanów.

- Dobrze. - I poszliśmy.

Pogadaliśmy chwilę z krową Izabelą, a potem weszliśmy po drabinie na wyżki. Mama ciężko pracowała, żeby tam posprzątać. Przez całą zimę zbierała stare koce i poduszki, żeby Meksykanie mieli na czym spać. Wstawiła tam nawet wentylator, który przydałby się na werandzie. Namówiła tatę, żeby przeciągnął z domu kabel i doprowadził elektryczność do stodoły.

Często powtarzała:

- Bez względu na to, co niektórzy o nich mówią, Meksykanie są takimi samymi ludźmi jak my.

Na wyżkach było czyściutko jak w dniu ich przyjazdu. Miguel i jego koledzy poskładali wszystkie koce i poduszki i ułożyli je koło wentylatora. Zamietli podłogę, nie zostawili po sobie ani jednego papierka. Mama była z nich dumna. Potraktowała ich z szacunkiem, a oni się jej zrewanżowali.

Otworzyliśmy drzwiczki, te, przez które wyglądał Luis, kiedy Hank obrzucał stodołę grudami ziemi i kamieniami. Usiedliśmy ze spuszczone nogami i spojrzeliśmy przed siebie. Z wysokości dziewięciu metrów mieliśmy bardzo dobry widok. Za odległą linią drzew na zachodzie płynęła rzeka, a dokładnie na wprost nas, na polu, stała woda z wezbranego strumienia.

W niektórych miejscach niemal zupełnie zalała krzewy. Stąd, z wyżek, mogliśmy lepiej ocenić rozmiary powodzi. Widzieliśmy, jak woda płynie między równiutkimi rzędami krzewów, jak zalewa drogę i jak powoli wpływa na górne pole.

Gdyby wylała i rzeka, nasz dom znalazłby się w niebezpieczeństwie.

- Chyba już po zbiorach - powiedziałem.

- Na to wygląda - odrzekła mama bez wielkiego smutku w głosie.

- Dlaczego tak szybko nas zalewa?

- Bo nasze pola leżą blisko rzeki. To nie jest dobra ziemia, synku, i nigdy nie będzie.

Między innymi dlatego chcemy stąd wyjechać. Tu nie ma przyszłości.

- Dokąd pojedziemy?

- Na północ. Tam, gdzie można znaleźć pracę.

- Na długo?

- Nie. Zostaniemy tam, dopóki nie odłożymy trochę pieniędzy. Tatuś będzie pracował w fabryce, razem z Jimmym Dale'em. U Buicka płacą trzy dolary za godzinę. Urządzimy się

jakoś, zaciśniemy pasa i pošlemy cię do szkoły. Do dobrej szkoły.

- Nie chcę iść do nowej szkoły.

- Spodoba ci się, zobaczysz. Na północy są duże, ładne szkoły.

Niby co mi się miało spodobać? Wszyscy moi koledzy mieszkali w Black Oak, a tam nie znałem żywej duszy, nie licząc Jimmy'ego Dale'a i Stacy. Mama pogłaskała mnie po kolanie, lecz wcale nie poczułem się lepiej.

- Zmiany są zawsze trudne, synku, ale mogą też być bardzo przyjemne. Pomyśl o tym jak o przygodzie. Chcesz grać u Kardynałów, prawda?

- Tak.

- W takim razie musisz wyjechać, zamieszkać w nowym domu, poznać nowych przyjaciół i zacząć chodzić do nowego kościoła. Będziesz się dobrze bawił, prawda?

- Chyba tak.

Siedzieliśmy tam i lekko kiwaliśmy nogami. Słońce schowało się za chmurą. Wiatr zmienił kierunek i powiał nam prosto w twarz. Drzewa na skraju pola zaczynały żółknąć i czerwienieć. Opadały pierwsze liście.

- Nie możemy tu zostać, Luke - powiedziała cicho mama, błędząc myślami gdzieś daleko, pewnie na północy.

- Co będziemy robić, kiedy wrócimy?

- Na pewno nie będziemy uprawiać ziemi. Znajdziemy sobie pracę w Memphis albo w Little Rock i kupimy dom, taki z telewizorem i telefonem. Będziemy mieli ładny samochód, a ty zaczniesz grać w drużynie, którą stać na prawdziwe stroje baseballowe. Co ty na to?

- Fajnie.

- Ale zawsze będziemy tu przyjeżdżali, do dziadka, babci i do Ricky'ego. To będzie zupełnie inne życie, Luke, o wiele lepsze od tego. - Ruchem głowy wskazała pole i zalaną bawełnę.

Pomyślałem o kuzynach z Memphis, o dzieciach sióstr taty. Przyjeżdżali do Black Oak tylko na pogrzeby, czasami na Dzień Dziękczynienia, i bardzo mi to odpowiadało, bo byli wyszczekani i ładniej ubrani. Nie przepadałem za nimi, jednocześnie im zazdrościłem. Nie, żeby byli niegrzeczni czy wyniośli - byli po prostu inni i źle się z nimi czułem. Postanowiłem, że jeśli kiedykolwiek zamieszkam w Memphis albo w Little Rock, nigdy, przenigdy nie będę zachowywał się tak jak oni.

- Powiem ci coś w tajemnicy.

Nie, tylko nie to, tylko nie kolejna tajemnica. Czułem, że głowa mi od nich pęknie.

- Tak? Co?

- Będę miała dziecko - powiedziała z uśmiechem.

Ja też się uśmiechnąłem. Byłem jedynakiem i bardzo mi się to podobało, ale szczerze mówiąc, zawsze chciałem mieć kogoś do zabawy.

- Naprawdę?

- Tak. Urodzi się latem.

- I mogłaby mama urodzić chłopca?

- Spróbuję, ale niczego nie obiecuję.

- Chciałbym mieć małego braciszka.

- Cieszysz się?

- Tak. Czy tato już o tym wie?

- O tak, jemu też powiedziałam.

- I też się ucieszył?

- Bardzo.

- To dobrze. - Chwilę trawiłem tę wiadomość, chociaż od razu wiedziałem, że jest dobra. Wszyscy moi kumple mieli siostry i braci.

I wtedy przyszła mi do głowy myśl, od której nie mogłem się uwolnić. Ponieważ rozmawialiśmy o dzieciach, odczułem palącą potrzebę podzielenia się z nią jedną z moich tajemnic. Ta była już bardzo stara i chyba zupełnie nieszkodliwa. Odkąd podkradliśmy się z Tally pod dom Latcherów, wydarzyło się tyle nowego, że nasza nocna wyprawa wydawała się niemal zabawna.

- Wiem, jak się rodzą dzieci - powiedziałem nieśmiało.

- Naprawdę?

- Tak.

- A skąd?

- Czy mama też umie dochować tajemnicy?

- Oczywiście.

Zacząłem od tego, że niemal wszystko zwałem na Tally. To ona to zaplanowała. To ona błagała, żebym z nią poszedł. To ona się ze mnie wyśmiewała. Wszystko przez nią. Kiedy mama zrozumiała, do czego to zmierza, wytrzeszczyła oczy.

- Luke - wyszeptła - chyba nie chcesz powiedzieć, że...

Ha! Wiedziałem, że już ją mam. To i owo trochę upiększyłem, żeby ożywić tok zdarzeń i wzmóc napięcie, ale w zasadzie trzymałem się faktów. Mama połknęła haczyk.

- Widzieliście mnie przez okno? - spytała.

- Tak. Babcię i panią Latcher też.

- I Libby?

- Nie, ale słyszeliśmy, jak krzyczy. Czy to zawsze tak boli?

- Nie, nie zawsze. Mów dalej.

Nie oszczędzałem szczegółów. Kiedy opowiadałem, jak uciekaliśmy do domu przed pikapem, mama zacisnęła mi rękę na łokciu tak mocno, że jeszcze trochę i złamałaby mi rękę.

- Nie mieliśmy pojęcia, że tam jesteście! - wykrzyknęła.

- Jasne, że nie. Ledwo zdążyłem. Dziadek wciąż chrapał, ale bałem się, że do mnie zajrzycie i zobaczycie, że jestem spocony i brudny.

- Byliśmy bardzo zmęczeni.

- Na szczęście. Spałem tylko dwie godziny, a potem dziadek zabrał mnie na pole. Nigdy w życiu nie byłem tak śpiący.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliście. - Chyba chciała mnie zrugać, ale za bardzo pochłonęła ją moja opowieść.

- Było fajnie.

- Nie powinniście byli tam chodzić.

- Tally mi kazała.

- Nie zrzucaj winy na Tally.

- Sam bym nie poszedł.

- Ani ty nie powinienesz być tam chodzić, ani ona. - Nic to: widziałem, że jest pod wrażeniem. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Często urządzaliście takie wyprawy?

- Nie, tylko wtedy.

- Lubieś ją, prawda?

- Tak. Była moją przyjaciółką.

- Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

- Ja też.

Tęskniłem za Tally, ale za nic nie chciałem się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

- Mamo, myśli mama, że ją tam spotkamy?

- Nie, synku, chyba nie - odrzekła z uśmiechem. - W tych miastach, w St. Louis, Chicago, Cleveland, w Cincinnati mieszkają miliony ludzi. Już nigdy jej nie zobaczymy.

Pomyślałem o Kardynałach, Cubsach i Redsach. Pomyślałem o Stanie Musiale obiegającym wszystkie bazy na oczach trzydziestu tysięcy kibiców na stadionie Sportsman's Park. Ponieważ wszystkie te drużyny grały gdzieś na północy, prędzej czy później ja też bym tam pojechał. Dlaczego nie miałbym pojechać kilka lat wcześniej?

- Chyba z wami pojedę - powiedziałem.

- Spodoba ci się, zobaczysz.

Po powrocie z miasta tato i dziadek wyglądali tak, jakby mieli wszystkiego dosyć. I pewnie mieli. Pracownicy odeszli, bawełna zmokła. Gdyby wyszło słońce i cofnęła się woda, nie mieliby nikogo do pomocy. Ale było już chyba po zbiorach: słońce ani myślało wychodzić, a woda ciągle przybierała.

Dziadek wszedł do domu, a tato postawił na werandzie dziewięć litrów farby. Zrobił to bez słowa, chociaż wiedział, że na niego patrzę. Potem poszedł do stodoły.

Dziewięć litrów to za mało na pomalowanie frontowej ściany. Bardzo mnie to zirytowało, lecz nagle zrozumiałem, dlaczego nie kupił więcej. Nie miał pieniędzy. On i dziadek zapłacili Meksykanom i nic im nie zostało.

Poczułem się fatalnie. Po wyjeździe Trota to właśnie ja nalegałem, żeby kontynuować malowanie domu. Cały czas przy tym obstawałem i zmusiłem tatę do wydania resztek pieniędzy.

Patrzyłem na puszki z farbą i do oczu napłynęły mi łzy. Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak bardzo spłukani.

Tato wypruwał z siebie flaki przez pół roku, a teraz nic z tego nie miał. Nadeszły deszcze, a ja nie wiedzieć czemu postanowiłem, że trzeba pomalować nasz dom.

Chciałem dobrze. W takim razie dlaczego tak podle się czułem?

Wziąłem pędzel, otworzyłem puszkę i rozpocząłem ostatnią fazę mojego projektu. Malowałem powoli, krótkimi ruchami, a wolną ręką ocierałem łzy.

## ROZDZIAŁ 34

Pierwsze przymrozki zwarzyłyby resztki warzyw w ogrodzie. Zwykle nadchodziły w połowie października, chociaż poradnik, który tata czytywał nabożnie jak Biblię, już dwa razy źle przewidział daty. Nie zniechęcony tym tato otwierał go codziennie przy pierwszej kawie: znajdował w nim mnóstwo powodów do zmartwień.

Ponieważ nie mogliśmy zbierać bawełny, całą uwagę skupiliśmy na ogrodzie. Po śniadaniu poszliśmy tam całą piątką. Mama była pewna, że mróz chwyci już tej nocy, a jeśli nie, to na pewno następnej. I tak dalej, i tak dalej.

Przez godzinę zrywałem fasolę. Dziadzio, który nie znośił pracować w ogrodzie jeszcze bardziej niż ja, z podziwu godną cierpliwością robił to samo. Babcia pomagała mamie zdejmować z krzaków ostatnie pomidory. Tata dźwigał kosze pod nadzorem mamy.

- Chciałbym trochę pomalować - powiedziałem, gdy przechodził obok.

- Spytaj mamy - odrzekł.

Spytałem i pozwoliła mi pod warunkiem, że zbiorę jeszcze jeden kosz fasoli. Praca w ogrodzie wrzała jak nigdy dotąd. Przewidywałem, że do południa nie zostanie tam ani jeden zabłąkany strączek.

Niebawem znowu byłem sam i znowu malowałem. Poza wyrównywaniem dróg równiarką, najbardziej lubiłem właśnie to zajęcie. Różnica między malowaniem domów i wyrównywaniem dróg polegała na tym, że nie umiałem prowadzić równiarki i upłynęłoby wiele lat, zanim bym się nauczył. Natomiast malować umiałem, a obserwując Meksykanów, podszkoliłem się jeszcze bardziej. Nakładałem farbę najcieniej, jak tylko mogłem, żeby starczyło jej na pokrycie jak największej powierzchni.

Do dziesiątej opróżniłem pierwszą puszkę. Mama i babcia były już w kuchni, gdzie myły, gotowały i wekowały warzywa.

Nie słyszałem, jak do mnie podszedł, dlatego kiedy odkaszlnął, żeby zwrócić na siebie uwagę, byłem tak zaskoczony, że upuściłem pędzel.

Stał przede mną pan Latcher, mokry i uwalany błotem od pasa w dół. Był na bosaka i miał na sobie podartą koszulę. Najwyraźniej przyszedł do nas na piechotę.

- Gdzie jest pan Chandler? - spytał.

Nie wiedziałem, o którego pana Chandlera mu chodzi, więc podniosłem pędzel, pobiegłem za dom i krzyknąłem do taty, który natychmiast wystawił głowę zza krzaków.

Zobaczył pana Latchera i szybko wstał.

- Co się stało? - spytał, idąc w naszą stronę.

Babcia też nas usłyszała i wyszła na ganek, a za babcią pospieszyła mama.

Wiedzieliśmy, że coś jest nie tak: wystarczyło spojrzeć na pana Latchera.

- Zalewa nas - powiedział, nie mogąc spojrzeć tacie w oczy. - Musimy uciekać.

Tata popatrzył na mnie, potem na mamę i babcię. Wszyscy gorączkowo myśleli.

- Możecie nam pomóc? - poprosił pan Latcher. - Nie mamy dokąd pójść.

Myślałem, że zaraz się rozplacze, i sam też omal się nie rozplakałem.

- Oczywiście, że tak - odrzekła babcia, przejmując dowodzenie. Od tej chwili tata miał robić dokładnie to, co mu kazała. Pozostali Chandlerowie też.

Posłała mnie po dziadka. Był w szopie; próbował naprawić stary akumulator od traktora. Zebraliśmy się przy pikapie, żeby opracować plan działania.

- Można tam dojechać? - spytał Dziadzio.

- Nie - odrzekł pan Latcher. - Woda na drodze sięga do pasa, w domu do pół łydki.

Przelała się przez ganek.

Nie mogłem sobie wyobrazić tych wszystkich Latcherzątek brodzących w brudnej, mulistej wodzie.

- Co z Libby i dzieckiem? - spytała poruszona babcia.

- Z Libby wszystko w porządku. Dzieciak jest chory.

- Trzeba by łodzią - powiedział tata. - Jeter ma łódź.

- Bierzemy - rzekł dziadek. - Nie będzie miał nam za złe.

Szybko zaplanowali wyprawę ratunkową: należy dotrzeć do łodzi, sprawdzić, jak daleko można dojechać pikapem, ile razy będą musieli obrócić. Nie wspomnieli tylko o tym, gdzie podzięją się Latcherowie, kiedy już ich uratujemy. Babcia nie pozwoliła odebrać sobie dowództwa.

- Możecie zostać tutaj - powiedziała. - Meksykanie wyjechali, na wyżkach jest czyściutko. Będziecie mieli ciepłe spanie i dużo jedzenia.

Spojrzałem na nią. Dziadzio też. Tata oglądał czubki swoich butów. Horda wygłodniałych Latcherów w naszej stodole! Chore dziecko płaczące przez całą noc. Jedzenie, które będziemy musieli im dać. Byłem przerażony i wściekły na babcię, że zaproponowała to Latcherowi, nie naradziwszy się najpierw z nami.

I wtedy spojrzałem na pana Latchera. Drżały mu wargi, w oczach miał łzy. Miętosił w rękach stary kapelusz i ze wstydu spuścił głowę. Nigdy dotąd nie widziałem biedniejszego, brudniejszego i bardziej załamane go człowieka.

Zerknąłem na mamę. Ona też miała oczy na wilgotnym miejscu. Przeniosłem spojrzenie na tatę. Tato nigdy nie płakał i nie zamierzał płakać teraz, ale również jego poruszyło cierpienie pana Latchera. Gwałtownie zmiękło mi serce.

- No to idźcie, do roboty - rzuciła władczo babcia. - My przygotujemy stodołę.

Momentalnie ożyliśmy. Mężczyźni wsiedli do pikapu, kobiety ruszyły do stodoły. Odchodząc, babcia chwyciła dziadka za łokieć i szepnęła:

- Najpierw dziecko i Libby. - Był to rozkaz z ust przełożonego i dziadek bez słowa kiwnął głową.

Wskoczyłem na skrzynię z panem Latcherem, który przycupnął na swoich patykowatych nogach i ani razu się do mnie nie odezwał. Przystanęliśmy przed mostem. Tata wysiadł i ruszył brzegiem rzeki po łódź Jeterów, którą miał po nas przy płynąć. Przeszliśmy na drugi brzeg, skręciliśmy na drogę do chaty Latcherów i trzydzieści metrów dalej natrafiliśmy na skraj trzęsawiska. Przed nami nie było nic oprócz wody.

- Powiem im, że zaraz będziecie - rzucił pan Latcher. Wszedł najpierw w błoto, potem w wodę. Wkrótce sięgała mu już kolan. - Uważajcie na węże! - krzyknął przez ramię. - Pełno ich tu. - Brnął przez jezioro, które rozlało się na ich polu.

Patrzyliśmy za nim, dopóki nie zniknął nam z oczu. Potem wróciliśmy nad rzekę, żeby zaczekać na tatę.

Siedzieliśmy na kłodzie drewna i patrzyliśmy na rwącą wodę. Ponieważ dziadek milczał, zdecydowałem, że nadeszła pora, żeby coś mu opowiedzieć. Najpierw zaprzysiąłem go i zobowiązałem do zachowania tajemnicy.

Zacząłem od samego początku, od nocnej rozmowy na podwórzu. Spruillowie się kłócili, Hank postanowił odejść i odszedł. Ruszyłem za nim jak mroczny cień i zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, śledziłem już nie tylko jego, ale i Kowboja.

- Bili się tam. - Wskazałem środek mostu.

Dziadzio nie myślał już ani o powodzi, ani o bawelnie, ani nawet o Latcherach. Zdumiony przeszywał mnie wzrokiem, wierząc w każde moje słowo. Opisałem mu bójkę, nie szczędząc plastycznych szczegółów, a potem ponownie wyciągnąłem rękę.

- Wrzucił go tam, dokładnie pośrodku. Hank już nie wypłynął.

Dziadek tylko chrząknął. Wstałem i nerwowo opowiedziałem mu, co było dalej. Kiedy opisałem spotkanie z Kowbojem, Dziadzio cicho zaklął.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Nie mogłem. Za bardzo się bałem.

Dziadek wstał i kilka razy obszedł naszą kłodę.

- Zamordował im syna, ukradł córkę - mamrotał. - O Boże, o mój Boże...

- Dziadku, co teraz?

- Zaczekaj, niech no pomyślę.

- Czy on wypłynie?

- Nie. Kowboj wypruł mu flaki, trup poszedł na dno. Pewnie zżarły go te przekłete zębacze. Nic z niego nie zostało.

Chociaż zabrzmiało to obrzydliwie, odczułem swoistą ulgę. Nie chciałem go więcej widzieć. Nigdy. Myślałem o nim, ilekroć przejeżdżaliśmy przez most. Po nocach śnił mi się jego rozdęty trup, który wyskakuje z wody, żeby przerazić mnie na śmierć.

- Dziadku, czy zrobiłem coś złego?

- Nie.

- Czy dziadek komuś o tym powie?

- Nie, chyba nie. Zatrzymamy to dla siebie. Pogadamy później.

Usiedliśmy na kłodzie i znowu wbiliśmy wzrok w wodę. Dziadzio pogąrzył się w zadumie. Próbowałem wmówić sobie, że teraz, kiedy wreszcie powiedziałem o śmierci Hanka komuś dorosłemu, powinno być mi lżej.

Dziadzio pomilczał jeszcze chwilę i w końcu rzekł:

- Hank dostał to, na co zasłużył. Nikomu nic nie powiemy. Jesteś jedynym świadkiem i nie ma sensu, żebyś się tym martwił. To będzie nasza tajemnica i zabierzemy ją ze sobą do grobu.

- A jego rodzice?

- Jeśli się nie dowiedzą, nie będą cierpieć.

- Powie dziadek babci?

- Nie. Nie powiem nikomu. Niech to pozostanie tylko między nami.

Takiemu współnikowi mogłem zaufać. I rzeczywiście poczułem się lepiej. Podzieliłem się tajemnicą z przyjacielem, który z pewnością mógł ją udźwignąć.

I tak ustaliliśmy, że Hank i Kowboj na zawsze znikną z naszego życia.

W końcu przyplłynął tata płaskodennym czółnem Jeterów. Czółno nie miało silnika, ale ponieważ prąd był wartki, łatwo się nim manewrowało. Tato użył wiosła jako steru i przybił do brzegu pod mostem, dokładnie naprzeciwko nas. Razem z dziadkiem wyciągnęli czółno z wody i załadowali je na skrzynię pikapu. Potem dojechaliśmy do drogi Latcherów, spuściliśmy je na rozlewisko i nie zważając na uwalane błotem nogi, wskoczyliśmy do niego całą trójką. Tato i

dziadek chwycili za wiosła i popłynęliśmy sześćdziesiąt centymetrów nad dnem, mijając rzędy zniszczonych krzewów bawełny.

Im dalej, tym woda była głębsza. Zerwał się wiatr i zepchnął nas w bawełnę. Tato i dziadek popatrzyli w niebo i pokręcili głową.

Wszyscy Latcherowie stali na ganku. Przerażeni czekali, obserwując czółno sunące przez jezioro, które otaczało ich dom. Schodki były zalane. Woda na ganku miała co najmniej trzydzieści centymetrów głębokości. Podpłynęliśmy jeszcze bliżej, a wówczas pan Latcher zeskoczył ze schodów i wciągnął czółno na ganek. Woda sięgała mu piersi.

Popatrzyłem na smutne, załężnione twarze Latcherzątek. Ubrania mieli w jeszcze gorszym stanie niż ostatnio. Byli wychudzeni, wynędzniali i pewnie przymierali głodem. Paru maluchów uśmiechnęło się do mnie i nagle poczułem się bardzo ważny. Z tłumku wyszła Libby z dzieckiem owiniętym w stary koc. Nigdy dotąd jej nie widziałem i nie mogłem uwierzyć, że jest taka ładna. Miała długie, jasnobrązowe włosy ściągnięte w kucyk i bladoniebieskie, błyszczące oczy. Była wysoka i chuda jak jej bracia i siostry. Kiedy weszła do czółna, dziadek i tato przytrzymali ją, żeby nie upadła. Usiadła tuż przy mnie i nagle znalazłem się oko w oko z moim nowym kuzynem.

- Jestem Luke - powiedziałem, chociaż była to dość dziwna pora na zawieranie znajomości.

- A ja Libby - odrzekła z uśmiechem, od którego szybciej zabiło mi serce. Dziecko spało. Wcale nie urosło od chwili, kiedy widziałem je przez okno. Było malutkie, pomarszczone i pewnie głodne, ale w domu czekała już babcia.

Do czółna wszedł Rayford. Usiadł jak najdalej ode mnie; był jednym z trzech Latcherów, którzy mnie wtedy pobili. Percy, ten najstarszy, ich prowodyr, czekał na ganku. Zabraliśmy jeszcze dwoje maluchów i do czółna wsiadł pan Latcher.

- Zaraz wracamy - rzucił do żony i dzieci. Wyglądali tak, jakbyśmy zostawiali ich na pewną śmierć.

Lunał deszcz i zmienił się wiatr. Dziadzio i tata wiosłowali najsilniej, jak mogli, mimo to czółno ledwo się poruszało. Pan Latcher wskoczył do wody, na sekundę zniknął pod powierzchnią, znalazł grunt pod nogami i się wynurzył. Woda sięgała mu piersi. Chwycił przymocowaną do dziobu linę i pociągnął nas w stronę drogi.

Ponieważ wiatr ciągle zwiewał nas w bawełnę, tato ostrożnie zszedł do wody i zaczął popychać czółno od tyłu.

- Uwaga na węże - ostrzegł go ponownie pan Latcher. Obydwaj byli do cna przemoczeni.

- Omal nie ukąsił Percy'ego - powiedziała Libby. - Wpłynął na ganek. - Tuliła do siebie dziecko, żeby nie zalała go woda.

- Jak ma na imię? - spytałem.

- Jeszcze nie ma.

W życiu nie słyszałem większej bzdury. Dziecko bez imienia. Większość dzieci baptystów miała dwa albo nawet trzy imiona, zanim się jeszcze urodziła.

- Kiedy wraca Ricky? - szepnęła Libby.

- Nie wiem.

- Wszystko u niego w porządku?

- Tak.

Bardzo się nim interesowała i poczułem się trochę nieswojo. Ale w sumie miło było siedzieć obok pięknej dziewczyny, która chciała ze mną poszeptać. Jej bracia i siostry przeżywali tę przygodę z wytrzeszczonymi oczami.

Im bliżej drogi, tym woda była płytsza i w końcu ugrzęźliśmy w błocie. Wysiedliśmy i załadowaliśmy Latcherzątka do pikapu. Dziadek wskoczył do szoferki.

- Luke, ty zostaniesz ze mną - rozkazał tata.

Kiedy samochód odjechał, on i pan Latcher zawrócili czółno i popchnęli je w stronę chaty. Wiał tak silny wiatr, że musieli się pochylać. Ja też pochylałem głowę, żeby doszczętnie nie przemoknąć. Ciągłe padał zimny deszcz, z każdą sekundą silniejszy.

Gdy dobijaliśmy, jezioro przed chatą dosłownie kipiało. Pan Latcher przytrzymał czółno i zaczął wydawać polecenia żonie. Ta podała mu jakiegoś malucha, który omal nie wpadł do wody, bo w tej samej chwili ostro dmuchnęło i czółno odbiło od ganku. Percy błyskawicznie podał mi kij do miotły: chwyciłem go i przyciągnąłem łódź do schodków. Tata coś wołał, pan Latcher pokrzykiwał. Pozostałe dzieci pchały się do czółna jednocześnie. Pomogłem im i wsiadły jak trzeba, po kolei.

- Powoli, Luke! - powtarzał w kółko tata.

Kiedy usiadły, pani Latcher wrzuciła do czółna płócienny worek, pewnie z ubraniami. To ich cały dobytek, pomyślałem. Wylądował u moich stóp, więc chwyciłem go i przytuliłem, jakby zawierał coś bezcennego. Tuż obok mnie przycupnęła malutka, bosonoga dziewczynka. Butów nie miała żadne z nich, ale ona nie miała nawet koszulki z rękawami i dygocząc z zimna, przywarła do mojej nogi, jakby się bała, że porwie ją wiatr. Miała łzy w oczach, lecz gdy na nią spojrzałem, szepnęła:

- Dziękuję.

Wsiadła pani Latcher. Usadowiła się między dziećmi, krzycząc na męża, ponieważ on

też na nią krzyczał. Przeliczyliśmy dzieci, zawróciliśmy i popłynęliśmy w kierunku drogi. Ci, którzy siedzieli w łodzi, skulili się i osłonili twarze od deszczu.

Tata i pan Latcher walczyli z wiatrem i pchali nas ze wszystkich sił. Miejscami woda sięgała im tylko do kolan, lecz już kilka kroków dalej zalewała pierś, a wtedy tracili grunt pod nogami. Próbowali utrzymać czółno na środku drogi, żeby nie zniosło nas w bawelnę. Powrót trwał o wiele dłużej.

Dziadka jeszcze nie było, nie zdążył obrócić. Kiedy czółno ugrzęzło w błocie, tata przywiązał je do płotu i powiedział:

- Nie ma sensu czekać. Idziemy.

Zmagając się z wiatrem, przebrnęliśmy przez gęstą maź i dotarliśmy do rzeki. Latcherzątka bały się wejść na most, a gdy w końcu weszły, zaczęły wrzeszczeć i płakać ze strachu tak głośno, że uszy puchły. Nie odstępowały rodziców na krok. Teraz pan Latcher niósł worek. W połowie mostu spojrzałem pod nogi i zauważyłem, że jego żona, tak samo jak dzieci, też nie ma butów.

Kiedy przeszliśmy bezpiecznie na drugi brzeg, w oddali zobaczyliśmy naszego pikapa. Nadjeżdżał Dziadzio.

Babcia i mama czekały na ganku, gdzie rozpoczynało się coś w rodzaju prowizorycznej linii produkcyjnej. Powitały drugą falę Latcherów i skierowały ich na koniec ganku, gdzie leżał stos ubrań. Latcherowie rozebrali się - jedni się trochę krepowali, inni nie - i włożyli używaną odzież Chandlerów, którą zbieraliśmy i przechowywaliśmy od dziesiątków lat. Przebranych w ciepłe, suche rzeczy zaprowadzono do kuchni, gdzie czekało tyle jedzenia, że starczyłoby na kilka posiłków. Babcia podała nawet kielbasę i wiejską szynkę i upiekła całą brytfannę kruchych ciasteczek. Stół był zastawiony wielkimi półmiskami ze wszystkimi rodzajami warzyw, jakie mama wyhodowała w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Latcherowie zasiedli do stołu całą dziesiątką; dziecko spało gdzieś w domu. Prawie się nie odzywali i nie bardzo wiedziałem, czy milczą dlatego, że się wstydzą, czy dlatego, że im ulżyło, czy dlatego, że są prostu głodni. Podawali sobie półmiski i od czasu do czasu mówili „dziękuję”. Mama i babcia krzątały się wokół nich i roznosiły herbatę. Obserwowałem to wszystko od drzwi. Dziadek i tata siedzieli na werandzie, pijąc kawę i patrząc na deszcz.

Kiedy Latcherowie na dobre się rozjedli, my, Chandlerowie, przeszliśmy do saloniku. Babcia rozpałała ogień pod kominkiem, więc zasiedliśmy tam w pięcioro i przez długi czas nasłuchiwalismy dobiegających z kuchni odgłosów. Latcherowie rozmawiali po cichu, za to sztucami i talerzami pobrzękiwali na całego. Było im ciepło, mieli co jeść, czuli się

bezpiecznie. Jak to możliwe, pomyślałem, że niektórzy są aż tak biedni?

Doszedłem do wniosku, że nie potrafię ich dłużej nie lubić. Byli takimi samymi ludźmi jak my, a ich nieszczęście polegało tylko na tym, że urodzili się połownikami. Nie powinienem był nimi pogardzać. Poza tym bardzo spodobała mi się Libby.

Miałem nadzieję, że ja jej też.

Kiedy tak rozkoszowaliśmy się własną dobrocią, gdzieś w głębi domu zanosło się płaczem dziecko. Babcia zerwała się na równe nogi i wymiotło ją z salonu.

- Ja pójdę - rzuciła w kuchni. - Wy jedzcie.

Od stołu nie wstał ani jeden Latcher. Dzieciak płakał od chwili narodzin i zdążyli do tego przywyknąć.

W przeciwieństwie do nas, Chandlerów. Ryczał do końca lunchu. Babcia nosiła go przez godzinę na rękach, podczas gdy moi rodzice i dziadek pomagali urządzić się Latcherom w stodole. Kiedy Libby wróciła, dzieciak wciąż wył. Ponieważ przestało padać, mama zabrała go na spacer wokół domu, lecz przechadzka też go nie uspokoiła. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś wrzeszczał tak długo i tak głośno.

Zbliżało się południe i byliśmy wykończeni. Babcia wypróbowała na nim kilka łagodnych mikstur własnej produkcji, lecz mikstury tylko pogorszyły sprawę. Libby kołysała go na huśtanej ławce, ale kołysanie też nie skutkowało. Babcia tańczyła z nim po całym domu, ale bachor wył jeszcze głośniejsze niż przedtem. Mama nosiła go na rękach po pokoju. Dziadzio i tata już dawno uciekli z domu. Miałem ochotę schować się w silosie.

- Najcięższy przypadek kolki, jaki kiedykolwiek widziałam - mruzczała babcia.

Potem, kiedy Libby poszła kołysać syna na huśtanej ławce, podsłuchałem pewną rozmowę. Okazało się, że jako małe dziecko też miałem ciężki przypadek kolki. Mama mojej mamy, która teraz już nie żyła i która mieszkała kiedyś w malowanym domu w mieście, dała mi wtedy trochę waniliowych lodów. Natychmiast przestałem płakać i kilka dni później kolka minęła.

Jakiś czas potem miałem kolejny atak. Ponieważ babcia nie trzymała lodów w lodówce, rodzice zapakowali mnie do pikapu i pojechali do miasta. W trakcie jazdy przestałem płakać i usnąłem. Doszli do wniosku, że podziałała tak na mnie jazda samochodem.

Mama wysłała mnie na poszukiwania taty, wzięła dziecko od Libby, która chętnie się go pozbyła, i wkrótce szliśmy we troje do pikapu.

- Jedziemy do miasta? - spytałem.

- Tak - odrzekła mama.

- A co z nim? - rzucił tata, wskazując niemowlaka. - Mieliśmy o nim nikomu nie mówić.

Mama zupełnie o tym zapomniała. Gdybyśmy zatrzymali się w mieście z tajemniczym dzieciakiem na rękach, od plotek stanąłby ruch na ulicach.

- Będziemy się o to martwić potem - odparła i zatrzasnęła drzwiczki. - Jedźmy.

Tata włączył silnik i wrzucił wsteczny. Siedziałem między rodzicami i tuż obok miałem tego nieszczęsnego bachora, który po krótkiej przerwie zaczął znowu wyć. Gdy dojechaliśmy do mostu, zapragnąłem wyrzucić go przez okno.

Ale po drugiej stronie rzeki zdarzyło się coś dziwnego. Dziecko ucichło i znieruchomiało. Zamknęło usta, zamknęło oczy i zapadło w sen. Mama uśmiechnęła się do taty, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”

Jechaliśmy, a rodzice się naradzali; oczywiście szeptem. Postanowili, że mama wysiądzie przed kościołem i popędzi po lody do sklepu Popa i Pearl. Denerwowali się, że Pearl zacznie coś podejrzewać. Bo niby dlaczego kupowała akurat lody i tylko lody i co robiła w mieście w środę po południu? Ustalili, że mama nic jej nie powie i że będzie zabawnie, jeśli wścibska Pearl troszkę pocierpi. Była bardzo bystra, ale nawet ona nigdy by nie odgadła, że lody są przeznaczone dla nieślubnego Latcherzątka ukrytego w pikapie.

Zatrzymaliśmy się przed kościołem. Nikogo tam nie było, więc mama podała mi dziecko i szybko pokazała, jak toto trzymać. Zanim zdążyła zamknąć drzwiczki, maluch szeroko otworzył usta, błysnął oczami i gniewnie nabrał powietrza. Wrzasnął dwa razy i śmiertelnie mnie przeraził, lecz w tym samym momencie tata zwolnił sprzęgło i ruszyliśmy. Latcherzątko spojrzało na mnie i przestało płakać.

- Tato, tylko się nie zatrzymuj - powiedziałem.

Minęliśmy odziarniarnię. Była nieczynna i wyglądała ponuro. Objechaliśmy kościół metodystów i szkołę, a potem skręciliśmy na południe, w Main Street. Mama wyszła ze sklepu z małą papierową torebką w rękę, a tuż za nią - co zupełnie mnie nie zdziwiło - wyszła Pearl. Rozmawiały ze sobą, kiedy przejeżdżaliśmy przed sklepem. Jakby nigdy nic, tata pomachał im ręką.

Czułem, że zaraz wpadniemy. Wystarczyłby jeden krzyk i naszą tajemnicę poznałoby całe miasto.

Ponownie objechaliśmy odziarniarnię, a kiedy ruszyliśmy w kierunku kościoła, zobaczyliśmy, że mama do nas macha. Zwolniliśmy i bachor otworzył usta. Zadrżała mu dolna warga. Mama otworzyła drzwiczki, a wówczas podałem go jej i powiedziałem:

- Niech mama go weźmie, szybko.

Wyskoczyłem z szoferki, zanim zdążyła wsiąść. Szybkość, z jaką to zrobiłem, bardzo ich zadziwiła.

- Dokąd, Luke? - spytał tata.

- Ja zaraz. Muszę kupić farbę.

- Wsiadaj! - warknął tata.

Dzieciak wrzasnął i mama błyskawicznie wskoczyła do szoferki. Skręciłem za samochód i najszybciej, jak mogłem popędziłem przed siebie.

Usłyszałem jeszcze jeden wrzask i pikap ruszył.

Wbiegłem do sklepu żelaznego, do działu z farbami, i poprosiłem sprzedawcę o trzynaście i pół litra białej Pittsburgh Paint.

- Mam tylko dziewięć - odparł.

Zaniemówiłem. Nie ma farby? Jak to?

- W poniedziałek powinienem mieć dostawę - wyjaśnił.

- W takim razie poproszę to, co jest.

Wiedziałem, że dziewięć litrów nie wystarczy na dokończenie frontu, ale podałem mu sześć jednodolarowych banknotów, a on wydał mi resztę.

- Zaczekaj, pomogę ci.

- Nie, nie, nie trzeba. - Chwyciłem dwa kubły farby, po cztery i pół litra w każdym, i potykając się co krok, ruszyłem do drzwi. Stałem na chodniku, rozejrzałem się i wytrzymałem słuch. Nie, nikt nie wył, ani nawet nie płakał. W mieście panowała cisza. Na szczęście.

Przed sklepem po drugiej stronie ulicy stała Pearl, strzelając oczami na wszystkie strony. Schowałem się za jakiś samochód i po chwili zobaczyłem naszego pikapa: jechał powoli, powolutku i wyglądał bardzo podejrzanie. Tata dostrzegł mnie i przystanął na środku ulicy. Dźwignąłem ciężkie kubły i potruchtałem w tamtą stronę. Tata wysiadł, żeby mi pomóc, i kiedy wskoczyłem na skrzynię, szybko podał mi farbę. Wołałem jechać z tyłu, jak najdalej od małego Latchera. W chwili, gdy tata siadał za kierownicą, nieszczęsny pacan ostrzegawczo krzyknął.

Pikap szarpnął i pojechaliśmy. Krzyk natychmiast ustał.

- Cześć, Pearl! - krzyknąłem, gdy śmignęliśmy przed jej sklepem.

Na schodach werandy czekały na nas babcia i Libby. Samochód stanął i dzieciak natychmiast się rozplakał. Babcia, mama i Libby wpadły do kuchni i zaczęły napychać go lodami.

- W całym hrabstwie nie ma tyle benzyny, żeby go uciszyć - mruknął tata.

Na szczęście lody poskutkowały. Mały Latcher usnął w ramionach matki.

Ponieważ lody waniliowe mnie też pomogły kiedyś na kolkę, potraktowano to jako kolejny dowód, że w żyłach malucha płynie krew Chandlerów. Wcale mnie to nie pocieszyło.



## ROZDZIAŁ 35

Najazd hordy Latcherów na naszą stodołę całkowicie nas zaskoczył i chociaż pocieszaliśmy się spełnieniem chrześcijańskiego obowiązku i tym, że okazaliśmy miłosierdzie sąsiadom, wkrótce zaczęliśmy się zastanawiać, jak długo z nami zostaną. Po długiej rozmowie na temat wydarzeń dnia poruszyłem ten temat przy kolacji.

- Myślicie, że długo tu zostaną? - spytałem.

Dziadzio uważał, że wróćą do domu, gdy tylko woda opadnie. Owszem, mówił, w cudzej stodole można mieszkać, ale tylko wtedy, kiedy nie ma innego wyjścia. Żaden szanujący się człowiek nie pozostałby tam dłużej niż to absolutnie konieczne.

- A co będą jedli, jak wrócą? - spytała babcia. - Wszystko zabrała woda. - Krótko mówiąc, przewidywała, że Latcherowie zostaną z nami aż do wiosny.

Tata spekulował, że ich rozpadająca się chata może nie przetrzymać powodzi i że nie będą mieli do czego wracać. Nie mieli też samochodu, żadnego środka transportu. Głodowali na tej ziemi od dziesięciu lat, dokąd teraz pójda? - mówił. Dziadek był tą perspektywą trochę przygnębiony.

Mama głównie się przysłuchiwała, lecz w pewnej chwili wtrąciła, że Latcherowie nie należą do ludzi, których krępowałoby mieszkanie w cudzej stodole. Martwiła się też o dzieci, nie tylko o ich zdrowie i prawidłowe odżywienie, ale także o ich wykształcenie i rozwój duchowy.

Tak więc Dziadzio został przegłosowany trzy do jednego. Cztery do jednego, licząc mnie.

- Jakoś przeżyjemy - powiedziała babcia. - Jedzenia wystarczy nam na całą zimę. Są tutaj, nie mają dokąd pójść, dlatego się nimi zaopiekujemy. - Nikt nie zamierzał z nią polemizować.

- Bóg obdarzył nas urodzajnym ogrodem nie bez przyczyny - dodała, spoglądając na mamę. - W Ewangelii Świętego Łukasza Jezus powiada: „Zaproś biednych, ułomnych, chromych, ślepych i będziesz błogosławiony”.

- Zamiast jednego, zabijemy dwa prosiaki - dodał dziadek. - Będzie dużo jedzenia.

Świniobicie odbywało się na początku grudnia, kiedy było mroźno i kiedy zdychały wszystkie bakterie. Prosiakowi strzelali w łeb, zanurzali go we wrzątku, wieszali na gałęzi drzewa przy szopie, patroszyli i kroili na tysiąc kawałków. Mieliśmy z niego bekon, szynkę,

schab, kielbasę i żeberka. Zjadaliśmy wszyściutko, nawet jęzor, mózdzek i nóżki. „Wszystko oprócz kwiku”- słyszałem to od urodzenia. Pan Jeter, nasz sąsiad zza drogi, był dobrym rzeźnikiem. Osobiście nadzorował patroszenie, a potem zajmował się wyjmowaniem i dzieleniem podrobów. Brał za to jedną czwartą najlepszych kawałków.

Przy moim pierwszym świniobiciu uciekłem za dom i zwymiotowałem, jednak z czasem przywykłem i nie mogłem się już doczekać początku grudnia. Jeśli chciało się jeść bekon i szynkę, trzeba było zabić prosiaka. Wiedziałem jednak, że do wykarmienia Latcherów dwa prosiaki nie wystarczą. Było ich aż jedenaścioro, łącznie z najmłodszym Latcherzatką, które chwilowo żywiło się lodami.

Im dłużej rozmawialiśmy, tym częściej myślałem o wyjeździe na północ.

Wyprawa z rodzicami coraz bardziej mnie kusila. Współczułem Latcherom i byłem dumny, że ich uratowaliśmy. Wiedziałem, że jako chrześcijanie powinniśmy pomagać biednym. Wszystko to doskonale rozumiałem, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak przeżyjemy zimę z bandą maluchów biegających po farmie. Wkrótce kończyły się wakacje. Mieliby chodzić do szkoły razem ze mną? Byliby nowi, więc nauczycielka kazałaby mi pewnie się nimi opiekować. Co by pomyśleli moi kumple? Czekająby mnie same upokorzenia.

Poza tym teraz, kiedy już z nami zamieszkali, nie mieliśmy szans utrzymać sprawy w tajemnicy. Kto jest ojcem dziecka Libby? Wszyscy wskażą palcem Ricky’ego. Na pewno. Pearl się domyśli, po co nam te lody. Ktoś coś palnie, będzie jakiś przeciek i wszystko się wyda.

- Skończyłeś? - spytał tata, wrywając mnie z zamyślenia.

Talerz był czysty. Wszyscy znacząco nań patrzyli. Musieli pogadać o dorosłych sprawach i dawali mi do zrozumienia, żebym znalazł sobie coś do roboty.

- Kolacja była dobra - wyrecytowałem. - Czy mogę już wstać od stołu?

Babcia kiwnęła głową. Wyszędłem na ganek - specjalnie trzasnąłem przy tym siatkowymi drzwiami - i usiadłem po ciemku na ławce przy kuchennych drzwiach. Z tego miejsca słyszałem każdziutkie słowo. Rodzice i dziadkowie martwili się o pieniądze. Postanowili, że spłatę długu pod zasiew spróbują odroczyć do wiosny. Pozostałe rachunki też, chociaż Dziadzio wolałby tego nie robić.

Najpilniejszą i najważniejszą sprawą było przetrwanie zimy. Nie chodziło o jedzenie. Musieliśmy mieć pieniądze na najniezbędniejsze potrzeby takie jak elektryczność, benzyna, olej napędowy, kawa, cukier i mąka. A jeśli ktoś zachoruje i trzeba będzie wezwać lekarza albo kupić lekarstwa? Albo zepsuje się samochód? Za co kupimy części?

- I nie daliśmy nic na kościół - zauważyła babcia.

Dziadek szacował, że na polu, a raczej w wodzie, zostało trzydzieści procent bawełny.

Gdyby pogoda się poprawiła, moglibyśmy coś z tego uratować, jednak większość dochodu pochłonęłaby odziarniarnia. Ani on, ani tata nie mieli już nadziei na dalsze zbiory. Przynajmniej nie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku.

Problemem była gotówka. Wydali niemal wszystko i nie mieli skąd wziąć pieniędzy. Wyliczyli, że na elektryczność i na benzynę starczy im ledwie do Bożego Narodzenia.

- Jimmy Dale trzyma dla mnie miejsce w fabryce - powiedział tata. - Ale muszę się szybko decydować. O pracę coraz trudniej. Musimy tam jechać.

Jimmy Dale twierdził, że u Buicka płacą trzy dolary za godzinę przy czterdziestogodzinnym tygodniu pracy, ale można też wziąć nadgodziny.

- Mówi, że zarobię prawie dwieście dolarów tygodniowo - zakończył tata.

- Przyślemy wam, ile będziemy mogli - dodała mama.

Dziadzio i babcia usiłowali protestować, lecz wszyscy wiedzieli, że sprawa jest przesądzona. Z oddali dobiegł mnie dziwny, jakby znajomy dźwięk. Im był głośniejszy, tym bardziej cierpła mi skóra. Co mnie podkusiło, żeby przysiąść na ganku?

Wracało dziecko. Znowu wrzeszczało, bo pewnie naszła je ochota na lody waniliowe. Wślizgnąłem się w mrok, powoli ruszyłem w stronę stodoły i przywarowałem za kurnikiem. Minęły mnie pani Latcher i Libby. Po całej farmie niesło się płaczliwe echo.

Na spotkanie wyszły im mama i babcia. Zapaliły światło, nachyliły się nad małym potworem, a potem wnieśli go do domu. Przez okno zobaczyłem, jak Dziadzio i tata uciekają na werandę.

Cztery panie musiały dać z siebie wszystko, bo wkrótce płacz ustał. Wtedy z kuchni wyszła Libby i usiadła dokładnie w tym samym miejscu, w którym siedział Kowboj, kiedy pokazywał mi swój nóż. Podeszedłem bliżej.

- Cześć.

Aż podskoczyła ze strachu. Biedaczka, nerwy miała zszargane przez kolkę synka.

- Luke - sapnęła. - Co ty tu robisz?

- Nic.

- Chodź, usiądź. - Klepnęła miejsce obok siebie. Oczywiście usiadłem.

- Czy on nigdy nie przestaje płakać? - spytałem.

- Na to wygląda. Ale mnie to nie przeszkadza.

- Nie?

- Nie. Przypomina mi Ricky'ego.

- Naprawdę?

- Tak. Wiesz, kiedy on wraca?

- Nie. W ostatnim liście pisał, że na Boże Narodzenie.

- To już za dwa miesiące.

- Tak, ale to nic pewnego. Babcia mówi, że każdy żołnierz tak pisze.

- Nie mogę się już doczekać - powiedziała, wyraźnie podekscytowana tą perspektywą.

- Co zrobicie, jak wróci? - spytałem, nie bardzo wiedząc, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

- Pobierzemy się - odrzekła z pięknym, szerokim uśmiechem. Jej oczy były pełne zachwytu i niecierpliwego oczekiwania.

- Naprawdę?

- Tak, Ricky obiecał.

Nie chciałem, żeby się żenił. Należał do mnie. Miał chodzić ze mną na ryby, grać w baseball i opowiadać o wojnie. Miał być moim dużym bratem, a nie czyimś mężem.

- Jest taki słodki - dodała, patrząc w niebo.

Słodki? Można było powiedzieć o nim wszystko, tylko nie to, że jest słodki. Ale przecież nie wiedziałem, czym jej tak zaimponował.

- Tylko nikomu nic nie mów - rzuciła, nagle poważniejąc. - To nasza tajemnica.

Tajemnice to moja specjalność - omal nie powiedziałem tego głośno.

- Spokojna głowa.

- Umiesz czytać i pisać?

- Jasne. A ty?

- Dość dobrze.

- Przecież nie chodzisz do szkoły.

- Doszłam do czwartej klasy, a potem mama zaczęła rodzić dzieci i musiałam rzucić szkołę. Napisałam do Ricky'ego list i powiedziałam mu o dziecku. Masz jego adres?

Nie byłem pewien, czy Ricky chciałby otrzymać taki list i przez chwilę się zastanawiałem, czy nie udać głupka. Ale cóż, polubiłem ją. Szalała na punkcie Ricky'ego tak bardzo, że nie mogłem nie dać jej adresu.

- Tak, mam.

- A kopertę?

- Jasne.

- Mógłbyś go wysłać? Tak cię proszę. On nie wie o naszym dziecku.

Coś mówiło mi, żeby się do tego nie wtrącać. To była ich sprawa, jego i jej.

- Chyba mogę - odrzekłem.

- Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję - zapiszczała i mocno objęła mnie za szyję. - Dam ci go jutro. Wyślesz? Na pewno?

- Na pewno. - Pomyślałem o poczmistrzu Thorntonie i o tym, jak zaintryguje go list Libby Latcher do Ricka Chandlera w Korei. Cóż, coś wymyślę. Może pogadam z mamą.

Dziecko wyniesiono na ganek i babcia ukołysała je do snu. Mama rozmawiała z panią Latcher. Mówiły, że maluch jest bardzo zmęczony, że płacz go znużył, więc kiedy już zaśnie, śpi tak mocno, że nic go nie obudzi. Wkrótce znudziła mnie ta gadanina o dziecku.

Mama zbudziła mnie tuż po wschodzie słońca, ale zamiast ściągnąć mnie z łóżka i zagnać do pracy, przysiadła na brzegu poduszki i powiedziała:

- Jutro wyjeżdżamy, synku. Dzisiaj nas spakuję. Tata pomoże ci malować, więc lepiej już wstań.

- Pada? - spytałem, siadając.

- Nie. Jest pochmurno, ale można malować.

- Jutro? Dlaczego jutro?

- Bo już czas.

- Kiedy wrócimy?

- Nie wiem. Idź zjeść śniadanie. Czeka nas ciężki dzień.

Zacząłem malować przed siódmą, kiedy słońce ledwo wychynęło zza linii drzew. Trawa była mokra, mokry był dom, ale nie miałem wyboru. Zresztą deski szybko wyschły i praca szła dobrze. Przyłączył się do mnie tato i przesunęliśmy rusztowanie, żebym mógł wyżej sięgnąć. Nadszedł pan Latcher. Obserwował nas chwilę, a potem powiedział:

- Chciałbym pomóc.

- Nie ma potrzeby - odrzekł tato z wysokości dwóch metrów i czterdziestu centymetrów.

- Chcę zarobić na utrzymanie. - No cóż, nie miał nic innego do roboty.

- Dobra. Luke, skocz no po pędzel.

Pobiegłem do szopy ucieszony, że znowu udało mi się załatwić darmową siłę roboczą. Pan Latcher wziął się do malowania tak energicznie, jakby chciał udowodnić, co jest wart.

Niebawem pod ścianą zebrał się tłum Latcherzątek. Naliczyłem siedmioro: byli tam wszyscy z wyjątkiem Libby i jej wrzaskuna. Stali i gapili się na nas z tępym wyrazem twarzy.

Pomyślałem, że pewnie czekają na śniadanie, i szybko przestałem zwracać na nich uwagę.

Ale pracować nie mogłem. Najpierw przyszedł Dziadzio i powiedział, że jedzie nad strumień sprawdzić stan wody. Ja na to, że wołałbym trochę pomalować.

- Jedź, Luke - rzucił tato i to przesądziło sprawę.

Dojechaliśmy traktorem tak daleko, że woda prawie zalała przednie koła. Wtedy dziadek wyłączył silnik. Długo siedzieliśmy pośród mokrej bawełny, którą z takim trudem wyhodowaliśmy.

- Jutro wyjeżdżacie - powiedział w końcu Dziadzio.

- Tak.

- Ale niedługo wrócić.

- Tak. - To mama, a nie on, miała zdecydować, kiedy wrócimy. I jeśli myślał, że wrócimy tu tylko po to, żeby znowu zasiać bawełnę, był w wielkim błędzie. Ale współczułem mu i już za nim tęskniłem.

- Myślałem o Hanku i Kowboju - rzekł, nie odrywając wzroku od wody przed traktorem. - Zrobimy tak, jak uzgodniliśmy. Inaczej nie wyjdzie z tego nic dobrego. Zabierzemy tę tajemnicę do grobu. - Wyciągnął do mnie rękę. - Umowa stoi?

- Jasne - odrzekłem, ściskając grubą, zrogowaciałą dłoń.

- Nie zapomnij o swoim dziadku, słyszysz?

- Nigdy.

Dziadzio odpałił silnik, wrzucił wsteczny i pojechaliśmy do domu.

Na rusztowaniu uwijał się Percy Latcher z moim pędzlem w ręku. Oddał mi go bez słowa i usiadł pod drzewem. Malowałem najwyżej dziesięć minut, do chwili, kiedy na ganek wyszła babcia.

- Chodź tu, Luke - zawołała. - Chcę ci coś pokazać.

I poprowadziła mnie w stronę silosu. Na podwórzu mlaskało błoto, a woda stała już dziewięć metrów od stodoły. Babcia chciała się przejść i pogadać, ale się nie dało. Chcąc nie chcąc, usiedliśmy na brzegu przyczepy.

- Co babcia chciała mi pokazać? - spytałem po długiej chwili milczenia.

- Nic. Chciałam tylko trochę z tobą pobyc. Jutro wyjeżdżasz. Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spałeś poza domem.

- Nie pamiętam. - Urodziłem się w pokoju, gdzie spali teraz rodzice. Dotyk jej rąk był pierwszym dotykiem, jaki kiedykolwiek poczułem. To ona sprowadziła mnie na świat i opiekowała się mamą. Nie, nigdy stąd nie wyjeżdżałem, ani na jedną noc.

- Dacie sobie radę - powiedziała bez większego przekonania w głosie. - Dużo ludzi jeździ tam do pracy. Zawsze sobie radzą i zawsze wracają do domu. Zanim się spostrzeżesz, będziecie z powrotem.

Jak każdy wnuczek, strasznie kochałem moją babcie, ale wiedziałem, że już nigdy nie zamieszkać w jej domu i że już nigdy nie będę pracował na jej polu.

Porozmawialiśmy trochę o Rickym, potem o Latcherach. Objęła mnie, mocno przytuliła i kazała przysiąc, że będę do niej pisał. Kazała też przyrzec, że będę się dobrze uczył, słuchał rodziców, chodził do kościoła, czytał Pismo Święte i że będę dbał o swoją wymowę, żebym nie mówił jak Jankesi.

Kiedy się już naprzyrzekałem, wróciliśmy do domu, omijając kałuże.

Ranek włókł się w nieskończoność. Latcherzątka rozpełzły się po całej farmie, ale wróciły na lunch. Stały pod ścianą i patrzyły, jak ich tata i mój tata ścigają się w malowaniu.

Nakarmiliśmy ich na werandzie. Kiedy zjedli, Libby odciągnęła mnie na bok i ukradkiem dała mi list do Ricky'ego. Udało mi się podwędzić białą kopertę. Napisałem na niej adres poczty wojskowej w San Diego i nakleiłem znaczek. Libby była pod wrażeniem. Ostrożnie włożyła do niej list i dwa razy polizała brzegi.

- Dziękuję, Luke - powiedziała i pocałowała mnie w czoło.

Schowałem list pod koszulę, żeby nikt go nie zobaczył. Chciałem wspomnieć o nim mamie, ale nie było okazji.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się szybciej. Mama i babcia przez całe popołudnie prały i prasowały ubrania na wyjazd. Tato i pan Latcher malowali, dopóki starczyło farby. Chciałem, żeby czas płynął wolniej, ale dzień zbliżał się już do końca.

Przetrwaliśmy kolejną cichą kolację, gdyż wszyscy martwiliśmy się naszym wyjazdem, chociaż każdy z innego powodu. Byłem tak smutny, że zupełnie nie miałem apetytu.

- To nasza ostatnia kolacja. - Poczulem się jeszcze gorzej. Nie wiem, po co dziadek to powiedział.

- Mówią, że na północy jest kiepskie jedzenie - dodała babcia, żeby mnie rozśmieszyć. Nic z tego, nie rozśmieszyła.

Było za chłodno, żeby siedzieć na werandzie. Przeszliśmy do saloniku i próbowaliśmy rozmawiać, jakby nigdy nic. Sęk w tym, że nie było odpowiedniego tematu. Kościół? Nuda. Baseball? Liga już dawno się skończyła. O Rickym rozmawiać nie chcieliśmy. Ani o nim, ani nawet o pogodzie.

W końcu poszliśmy spać. Mama okryła mnie i pocałowała na dobranoc. Babcia też. Zajrzał do mnie Dziadzio, co nigdy dotąd mu się nie zdarzało.

W końcu zostałem sam. Zmówiłem pacierz i wbiłem wzrok w ciemny sufit, nie wierząc, że to moja ostatnia noc w domu.

## ROZDZIAŁ 36

Tata został ranny we Włoszech w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Leczone go tam, potem przeniesiono na okręt szpitalny, a jeszcze potem przewieziono do Bostonu, gdzie przeszedł rehabilitację. Kiedy wysiadł na dworcu autobusowym w Memphis, miał ze sobą dwa wojskowe worki z ubraniami i kilkoma upominkami. Dwa miesiące później ożenił się z moją mamą. Dziesięć miesięcy później na scenę wydarzeń wkroczyłem ja.

Nigdy w życiu nie widziałem wojskowego worka. O ile wiedziałem, od wojny ich nie używano. Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem wszedłem do salonu, stały tam obydwaj, w połowie wypełnione ubraniami, a mama układała na stole rzeczy, które musiała jeszcze spakować. Sofa była zavalona jej sukienkami, kołdrami i koszulami, które wyprasowała wieczorem. Spytałem, skąd te torby, a ona powiedziała, że osiem lat przeleżały na stryszku w szopie z narzędziami.

- A teraz zjedz szybko śniadanie - dodała, składając ręcznik.

Był to nasz ostatni posiłek i babcia zaszalała. Jajka, kiełbasa, szynka, kasza, smażone ziemniaki, pieczone pomidory i grzanki - wystawiła na stół dosłownie wszystko.

- Macie przed sobą długą drogę - wyjaśniła.

- Tak? - spytałem, czekając na kawę; dziadek i tata byli gdzieś na dworze.

- Tak. Tato mówi, że będziecie jechać osiemnaście godzin. Bóg wie, kiedy znowu zjecie porządny posiłek. - Ostrożnie postawiła przede mną kubek kawy i pocałowała mnie w czoło. Uważała, że porządny posiłek potrafi przygotować tylko ona, we własnej kuchni i ze składników pochodzących z własnej farmy.

Dziadek i tata już jedli. Babcia usiadła i pijąc kawę, patrzyła, jak pochłaniam zgromadzone na stole delikatesy. I znowu kazała mi przyrzekać: że będę do nich pisał, że będę grzeczny, że będę czytał Biblię i się modlił, że nigdy nie zmienię się w Jankesa. Właściwie był to cały katalog przykazań. Jadłem i w odpowiednich momentach kiwałem głową.

Powiedziała też, że kiedy urodzi się nowy dzidzius, mama będzie potrzebowała pomocy. Że na pewno spotkamy tam ziomków z Arkansas, dobrych baptystów, na których można polegać, ale i tak spadną na mnie liczne obowiązki domowe.

- Jakie? - wymlaskałem z pełnymi ustami. Obowiązki zawsze kojarzyły mi się z farmą i myślałem, że wyjeżdżając, zostawię je za sobą.

- Zwyczajne, domowe - odrzekła enigmatycznie. Nie przespała w mieście ani jednej

nocy. Nie miała pojęcia, gdzie będziemy mieszkać, zresztą my też nie. - Po prostu pomagaj jej, i tyle.

- A jeśli dziecko będzie tak krzyczało jak dziecko Libby?

- Nie będzie. Żadne dziecko tak nie krzyczy.

Przez kuchnię przeszła mama z naręczem ubrań. Poruszała się szybko i energicznie. Marzyła o tym dniu od wielu lat. Dziadzio, babcia, może nawet tato traktowali ten wyjazd jako coś tymczasowego, ale dla mamy był to prawdziwy kamień milowy, punkt zwrotny jej życia: jej, a zwłaszcza mego. Już dawno wbiła mi do głowy, że nie zostanę farmerem, i wyjeżdżając, paliła za sobą wszystkie mosty.

Przyszedł Dziadzio. Nalał sobie kawy, usiadł na krześle obok babci i zaczął mi się przyglądać. Nie umiał się witać, a jeszcze gorzej znosił pożegnania. Uważał, że im mniej się przy tej okazji mówi, tym lepiej.

Kiedy już napchałem się tak, że zrobiło mi się niedobrze, wyszliśmy razem na werandę. Tata wkładał torby do pikapu. Miał na sobie wykrochmalone spodnie robocze i wykrochmaloną białą koszulę, żaden tam kombinezon. A mama była w ładnej odświeżonej sukience. Nie chcieliśmy wyglądać jak uciekinierzy z bawełnianych pól Arkansas.

Dziadek zaprowadził mnie na podwórze, tam, gdzie była kiedyś moja druga baza. Stanęliśmy i popatrzyliśmy na dom. Lśnił w porannym słońcu jak śnieg.

- Dobra robota, Luke - powiedział. - Odwalileś kawał porządnej roboty.

- Szkoda, że nie zdążyłem dokończyć - odrzekłem. Po prawej stronie, na narożniku Trota, pozostał nie pomalowany kawałek. Pod koniec nakładaliśmy farbę najcienie, jak tylko było można, ale i tak nie wystarczyło.

- Po mojemu potrzeba jeszcze ze dwa, dwa i pół litra - powiedział dziadek.

- Tak, też tak myślę.

- Załatwię to zimą.

- Dzięki, Dziadziu.

- Kiedy wrócisz, będzie po wszystkim.

- Bardzo bym chciał.

Potem zebraliśmy się przy samochodzie i po raz ostatni uściskaliśmy babcię. Przez chwilę myślałem, że znowu każe mi powtórzyć cały katalog obietnic, ale była za bardzo wzruszona. Wsiedliśmy - dziadek za kierownicą, ja w środku, mama przy oknie, tata na skrzyni, z torbami - i skręciliśmy na drogę.

Kiedy odjeżdżaliśmy, babcia siedziała na schodach, ocierając łzy. Tata mówił, żeby nie płakać, ale nie wytrzymałem. Chwyciłem mamę za rękaw i ukryłem twarz w zagłębieniu jej

ramienia.

Zatrzymaliśmy się w Black Oak. Tato miał coś do załatwienia w spółdzielni. Ja chciałem pożegnać się z Pearl. Mama miała nadać na pocztę list Libby. Rozmawialiśmy o tym i ona też uważała, że to nie nasza sprawa. Jeśli Libby chciała powiedzieć Ricky'emu o dziecku, nie powinniśmy jej tego zabraniać.

Pearl oczywiście wiedziała, że wyjeżdżamy. Objęła mnie za szyję tak mocno, że omal nie skrzyła mi karku, a potem dała torebkę pełną słodczy.

- Przydadzą się w podróży - powiedziała. Zerknąłem na te wszystkie czekoladki, ciagutki i miętówki i doszedłem do wniosku, że nasza wyprawa dobrze się zaczyna. Pojawił się Pop. Uściskał mi rękę jak dorosłemu mężczyźnie i życzył szczęścia.

Pobiegłem do samochodu i pokazałem słodczy dziadkowi. Rodzice też szybko wrócili. Nie byliśmy w nastroju do uroczystych pożegnań. Wyjeżdżaliśmy, ponieważ gnębiła nas utrata płonów i zawiedzione nadzieje. Nie chcieliśmy, by znajomi uznali, że uciekamy. O tej porze ruch był na szczęście niewielki.

Patrzyłem na pola ciągnące się wzdłuż drogi do Jonesboro. Były mokre jak nasze. W rowach stała brązowa woda. Tu też wylały wszystkie strumienie i potoki.

Minęliśmy skrzyżowanie ze żwirówką, gdzie kiedyś czekaliśmy z dziadkiem na ludzi ze wzgórz. To tu spotkaliśmy Spruillów, to tu po raz pierwszy zobaczyłem Hanka, Tally i Trota. Gdyby ktoś przyjechał przed nami albo gdybyśmy przyjechali troszeczkę później, Spruillowie wróciliby do Eureka Springs całą rodziną.

Tą samą drogą i tym samym pikapem jechała Tally z Kowbojem, kiedy szalała nocna burza. Szukali lepszego życia, tak jak my. Wciąż trudno mi było uwierzyć, że tak po prostu uciekła.

Pola ziały pustką i dopiero w Nettleton, małym miasteczku pod Jonesboro, pojawili się na nich pierwsi Meksykanie. Przydrożne rowy nie były tu tak pełne, ziemia nie tak mokra.

Na przedmieściach Jonesboro ruch wyraźnie zgęstniał. Wyciągnąłem szyję, żeby lepiej widzieć. Sklepy, ładne domy, czyste samochody, przechodnie na chodnikach - nie pamiętałem, kiedy byłem tu ostatni raz. Kiedy chłopak ze wsi wracał z Jonesboro, gadał o tym przez cały tydzień. A gdy wracał z Memphis, gadał przez miesiąc.

Dziadzio bardzo się denerwował. Kurczowo ścisnął kierownicę, co chwilę gwałtownie hamował i coś do siebie mamrotał. Skręciliśmy i zobaczyłem ruchliwy dworzec autobusowy, gdzie stały rzędem trzy lśniące greyhoundy. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku, pod tablicą z napisem ODJAZDY, i szybko wyładowaliśmy bagaże. Dziadzio nie lubił objęć i uścisków, dlatego pożegnanie trwało krótko, ale kiedy uszczypnął mnie w policzek, zobaczyłem w jego

oczach łzy. Pewnie dlatego szybko wszedł do pikapu i odjechał. Machaliśmy mu, dopóki nie zniknął nam z oczu. Z bólem serca patrzyłem, jak nasz stary samochód skręca za róg. Wracał na farmę, do zalanych wodą pól, do Latcherów: jechał na spotkanie długiej zimy. Bolało mnie serce, ale jednocześnie odczułem ulgę, że ja zostaję.

Poszliśmy na dworzec. Rozpoczynała się nasza przygoda. Tato postawił worki na ławce i poszedłem z nim kupić bilety.

- Trzy do St. Louis poproszę - powiedział.

Rozdziawiłem usta.

- Do St. Louis? - powtórzyłem.

Tato tylko się uśmiechnął.

- Autobus odjeżdża o dwunastej - powiedział kasjer.

Tato zapłacił i wróciliśmy do mamy.

- Mamo, jedziemy do St. Louis! - wykrzyknąłem.

- Tylko się tam przesiadamy - wyjaśnił tato. - Na autobus do Chicago i do Flint.

- Myśli tato, że zobaczymy Stana Musiala?

- Wątpię.

- Moglibyśmy pójść na Sportsman's Park?

- Nie tym razem, Luke. Może kiedy indziej.

Pozwolili mi zwiedzić dworzec. Była tam mała kawiarnia, w której dwóch młodych żołnierzy piło kawę. Pomyślałem o Rickym i zdałem sobie sprawę, że kiedy wróci, nie będzie mnie w domu. Widziałem też murzyńską rodzinę; rzadki to widok w naszej części Arkansas. Kurczowo ściskali swoje tobołki i robili wrażenie równie zagubionych jak my. Widziałem też dwie inne farmerskie rodziny, które uciekały przed powodzią.

Kiedy wróciłem do rodziców, trzymali się za ręce i rozmawiali. Czekaliśmy całe wieki, wreszcie zapowiedziano nasz autobus. Worki wylądowały w luku bagażowym i wsiedliśmy.

Ja siedziałem z mamą, tata tuż za nami. Pozwolili mi usiąść przy oknie, patrzyłem w nie, żeby niczego nie przegapić. Autobus przejechał przez miasto, skręcił na autostradę i pomknęliśmy na północ. Wokół nas roztaczały się mokre bawełniane pola.

W pewnej chwili spojrzałem na mamę. Głowę złożyła na oparciu fotela. Miała zamknięte oczy, a w kącikach jej ust błędził leciutki uśmiech.